

LUDKA SKRZYDLEWSKA

KRÓL
POPIOŁÓW

*Śledztwa w mieście grzechu bywają bardzo niebezpieczne.
Ale niezwykle fascynujące!*

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

https://editio.pl/user/opinie/krolpo_ebook

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-9793-4

Copyright © Helion S.A. 2022

- [Poleć książkę na Facebook.com](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)

Rozdział 1

— Zaraz, zaraz. Zostawiasz mnie?!

Cole chodzi tam i z powrotem po salonie, a na jego twarzy maluje się frustracja. Wysoki, szczupły i jasnowłosy świetnie prezentuje się w mundurze, ale równie dobrze mu w zwykłym ubraniu, które najczęściej zakłada do pracy.

Gdy wracam do domu, jest wyraźnie wkurzony, choć nie wiem, z jakiej przyczyny. Ostatnie, czego chcę po takim chujowym dniu jak dziś, to mierzenie się z nastrojami mojego faceta. Najwyraźniej jednak Cole nie pozostawił mi wyboru.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. Nikt wcześniej ze mną nie zerwał. Zawsze to ja kończę relacje z mężczyznami, kiedy uznaję, że mam dość. Ta sytuacja to dla mnie coś nowego i niekoniecznie mi się to podoba.

W końcu Cole zatrzymuje się na środku pomieszczenia i opiera pięści na biodrach. Patrząc na jego bojową postawę i zdeterminowaną minę, można odnieść wrażenie, że jest gotowy na wojnę. Niebieskie oczy błyszczą, gdy omiata mnie uważnym spojrzeniem.

— Nie chcę cię zostawiać, Ever — mówi zdecydowanie. — Zależy mi na tobie i dobrze mi z tobą. Ale nie widzę innego wyjścia, skoro nie chcesz iść dla mnie na ustępstwa.

Przewracam oczami. Mam serdecznie dość tego gówna.

— Wiedziałeś, jakie życie prowadzę, kiedy mnie poznałeś — przypomnam mu. — I jakoś ci to nie przeszkadzało. Bo co? Chciałeś się tylko pobzykać?

— To nigdy nie był wyłącznie seks i doskonale o tym wiesz. — Zaciska mocno szczęki, a ja zdaję sobie sprawę, że to prawda. Od samego początku miałam z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. Byłam przekonana, że Cole'owi bardziej zależy na mnie niż mnie na nim, dlatego tym bardziej się dziwię, że to on chce zakończyć nasz związek. — Nie mogę tak dłużej,

Ever. Wiesz, o co dzisiaj zapytał mnie szef? Czy dziewczyna, którą jego ludzie aresztowali dwa dni temu, to ta sama, która przyszła ze mną na przyjęcie świąteczne.

Robię głupią minę.

No dobra, to była trochę niezręczna sytuacja i rozumiem, dlaczego Cole jest wkurzony. Ale w sumie to przecież całkiem zabawna historia.

— To nieporozumienie — oświadczam, z trudem zachowując powagę. — Trafiałam do tego podziemnego klubu przy East Sahara Avenue tuż przed tym, zanim wpadła tam policja. Zgarnęli mnie przez przypadek.

— Zgarnęli cię, bo rozmawiałaś z bukmacherami, a potem uciekałaś — prostuje wściekle Cole. Wzruszam ramionami. — Nie było w tym niczego przypadkowego.

— Chyba jednak było, skoro zaraz mnie wypuścili — odpowiadam niewinnie.

Mężczyzna wznosi oczy do nieba.

— Wypuścili cię, bo masz znajomości w policji. Kuzyn za ciebie poręczył. — To prawda, zawsze mogę liczyć na Malcolma. Jest w porządku, w przeciwieństwie do Cole'a, który pewnie pozwoliłby mi gnić w areszcie do śmierci. — To nie znaczy, że jesteś niewinna. Zadajesz się z niewłaściwymi ludźmi, Ever, i kiedyś się doigrasz. Rozumiesz chyba, że takie zachowanie szkodzi też mojej reputacji?!

— Robię to, co robię, odkąd jesteśmy razem — odpieram. — Pół roku temu ci to nie przeszkadzało.

— Pół roku temu nie dałaś się aresztować! — podnosi głos, na co rzucam mu ostrzegawcze spojrzenie. Nie lubię, kiedy ludzie zwracają się do mnie takim tonem. — Nie rozumiesz, że to ma wpływ na moją pracę? Na komendzie śmieją się ze mnie! Wszyscy się tam znają i nie mają o tobie zbyt dobrego zdania, wiesz?

Wiem, ale mam to gdzieś. Nie potrzebuję ich sympatii, tylko pomocy, jeśli mam coś do załatwienia. A tę otrzymuję od Malcolma. Tyle mi wystarczy.

Na ostatniej imprezie świątecznej nieźle się bawiłam, opowiadając kumpłom Cole'a wymyślone historyjki o moich znajomościach i akcjach z przeszłości. Nie jestem nawet w połowie tak interesująca, jak o mnie myślą, ale lubię podtrzymywać legendę.

— Cole, wyjaśnijmy sobie jedno. — Zakładam ręce na piersi i wchodzę głębiej do salonu, którego, nawiasem mówiąc, nie noszę. Wystrój domu

jest utrzymany w beżach i brązach, czyli ciepłych, przyjemnych barwach, które w ogóle do mnie nie pasują. — W ten sposób zarabiam na życie, również rozmawiając z ludźmi prowadzącymi lewe interesy. Nigdy tego nie ukrywałam i nigdy nie udawałam kogoś innego. Nie zamierzam tego zmieniać, więc jeśli nagle masz z tym problem, to tak, myślę, że powinniśmy się rozstać.

Cole chyba nie spodziewał się tak stanowczej odpowiedzi. Czekam na jego reakcję, przypominając sobie mimowolnie, jak niecały rok temu poznał nas ze sobą mój kuzyn. Od razu zaiskrzyło. Niewielu facetów mogę tolerować na dłuższą metę, a Cole jest jednym z nich.

Najwyraźniej jednak nawet komuś takiemu jak on prędeży czy później odbija. Jeżeli Cole nie potrafi poradzić sobie z tym, że jestem prywatnym detektywem i mam znajomości w różnych dziwnych środowiskach Las Vegas, to cóż mogę zrobić.

— Poważnie? — dziwi się.

Z irytacją przewracam oczami.

— Przecież sam to zaproponowałeś, kiedy weszłam do domu.

— Tak, bo miałem nadzieję, że to jakoś tobą wstrząśnie. — Cole robi krok do przodu i staje tuż przede mną. — Chcę, żebyś zrezygnowała dla mnie z tej pracy. Na pewno znajdziesz sobie coś innego, żebyś nie musiała szukać guza w tutejszym półświatku. Proszę, Ever, bądź rozsądna.

Wprost nie wierzę w to, co słyszę.

Przez sekundę mam nadzieję, że Cole się opamięta i przyzna, że żartował. Ale nic takiego nie następuje. Nadal patrzy na mnie z prośbą, nadzieją oraz odrobiną złości, z powodu której w ogóle poruszył ten temat.

— Ależ ja jestem rozsądna — mówię w końcu spokojnie. — Jestem kurewsko rozsądna. Siedzę w tym półświatku od lat i nigdy nic złego mi się nie przytrafiło. Mam znajomości i stałych klientów, których nie mogę zostawić na lodzie. Dopiero wtedy miałabym kłopoty, wiesz? Ale najważniejszym argumentem jest to, że lubię tę pracę i nie zamierzam z niej dla ciebie rezygnować.

— Więc znaczę dla ciebie mniej niż ta praca? — W jego niebieskich oczach widzę rozczarowanie.

Wzdycham ze zniecierpliwieniem.

— Ona nie prosi mnie, żebym zrezygnowała dla niej z ciebie. Dlaczego ty nie możesz być równie tolerancyjny?

— Nie żartuj, proszę, nie bawi mnie to.

— Mnie też nie — zapewniam. — W ogóle mnie to nie bawi! To jakaś chora sytuacja, nie zamierzam dłużej tego wysłuchiwać. Chcę zostać sama. Wynos się stąd!

Cole parska śmiechem, w którym jednak nie słyszę wesołości.

— Chyba śnisz. To mój dom!

Och, faktycznie. Prawie o tym zapomniałam.

Jestem tak wściekła na tego faceta, że najchętniej wywaliłabym go za drzwi, ale będę rozsądna.

Podnoszę dłonie w geście poddania.

— Dobra, jak chcesz. W takim razie ja wychodzę.

— Ever! — woła za mną Cole. Zatrzymuję się w pół kroku, odwracam się i spoglądam na niego. — Nie kończmy tego w ten sposób. Zależy mi na tobie. Kocham cię, rozumiesz?

Te słowa utwierdzają mnie w przekonaniu, że dobrze robię, odchodząc od niego. To już zabrnęło za daleko. Nie powinnam była pozwolić Cole'owi na takie uczucia, ale co mogłam poradzić? Nie sądziłam, że mógłby się we mnie zakochać.

— Przepraszam, Cole — odpowiadam z westchnieniem. — Tak czy inaczej to nie mogło wypalić. To życie, ta praca... To mój świat, rozumiesz? Nie mogę i nie chcę go zostawiać. Na pewno nie dla mężczyzny, nawet dla ciebie.

To przykre, gdy w jego oczach dostrzegam rozczarowanie. Szybko kieruję się do wyjścia.

Wrócę po moje rzeczy, kiedy Cole będzie w pracy. Wtedy też zostawię mu swój komplet kluczy.

Opuszczam budynek, trzaskając drzwiami. Przez chwilę stoję na podwórku, rozglądając się dookoła. Dom Cole'a mieści się na osiedlu domków jednorodzinnych przy Crown Peak Avenue, w do bólu zwyczajnej i nudnej okolicy. Przez jakiś czas wydawało mi się, że mogę się przyzwyczaić do takiego życia. To jednak trudne, jeśli sama nie jestem do końca normalna.

Zmierzam w kierunku podjazdu, gdzie zaparkowałam auto. Stary, klasyczny mustang fastback może nie wydawać się najlepszym pomysłem dla prywatnego detektywa, który nieraz musi śledzić różnych ludzi, jednak w Vegas ten samochód nie wyróżnia się na ulicach tak bardzo jak w innych miastach. Poza tym mam go od lat: to jedyne, co otrzymałam po moim ojcu, i chociaż nie znoszę tego człowieka, uwielbiam mustanga, który mi zostawił.

Otwieram drzwi od strony kierowcy, rzucam na siedzenie pasażera ramoneskę — wprawdzie jest lato, ale noce w Vegas bywają chłodne, jak to na pustyni — po czym wsiadam do środka. Odpalam silnik, lecz przez moment nie ruszam z miejsca. Muszę się zastanowić, dokąd właściwie powinnam pojechać.

Dwa miesiące mieszkalam u Cole'a i nie mam innej mety. A wcześniej wymówiłam lokum, które wynajmowałam, bo uznałam, że w razie konieczności zawsze znajdę sobie coś innego.

W końcu uruchamiam silnik i wyjeżdżam z podjazdu. Przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce, do którego mogę się udać. Choć wiem, że będzie mi tam piekielnie niewygodnie.

Nocą Las Vegas mieni się wszystkimi kolorami tęczy i jest pełne samochodów. Ta metropolia nigdy nie zasypia. Chyba nie ma lepszego miasta do życia dla kogoś takiego jak ja. Mijam kolejne ulice, z każdą milą zbliżając się do rozświetlonego centrum. Właśnie tam czuję się najlepiej, a nie na jakimś podmiejskim osiedlu. Cole nigdy tego nie rozumiał i raczej już nie zrozumie.

Czuję tylko lekkie ukłucie żalu, kiedy myślę o tym mężczyźnie. Zawsze wiedziałam, że ten związek ma termin przydatności, nigdy jednak nie sądziłam, że zakończy się po tym, jak zamkną mnie w areszcie.

Mimo woli parskam śmiechem.

Chociaż mam dwadzieścia siedem lat, za kratki trafiłam po raz pierwszy. To było ciekawe doświadczenie, a przy okazji poznałam kilka interesujących osób. Gdyby Cole o tym usłyszał, pewnie padłby trupem. Jest zbyt dobry, zbyt praworządny. To jasne jak słońce, że nie mogliśmy dłużej być razem. Nigdy do siebie nie pasowaliśmy.

Moja firma mieści się na piętrze dwukondygnacyjnego budynku przy Lynwood Street. Większość mieszkań przerobiono tu na takie lokale. Żeby tam dojechać, muszę przebić się przez centrum, co zajmuje trochę czasu. Las Vegas Boulevard tętni życiem, gdy zjeżdżam z niego w jedną z bocznych, ciemniejszych ulic. Przez chwilę szukam na chodniku miejsca do zaparkowania, a kiedy wreszcie się zatrzymuję, daję sobie jeszcze moment na ochłonięcie, zanim wysiądę.

To był naprawdę kiepski dzień. Niezadowolony klient zrezygnował z moich usług, a potem podczas inwigilacji w trudnych warunkach zabrudziłam ubranie, przez co musiałam się przebrać w biurze w zapasowe dzinsy. Rozstanie z Cole'em stało się kroplą goryczy, która przepełniła czarę.

Teraz marzę wyłącznie o tym, by położyć się spać.

Zabieram niewielki skórzany plecak, lustrzaną i ramoneskę, po czym opuszczam samochód. O tej porze na Lynwood Street jest całkiem pusto, a większość odgłosów dochodzi z pobliskiego Las Vegas Boulevard.

Moje biuro składa się z trzech pomieszczeń. Pierwsze to recepcja, gdzie urzęduje Kevin, mój asystent. Stamtąd można przejść do toalety, a także do mojego gabinetu — dokąd właśnie teraz się udaję. Poza biurkiem i dwoma fotelami znajduje się tam także dwuosobowa, niezbyt wygodna kanapa. Starannie zamykam za sobą drzwi, po czym rzucam plecak na podłogę.

Mogłabym skorzystać z okazji i chwilę popracować, ale nie mam na to sił. Z niewielkiej szafki wyciągam butelkę z resztką whiskey, nalewam sobie porcję, następnie siadam na sofie. Zrzucam z nóg buty, wyjmuję zza paska pistolet i nienaładowany kładę na stoliku przed kanapą. Zostaję w koszulce i dżinsach, bo nie zabrałam z mieszkania Cole'a pizamy ani szczoteczki do zębów.

Muszę sobie jakoś bez tego poradzić.

Gdy kładę się na sofie i próbuję znaleźć pozycję, w której będzie mi najmniej niekomfortowo, dochodzę do wniosku, że to nic nowego.

Zawsze jakoś daję sobie radę.

— Wstawaj, śpiąca królewno!

Niechętnie unoszę powieki, w pierwszej chwili nie rozumiejąc, dlaczego boli mnie kręgosłup, a nade mną pochyła się facet, który zdecydowanie nie jest Cole'em. Zaraz potem wszystko do mnie wraca.

Rozstanie. Podróż samochodem do biura. Nocleg na kanapie.

Chyba jednak powinnam wymienić ją na coś wygodniejszego.

— Spałeś tu? — pyta z rozbawieniem Kevin, nieco się ode mnie odsuwając. — Czyżby twój chłopak wyrzucił cię z domu?

Mój asystent żartuje, ale nawet nie wie, jak bliski jest prawdy.

— Właściwie to tak. — Krzywię się, podnosząc ciało do pozycji siedzącej. Jęczę, gdy plecy odpowiadają ostrym bólem. — Która godzina?

— Za kwadrans dziewiąta. Przyniosłem ci kawę. — Kevin podsuwa mi kubek, na co uśmiecham się do niego z wdzięcznością. — Jak to: wyrzucił cię?

Wzruszam ramionami, upijając łyk mocnego, czarnego napoju, dokładnie takiego, jak lubię. Zaraz z pewnością postawi mnie na nogi.

— Tak jakby się rozstaliśmy — wyjaśniam lekko. — Mam teraz jakieś spotkania?

— Wczoraj dzwonił nowy klient i prosił o umówienie go na dziewiątą — informuje. — Potrzebujesz czegoś?

Spoglądam na niego trochę trzeźwiej.

Kevin jest dwa lata ode mnie młodszy, ale sądząc po jego wyglądzie, powiedziałabym, że dzieli nas większa różnica wieku. Wysoki i chudy, ma pociągłą twarz i szopę jasnych włosów, nosi okrągłe okulary. Wydaje się pocziwy, jednak nie można odmówić mu inteligencji. Zatrudniłam go, ponieważ umie się świetnie poruszać w internecie — na pewno znacznie lepiej niż ja. Marzy o tym, by kiedyś samemu zostać prywatnym detektywem, dlatego szlifuje u mnie umiejętności.

Chociaż nie widzę go w tej roli, wołam mu tego nie uświadamiać. Ma za mało pewności siebie, mimo że próbuję to zmienić. Kevin po prostu jest nieśmiały — tylko wobec ludzi, których zna dłużej, zachowuje się dużo swobodniej.

— Przepraszam, że cię o to proszę, ale czy mógłbyś skoczyć do sklepu, żeby kupić mi pastę i szczoteczkę do zębów? — Patrzę na niego błagalnie. — Będę twoją dłużniczką na zawsze.

— Spoko. — Odsuwa się i rusza do drzwi. Przystaje z ręką na klamce i zerka na mnie przez ramię. — Przykro mi z powodu twojego chłopaka. Jeśli nie masz gdzie spać, może chciałabyś przenoćować u mnie?

— Daj spokój, Kev. — Uśmiecham się do niego pobłaźliwie. — Kanapa by za mną tęskniła. Poza tym znajdę sobie coś, tylko wczoraj po prostu już mi się nie chciało. Ale dzięki za propozycję.

Mrugam do niego, a on czerwienieje na twarzy, po czym ucieka. Otwieram usta, by go zatrzymać, jednak ostatecznie rezygnuję.

Nawet nie wiem, co to za klient, który ma przyjść o dziewiątej. Kiedy patrzę na zegarek, stwierdzam, że zostało mi jakieś dziesięć minut. Akurat tyle, aby zajrzeć do toalety i choć trochę doprowadzić się do porządku.

Gdy spoglądam w lustro, dochodzę do wniosku, że wbrew obawom wcale nie wyglądam, jakbym spędziła noc na ostrym imprezowaniu. Moje blond włosy są rozczochrane, więc wyciągam szczoteczkę z plecaka — który przyniosłam z gabinetu — i próbuję ułożyć jakąś fryzurę. Przemywam twarz, płuczę usta i używam dezodorantu. Na kąpiel muszę poczekać, aż znajdę nocleg.

Może pójść na kilka dni do hotelu?

Jak zawsze myślę o sobie z pobłażaniem, kiedy przeglądam się w lustrze. Niska, drobna blondynka o zielonych oczach i okrągłej twarzy — na której nie widać ani jednej zmarszczki — absolutnie nie przypomina kogoś, kto stanowi zagrożenie dla kogokolwiek. Nikt nie przypuszcza, że jeśli byłoby trzeba, potrafiłabym zrobić komuś krzywdę. Mało kto podejrzewa też, że za paskiem noszę pistolet, a w plecaku dodatkowo paralizator i niewielki kastet.

Czasami się przydają. W zależności od zlecenia.

W środowisku, w którym się obracam, poradzenie sobie bez pistoletu byłoby praktycznie niemożliwe. Wiele osób jednak nie ma o tym pojęcia. Cole na przykład nigdy się nie dowiedział, że mam pozwolenie na broń.

Tak było lepiej.

Często zyskuję na moim wyglądzie: ludzie albo mnie nie doceniają, albo bez namysłu szufladkują jako idiotkę, gdy odrobinę się o to postaram. A kiedy tak się dzieje, nie próbuję wyprowadzać ich z błędu.

Cole'owi na początku się wydawało, że może mnie sobie podporządkować. Pierwszy raz zobaczył mnie jesienią zeszłego roku na grillu u Malcolma. Miałam wtedy na sobie kolorową sukienkę, a włosy zaplotłam w warkocz. Na początku sądził, że jestem łagodną, przyjazną dziewczyną, z którą nie będzie miał większych problemów.

Bardzo się mylił.

Wracam na recepcję w momencie, gdy ktoś otwiera drzwi wejściowe. Przybieram swój standardowy uśmiech numer dwa, specjalnie przeznaczony dla petentów, i witam mężczyznę, który wkracza do środka.

Ma mniej więcej czterdziestkę, lekką nadwagę i zaczyna łysieć od czoła. Wyciera twarz chusteczką, jakby wejście na pierwsze piętro go zmęczyło.

Podchodzi bliżej i wyciąga ku mnie rękę.

— Everly Chance? — pyta, na co kiwam głową, ujmując jego miękką, wilgotną dłoń. — Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć tak wczesnie. Nazywam się Darren Freemont, polecił mi panią znajomy. Chodzi o moją żonę.

Ach, zapowiada się siedzenie w samochodzie i czatowanie na niewierną partnerkę, myślę z rozczarowaniem.

Posyłam jednak Darrenowi Freemontowi kolejny firmowy uśmiech, po czym wskazuję mój gabinet.

— Oczywiście. Zapraszam. Zaraz omówimy wszystkie szczegóły.

Takich zleceń też potrzebuję. W końcu z czegoś muszę żyć.

Rozdział 2

Wieczór spędzam w samochodzie z lustrzanką w ręce.

Nie wyspałam się, a kręgosłup odpowiada bólem, gdy na fotelu kierowcy mustanga próbuję przyjąć pozycję, w której będzie mi możliwie komfortowo. Tęsknię za prysznicem, ale nawet nie było kiedy zameldować się w motelu, bo od kilku godzin siedzę na czatach, wcześniej zaś nie miałam do tego głowy.

Darren Freemont potrzebuje dowodów, że żona go zdradza, żeby nie stracić majątku podczas sprawy rozwodowej. Często trafiają mi się takie zlecenia, które stanowią cudownie normalną odskocznnię dla moich pozostałych działań. Każdego innego dnia byłabym zachwycona, że mogę spędzić trochę czasu w aucie, jednak dzisiaj mam dość. Marzę wyłącznie o prysznicu i wygodnym łóżku.

Gdy rozlega się sygnał oznajmiający nadejście SMS-a, zerkam na leżący na siedzeniu pasażera telefon.

Przewracam oczami.

To pewnie znowu Cole. Najpierw wyrzucił mnie ze swojego domu, a teraz wysyła wiadomości, w których twierdzi, że za mną tęskni. Zachowuje się jak zakochany szczeniak. Zdecydowanie za długo ciągnęłam ten związek. Czuję wyrzuty sumienia, że Cole może przeze mnie cierpieć.

Sięgam po kolejną frytkę. Dzisiaj to mój jedyny posiłek i żołądek wręcz skręca mi się z głodu, jednak nie chcę jeść zbyt łapczywie. Patrzę przez lornetkę w stronę domu, który obserwuję, ale wciąż nic się pod nim nie dzieje.

Freemont zapewniał, że jego żona wyjdzie wieczorem, zapewne po to, by spotkać się z kochankiem. Wątpię, czy od razu uda mi się zdobyć dowody — wszystko zależy od miejscówki, jaką wybiorą — niemniej skoro mam okazję spróbować, zamierzam z niej skorzystać. Choćbym miała się tym zajmować przez całą noc.

Nagle słyszę dzwonek komórki. Zerkam na ekran bez zainteresowania, przekonana, że to znowu Cole próbuje się ze mną skontaktować, ale pojawia się na nim inne imię. To już coś ciekawszego.

— Tu Ever, słucham — odbieram, umieszczając telefon między policzkiem a ramieniem.

— Cześć. Jest robota do wykonania — mamrocze Stan niskim głosem, nie bawiąc się w uprzejmości.

Sposób, w jaki wypowiada się ten mężczyzna, każe mi przypuszczać, że poza rozkazami wydawanymi pracownikom niewiele się odzywa. To szef ochrony jednego z moich stałych klientów — takich, co to zajmują się nie do końca legalnymi interesami. Lubię przyjmować od nich zlecenia: są konkretne, wynagrodzenie jest wysokie, a płatność odbywa się w terminie.

— Zamieniam się w słuch — oświadczam, ponownie podnosząc do oczu lornetkę, bo dostrzegam jakieś poruszenie blisko głównej bramy. Stan mruczy coś pod nosem. — Mów jak człowiek, proszę. Nie nauczyłam się jeszcze ochroniarskiego.

— Więc najwyższy czas to zrobić. — Parska śmiechem. — Mojemu szefowi zaginął pewien człowiek. Który, jak się domyślasz, zabrał ze sobą coś, co do niego nie należy. Trzeba go odnaleźć, ale zrobić to dyskretnie, bo oprócz walizki pieniędzy wziął coś jeszcze.

Nie wdaję się w szczegóły. One mnie nie obchodzą.

— Wyślij mi informacje na maila — odpowiadam. — Płatność jak zawsze.

— Świetnie. Tylko, Ever, szefowi zależy na czasie — podkreśla Stan. — To pilna sprawa.

Zawsze jest pilna.

— Jasne. — Włączam silnik mustanga, kiedy widzę, jak przez główną bramę wyjeżdża hybrydowy SUV żony Freemonta. Za kierownicą siedzi kobieta, której zdjęcie pokazał mi klient. — Zajmę się tym jak najszybciej.

Rozłączam się, rzucam smartfon na fotel pasażera i ruszam za SUV-em, zachowując odstęp. Powoli wyjeżdżamy z dzielnicy willowej. Niestety, rozejrzawszy się dookoła, dochodzę do wniosku, że na ulicach jest za mało samochodów, żebym długo mogła pozostać niezauważona.

Kierujemy się na północ. Po chwili orientuję się, że wcale nie zbliżamy się do centrum Vegas, raczej przedostajemy się z jednej okalającej jej dzielnicy do innej. To dobry znak — jeśli pani Freemont wybiera się do innego domu, być może uda mi się dostrzec coś przez okna. Na pewno będzie to łatwiejsze niż w wielopiętrowym hotelu.

Mija jakiś kwadrans, zanim kobieta wrzuci kierunkowskaz i wjedzie przez bramę na teren posesji po naszej prawej stronie. Przejeżdżam obok, przypatrując się uważnie dużej, piętrowej posiadłości widocznej w świetle latarni i bladym blasku księżyca. Stoi w pewnym oddaleniu od sąsiednich budynków.

Zawracam na najbliższym skrzyżowaniu i dojeżdżam do wskazanego mi domu, po czym parkuję na chodniku po drugiej stronie ulicy.

Biorę lustrzanekę i robię zbliżenie, usiłując dojrzeć coś przez okna.

W środku świeci się światło, ale nikogo nie widzę. Zjadam więc kolejną frytkę i czekam. Gdy trzeba, potrafię być cierpliwa podczas wykonywania zleceń. Ktokolwiek mówił, że praca prywatnego detektywa jest ekscytująca, nie miał o niej pojęcia.

Po kolejnych piętnastu minutach wreszcie zaczyna się coś dziać. Do jednego z pomieszczeń, z wysokimi od sufitu do podłogi oknami, wchodzi dwie osoby. Od razu rozpoznaję żonę Freemonta, ale mężczyzny nigdy wcześniej nie widziałam. Jest wysoki, ciemnowłosy i podchodzi do kobiety, trzymając dwa kieliszki wina w dłoniach.

Pstrykam jedno zdjęcie za drugim, gdy akcja między nimi zaczyna się rozwijać.

Och, tak, to zdecydowanie romans, i to jaki! Trafiła mi się wyjątkowo łatwa sprawa.

Nagle kątem oka dostrzegam jakiś ruch przy głównej bramie i automatycznie spoglądam w tamtą stronę. Marszczę brwi, widząc czterech ludzi ubranych w czarne kombinezony maskujące.

Co jest, do cholery?

Waham się, co robić. I czy w ogóle jakoś reagować. Tymczasem mężczyźni wchodzi na teren posesji, a potem znikają za otwartymi frontowymi drzwiami domu. Kiedy wykonuję ostatnie zbliżenie, dostrzegam, że na twarzach mają kominiarki, a w rękach... karabiny maszynowe.

O ja pierdole. Walić to!

Łapię gorączkowo komórkę i wchodzę w mapy Google'a. Próbuje złapać moją lokalizację — przecież nawet nie wiem, na jakiej ulicy się znajduję! Wreszcie mi się udaje, więc nawiązuję połączenie z numerem alarmowym. W końcu wracam spojrzeniem do obserwowanej przeze mnie pary.

Może jestem przewrażliwiona. Może to nic takiego. Może...

Serce zaczyna mi szybciej bić, kiedy widzę, jak do sypialni na piętrze wbiega dwóch uzbrojonych facetów. Nawet w samochodzie słyszę echo

wystrzałów, gdy pokój rozdierają serie z karabinów. Odruchowo robię kolejne zdjęcia, patrząc, jak kobieta pada na podłogę.

— 911, w czym mogę pomóc? — odzywa się w słuchawce kobiecy głos.

— Jestem świadkiem włamania na Glenview Drive — informuję, po czym podaję numer posesji. — Do domu dostało się czterech uzbrojonych mężczyzn. Właśnie zastrzelili kobietę.

— Już wysyłam na miejsce jednostkę policji. Poproszę o pani nazwisko.

Podaję fałszywe dane i czym prędzej się rozłączam. Jeszcze nie zwario-
wałam, żeby podawać swoje personalia podczas rozmowy z policją.

Faceci w kominiarkach dopadają człowieka, z którym miała romans żona Freemonta. Przez moment myślę, że zamierzają go zostawić przy życiu, ale potem jeden z nich strzela mu w głowę, aż dostrzegam rozbryzgu-
jącą się na wszystkie strony krew. Odruchowo pstrykam jedną fotografię za drugą, uwieczniając całe to makabryczne zdarzenie w pamięci mojej lustrzanki. Nie wiem, po co to robię, jednak nie potrafię przestać.

Nagle ktoś uderza w maskę mojego auta.

— Oddawaj aparat! — Kiedy spoglądam przez przednią szybę, widzę zamaskowanego mężczyznę celującego do mnie z karabinu.

Kurwa mać!

Zalewa mnie fala adrenaliny, która każe mi podjąć jakieś działanie. Upuszczam lustrzankę na kolana, włączam silnik i naciskam pedał gazu, równocześnie osuwając się na siedzeniu. Słyszę huk wystrzału i krzy-
czę, gdy mustang rusza z miejsca jak przechodzący do galopu rumak. Czuję uderzenie — samochodem najpierw szarpie, a potem auto podska-
kuje. Nie oglądam się za siebie, tylko odjeżdżam, podejrzewając, że przeje-
chałam tamtego człowieka.

Oddalam się pospiesznie, nie pozwalając sobie na panikę ani dogłębne analizowanie sytuacji. Po niecałej minucie mija mnie radiowóz na sygnale, jednak nie zamierzam sprawdzać, co się dalej będzie działo. Po prostu jadę przed siebie, aż willowa zabudowa Corta Bella zaczyna ustępować miejsca wielorodzinnym budynkom w centrum.

Zjeżdżam w końcu na jakiś parking, zatrzymuję auto, następnie wysiadam, żeby je obejrzeć. W masce zieje dziura, ale wygląda na to, że kule nie uszkodziły żadnych ważnych części silnika, skoro dałam radę odjechać.

W trakcie oględzin zaczynają mi dygotać ręce, więc wracam do sa-
mochodu i kulę się na fotelu kierowcy, aby przeczekać atak paniki.

Serce wali mi jak szalone, a dłonie drżą, jakbym miała delirkę. Dopiero po chwili sięgam po aparat i pobieżnie przeglądam zdjęcia.

Kurwa. Oboje nie żyją. Kobieta przyjechała do swojego kochanka, by dostać trochę dobrego seksu, a skończyła martwa na podłodze w sypialni. Ja pierdolę.

Opieram czoło o kierownicę i próbuję się uspokoić.

Dużo już widziałam, z wieloma ludźmi miałam do czynienia i byle co nie jest w stanie mnie ani zaskoczyć, ani przestraszyć. Coś takiego jednak przydarzyło mi się pierwszy raz. Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem podwójnego zabójstwa, które w dodatku uwieczniłam w swoim jebanym aparacie.

Nie mam pojęcia, co teraz. Zgłosić się na policję? Przekazać im dowody? Mogłabym porozmawiać z Malcolmem, ale nie mam pewności, czy to dobry pomysł. Ci goście wyglądali na profesjonalistów. Może na razie powinnam się zorientować, o co w tym w ogóle chodzi. To w końcu żona mojego klienta. Muszę się z nim skontaktować...

Trzęsącymi się dłońmi sięgam po plecak. Wyciągam z portfela wizytówkę Darrena Freemonta i wpisuję na telefonie odpowiedni numer. Natychmiast przekierowuje mnie na pocztę głosową.

Po prostu, kurwa, zajebiście.

Oddychaj, nakazuję sobie w myślach. To nic takiego, po prostu właśnie widziałas egzekucję wykonaną na dwojce obcych ludzi. To, kurwa, totalnie nic takiego.

Próbuję się uspokoić, ale słabo mi to wychodzi. Dopiero po kilku minutach zaczynam kontrolować oddech, dzięki czemu odzyskuję nieco przytomności umysłu i opanowania.

Nic mi nie grozi, przekonuję sama siebie. Widział mnie raptem jeden człowiek, którego prawdopodobnie przejechałam. Nikt mnie z tym nie powiąże...

Pod warunkiem że Darren Freemont się nie wygada, kogo zatrudnił do śledzenia żony.

Może jednak istnieje inny powód, dla którego nie odbiera telefonu, niż ten, że również zarobił kulkę w łeb.

Nie mam siły zastanawiać się nad tym wszystkim w samochodzie, więc odpalam auto i wyjeżdżam z parkingu w poszukiwaniu motelu. Wybieram coś nierzucającego się w oczy, za to położonego w ścisłym centrum miasta, i już wkrótce melduję się w Travelodge przy Las Vegas Boulevard.

Za czterdzieści dolarów dostaję niewielki pokój z podwójnym łóżkiem, starym telewizorem i wykładziną, która z pewnością pamięta lepsze czasy. Jedyne, znajdujące się obok drzwi okno wychodzi na zewnętrzną, ciągnącą się wzdłuż całego piętra galerię zakończoną po obu stronach schodami prowadzącymi bezpośrednio na parking. Opuszczam żaluzje i siadam ciężko na łóżku, aby pomyśleć.

Właśnie byłam świadkiem podwójnego morderstwa. Jezu. To ciągle nie mieści mi się w głowie i wciąż nie wiem, co powinnam teraz zrobić. Wystarczy, że zamknę oczy, a znowu widzę tych czterech ludzi.

Kominiarki. Czarne kombinezony maskujące. Karabiny maszynowe.

Zdaję sobie sprawę, że było ich więcej, skoro jeden w pewnym momencie znalazł się przy moim samochodzie. Nie mam jednak pojęcia, kim oni właściwie są ani czym przyjechali do domu przy Glenview Drive.

Czy mogą mnie szukać? Uznać za świadka, którego należy wyeliminować?

I czy potrafią mnie znaleźć?

Niby mogę powiedzieć o tym wszystkim Malcolmowi, który postara się, żeby nie spadł mi włos z głowy. Wiem jednak, jakie układy panują w policji w Las Vegas. Wiele osób stamtąd współpracuje z gangsterami z półświatka, bo mogą na tym zarobić albo po prostu tak jest im wygodniej. Boję się, że jeśli zgłoszę tę sprawę, ktoś dowie się na mój temat więcej, niż powinien.

Ale czy uniknę tego, jeśli będę siedzieć cicho?

Zrezygnowana idę do łazienki. Potrzebuję gorącego prysznica i odpoczynku, żeby ułożyć sobie to wszystko w głowie.

Postanawiam, że spędzę tutaj noc. A rano poszukam Darrena Freemonta i spróbuję uzyskać jakieś odpowiedzi.

To przecież musi dać się jakoś wyjaśnić.

Nie mam pojęcia, co mnie budzi. Kiedy otwieram oczy, w pokoju nadal panuje półmrok.

Przez sekundę wpatruję się w popękany sufit, próbując uspokoić szalejące serce. Nie muszę sobie przypominać, co się działo ostatniego wieczora, bo to od razu wraca do mnie niczym odruch wymiotny.

Zrywam się z łóżka i wypijam resztkę wody, którą zostawiłam w szklance na szafce nocnej. Jestem roztrzęsiona, wiem, że już nie zasnę. Gdy sprawdzam godzinę w komórce, stwierdzam, że jest czwarta rano.

I że Cole próbował się do mnie dodzwonić.

Zastanawiam się, czy chodzi mu o nas, czy może jakimś sposobem dowiedział się, że mam coś wspólnego z tym podwójnym morderstwem. Nie mogę jednak dłużej nad tym rozmyślać, bo w następnej chwili dochodzi do mnie z zewnątrz jakiś odgłos. Jakby cicho zamykane drzwi samochodu.

Wyglądam ostrożnie przez żaluzje na ciemny parking spowity blaskiem tylko jednej latarni. Nawet w tak wątlym świetle zauważam czarny samochód stojący na włączonym silniku.

Eksploduje we mnie niepokój. Wciągam na siebie dzinsy i pospiesznie wrzucam aparat oraz komórkę do plecaka. Wtykam pistolet za pasek spodni, a do kieszeni wsuwam kastet. Gdy jestem już gotowa do wyjścia, powoli uchylam drzwi i wystawiam głowę na zewnątrz.

Widzę ich na dole — idą we dwóch, obaj w czarnych ubraniach i z kapturami na głowach. Kierują się w moją stronę od recepcji, gdzie zapewne w jakiś sposób się dowiedzieli, który pokój wynajęłam.

Po prostu, kurwa, świetnie.

Nie mam czasu się zastanawiać, jakim cudem mnie znaleźli. Może po samochodzie? A może przez kartę kredytową, której użyłam? Trudno powiedzieć. Będę się tym martwiła później, na razie muszę stąd spadać.

Zamykam za sobą drzwi i schylam się, by nie było mnie widać zza otaczającej galerię barierki. Nie spuszczać wzroku z mężczyzn, którzy właśnie docierają do schodów na piętro, poruszam się po cichu, kierując w przeciwną stronę, ku drugiemu zejściu na dół.

Docieram właśnie do jego szczytu, gdy słyszę huk i coś boleśnie ociera się o moje ramię.

Cholera!

Odruchowo pochylam się jeszcze bardziej, a kiedy rozlega się kolejny wystrzał, spadam po stopniach, objając sobie po drodze każdą możliwą kość w ciele. Krzyczę, nie zważając na konieczność zachowania ciszy; na dole mocno w coś uderzam, po czym jakiś przedmiot ląduje na podłodze. Instynktownie odkopuję pistolet dalej, zanim facet, na którego spadłam, zdąży po niego sięgnąć.

— Tutaj! — woła, gdy sięgam po ukryty w kieszeni kastet. — Jest tu...

Jedno celne uderzenie w twarz pozbawia go głosu. Facet zalewa się krwią, a ja się podnoszę i zgięta wpół docieram na parking. Niemal natychmiast słyszę krzyki po jego drugiej stronie. Reszta napastników zapewne już zauważyła, że ich kumpel został znokautowany.

Przemyka mi przez myśl, że jeśli wiedzą, który samochód jest mój, nie pozwolą mi się do niego dostać. Na szczęście od mustanga dzielą mnie zaledwie dwa auta. Opuszczam głowę jak najniżej i próbuję do niego dojść, tylko raz zatrzymując się po drodze, by schować kastet, a wyciągnąć i odbezpieczyć pistolet. Trzymam broń pewnie w obu dłoniach, gdy posuwam się do przodu, wypatrując napastników.

Strzały rozlegają się bez żadnego ostrzeżenia. W jednej chwili jest cicho, w następnej kule śmigają nad moją głową, aż muszę się powstrzymać, by znowu nie wrzasnąć. Zaczynam iść szybciej, a gdy czuję szarpnięcie w boku, odbijam się od maski jakiegoś samochodu, po czym padam na ziemię. Spluwa wylatuje mi z rąk, na szczęście szybko ją znajduję i czołgam się dalej, byle bliżej mustanga.

Niemal płacząc z ulgi, kiedy udaje mi się do niego dotrzeć. Dygoczącymi dłońmi wyciągam z kieszeni džinsów kluczyki, otwieram drzwi i wślizguję się do środka.

— Nie pozwólcie jej odjechać! — drze się ktoś po chwili ciszy, lecz nie zwracam już na to uwagi.

Wrzucam wsteczny i cofam się pospiesznie, aż uderzam w coś tylnym zderzakiem. Zmieniam bieg, wdeptuję pedał gazu i obracam kierownicę, kierując się do wyjazdu z parkingu.

Słyszę dźwięki wystrzałów, kilka kul odbija się od karoserii, po czym do moich uszu dobiega huk. Samochodem szarpie gwałtownie, aż o mało nie pakuje się w budynek recepcji. Udaje mi się odzyskać kontrolę nad autem, ale po dziwnym odgłosie dobiegającym do moich uszu podczas jazdy orientuję się, że przestrelili mi oponę.

Czym prędzej odjeżdżam spod hotelu w obawie, że napastnicy będą mnie ścigać. Najwyraźniej jednak byli zbyt daleko swoich pojazdów, by dopaść do nich odpowiednio szybko, bo droga za mną jest pusta, gdy kieruję się na północ Las Vegas Boulevard.

Zalewa mnie fala bólu i wreszcie zauważam, że z rany na boku sączy się krew.

Kurwa. Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę.

Rozdział 3

Zostawiam mojego ukochanego mustanga na płatnym parkingu w centrum; opłacam postój na dwie godziny, bo tylko na tyle mam gotówki. Najwyżej potem odholują go na policyjny parking, trudno.

Zarzucam na siebie ramoneskę, żeby nie było widać krwi przesączającej się przez koszulkę, na ramię zakładam plecak i wyruszam w drogę. Wczesny ranek nie jest dobrą porą, żeby zniknąć w centrum Vegas, lecz nie mam wyjścia. Bok rwie, jakby ktoś próbował mi wyjąć przez niego wnętrze, trzymam się za zranione miejsce, przyciskając kawałek zapasowej koszulki, którą znalazłam na tylnym siedzeniu samochodu; wiem jednak, że potrzebuję prawdziwego opatrunku.

Nie pójdę do szpitala; musiałabym tam podać dane i zbyt łatwo byłoby mnie namierzyć. Zamiast tego powoli idę przed siebie, starając się nie wyglądać jak ofiara wypadku drogowego i nie przyciągać zbyt wielu spojrzeń. Dwie ulice od parkingu, na którym porzuciłam mustanga, znajduję bankomat, którego używam po raz ostatni, wypłacając tak dużo gotówki, jak tylko mogę przy jednorazowej transakcji. W tym samym miejscu na wszelki wypadek rozdeptuję telefon, aż zamienia się w kupkę złomu, i wrzucam go do pobliskiego kosza na śmieci.

Jestem w trybie przetrwania i nie zastanawiam się, jak bardzo nierealne jest wszystko, co w tej chwili robię. Bywałam już w tarapatkach, ale nie w takich. Nigdy wcześniej nikt nie próbował mnie zabić, nasyłając na mnie wynajętych zbirów. Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem podwójnego zabójstwa. Nigdy wcześniej nie niosłam w plecaku dowodów na to zabójstwo.

To całkiem nowa sytuacja, ale nadal na tyle irracjonalna, żebym nie czuła wystarczająco dużo strachu i paniki. Po prostu działałam, bo to właśnie muszę robić, żeby przeżyć. Nie zatrzymywać się. Cały czas być w ruchu.

Kolejne trzy ulice dalej znajdują całodobowy sklep, do którego z trudem się wtaczam. Bok rwie coraz bardziej i oddycham coraz ciężej, gdy chwytam koszyk, by wrzucić do niego opatrunki, środki dezynfekujące i przeciwbólowe. Dokładam do tego kilka batonów energetycznych i coś do picia, po czym kieruję się ku kasie.

Stoi za nią młoda dziewczyna, pewnie nawet młodsza niż ja, o jasnych tlenionych włosach i mocno umalowanych oczach. Na widok moich zakupów obrzuca mnie uważnym spojrzeniem.

— Macie tu toaletę? — pytam, starając się brzmieć pewnie. Dziewczyna wzrusza ramionami.

— Mamy, ale tylko dla pracowników. — Wzdycham. Świetnie. Może znajdę gdzieś w okolicy otwartego McDonalda? — Zaprowadzę cię i pomogę. Chodź.

Płacę za zakupy, po czym pozwalam się zabrać na zaplecze, gdzie obok ciasnego socjalnego znajduje się równie ciasna toaleta. Mam wątpliwości, czy ufać tej dziewczynie, ale ostatecznie czy mam inne wyjście? To przypadek, że trafiłam właśnie do niej.

Ekspedientka sadza mnie na sedesie, po czym każe zdjąć ramoneskę. Krzywię się, kiedy posłusznie spełniam polecenie.

— Gdzie jesteś ranna? — pyta, a po chwili sama zauważa, w którym miejscu krew przesiąka przez koszulkę. — Dobra, pokaż to. Na pewno nie jest tak źle.

Podnoszę ostrożnie materiał i czekam na jej reakcję, bo nie mam ochoty sama na siebie patrzeć. Na szczęście dziewczyna wzdycha z ulgą.

— To tylko draśnięcie — zapewnia. — Straciłaś trochę krwi, ale to nic takiego. Oczyszczę ranę i założę opatrunek. Tak samo na ramieniu, tutaj też widzę niewielką ranę.

Odruchowo spoglądam i stwierdzam, że rzeczywiście tam również mam rozciętą skórę. Miałam naprawdę fart, że udało mi się uciec. Dwa trafienia i dwa draśnięcia. A mogło się skończyć dużo gorzej.

Pozwalam dziewczynie przemyć rany i zaciskam zęby, gdy dezynfekuje je kupionym przeze mnie środkiem. Już po chwili nakłada opatrunki i jest po wszystkim. Ponieważ obie rany promieniują bólem, rozrywam opakowanie z tabletkami przeciwbólowymi i biorę od razu dwie.

— Dlaczego mi pomagasz? — pytam sprzedawczynię, która wzrusza ramionami.

— Bo chciałabym, żeby w podobnej sytuacji ktoś kiedyś pomógł mnie — odpowiada. — Wątpię, żeby to się kiedykolwiek zdarzyło, ale kto wie, co w zanadrzu trzyma dla nas los. Może kiedyś ty w taki sposób uratujesz kogoś innego.

Może, bo czuję się trochę tak, jakbym zaciągnęła jakiś dług i musiała go w przyszłości spłacić.

— Dziękuję. — Wzdycham. — To naprawdę wiele dla mnie znaczy.

Dziewczyna tylko kiwa głową i pomaga mi posprzątać bałagan w służbowej toalecie. Wkrótce potem opuszczam sklep, nawet nie poznawszy imienia mojej nieoczekiwanej sojuszniczki.

Nie mam jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo muszę wymyślić, co dalej. Szukam kolejnego sklepu, aż znajduję taki z elektroniką. Muszę poczekać pod nim prawie dwie godziny, zanim zostanie otwarty, znajduję więc sobie miejscówkę w pobliskiej bramie, gdzie chowam się, próbując trochę odpocząć.

Nie mam jak skontaktować się z kuzynem, odkąd wyrzuciłam telefon do śmieci, pozostaje mi więc tylko zastanowić się, co będzie dalej. Muszę w jakiś sposób odnaleźć ludzi, którzy próbują mnie zabić, tylko że nie mogę tego zrobić bez komórki. Na szczęście mam w głowie większość numerów kontaktowych, inaczej byłabym w jeszcze większym gównie. Zamierzam zadzwonić do Malcolma zaraz po zdobyciu aparatu.

Może użycie jednorazówki jest zbędnym środkiem ostrożności, zamierzam jednak dmuchać na zimne, bo chodzi o ochronę mojego życia. Ktoś chce mnie dopaść i nie spocznie, póki tego nie zrobi. Może zgłoszenie się na policję byłoby dobrym wyjściem, ale ciągle mam przed tym opory. Wolę najpierw porozmawiać z Malcolmem i dowiedzieć się, jak wygląda sprawa z ich perspektywy.

Kiedy w końcu otwierają sklep z elektroniką, wchodzę do środka i za gotówkę kupuję kilka aparatów telefonicznych. Czas spędzony w bramie pozwolił mi się nieco uspokoić, a środkiem przeciwbólowym zacząć działać, gdy więc opuszczam sklep, nie czuję się już tak źle. Jestem wciąż na Las Vegas Boulevard, kiedy przysiadam na schodkach przed jednym z wysokich, przeszklonych budynków i z pamięci wybieram numer do kuzyna.

— Malcolm Chance, słucham. — Oddycham z ulgą, słysząc jego znajomy, gładki, niski głos.

— Mal, tu Ever.

— Ever, na litość boską — syczy ku mojemu zdziwieniu. — Gdzie ty jesteś i co się dzieje?!

— A co słyszałeś? — pytam, opierając się plecami o murek z boku schodów. Mam ochotę zasnąć i spać przez najbliższą dobę, ale wątpię, czy prędko będzie mi to dane. Czuję się fatalnie i potrzebuję kogoś, kto mi powie, że wszystko jest w porządku.

— Co słyszałem?! — powtarza z niedowierzaniem. — Słyszałem, że jesteś poszukiwana przez policję w związku z podwójnym zabójstwem, do którego doszło wczoraj wieczorem. W co ty się znowu, na litość boską, wplątałaś?! Zrobiłaś coś tym ludziom?!

— Oszalałeś? — warczę z oburzeniem. — Naprawdę myślisz, że byłabym w stanie zrobić coś takiego?! Tam było kilku innych ludzi, Mal. Ja tylko siedziałam z aparatem przed domem i miałam przyłapać na gorącym uczynku niewierną żonę. A potem ktoś wszedł do tego domu i zastrzelił zarówno niewierną żonę, jak i jej kochanka.

Milknę, bo wiem, że zaczynam mówić jak histeryczka. Chyba nic dziwnego, że tak jest, ale próbuję zachować trzeźwy umysł, a panika na pewno mi w tym nie pomoże. Malcolm tymczasem przez chwilę nie odpowiada, by w końcu zaproponować:

— Przyjedź na komendę. Pomogę ci.

— Nie — protestuję. — Przecież ktoś chce mnie w to wrobić! Nie wiem, kim są ci ludzie, którzy zabili mój obiekt, a tym bardziej kto zlecił to zabójstwo. To może być ktoś, kto ma znajomości w policji.

— Ever, błagam...

— Postaram się zorientować w sytuacji — wchodzę mu pośpiesznie w słowo. — Ty zrób to samo. Nie dzwoń do mnie, nawet jeśli się czegoś dowiesz. Ja się z tobą skontaktuję, gdy będę bezpieczna, dobrze?

— Proszę, nie rób nic głupiego — upomina mnie. — Jesteś moją jedyną rodziną, którą toleruję. Nie chciałbym cię odwiedzać na cmentarzu.

— Ja też bym tego nie chciała — zapewniam. — Dlatego zrobię wszystko, żeby to ogarnąć. Potrzebuję tylko odrobiny twojej pomocy, Mal.

— Co zamierzasz zrobić?

Waham się, ale ostatecznie niczego nie zdradzam.

— Lepiej, żebyś nie wiedział — mamroczę. Na szczęście on nie próbuje naciskać. — Coś wymyślę, obiecuję. Gdyby cię pytali, powiedz im, że się z tobą nie kontaktowałam.

Rozłączam się, a potem natychmiast wybieram kolejny numer. Darren Freemont nadal nie odpowiada, co sprawia, że zaczynam mieć bardzo złe przeczucia. Wrzucam w mapy Google'a adres z wizytówki i okazuje

się, że to tylko dwie mile od miejsca, w którym właśnie się znajduję. Mogę tam pojechać.

Tylko najpierw muszę jakoś skołować sobie taksówkę.

Darren Freemont to słup.

Dochodzę do tego wniosku, gdy dojeżdżamy w miejsce, w którym powinien znajdować się jego dom. To inny adres niż ten, spod którego wczoraj śledziłam jego żonę, ale wcześniej mnie to nie zastanowiło. W końcu bywa, że małżonkowie mieszkają osobno.

Kiedy jednak ciemnoskóry kierowca zatrzymuje się we wskazanym przeze mnie miejscu, aż przeklinam na głos. Nie ma tam żadnego domu. Tylko ugór porośnięty chwastami, za którym w górę pną się wysokie magazyny. Nikt tu nie mieszka.

Kurwa. Dlaczego nie kazałam Kevinowi sprawdzić tego człowieka, zanim przyjechałam na rozmowę?

Podświadomie oczywiście wiem dlaczego. Kevin zapomniał o wcześniejszym screeningu potencjalnego klienta, a ja miałam kiepski dzień, byłam niewyspana oraz obolała i nie przyszło mi do głowy, by mu o tym przypomnieć. Będę teraz płacić za moją głupotę.

— Proszę jechać na Lynwood Street — polecam kierowcy.

Kiedy ruszamy z powrotem w kierunku centrum, wyciągam jedno-razówkę i wybieram numer mojego asystenta. Przeczekuję kilka sygnałów, ale nikt się nie zgłasza. Próbuję ponownie, bez rezultatu. Kevin nie odbiera, a mnie zaczyna to coraz bardziej niepokoić.

Wobec tego dzwonię gdzie indziej.

— Słucham — odzywa się Stan.

— Cześć, tu Ever — przedstawiam się. Stan prycha.

— Dziwnego numeru używasz — zauważa. — Jeśli dzwonicz w sprawie kasy, to przedpłata już poszła. Ale mam wrażenie, że nie dzwonicz w sprawie kasy.

— Racja, nie dzwonię w sprawie kasy — potwierdzam. — Właściwie to mam do ciebie interes. Zapomnij o drugiej racie, a zamiast tego daj mi informacje. Ale będę potrzebowała ich już, zanim znajdę twoją zgubę.

Stan milczy przez chwilę, jakby się zastanawiał. Znam go na tyle dobrze, że wiem, że się zgodzi, ale również że musi to zrobić nieco teatralnie, żebym nie była go taka pewna. Facet ma do mnie słabość.

Może dlatego, że kiedyś przeleciał mnie w klubowej toalecie.

— Domyślam się, o co chodzi — odpowiada w końcu powściągliwie.
— Masz kłopoty, Ever?

Przewracam oczami. Pieprzony Sherlock.

— Czy w całym mieście już o tym wiadomo? — pytam z przekąsem.
Stan się śmieje.

— No wiesz, wieści szybko się rozchodzą. Podobno ściga cię kilku panów w czarnym mercedesie.

Serce zaczyna mi szybciej bić. To już jakaś informacja. Mnie do tej pory nie udało się dostrzec, czym jeżdżą.

— To cyngle. — Zniżam nieco głos, żeby taksówkarz nie usłyszał.

— Potrzebuję dojścia do ich mocodawcy. Chcę wiedzieć, kto mnie ściga i dlaczego. A także co mogę zrobić, żeby odwołał ogon.

— Spróbuję się czegoś dowiedzieć, ale niczego nie obiecuję — odpowiada Stan. Mimo wszystko oddycham z ulgą. — Spotkajmy się o dziesiątej wieczorem w Drivie, dam ci znać, co wiem. Znasz hasło?

— Znam — przytakuję. — Dzięki.

Rozłączam się, zanim zdąży odpowiedzieć. Nie mam czasu do stracenia; za chwilę będziemy już pod moim biurem, a muszę wykonać jeszcze jeden telefon. Brakuje mi choćby chwili, żeby się do tego mentalnie przygotować.

— Ever, dobrze, że dzwonisz — odzywa się Malcolm, kiedy nawiązuję połączenie. — Nic ci nie jest? Gdzie jesteś? Może chcesz ukryć się u mnie...

— Będziesz pierwszym powiązaniem, które sprawdzą — przerywam mu natychmiast. — Zaraz po wujku Eddiem.

— Dzwoniłaś do niego?

— Mam innych sojuszników — prychem. Prawda jest taka, że nie dogaduję się ostatnio najlepiej z moim wujkiem. Nie do końca się zgadzamy co do sposobu prowadzenia biznesu. — Nie powiem ci, gdzie jestem ani co robię. Nie chcę cię narażać bardziej, niż to konieczne.

— Jesteś pewna, że to aż tak poważne?

— Kurewsko pewna — przytakuję. — Tropią mnie, Mal. Albo śledzili samochód, albo kartę kredytową, albo telefon, nie wiem. Ktoś podstawił mi klienta, który prawdopodobnie nie istnieje. Nie wiem nawet, jak naprawdę nazywa się jego żona.

— Dobra, to jak mogę ci pomóc? — pyta rzeczowo. Właśnie za to uwielbiam Malcolma. Cole na jego miejscu już robiłby mi wykład na temat mojej profesji i związanego z nią niebezpieczeństwa, ale mój kuzyn

taki nie jest. Gdy widzi problem, najpierw chce go rozwiązać. Dopiero potem może się zająć jego przyczynami. — Chcesz, żebym coś sprawdził?

— Dwa adresy. — Podaję mu ten, z którego wyjechała rzekoma żona, oraz ten, do którego dotarła i gdzie zginęła. — Muszę wiedzieć, kto jest właścicielem tych domów. Tylko tak mogę dojść do tego, kim naprawdę była ta kobieta... Chyba że policja już ją zidentyfikowała.

— Żadne z nich nie miało przy sobie dokumentów, a ich akta nie figurują w systemie — odpowiada Malcolm bez chwili zawahania. — Przypuszczam, że jeśli miała jakąś torebkę, to zabrali ją ludzie, którzy ich zabili. Ale Ever... Musisz o czymś wiedzieć.

Ton jego głosu mi się nie podoba, jednak milczę, czekając na dalsze słowa. Malcolm nie trzyma mnie długo w niepewności.

— Policja podejrzewa, że możesz być w to zamieszana albo wręcz za tym stać. — Po tych słowach prychem z niedowierzaniem. — Dziś rano u komendanta był jakiś typ, którego wcześniej tu nie widziałem. Zaraz po jego wizycie zostały wydane stosowne polecenia. Nie mam pojęcia, kim jest, ale może mieć z tym coś wspólnego. Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Wiesz, wyglądał na grubą rybę.

— Opisz go.

— Wysoki, napakowany, ciemnowłosy — wylicza posłusznie. — Miał szerokie bary i patrzył na nas tak, jakbyśmy byli dla niego robakami. Jakby to on rządził w komendzie.

— To na pewno nie był jakiś przełożony twojego komendanta? — pytam sceptycznie.

Malcolm natychmiast zaprzecza.

— Na pewno. Gość miał idealnie dopasowany garnitur. Z pewnością szyty na miarę, bo przy takim rozmiarze znalezienie czegoś gotowego nie byłoby łatwe. Nawet szefa mojego szefa nie stać na takie ekstrawagancje. Policjanci nie zarabiają aż tak dobrze.

Jestem w stanie dać wiarę w te argumenty. Brzmiały sensownie, a mój kuzyn jest świetnym policjantem. Skoro tak mówi, to mu ufam.

— Dobra, popytam o niego na mieście — decyduję. — Dzięki za wszystko, Mal.

— Wiadomo — odpowiada ciepło. — Rodziny nie zostawia się na łodzi. Pilnuj się, Ever, i nie pozwól się skrzywdzić. Zadzwoń jak najszybciej.

Obiecuję, że się z nim skontaktuję, po czym kończę rozmowę. W samą porę, bo akurat dojeżdżamy na Lynwood Street. Płacę taksówkarzowi

i wysiadam, dochodząc do wniosku, że muszę znaleźć jakiś inny środek transportu.

Przychodzi mi do głowy parę pomysłów, ale nie wiem, co byłoby najlepsze. Myślę o tym, podążając do głównego wejścia do budynku. Mogłabym kupić coś za gotówkę, tylko że najpierw musiałabym poświęcić czas na poszukiwanie ogłoszeń — a czasu teraz mi brakuje. Mogłabym też coś pożyczyć — ale po pierwsze, jedyną osobą, która przychodzi mi do głowy, jest Stephanie, a po drugie, za bardzo się boję, że mogłabym nie oddać samochodu w nienaruszonym stanie. W moim mustangu już przebito oponę i zrobiono dziurę w masce — kto wie, co może dziać się później?

Gdy tylko przekraczam drzwi do budynku, zauważam, że coś jest nie tak. Nie mam pojęcia, o co chodzi, ale odczuwam to tak, jakby coś się zmieniło w atmosferze domu. Jakby wszystko wokół zamarło w oczekiwaniu na to, co się stanie.

Nie podoba mi się to. Bardzo mi się nie podoba.

Odruchowo wyciągam zza paska spluwę i z bronią w rękę podchodzę do drzwi mojego biura. Już z daleka widzę, że są uchylone. To jeszcze nie musi o niczym świadczyć. Kevin mógł zapomnieć je zamknąć albo może uchylły się od wiatru...

Kogo ja oszukuję?

Ostrożnie otwieram drzwi szerzej; na szczęście mój asystent regu-larnie dba o ich oliwienie i chodzą bezszelestnie. Cały czas trzymając pistolet w ręce, rozglądam się dookoła, ale zamieram, gdy mój wzrok pada na ciało rozciągnięte na podłodze.

Jest tam. Niewidzącymi, zamglonymi oczami wpatruje się w sufit i z całą pewnością nie żyje. Trudno zresztą byłoby żyć bez połowy mózgu.

Kevin.

Rozdział 4

Wchodzę nieco głębiej do recepcji hipnotycznie wpatrzona w ciało mojego asystenta i właśnie wtedy pada strzał.

Mam więcej szczęścia niż rozumu. Akurat schylam się, żeby sprawdzić puls Kevina, gdy nad głową przelatuje mi pierwsza kula. Reaguje błyskawicznie: padam na podłogę, by przeturlać się po niej kawałek i wylądować pod ścianą. Bez namysłu celuję w uchylone drzwi do gabinetu, podejrzewając, że tam musi znajdować się napastnik.

Oddaję trzy strzały, po czym przyklejam się do ściany i stopniowo zbliżam się do wejścia do kolejnego pomieszczenia. W pokoju jest tak cicho, że słysząc uderzenia mojego serca. W końcu popycham drzwi stopą i słyszę, jak po ich drugiej stronie coś zwała się na podłogę.

Otwieram szerzej i stwierdzam, że z napastnika, który do mnie strzelał, właśnie uchodzi życie. Dwie kule chybiły, ale trzecia trafiła w szyję, prawdopodobnie rozrywając tętnicę. Obcy mężczyzna wpatruje się we mnie wytrzeszczonymi oczami, próbując dłonią tamować krew, której upływu i tak nie zatrzyma. Krztusi się i wiem, że to okropna śmierć. Pewnie powinno mi go być żal albo powinnam czuć wyrzuty sumienia, ale tak nie jest.

Ten gnój chciał mnie zabić i zrobiłby to, gdybym go nie ubiegła. Nie zamierzam za to przeproszać!

Mimo wszystko, wiedzona ludzkim odruchem, pochylam się i próbuję znaleźć coś do zatamowania krwotoku, w tej samej chwili jednak facet nieruchomieje, a jego oczy robią się puste i martwe.

Kurwa. Zabiłam człowieka.

Drżącymi rękami wyciągam z plecaka jednorazowy telefon i dzwonię do Malcolma.

— Co się dzieje, Ever? — pyta.

— Zabiłam człowieka — mówię płaskim głosem.

Nogi mi się trzęsą i nie chcą mnie utrzymać w pionie, dlatego siadam ciężko na podłodze, opierając się o ścianę plecami. Zaraz potem przypominam sobie o Kevinie. Skoro nie potrafię stanąć na nogi, wracam do recepcji na czworaka.

— Jak to: zabiłaś człowieka? — Ton głosu Malcolma jest spokojny, ale przyciszony, jakby nie chciał, żeby ktoś go usłyszał. — Gdzie? Jak?

— Zastrzeliłam go w moim biurze — odpowiadam, dopadając wreszcie do ciała Kevina. Wiem, że nie żyje, ale i tak muszę sprawdzić puls. Nie wyczuwam go, a ciało już stygnie. — Zabił mojego asystenta. Pewnie przyszli w kilku, a potem zostawili jednego na czatach na wypadek, gdybym się tu pojawiła.

— Kto, na litość boską? — Nawet cierpliwość Malcolma ma swoje granice. — Kto próbuje cię zabić, Ever?!

— Myślisz, że wiem?! — Znowu zaczynam wpadać w histerię. Milknę na moment i próbuję się nieco uspokoić. — Dam ci znać, gdy tylko się czegoś dowiem. Wyślij tu policję, ale daj mi dziesięć minut.

— Nie — protestuje natychmiast. — Twoja broń jest zarejestrowana. Gdy sprawdzą kule...

— Nie zamierzam udawać, że tego nie zrobiłam — wchodzę mu w słowo. — Broniałam się. Był na moim terenie i próbował mnie zabić. Zastrzelił, kurwa, mojego asystenta! Ale teraz nie mogę się oddać w ręce policji.

— Jeśli tego nie zrobisz, będzie tylko gorzej.

— Jeśli to zrobię, mogę nie dożyć jutra w areszcie — odpowiadam ze złością. — Sam mówiłeś, że ktoś był na policji, jakiś człowiek, którego nie znasz. Myślisz, że nie powiadomią go, gdy mnie zatrzymają?

Muszę się dowiedzieć, kto to taki i na jakiej zasadzie współpracuje z policją. Chyba jednak nie mogę prosić o to kuzyna, bo ma obecnie inne sprawy na głowie.

I na pewno nie zadzwonię do Cole'a. Uznałby, że może mi wypomnieć, że miał rację, mówiąc o profesji, która kiedyś wpędzi mnie w kłopoty. Może nie powinnam się tym przejmować, ale się przejmuję.

— Ever, błagam, zostań tam do przyjazdu policji — prosi Malcolm. — Nie wiem, czy będę ci mógł pomóc, jeśli tego nie zrobisz.

Cóż. Będę musiała poradzić sobie sama.

— Daj mi dziesięć minut — powtarzam. Mój kuzyn wzdycha głęboko. — Potem wezwij gliny.

Kończę połączenie, po czym odsuwam się od ciała mojego asystenta. Mam w dupie tego bandziora w gabinecie, którego właśnie zastrzeliłam, ale serce mi pęka na widok martwego Kevina. To był dobry chłopak. Miał przed sobą całe życie. A teraz przeze mnie nie żyje.

Walę pięścią w drzwi i pozwalam sobie na jeden krzyk. Kimkolwiek jest gnój, który mnie ściga, zapłaci za to. Dopilnuję, by tak było.

Chwiejnie staję na nogi i przesuwam się w kierunku gabinetu. Chcę zabrać laptop, ale wystarczy jeden rzut oka, by stwierdzić, że nic z tego. Pomieszczenie wygląda jak wypatroszone — wywalono wszystkie szuflady z biurka, zrzucono książki z półek na podłogę, nawet kanapa, na której nie tak dawno spędziłam noc, jest rozpruta nożem i wybebeszona.

Kurwa. Po prostu świetnie.

Z ciężkim sercem wychodzę z biura, zastanawiając się, co teraz. Jedyne, co udało mi się odzyskać z tego pobojowiska, to dodatkowe magazynki do pistoletu. Nadal mam na sobie zakrwawione ubrania i ich zmiana powinna być priorytetem — nawet pomimo ramoneski kierowca taksówki dziwnie na mnie patrzył. Poza tym potrzebuję miejsca do spania i pojazdu.

Chowam się w bramie po drugiej stronie ulicy, skąd mogę obserwować moje biuro. Jakies pięć minut po tym, gdy zajmuję miejscówkę w półmroku, pod budynek na sygnale podjeżdżają dwa radiowozy. Widzę, jak czterech uzbrojonych policjantów w mundurach wysiada ze środka i biegnie do wejścia.

Nie kojarzę żadnego z nich, ale to nic nie znaczy, nie muszę znać każdego policjanta w Vegas. Prawdopodobnie dostali zawiadomienie o dwóch trupach w moim biurze, więc nic dziwnego, że są spięci i zdenerwowani.

Wyciągam komórkę i wybieram numer Stephanie.

— Cześć, potrzebuję pomocy — odzywam się, gdy tylko odbiera.

Stephanie to moja przyjaciółka od czasów szkoły. Pasujemy do siebie wizualnie — obie jesteśmy drobnymi blondynkami — zawsze jednak różniło nas usposobienie. Ona to słodka dziewczyna, której największym zmartwieniem był zwykle wybór odpowiednich ciuchów. Ja od dziecka byłam łobuziarą bijącą się na przerwach z chłopakami. Nie wiem, jakim cudem się zaprzyjaźniłyśmy, ale jakoś tak się stało i już zostało na lata, chociaż z czasem coraz więcej zaczęło nas dzielić.

Stephanie jest tancerką w jednym z klubów w mieście. Podobnie jak ja nie skończyła żadnych studiów, choć to do mnie miała o to pretensje. Twierdzi, że w przeciwieństwie do niej jestem bystra i powinnam zdobyć wykształcenie, a ja za każdym razem mam ochotę palnąć ją za to w łeb.

— Ever, to ty? — dziwi się, a ja czuję odrobinę ulgi, słysząc jej pogodny głos. — Wszystko w porządku? Dzwonisz z dziwnego numeru.

— Powiedziała ci właśnie, że potrzebuję pomocy — przypominam. — Więc nie, nie wszystko w porządku. Jesteś w Vegas?

— Nie, Duke zabrał mnie do San Francisco, przecież wiesz. — Duke to jej bezpośredni przełożony i jednocześnie chłopak. Ponieważ rozkręca nowy klub w San Francisco, jakiś miesiąc temu poprosił Stephanie, żeby towarzyszyła mu w podróży i dla odmiany popracowała trochę w innym miejscu. Nie byłam pewna, czy już wróciła, ale skoro nie, tym lepiej dla mnie. — Co się dzieje?

— Wpadłam w gówno po uszy — odpowiadam, przyglądając się, jak jeden z policjantów wychodzi z budynku naprzeciwko i wyjmuje komórkę. Pewnie dzwoni po posiłki. — Potrzebuję jakiegoś miejsca, żeby się przyczaić.

— Możesz zatrzymać się u mnie — odpowiada takim tonem, jakby to było naturalne. — Dom stoi pusty, wiesz, gdzie jest klucz.

— Nie rozumiesz, Steph. — Chociaż bardzo chciałabym skorzystać z jej propozycji, najpierw ona musi się dowiedzieć, co dokładnie się z tym wiąże. — To się może źle skończyć. Moje biuro już jest zdemolowane. Jeśli ktoś odkryje, gdzie się ukrywam, to samo może czekać twój dom. Przemysł to, zanim się zgodzisz.

— Chrzanić ten dom — decyduje stanowczo. — Zresztą jest ubezpieczony. Nie wiem, czy od ataku jakichś gangsterów czy komu tam podpadłaś, ale zobaczymy. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, skoro nie ma mnie w mieście, Ever. Ukryj się w moim domu. Wszystko będzie w porządku.

Opieram się o ścianę, nie spuszczać wzroku z policjantów. Teraz już wszyscy poza jednym wyszli na zewnątrz — omawiają coś między sobą, nadal są spięci, ale nie wydają się mieć złych zamiarów. Może Malcolm ma rację i nie stałoby się nic złego, gdybym pojechała z nimi na komendę — nie będę jednak ryzykować. Za dużo mam do stracenia, gdybym się pomyliła.

— Potrzebuję też samochodu i laptopa. — Słyszę własny głos, chociaż wcale nie przemyślałam tych słów.

Stephanie wzdycha.

— Mój samochód stoi na parkingu na lotnisku. — Czuję rozczarowanie, ale nie odzywam się, a ona kontynuuje: — Ale Duke zostawił u mnie w garażu motocykl, jeśli to cię interesuje. Kluczyki powinny być w schowku.

Motocykl. To już coś. Zdarzało mi się jeździć na motocyklu, ale jest beznadziejny do inwigilacji obiektów, dlatego od lat używam samochodu. Najwyraźniej jednak nie mam innej opcji. To przecież lepsze niż nic.

— Duke nie będzie miał nic przeciwko? — pytam.

Stephanie śmieje się w słuchawkę.

— Jeśli będzie miał, to odpowiednio go przekonam. — Nawet domyślałam się jak. — Laptop jest w mojej sypialni, bierz, czego potrzebujesz. W zamrażarce powinno być jakieś żarcie, a w szufladzie z bielizną mam trochę pieniędzy.

— Oddam ci wszystko co do centa — zapewniam ją, ale Stephanie tylko prychna lekceważąco.

— Daj spokój. Od tego ma się przyjaciół, Ever. Nic ci nie będzie?

Skąd mam to wiedzieć?

— Dam sobie radę. — Nie chcę niepotrzebnie jej denerwować, zwłaszcza że jest daleko i nie może mi pomóc bardziej niż to już zrobiła. Nie ma sensu, żeby martwiła się o mnie na odległość. — Muszę to tylko... jakoś ogarnąć.

Wolę jej nie mówić, że Kevin nie żyje. Stephanie знаła go i lubiła, traktowała go trochę jak młodszego brata. To przekonałoby ją, że sprawa, w którą się wplątałam, jest naprawdę poważna, i że wcale nie historyzuję.

Może lepiej, żeby myślała, że trochę przesadzam.

Kiedy wreszcie kończę rozmowę z przyjaciółką, wyciągam z plecaka bejsbolówkę i nakładam ją, starając się schować pod nią wszystkie włosy. Są długie, więc to nieco trudne, ale ich kolor wydaje mi się zbyt charakterystyczny, żeby zostawić je rozpuszczone. Ludzie zwracają uwagę na blondynki, a policjanci już na pewno wiedzą, że właśnie blondynka jest właścicielką biura na piętrze. Wolę, żeby nikt mnie nie zauważył.

Wychodzę z bramy jak gdyby nigdy nic i ze wzrokiem utkwionym przed siebie ruszam chodnikiem w stronę Las Vegas Boulevard. Każdy krok boli, gdy rana na boku ostro protestuje, próbuję jednak udawać, że to nic wielkiego. Na szczęście ludzie nie zwracają na mnie uwagi, chociaż jest już jakieś osiemdziesiąt stopni Fahrenheita, a ja nadal mam na sobie ramoneskę.

Zdecydowanie muszę zmienić ubrania.

Stephanie mieszka w niewielkim domu w Spring Valley, zbyt daleko od centrum, żebym szła tam pieszo. Boję się trochę wziąć taksówkę, ostatecznie jednak decyduję się na kurs do oddalonego trzy minuty drogi

od domu Stephanie Walgreens na Tropicana Avenue. Jeżeli ktokolwiek wpadnie na ten ślad, może uzna, że po prostu wybrałam się do apteki.

Z Tropicana Avenue kieruję się na północ South Rainbow Boulevard. Szeroka, dwupasmowa ulica praży się w porannym słońcu, gdy idę wąskim chodnikiem wzdłuż niewysokiego murku oddzielającego drogę od posesji mieszkalnych. Rosnące na działkach sosny prawie wcale nie dają cienia, a ukryte między nimi piętrowe domy o beżowej elewacji i brązowych dachach sprawiają wrażenie, że jest to jedno wspólne osiedle.

Stephanie mieszka na Amberwood Lane, w ustronnym domku na końcu ulicy. Kiedy tam docieram, jestem wykończona i leje się ze mnie pot. Częściowo dlatego, że za grubo się ubrałam, a częściowo przez to, że wszystko mnie boli i walczę z własnym ciałem, by zrobić każdy kolejny krok. Staję przed głównym wejściem, po czym sięgam do skrzynki na listy, by wyciągnąć zza niej zapasowy klucz, który Stephanie zostawia tam na wszelki wypadek. Staram się wyglądać tak, jakbym miała wszelkie prawo wejść do środka.

Otwieram drzwi i pierwsze, co robię, to dezaktywuję alarm jej stałym kodem: datą urodzin. Powietrze w środku jest zastane, ale dużo chłodniejsze niż na zewnątrz. Starannie zamykam za sobą drzwi — chociaż jeśli moi prześladowcy dowiedzą się, gdzie jestem, to dwa byle jakie zamki ich nie zatrzymają — po czym opieram się o ścianę obok, niezdolna się ruszyć.

To jakiś chory koszmar. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny wydają mi się nierealnym snem, z którego powinnam się zaraz obudzić. Jasne, robię w życiu dużo głupich i niebezpiecznych rzeczy. Zadaję się z ludźmi, z którymi inni nie chcieliby mieć do czynienia, mam przyjaciół w dziwnych miejscach, przyjmuję zlecenia, które mogą mi napytać biedy. Lawiruję pomiędzy stroną prawa a półświatkiem, w obydwu mając znajomości, i dotąd jakoś mi to wychodziło. Dwa razy zdarzyło się, że ktoś mnie pobił, a raz wylądowałam w szpitalu z postrzałem. Coś takiego jednak przytrafia mi się po raz pierwszy i nie bardzo wiem, jak sobie z tym poradzić.

Jestem twarda i wychowywałam się w nie do końca normalnych warunkach. Moja matka pochodziła z rodziny od lat związanej z nielegalnymi interesami, a ojciec był gliniarzem, który uciekł od niej, kiedy się o tym dowiedział. Dzięki temu dorastałam na styku tych światów i potrafię poradzić sobie w obu.

Pierwszy raz jednak zobaczyłam ciało kogoś, kogo znałam. Pierwszy raz zabiłam człowieka, choć wcześniej niejednokrotnie zdarzało mi się używać spluwy.

Póki napędziała mnie adrenalina, póki byłam w trybie „walcz i uciekaj”, to wszystko nie docierało do mnie aż tak mocno. Potrafiłam przejść do porządku dziennego nad kwestią śmierci Kevina, by zająć się bardziej pilnymi sprawami — na przykład ucieczką i przetrwaniem. Teraz jednak, kiedy wreszcie trafiłam do domu Stephanie i zaczęłam się czuć bezpieczna, dopadły mnie panika i refleksja, że przekroczyłam pewną granicę, zza której może już nie być powrotu.

Powoli odrywam się od ściany i idę na tyły domu, gdzie znajduje się jedyna łazienka. Po drodze z trudem ściągam zakrwawioną koszulkę, by stwierdzić, że na boku krew przesączyła się przez gazę. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, co robiłam po drodze. Będę musiała to lepiej opatrzeć.

Najpierw jednak kąpiel. Muszę się porządnie umyć, znaleźć czyste ciuchy w szafie Stephanie i coś zjeść, żeby wziąć kolejne tabletki przeciwbólowe. Potem mogę się zastanawiać, co dalej.

Stephanie ma wannę, co uznaję za ogromny plus. Muszę się dobrze postarać, żeby w niej nie zasnąć, kiedy biorę kąpiel, tak bardzo jestem wykończona i mam ochotę jedynie zamknąć oczy.

Po kąpeli zakładam nowy opatrunek — dużo trudniej robi się to sobie niż komuś. Kiedy w ręczniku wchodzę do sypialni przyjaciółki, znajduję na biurku jej laptop i kładę się z nim na łóżku. Loguję się na swoją pocztę, gdzie znajduję wskazówki od Stana dotyczące ich zaginionego człowieka. To ostatnie, czym w tej chwili mam ochotę się zajmować, ale wiem, że muszę to zrobić, jeśli chcę uzyskać pomoc szefa ochrony. W Vegas nie ma nic za darmo.

Stan wysłał mi dane pojazdu, którym porusza się uciekinier, zaczynam więc od miejskiego systemu monitoringu. Nawet nie muszę się włamywać: loguję się na dane Cole’a. Mam nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie.

Gdy program zaczyna przeszukiwanie bazy, wychodzę do kuchni i w zamrażalniku znajduję zapiekankę mięsną. Mrożonki nie są moim ulubionym pożywieniem, ale w tej chwili nie zamierzam narzekać. Podgrzewam jedzenie w mikrofalach i nalewam sobie wody, żeby mieć czym popić tabletki.

Jak to dobrze, że jest Stephanie. Bez niej pewnie mieszkałabym obecnie pod mostem.

Program działa w tle, a ja zaczynam od standardowej prasówki w lokalnych portalach informacyjnych. Szukam wiadomości o podwójnym morderstwie, jednak niczego takiego nie znajduję. Miałam nadzieję, że te informacje przedostaną się do prasy — zawsze się przedostają. Nie wiem, jak to możliwe, że tym razem jest o tym cicho.

Znajduję jedynie krótką wzmiankę gdzieś na dziesiątej stronie newsów, co każe mi przypuszczać, że to wydarzenie jest istotne tylko dla mnie.

Ubiegłego wieczoru policja znalazła dwa ciała w prywatnym domu w dzielnicy Summerlin South. Funkcjonariusze poszukują świadka zdarzenia, który uciekł z miejsca przestępstwa. Proszą o zgłoszenie się osoby, która zadzwoniła pod 911.

Nie czytam dalej. To mi w zupełności wystarczy.

Po pierwsze, nie urządzili na mnie ogólnej obławy, inaczej pojawiłabym się w większej liczbie miejsc niż tylko na dziesiątej stronie newsów jakiegoś portalu informacyjnego. Może jednak ludzie, którzy mnie ścigają, nie mają aż tak szerokich koneksji, by manipulować policją.

Po drugie, śledczy zapewne nadal nie ustalili tożsamości ofiar. Inaczej portal informacyjny nie byłby tak lakoniczny.

Z westchnieniem uznaję, że nadszedł czas, by zadzwonić do wujka Eddiego. Potrzebuję każdej możliwej pomocy, a nawet w świecie brudnych interesów rodzina jest istotna. Pomoże mi.

Najwyżej potem będę się musiała jakoś za tę przysługę odwdziżyć.

Rozdział 5

Drive to dosyć porządny, całkowicie legalny bar na Strip. Wydaje się niewielki, bo ma tylko dwie sale — jedną ze stolikami i drugą z bilardem — lecz jeśli jest się wtajemniczonym, można odkryć, że poza nimi w budynku znajduje się dużo o wiele ciekawszych miejsc.

Dojeżdżam tam motocyklem Duke'a i mam szczerą nadzieję, że pojazduwi nic się nie stanie pod moją nieobecność. Zdejmuję kask i poprawiam ciemną perukę, którą włożyłam na tę okoliczność. Na szczęście Stephanie, tancerka w klubie, lubi zmieniać wizerunek i ma sporo przebrań.

Peruka jest czarna, a włosy sięgają do podbródka, z czym jest mi zaskakująco do twarzy. Własne włosy upycham ciasno pod siateczką, trzymając kciuki, żeby jakieś pasmo nie wyostało się na zewnątrz. Ciuchy, które mam na sobie, również należą do Steph — obciste skórzane spodnie oraz czarny, luźny top bez rękawów i połowy pleców, którego końce włożyłam za pasek. Moja ramoneska świetnie do tego pasuje, zwłaszcza po tym, jak sprąłam z niej plamy krwi. Jak zwykle wieczorami w Vegas robi się chłodniej i nie wyobrażam sobie mieć nagie ramiona podczas przejażdżki motocyklem.

W środku jest pełno ludzi, a bar tętni życiem. Nawet tych, którzy przychodzą tu tylko na piwo, jest całe mnóstwo, ponieważ miejscówka znajduje się w jednej z lepszych okolic w mieście. Przepycham się między klientami, w końcu docieram do baru. Nie ma przy nim ani jednego siedzącego miejsca, ale to bez znaczenia. Barman odwraca się do mnie z uprzejmym uśmiechem.

— Co podać?

— Specjalność zakładu — odpowiadam.

Mężczyzna kiwa głową i zręcznie przygotowuje dla mnie niebieskiego shotu. Nie chcę wiedzieć, co jest w środku i nie pytam o nic, gdy stawia go przede mną na blacie. Wypijam duszkiem, a alkohol piecze mnie w gardle.

— Zapraszam — mówi barman, zostawia stanowisko koledze, po czym prowadzi mnie na tyły.

W barze jest tylu klientów, że nikt nie zauważa, jak znikam za drzwiami na zaplecze. Zamiast standardowych pomieszczeń socjalnych znajduje się tam zejście schodami w dół, do podziemnej części lokalu — dosłownie i w przenośni.

Na dole natykamy się na jednego z ochroniarzy, którego kojarzę z widzenia. Barman kiwa mi głową i odchodzi, a ochroniarz patrzy na mnie krytycznie, z lekkim znudzeniem.

— Dobra, laska, rozkładaj ręce — mówi.

Znam zasady. Do Drive'a nie wolno wносить broni palnej ani niczego, co mogłoby spowodować masakrę. W nielegalnym klubie nie potrzeba dodatkowych problemów, które mogłyby ściągnąć na niego uwagę glin.

Posłusznie rozkładam więc ramiona i pozwalam się obmacać. To nie jest moja pierwsza wizyta w Drive, wiem, jak się do niej przygotować. Pistolet zostawiłam w domu Stephanie, za to w cholewce buta ukryłam kastet, którego ochroniarz w życiu nie znajdzie. Nie jest to narzędzie wystarczające do posłania połowy bywalców klubu do piachu, ale w razie konieczności sprawdzi się do obrony własnej.

Ochroniarz zagląda mi też do plecaka, a kiedy nie znajduje tam nic ciekawego, przepuszcza mnie dalej. Wchodzę do pierwszej sali przygotowana na uderzenie mieszaniny dźwięków.

Drive to miejscówka jedyna w swoim rodzaju. Można tutaj załatwić wszystko i zrobić, co tylko się chce. Dziwki, narkotyki, lewe interesy — jest tu to i jeszcze dużo więcej. W strefach VIP-owskich można spotkać bossów półświatka, a przy barze nieopatrznie zostać potraktowaną pigułką gwałtu. Tu bukmacherzy przyjmują zakłady na walki, które odbywają się między innymi w sąsiednim lokalu raz w tygodniu.

To znaczy odbywały się, póki policja nie zgarnęła pracowników podczas ostatniego nalotu. Pewnie trochę potrwa, zanim organizatorzy znajdą nową miejscówkę. Jeżeli w ogóle będą szukać, bo wiem, że mają jeszcze jedną, częściej używaną.

Na sali, do której wkraczam, jest ciemno, a jedyne oświetlenie to lampy nad parkietem i przy barze, gdzie się kieruję. Umieszczone we wnękach stoliki zapewniają maksimum prywatności, nie rozglądam się jednak na boki, gdy przemykam między kolejnymi klientami, wiedząc, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Już nieraz w przeszłości w ostatniej chwili zwracałam z tej drogi.

- Ever, to ty? — Znajomy barman, Alonzo, śmieje się na mój widok.
— Wow, wyglądasz gorąco z tymi włosami.
— Bardziej niż zwykle? — Unoszę brew i siadam na wolnym stolku.
— Daj mi coś mocnego.

Ojciec zawsze powtarzał, że mieszanie leków przeciwbólowych i alkoholu to zły pomysł, ale mam to gdzieś.

Alonzo, ciemnoskóry chłopak z ogoloną na łyso głową i czarną bródką, nalewa mi dwa shoty, które bez namysłu wychylam. Przygląda mi się z zainteresowaniem, czekam jednak, aż sam zacznie rozmowę.

— Podobno masz kłopoty — mówi, na co wzruszam ramionami. — Po mieście chodzą słuchy, że ściga cię paru typów.

— Wiesz może, co to za typy? — Staram się brzmieć na obojętną.
Alonzo rozkłada ręce.

— Nie mam pojęcia. Za cienki jestem w uszach. Ale Stan może coś na ten temat wiedzieć, nie? — Po tych słowach mruga do mnie. — Czeka na ciebie na piętrze w strefie VIP-owskiej. Nie wpadnij po drodze w żadne kłopoty, co?

— Goń się — odpowiadam, na co Alonzo wybucha śmiechem.

Wie, że nie mówię poważnie, bo cały czas się uśmiecham, nawet kiedy pokazuję mu środkowy palec, wstając ze stolka. Ruszam przed siebie. Żeby dojść do strefy dla VIP-ów, muszę minąć parkiet, na którym tańczy całkiem sporo ludzi. Lawiruję między nimi ostrożnie, starając się nikogo nie dotknąć, to jednak trudne, zwłaszcza gdy w uszach dudni mi ogłuszająca muzyka.

Czuję dłonie na talii i jakiś facet odwraca mnie do siebie przodem, po czym mówi coś, czego nie rozumiem. Z kontekstu domyślam się jednak, że chce, żebym z nim zatańczyła. Kręcę głową i próbuję się oswobodzić, ale przyciąga mnie bliżej, śmiejąc się. Zaciskam mocno szczęki i wyprowadzam jedno celne, niezbyt mocne uderzenie w tchawicę.

Gość krztusi się i chwyta za gardło, puszczając mnie momentalnie. Widzę, jak osuwa się na kolana i jak podbiegają do niego znajomi, ale nie czekam, aż się zorientują, że to ja jestem sprawczynią całego zamieszania. Odwracam się i znikam w tłumie, wymijając kolejnych klientów, aż w końcu docieram do wejścia na piętro.

Strzeże go jeszcze jeden ochroniarz, lecz na mój widok odsuwa się, gdy rozpoznaje moją twarz. Jakoś nikogo nie dziwi, że przyszedłam do Drive'a w peruce. Chyba już wszyscy zdają sobie sprawę, że komuś podpadłam.

Stan siedzi w jednej z salek na górze. Na mój widok wstaje z kanapy i zapina marynarkę, uśmiechając się szeroko. To przystojny facet, choć według mnie ma za mało włosów. Goli się na łyso, odkąd zaczęły mu się robić zakola. Uznał chyba, że nie pasują do kogoś na jego stanowisku.

Wysoki i szczupły, lustruje mnie uważnym spojrzeniem, gdy się zbliżam. Wygląda na zadowolonego z siebie.

— Coś ty ze sobą zrobiła, Ever? — pyta rozbawiony. Gdy podchodzę bliżej, pochyla się i całuje mnie w policzek. — Mam nadzieję, że nie przebarbowałaś ich na stałe.

— Alonzo powiedział, że wyglądam gorąco — protestuję, posyłając mu prowokujące spojrzenie.

Stan parska śmiechem.

— Ty zawsze wyglądasz gorąco, kochanie. Dobra, siadaj i mów, co dla mnie masz.

Zajmuję miejsce na kanapie naprzeciwko. Na stoliku między nami rozłożone są działki, kiedy jednak Stan proponuje mi jedną, kręcę głową. Wyciągam z plecaka teczkę i rzucam obok na blat.

— Twoja zguba próbuje wyjechać z miasta — oświadczam. — Znalazłam jego samochód obok jednego z moteli przy wylotówce z Vegas. Zakładam, że się tam ukrywa, chociaż nie miałam czasu, aby to sprawdzić.

— Tyle mi wystarczy, sami to sprawdzimy — odpowiada Stan i bierze ode mnie teczkę z danymi. — Jestem pod wrażeniem, Ever. Dowiedziałaś się tego wszystkiego, uciekając przed ludźmi, którzy chcą cię pozbawić życia?

Wzruszam ramionami. Stan zdziwiłby się, ile informacji można znaleźć w internecie, jeśli tylko się wie, jak szukać. Nie zamierzam teraz jednak o tym mówić, bo mogłabym niechcący otworzyć mu oczy na tyle, żeby następnym razem uznał, że nie jestem mu potrzebna.

— A co ty dla mnie masz? — pytam.

Stan podnosi moją teczkę i ogląda ją, obracając w rękach.

— Na pewno nie mam dla ciebie tak ładnie opakowanych dokumentów — zaczyna, na co posyłam mu miazdzące spojrzenie. — Dobra, spokojnie, Mio Wallace — śmieje się, nawiązując do roli Umy Thurman w *Pulp Fiction*. Chyba chodzi mu o podobną fryzurę. — Popytałem trochę o cyngli, którzy cię ścigają. Wszyscy nabierają wody w usta i nikt nie chce o nich rozmawiać.

Och, świetnie. Zdaje się, że wdepnęłam w większe gówno, niż początkowo sądziłam.

— Coś jednak dla ciebie mam — dodaje Stan, przyglądając mi się z wyraźnym zadowoleniem. Chyba cieszy go fakt, że muszę się prosić o pomoc. — Dowiedziałem się czegoś o zleceniu, przez które wpadłaś w kłopoty. Bo ma to jakiś związek z tą parką, którą ktoś kropnął wczoraj wieczorem, prawda?

Kiwam głową. Po chwili postanawiam rozwinąć wypowiedź.

— Przyszedł do mnie jej mąż — wyjaśniam. — Rzekomy. Podejrzewam, że to słupek.

— Oczywiście, że to słupek — prychna z rozbawieniem Stan. — Jej mąż by do ciebie nie przyszedł, bo to jeden z ważniejszych graczy w mieście. Przypuszczam, że kazał swoim ludziom zająć się problemem, a oni podstawili jakiegoś aktorzynę i zlecili to tobie.

— I kto to jest ten... jeden z ważniejszych graczy? — pytam lekceważąco. — Chyba nie on mnie ściga, prawda?

— Kto go tam wie. — Stan wzrusza ramionami. — To Arthur Ashbourne. Słyszałaś kiedyś o nim?

Rozchyłam ze zdziwienia usta.

— Chcesz mi powiedzieć, że kobieta, która zginęła na moich oczach, była żoną Arthura Ashbourne'a? — pytam z niedowierzaniem. Stan kiwa głową.

— Na to wygląda. Czyli słyszałaś o nim, tak?

— A ktoś w Vegas o nim nie słyszał? — odpowiadam kąśliwie. — Przecież to facet, który zostawia za sobą tylko zgłiszczą.

Zgłiszczą i popioły, dodaję w myślach. *Adekwatnie do swojego nazwiska.*

Arthur Ashbourne przybył do Vegas jakieś dwa lata temu — nikt właściwie nie wie skąd ani po co. W ciągu paru miesięcy zyskał monopol i wykosiał konkurentów zajmujących się nielegalnymi walkami. To on stoi za wszystkimi bukmacherami w Vegas. To on organizuje te spotkania, podczas których ostatnio miał miejsce nalot policji.

Przede wszystkim jednak to on jest właścicielem szkoły sztuk walki będącej przykrywką dla nielegalnego, najbardziej znanego w całej Nevadzie klubu walki o ironicznej nazwie Camelot.

W Camelocie dużo się dzieje. To nie tylko miejsce, w którym faceci mogą się napażać w klatkach. Arthur Ashbourne bywa tam pośrednikiem podczas różnego rodzaju spotkań, a jakich konkretnie, tego pewnie nie wie nikt poza nim i głównymi zainteresowanymi. Przypuszczam,

że jest zamieszany albo w przemyt broni, albo w handel narkotykami, ale nie miałam nigdy okazji, żeby to zweryfikować.

— Na twoim miejscu zwróciłbym uwagę na pewną kwestię — mówi Stan po chwili milczenia, jakby dał mi kilka sekund na ochłonięcie. — Wiemy, kim była kobieta. Nie wiemy natomiast, kim był mężczyzna, z którym się spotkała. A to może być istotne. Nadal nie wiesz, kto ich zabił i dlaczego. Mogli to być ludzie Ashbourne'a, który uznał, że załatwi sprawę po swojemu, i nie pomyślał, że ktoś wynajął w jego imieniu prywatnego detektywa. A mógł to być ktoś zupełnie inny, a ty po prostu znalazłaś się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

— Jesteś pewien, że to on mnie wynajął? — dopytuję. Stan znowu wzrusza ramionami.

— Niczego nie jestem pewien. Dlaczego pytasz?

— A co, jeśli ktoś wiedział, że Arthur Ashbourne zamierza pozbyć się swojej żony, i dlatego mnie wynajął, żebym była tego świadkiem? — podsuwam. — Może ktoś chce go udupić. Może...

— To chyba wtedy raczej zastawiłby na niego pułapkę policyjną? — przerywa mi sceptycznie Stan. — Wybacz, Ever, ale nie jesteś najbardziej kompetentną osobą, jeśli chodzi o udupienie kogokolwiek.

Wiem, że Stan ma rację, więc tylko kiwam głową. Sto tysięcy myśli naraz przebiega mi przez głowę, nie potrafię jednak dojść do sensownych wniosków.

Obserwuję, jak Stan wciąga działkę, i zastanawiam się nad wszystkim. Wygląda na to, że jedna kwestia jest pewna: kobieta, którą śledziłam, była żoną Arthura Ashbourne'a. Nie wiem, czy robiłam to pośrednio na jego zlecenie, czy nie, nie wiem, czy to on próbuje mnie teraz zabić, czy nie. Nie wiem też, czy to on postanowił się tej żony pozbyć.

Mam za to konkretne nazwisko, którego mogę się uczeplić. A to już coś.

— Wiesz, gdzie go znaleźć? — pytam.

Stan spogląda na mnie ze zdumieniem, po czym parska śmiechem.

— Ever, jesteś tak zabawna, że chętnie pomógłbym ci nawet za darmo. Nie możesz tak po prostu podejść do Arthura Ashbourne'a i zapytać, czy próbuje cię zabić.

— Dlaczego nie? — Rzucam mu harde spojrzenie.

Stan przewraca oczami.

— Bo zginiiesz, zanim się do niego zbliżysz, jeśli go w ogóle znajdziesz. Pewnie bywa w Camelocie, jasne, i niektórzy wiedzą, gdzie mieszka. Ale ma

ochronę, przez którą nie przejdziesz. Poza tym nie chcesz go prowokować, uwierz mi.

— Bo co mi zrobi? Wyśle za mną zabójców? — Unoszę brew.

Stan ze śmiechem kręci głową.

— Zrobisz, co zechcesz, ale ja ci to odradzam. Już w tej chwili masz ogon, nie chcesz sobie dokładać kolejnego.

— Jeśli to jego ludzie mnie ścigają — mówię powoli — to mogę go przekonać, że nie jestem dla niego zagrożeniem i nie musi mnie likwidować. A jeśli to ktoś inny, to pewnie ten ktoś stoi także za śmiercią jego żony i będę w stanie namówić Ashbourne'a, żeby mi pomógł, żebyśmy razem mogli znaleźć zabójców.

— Z tobą naprawdę jest coś nie tak. — Zainteresowanie, z jakim patrzy na mnie Stan, coraz bardziej mnie wkurza. — Sama pchasz się w paszczę lwa. Nie wiem, jak zamierzasz to zrobić, ale w tej kwestii nie liczę na moją pomoc. Nie chcę się narazić temu człowiekowi. Poważnie, nikt nie chce mu się narazić.

Chyba już na to za późno.

Gdy wreszcie wychodzę z klubu, jest bardzo późno. Zarzucam na siebie ramoneskę, bo na ramionach pojawia mi się gęsia skórka, po czym wyjmuję jednorazowy telefon i dzwonię do Malcolma.

— Na litość boską, dziewczyno, jest środek nocy — zrzędzi, kiedy odbiera, nie brzmi jednak tak, jakbym go obudziła. Pozostaję nieczuła i bezlitosna.

— Dowiedziałeś się czegoś?

— Wpędzisz mnie kiedyś do grobu, Ever. — Mam nadzieję, że nie dosłownie. — Sprawdziłem adresy, które mi podałaś. Oba domy są dostępne w serwisie Airbnb. Ten, w którym zginęła twoja parka, został wynajęty na tydzień przez kogoś noszącego nazwisko John Smith. Zabawne: pod tym samym imieniem umieścili go w kostnicy. Tylko nazwisko inne. No wiesz, Doe.

To mało śmieszny żart.

— Nie sądzę, żeby się tego spodziewał, kiedy wynajmował ten dom — pryham. — Nazwisko tego faceta może być ważne, Mal. Spróbuj czegoś się o nim dowiedzieć.

— Nie prowadzę tej sprawy. Odsunęli mnie natychmiast, gdy się zorientowali, że jesteś w to zamieszana.

Po prostu świetnie.

— Ale twoi znajomi ją prowadzą — protestuję. — Spróbuj im to zasugerować.

— Dobra, postaram się — obiecuje mruknięciem. — Zadzwoń do Cole'a, Ever. Martwi się o ciebie. Odchodzi od zmysłów.

Właśnie to chciałam usłyszeć. Jeszcze tego mi brakowało do wszystkich problemów, które już mam.

— Nie mam w tej chwili czasu zajmować się samopoczuciem Cole'a — protestuję ze złością. — Ktoś chce mnie zabić, rozumiesz? Staram się dowiedzieć czegoś, co zdejmie ze mnie tę jebaną tarczę. Więc pozwól mi, proszę, pracować, a dopiero później martwić się Cole'em.

— Nie lekceważ tego — ostrzega mnie Malcolm. — On może zrobić coś głupiego, jeśli się do niego nie odezwiesz.

Docieram w końcu do pozostawionego na parkingu motocykla Duke'a. Zatrzymuję się w pół kroku, analizując słowa kuzyna, i dochodzę do wniosku, że niestety ma sporo racji. Ze złością wyciągam z plecaka kask, a z kieszeni kluczyki.

— Dobra. Coś wymyślę — zapewniam go. — Dzięki za pomoc, Mal.

Kiedy się rozłączam, otwieram internet i wpisuję w wyszukiwarkę „Arthur Ashbourne”. Wchodzę w grafikę, jednak wyników jest niewiele. Facet wygląda na takiego, który strzeże swojej prywatności. Znajduję tylko jedno zdjęcie, na którym widać go tyłem — ubrany w drogi garnitur, szeroki w barach, wysoki facet idzie ulicą w towarzystwie dwóch innych ludzi, pewnie swoich ochroniarzy.

Marszczę brwi. Zdjęcie pasuje do opisu mężczyzny, który według słów Malcolma pojawił się na komendzie.

Czy to może być przypadek?

Rozdział 6

Następnego dnia rano oddzwania do mnie wujek Eddie.

— Czego potrzebujesz? — pyta konkretnie, nie bawiąc się w uprzejmości.

Moja rodzina zawsze była dziwna. Ta ze strony ojca jest praworządna i związana z policją, a przykład tego to Malcolm. Jeśli oczekuję, że ktoś pomoże mi bezinteresownie, to tylko on. Ojciec nie chciał mieć ze mną nic wspólnego i wolał urządzić się z nową żoną i nowymi dziećmi w Reno, wystarczająco daleko, żebym nie miała ochoty go odwiedzać. Zostawił w Vegas brata, którego jedynym synem jest Malcolm.

Te decyzje nie wyszły ojcu na dobre. Kiedy moja mama zmarła, musiałam na rok, do uzyskania pełnoletności, przeprowadzić się do niego i jego nowej rodziny. To był najgorszy rok w moim życiu.

Rodzina matki z kolei to kuci na cztery nogi oszuści i lewi biznesmeni. Niekiedy wydaje mi się, że jestem idealną mieszkanką obojga rodziców, a czasami, że więcej mam z rodziny mamy. Na pewno jednak nie jestem podobna do jej ulubionego kuzyna, Eddiego. Eddie generalnie nie uznaje więzów rodzinnych. Rozmawia ze mną tylko dlatego, że żywił niezrozumiałą słabość do mojej matki. Tylko ją traktował jak kogoś bliskiego sercu. Czasami ją we mnie widzi — jestem do niej trochę podobna, głównie z rysów twarzy i koloru oczu.

Nadal jednak Eddie jest interesownym skurwysynem, który dopilnuje, żebym zapłaciła za jego pomoc. Fakt, że w ogóle zamierza jej udzielić, mogę uznać za wystarczającą taryfę ulgową dla rodziny.

— Wejścia do Camelotu — odpowiadam stanowczo.

Wiem, że pcham się do jaskini lwa, Stan uświadomił mi to wystarczająco dobitnie. Nie potrafię jednak siedzieć na tyłku i czekać, aż te zbiry mnie znajdą — a wiem, że prędzej czy później to zrobią.

To nie jest w moim stylu. Nie jestem kobietą, która grzecznie czeka na ratunek. Zresztą kto niby miałby mnie uratować? Nie mam rycerza na białym koniu. Muszę sobie radzić sama.

Zawsze radzę sobie sama.

— Do Camelotu? — powtarza wujek Eddie z rozbawieniem. — A ty co, pieprzona Ginewra?

— Możesz to załatwić czy nie? — Ignoruję jego słowa. Tak jest najprościej.

Wujek Eddie prycha. Chyba jest oburzony, że w ogóle o to pytam. Uważa, że potrafi załatwić wszystko.

I pewnie nawet ma rację.

— Jasne, że mogę — prycha z pogardą, dokładnie tak, jak się spodziewałam. — Pytanie, co z tego będę miał.

Przewracam oczami. Oczywiście.

— A czego oczekujesz?

Kładę telefon na umywalce w łazience i włączam tryb głośnomówiący, gdy wujek Eddie się zastanawia. Jestem świadoma tego, że tak naprawdę milczy, żeby mnie przetrzymać. Lubi mieć nad ludźmi przewagę, a wie, że potrzebuję jego pomocy.

Zdejmuję przez głowę koszulkę, w której spałam, i oglądam bok. Opatrunek wygląda dobrze, a kiedy nieco go odsuwam, stwierdzam, że rana zaczyna się goić. Zawsze wszystko goiło się na mnie jak na psie. Przynajmniej jeden sukces w tej chujowej sytuacji.

Zakładam sportowy stanik i koszulkę należącą do Steph. Z utęsknieniem myślę o moich rzeczach, które zostały w domu Cole'a, jednak na razie nie odważę się po nie wrócić. Muszę poczekać, aż całe to zamieszanie trochę ucichnie.

— W tej chwili niczego — odpowiada w końcu wujek Eddie, zgodnie z moimi oczekiwaniami. — Powiedzmy, że będziesz mi winna przysługę.

— Umowa stoi — zgadzam się natychmiast. Wiem, że to w przyszłości może mnie wpakować w niezłe tarapaty, ale tym się będę martwić później. Najpierw muszę się zatroszczyć o to, żebym w ogóle miała jakąś przyszłość. — Ile czasu ci to zajmie?

— I tak otwierają dopiero jutro. Wytrzymasz chyba dwadzieścia cztery godziny?

Mam poważne wątpliwości. Przy moich umiejętnościach popadania w kłopoty czyhające na mnie zbiry zapewne wpadną na mój trop jeszcze dziś po południu.

— A mam inne wyjście? — pytam retorycznie. Wujek Eddie parska śmiechem.

— To zależy, co chcesz osiągnąć. Czy mi się wydaje, czy chcesz się skontaktować z właścicielem tego przybytku, który podobno ściga cię po całym mieście?

Te plotki to coś nowego. Jeszcze wczoraj Stan wcale nie był pewien, czy ludzie próbują mnie dopaść.

— Ściga mnie? — powtarzam ostrożnie.

Wujek Eddie jest z siebie bardzo zadowolony, gdy wyjaśnia:

— Słyszałem, że cię szuka. Ale nie wiem, w jakim celu. Może po prostu przekaże, że też szukasz z nim kontaktu?

To brzmi kusząco, ale obawiam się stracić tę odrobinę elementu zaskoczenia, który próbuję sobie wypracować. Nie wiem, co dokładnie wujek Eddie ma na myśli, mówiąc „ściga mnie”. Czy to ludzie tego człowieka próbują mnie zabić, czy raczej ktoś zupełnie inny?

Jak mam się tego dowiedzieć?

— Po prostu powiedz mi, gdzie go znajdę i jak tam trafić. — Staram się brzmieć na bardziej pewną siebie, niż w rzeczywistości jestem. — Z resztą poradzę sobie sama. Jeśli będzie jutro w Camelocie, to właśnie tam chcę się udać.

To wydaje mi się najbezpieczniejsze. To wprawdzie jego teren, ale wątpię, żebym znalazła go poza nim. Tam przynajmniej może uda mi się wtopić w tłum, jeśli będę musiała nagle pryskać.

Chyba oszukuję samą siebie. Ale co innego mi pozostało? Nie mogę do końca życia ukrywać się w domu przyjaciółki.

— Jasne. Dam ci znać wieczorem.

Rozłącza się, zanim zdążę dodać coś więcej. Jeszcze przez chwilę wpatruję się z frustracją w telefon, dochodząc do wniosku, że zostanie dłużniczką wujka Eddiego to strasznie chujowy pomysł. Nie mam jednak lepszych.

Ubieram się do końca i wychodzę z łazienki, wybierając kolejny numer. Nie jestem z tego zadowolona, ale w końcu powinnam to zrobić.

— Cole Shepherd, słucham — odzywa się bardzo oficjalnie mój były chłopak.

— Cole, to ja, Ever — mówię, co natychmiast budzi jego reakcję.

— Ever?! Na litość boską, dlaczego dopiero teraz do mnie dzwonisz?! Odchodziłem od zmysłów! Co się dzieje, gdzie jesteś?!

— Malcolm nie powiedział ci, co się dzieje? — Marszczę brwi, a Cole wzdycha.

— Tylko jakieś ogólniki...

— Więc niczego bardziej szczegółowego się nie dowiesz — przerywam mu stanowczo. — Ścigają mnie jacyś ludzie. Zabili obiekt, który śledziłam, i jej kochanka. Ukrywam się w bezpiecznym miejscu, ale o mało nie zlikwidowali i mnie.

— Podobno w twoim biurze był trup...

— Dwa trupy — prostuję. — Mój asystent, którego zabili, i jeden ze zbirów, którego zastrzeliłam ja. Czy teraz masz już wszystkie potrzebne informacje?

Przez moment w słuchawce panuje cisza. Cole jest chyba zdezorientowany sposobem, w jaki do tego podchodzę.

— Jak możesz mówić o tym tak spokojnie? — pyta w końcu. Chyba wreszcie odkrywa tę część mnie, która mu się nie podoba. Widział ją już wcześniej, ale udawał, że nie dostrzega. Tak było mu łatwiej. Faceci lubią być ślepi na to, co im nie pasuje.

— A jak mam mówić? Zalewając się łzami i histeryzując? To mi za bardzo nie pomoże — pryham. — Cole, na razie skupiam się na tym, żeby przeżyć. Potem, jak już policja zgarnie mnie za zastrzelenie tego gościa w moim biurze, mogę dostać ataku paniki.

— Wiesz, nie poznają cię — odpowiada, na co przewracam oczami.

— Może to oznacza, że nigdy tak naprawdę mnie nie znałeś.

— Gdzie ty jesteś, Ever? — Cole wydaje się zdenerwowany, kiedy o to pyta.

Nie. Nie zdenerwowany. Raczej zły.

— Jestem bezpieczna — odpowiadam stanowczo. — Tylko tyle musisz wiedzieć.

— Daj spokój. — Z każdym zdaniem wydaje się coraz bardziej zirytowany. — Chcę ci pomóc. Pozwól sobie pomóc, nie musisz być w tym sama! Przyjadę do ciebie i...

— Nie, dziękuję — wchodzę mu w słowo. — Przepraszam, Cole, ale cała reszta wciąż pozostaje bez zmian. Zadzwoniłam, bo Mal mnie o to prosił. Sądził, że możesz zrobić coś głupiego. Ale rozstaliśmy się, pamiętasz? Nie musisz się już o mnie martwić.

— To, że nie jesteśmy razem, nie oznacza automatycznie, że się nie martwię. Daj spokój, Ever. Przecież wiesz, że mi na tobie zależy.

— Posłuchaj, Cole. — Moja cierpliwość powoli się kończy. Mam dość i zamierzam mu to powiedzieć. — Nie będziesz ze mnie robił idiotki.

Już wystarczająco upokorzyłam się wczoraj łażeniem całej wieczór w idiotycznej peruce i proszeniem się o pomoc ludzi, do których normalnie nie zbliżyłabym się na odległość strzału z pistoletu. Nie potrzebuję jeszcze wykładów od ciebie ani twojej troski. Poradzę sobie. Dziękuję, że się o mnie martwisz, ale to całkowicie niepotrzebne.

Cole milknie na chwilę, a ja się zastanawiam, czy coś wreszcie do niego dotarło. Po chwili odpowiada powoli:

— Aha. Okej, rozumiem. Nie będę ci się więcej naprzykrzał.

Po czym się rozłącza, a mnie od razu robi się głupio.

Jestem taką suką. Przez moment z frustracją wpatruję się w telefon, zastanawiając się, czy do niego nie zadzwonić i go nie przeprosić. To nie w moim stylu, ale mam wrażenie, że go zraniłam. Może rzeczywiście mu na mnie zależy. Może mówił serio, że mnie kocha. Może...

Och, pieprzyć to.

Rzucam telefon na łóżko i zaczynam pakować swoje rzeczy.

Przez jakiś czas krzątam się po pokoju, rozmyślając. Zamierzam dowiedzieć się czegoś więcej o Arthurze Ashbournie od kogoś zaufanego. Problem polega na tym, żeby najpierw znaleźć tę zaufaną osobę.

Mam jeden typ, ale to też nie będzie bezinteresowne.

Wkładam dzinsy Stephanie, które są na mnie tylko odrobinę za ciasne, i zostawiam sobie szarą melanzową koszulkę ze sporym dekoltem, który odsłania jedno ramię. Przez sekundę zastanawiam się, czy nie powinnam znowu założyć peruki, i dopiero wtedy to do mnie dociera.

Kurwa. Jednak jestem bezmyślną idiotką.

Biegnę do salonu i ostrożnie wyglądam przez okno na ulicę. Jest pusta, ale to jeszcze nic nie znaczy. Skończyłam rozmawiać z Cole'em zaledwie kilka minut temu. Może przesadzam i nie dzieje się nic złego, a może...

Moje serce przyspiesza bieg, gdy po chwili widzę, jak po drugiej stronie ulicy przed domem Steph zatrzymuje się jakiś samochód. Czarny, z przyciemnionymi szybami. Nie mam pojęcia, kto siedzi w środku, ale jestem przekonana, że nie życzy mi dobrze.

Wprost nie wierzę, że jestem taką kretynką.

A jeszcze bardziej, że Cole mógł przekazać komuś, gdzie jestem.

Biegnę z powrotem do sypialni i pospiesznie zgarniam swoje rzeczy. Laptopa Stephanie wciskam do plecaka, wybieram też jedną perukę i pierwsze lepsze ciuchy na zmianę. Mój aparat fotograficzny jest ukryty

na dnie pod tym wszystkim. Zarzucam kurtkę i chowam kastet do kieszeni. Pistolet wsuwam za pasek spodni i jestem gotowa.

Przemykam do wyjścia, łapiąc po drodze kask motocyklowy, i postanawiam, że zabiję Cole'a. Nie widzę innego wyjścia: to musi być jego wina, nawet jeśli samochód pojawił się bardzo szybko po rozmowie z nim. Milczał przez chwilę, gdy powiedziałam to zdanie o peruce, i na pewno od razu skojarzył. Cole zna Stephanie i doskonale wie o jej kolekcji peruk. Dodał dwa do dwóch i uznał, że skoro mam do nich dostęp i przebywam w bezpiecznym miejscu, to na pewno ukrywam się u przyjaciółki.

Tylko dlaczego miałby komukolwiek o tym mówić? Myślałam, że mimo wszystko stoi po mojej stronie!

Przez jakąś sekundę zastanawiam się, co robić, w końcu postanawiam przyspuścić frontalny atak. To jedyna opcja, jeśli chcę użyć z życiem.

Samochód nadal stoi naprzeciwko domu Steph i przez sekundę myślę, że może jestem przewrażliwiona, ale zaraz potem rugam się w myślach. Czarny mercedes o przyciemnianych szybach? Tutaj mieszkają rodziny z dziećmi, nikt nie jeździ czymś takim!

Mogę próbować uciekać tylnym wyjściem, przez ogródki sąsiednich domów. Ale w ten sposób stracę mój jedyny środek transportu i nie wiem, jak daleko zajdę. Moi przeciwnicy mają samochód i jeśli się zorientują, to na własnych nogach daleko im nie zwieję. Jeśli natomiast wyjadę szybko i ruszę w przeciwnym kierunku, niż stoją, mam szansę ich zaskoczyć.

Motocykl stoi na podjeździe. Muszę działać szybko, żeby mieć jakąkolwiek szansę, choć i tak obawiam się, że odstrzelą mnie jak kaczkę.

Nie waham się ani sekundy, bo gdybym to zrobiła, pewnie nie wyszłabym z domu Steph w ogóle. Na szczęście drzwi są zatraskowe i nie muszę tracić cennego czasu na gmeranie w nich kluczami. Zamiast tego wybiegam z domu, po drodze nakładając kask, i kieruję się na podjazd, gdzie wskakuję na motocykl.

Odpalam i ruszam z miejsca, oglądając się na czarny samochód. Nie wiem, co się dzieje w środku, ale nadal stoi w miejscu. Pochyliłam się nad kierownicą i wyjeżdżam na drogę, po czym wciskam gaz do dechy.

Klnę, kiedy w lusterku widzę, jak samochód prędko zawraca i rusza w pościg za mną. Motocykl warczy przyjemnie, gdy przyspieszam, aż zaczynam czuć opór opływającego mnie powietrza. Docieram do najbliższego skrzyżowania i wypadam na nie niemal na ślepo, o mało nie wjeżdżając pod koła auta nadjeżdżającego z prawej.

W ostatniej chwili szarpie kierownicą i pochylam się niebezpiecznie, wymijając auto, które z piskiem opon zatrzymuje się na środku skrzyżowania. W uszy wdziera mi się przeciągły sygnał klaksonu, lecz nie zwracam na to uwagi, gdy wyjeżdżam na główną drogę i ruszam w kierunku centrum.

Knę ponownie, widząc w lusterku, że czarny mercedes wymija zatrzymane na skrzyżowaniu samochody i podąża za mną. Na ulicy, na którą wyjeżdżam, ruch jest większy, więc tu mam większe pole manewru. Szarpie kierownicą i zmieniam pas, mijając jeden samochód za drugim. Mercedes zostaje nieco w tyle, ale ciągle trzyma się mnie jak przyklejony. Muszę coś wymyślić.

Dziwi mnie, że nie strzelają, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać. Kolejne ulice przelatują mi przed oczami, a ja wypatruję okazji, aż wreszcie ją dostrzegam.

Zjeżdżam na skrajny lewy pas i rzucam szybkie spojrzenie na drogę naprzeciwko. Mam tylko wąską lukę i czuję panikę na myśl, że się nie zmieszczę. To jednak nie powstrzyma mnie przed spróbowaniem.

Przekręcam kierownicę w lewo i przez wąski pas zieleni przejeżdżam na przeciwległe pasy. Słyszę trąbiące samochody, gdy przemykam w poprzek do odchodzącej od głównej drogi jednokierunkowej ulicy. Wpadam na nią w ostatniej chwili, a gdy szybko oglądam się za siebie, widzę, że mercedes zatrzymał się, niezdolny do powtórzenia mojego wyczynu.

Skupiam się na drodze i gnam przed siebie, zdecydowana jak najbardziej oddalić się od prześladowców. Zwalniam nieco, bo wąska ulica wymaga większej uwagi i mniejszej prędkości, zaczynam kluczyć między kolejnymi zaułkami. W końcu wjeżdżam w jakąś bramę i zatrzymuję się na moment.

Zdejmuję kask, wyciągam z plecaka jednorazowy telefon, którego używałam wcześniej, i ponownie wybieram numer Cole'a.

— Ever? — pyta zdziwiony.

— Zaskoczony, że mnie słyszysz? — cedzę przez zęby. — Komu mnie wydałeś, Cole?

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Nie rób ze mnie idiotki — żądam stanowczo. — Wiem, że domyśliłeś się, gdzie się ukrywam. Niepotrzebnie wspomniałam o tej peruce, co? Komu o tym powiedziałaś, do diabła?!

— Posłuchaj, chcę tylko twojego dobra — odpowiada pojednawczym tonem. — Wszyscy tu na komendzie wiedzą, że się spotykamy.

Pomyśleli, że wywabię cię z kryjówki albo że powiesz mi, gdzie jesteś. Zrozum, musisz się głosić na policję. Pomożemy ci, ale najpierw ty sama musisz sobie pomóc.

Po prostu nie wierzę w to, co słyszę.

— Czyli co, wydałeś mnie kumplom z policji?! — wydzieram się.
— Mam nadzieję, że dadzą ci za to medal, kiedy już dopadną mnie i zabiją gangsterzy!

— Policja nie współpracuje z gangsterami, Ever — tłumaczy spokojnie Cole.

Przewracam oczami. Nie do wiary, że jest taki naiwny.

— Jasne — syczę. — Mówi ci coś nazwisko Arthur Ashbourne?

Cole milczy, a ja czuję ponurą satysfakcję. Mam gdzieś, czy nie zdradzam mu za dużo, i zdaję sobie sprawę, że muszę się streszczać. Pewnie już namierzają to połączenie.

— Arthur Ashbourne to prawdopodobnie człowiek, który wydał na mnie wyrok śmierci — wyjaśniam. — I jestem przekonana, że bywa również gościem u twojego komendanta. Zapytaj o to kolegów, jeśli sam nie jesteś pewien, a dopiero potem zastanów się, czy na pewno wiesz lepiej ode mnie, co będzie dla mnie dobre. A na razie pierdol się, Cole.

Kończę połączenie, rzucam telefon na ziemię i rozgniatam go obcasem. Potem jadę przed siebie, zdecydowana jak najbardziej oddalić się od miejsca, w którym potencjalnie mogli mnie namierzyć.

Zatrzymuję się dopiero pół godziny później pod jednym z oddalonych od centrum miasta mcdonaldów. Zmieniam kask na bejsbolówkę, pod którą ponownie chowam włosy, zostawiam motocykl na parkingu i wchodzę do knajpy.

Zamawiam burgera z frytkami, siadam przy stoliku w kącie i wyciągam z plecaka kolejny telefon. Jestem potwornie głodna, bo nic dzisiaj jeszcze nie jadłam, ale postanawiam najpierw załatwić interesy.

Wybieram z pamięci kolejny numer, a gdy po chwili mój rozmówca zgłasza się swoim standardowym mruknięciem, mówię:

— Cześć, Rex, z tej strony Everly Chance. Potrzebuję informacji. — Milknę na chwilę, po czym dodaję: — Oddam ci przysługę, kiedy znowu trzeba będzie śledzić twoją żonę. Powinieneś wreszcie nauczyć się sobie z nią radzić.

Rozdział 7

Następnej nocy wbijam się w kieckę kupioną za gotówkę specjalnie na tę okazję i jadę do Camelotu.

Wyjątkowo nie biorę motocykla, tylko taksówkę, bo kiecka jest za krótka, żeby siedzieć w niej okrakiem na czymkolwiek. Plecak z większością rzeczy zostawiam w pokoju, który wynajęłam w obskurnym motelu — jednym z tych, gdzie przy meldowaniu nie proszą nawet o prawo jazdy. Maluję się dosyć ostro, ciemną kredką i równie ciemną szminką, gotówkę wkładam do miseczki stanika, a pod luźną cholewką buta ukrywam podręczny paralizator. To całe moje zabezpieczenie na ten wieczór.

Nie mam też przy sobie dokumentów. Jeśli coś mi się stanie, dołączę do Johna Doe w kostnicy.

Czarna kiecka jest krótka, obcisła i prosta, jej jedynym ozdobnym elementem są trójkątne wycięcia na obu bokach, przez które prześwituje naga skóra. Widać tam ślad po draśnięciu kuli, na szczęście rana już ładnie się goi i nawet nie jest zaczerwieniona. Nie wygląda to źle.

Ja natomiast moim zdaniem wyglądam całkiem dobrze. Seksownie, ale tak, jakbym osiągnęła ten efekt w piętnaście minut.

Taksówkarz gapi się na mnie w tylnym lusterku, gdy wyciągam dla niego pieniądze ze stanika. Wsiadam i rozglądam się dookoła.

Camelot leży w samym sercu Vegas, na Strip, w niepozornym budynku wciśniętym między kilkunastopiętrowy hotel a replikę wieży Eiffle'a. Naprzeciwko w górę wystrzeliwiają fontanny Bellagio, a liczne palmy ukrywają nieco niższe budynki przed wzrokiem przechodniów. Kierowca taksówki z trudem znajduje odpowiednie miejsce, by mnie wysadzić, a gdy wtapiam się w tłum turystów podążających przed siebie najbardziej znaną ulicą Vegas, natychmiast z powrotem włącza się do ruchu. Strip jest hałaśliwy, zatłoczony i kolorowy.

Czuję się w tym miejscu jak ryba w wodzie. Nie dlatego, że do mnie pasuje, ale dlatego, że w takiej okolicy łatwo jest się ukryć, a to jedna z cech pożądanых w pracy prywatnego detektywa. Tutaj nikt mnie nie zauważa, nawet w obecnym stroju i makijażu. Ulicą mógłby przejść nawet Elvis i nikt nie zwróciłby na niego uwagi.

Podążając za wskazówkami wujka Eddiego, obchodzę budynek Camelotu i szukam tylnego wejścia. Idę za głosami — brzmią tak, jakby gdzieś niedaleko rozmawiało kilka osób. Podchodzę bliżej i widzę paru mężczyzn kręcących się koło żelaznych, czarnych drzwi, teraz zamkniętych.

Na mój widok milkną i marszczą brwi.

— Zgubiłaś się, kociaku? — pyta jeden z nich.

Nieważne, co bym na siebie założyła i jak się umalowała, niektórzy faceci i tak nigdy nie będą traktować mnie poważnie, aczkolwiek długość sukienki może tu mieć jakieś znaczenie. Odpowiadam im spokojnym spojrzeniem.

— Myślę, że jestem w odpowiednim miejscu. Szukam Excalibura.

Wymieniają między sobą znaczące spojrzenia, po czym jeden z drwiącym uśmiechem uchyla drzwi.

— Najpierw cię obszukamy, kociaku — odzywa się znowu ten sam, największy z nich wszystkich.

Widzę, że podoba mu się ta perspektywa.

Rozkładam ręce i pozwalam mu się obmacywać w nadziei, że to sprawi, iż nie będzie mu się chciało schylać do moich butów. Facet trochę za długo maca mnie po tyłku, ale wytrzymuję to bez mrugnienia okiem i czeka mnie nagroda. Tylko przejeżdża dłońmi po moich udach, po czym odsuwa się, wyraźnie z siebie zadowolony.

Ja też jestem z siebie zadowolona. W końcu właśnie przemycam do Camelotu paralizator.

— Możesz wchodzić — oznajmia ten, który mnie obszukiwał, po czym wszyscy rozstępują się, żeby mi zrobić przejście. — Ale jeśli chcesz rady, to powiem ci, że przychodzenie tu w pojedynkę to kiepski pomysł, zwłaszcza gdy się jest taką wystrzałową laską jak ty.

Zamierzam potraktować jego słowa jak komplement, a nie lekceważenie.

— Dzięki — odpowiadam więc, uśmiechając się uprzejmie. — Jeszcze zobaczymy, dla kogo moja obecność tu będzie kiepskim pomysłem.

Oczywiście się śmieję, ale mnie już to nie obchodzi. Sporo osób w przeszłości śmiało się ze mnie, zanim pokazałam im, na co mnie stać.

Wchodzę nareszcie do środka, gdzie oddycham z ulgą. Udało się, jestem tu. Pierwsza przeszkoda pokonana! Ciekawe, ile ich jeszcze zostało.

Poprzedniego dnia Rex Russell opowiedział mi trochę o Arthurze Ashbournie. Rex to stary znajomy, robię z nim interesy od lat i do pewnego stopnia mu ufam. A że ma problem z żoną, którą najchętniej kontrolowałby na każdym kroku, chociaż ona wcale tego nie chce, dosyć często zapewnia mi robotę. Rex obraca się w kręgach Arthura i rzeczywiście miał mi co nieco do powiedzenia.

— Właściwie niewiele o nim wiadomo — oświadczył, kiedy spotkałam się z nim na mieście. — Przyjechał tu dwa lata temu i bardzo szybko zagarnął dla siebie spory kawałek tortu. Na pewno jest skuteczny i wie, jak robić interesy.

— Znasz go osobiście? — zapytałam autentycznie zaciekawiona. Rex kiwnął głową.

— Spotkałem go raz czy dwa.

— I co? — Czasami zapomniałam, że z Rexa większość odpowiedzi trzeba wyciągać siłą, jakby się je wyrąbywało toporem.

— Wydaje się ostrożny i przebiegły — odpowiedział z namysłem. — Nawet nie wiedziałem, że ma żonę. Chyba jest lepszy ode mnie w ukrywaniu prywatnego życia.

Kiedy więc wkraczam do Camelotu, zastanawiam się, czy uda mi się podejść tego skrytego, przebiegłego człowieka. Sama jednak zwykle uważam siebie za niegłupią, więc może jakoś dam radę.

Pierwszy raz jestem w tym miejscu i tylko staram się udawać pewną siebie, bo w gruncie rzeczy czuję się trochę zagubiona. Wnętrze to jedno ogromne pomieszczenie, w którym króluje półmrok rozpraszany w niektórych miejscach zwisającymi z sufitu gołymi żarówkami. Oświetlają między innymi ceglane ściany, dlatego można odnieść wrażenie, że całość utrzymano w industrialnych klimatach.

Nie rozglądam się zbyt ostentacyjnie, żeby nie wyjść na turystkę, która nigdy wcześniej tu nie była. Wchodzę głębiej, czując się tak, jakbym zanurzała się w ponurej jaskini. Jestem czujna i nerwy mam napięte jak postronki.

Wokół mnie znajduje się sporo ludzi, a większości z nich w ogóle nie znam. Przechodzą z miejsca na miejsce, czasami stoją i rozmawiają. Najgłośniejszym jednak jest gdzieś przede mną, dlatego powoli kieruję się w tamtą stronę.

Na podwyższeniu na środku sali ustawiona jest sporych rozmiarów klatka, w której walczy dwóch dobrze zbudowanych młodych mężczyzn. Jeden jest już zalany krwią, drugi wyraźnie dobrze się bawi. Wokół nich zebrał się wiwatujący i gwiżdżący tłum, dopingując swoich faworytów. Wszystko to oświetla wisząca centralnie nad klatką sporych rozmiarów industrialna lampa.

Spoglądam po ludziach stłoczonych dookoła klatki. Wyławiam z tłumy bukmacherów. Nietrudno ich odróżnić — jako jedyni nie wiwatują z resztą tłumy, bo wydają się niespecjalnie zainteresowani wynikiem walki. Odgłosy kolejnych uderzeń sprawiają, że robi mi się niedobrze. W pomieszczeniu jest gorąco i duszno — panuje atmosfera ekscytacji.

Docieram do ostatnich rzędów tłumy i znowu rozglądam się dookoła. Kąty pomieszczenia ukryte są w mroku i niewiele mogę powiedzieć o tym, co się dzieje na sali poza głównym widowiskiem. Dostrzegam jedynie, że w łóżach pod ścianami siedzą jacyś ludzie, ukryci niemal całkiem w cieniu.

Wujek Eddie załatwił mi wejściówkę, a Rex Russell całkiem przydatne informacje. Muszę tylko zrobić z nich dobry użytek.

— Arthur Ashbourne ma przyjaciela, który załatwia za niego wiele spraw — tłumaczył podczas spotkania. — Wielu ludzi nie wie, jak wygląda Arthur, ale znają jego szefa ochrony, Deacona Pike’a. Znajdziesz kilka jego zdjęć w internecie. Kiedy już zlokalizujesz Pike’a, trzymaj się go, a doprowadzi cię do swojego szefa. Oczywiście jeśli wcześniej Deacon sam cię nie zauważy i nie zabije.

To nie brzmiało zachęcająco. Ale to jedyny plan, jaki mam.

Na zdjęciach w internecie Deacon Pike wygląda na niegrzecznego chłopca. Oficjalnie prowadzi Camelot i pewnie z czegoś to wynika, bo widać po nim, że zajmuje się sztukami walki. Jest dobrze zbudowany i krępy, przede wszystkim jednak ma miodowe włosy opadające zawiadacko na jedno oko i ponure, jakby wiecznie złe, mroczne spojrzenie. To chyba typ faceta, z którym kobieta może spędzić kilka upojnych chwil w klubowej toalecie, ale którego nikt nie chciałby spotkać w ciemnym zaułku. Wygląda na takiego, co to przemocą rozładowuje napięcie. Ale może to tylko pozory. Może w rzeczywistości jest potulny jak baranek, a szefem ochrony Arthura Ashbourne’a został, bo nie znalazł się lepszy kandydat na to stanowisko. Trudno powiedzieć.

Wiem zatem, jak wygląda Deacon Pike, choć nadal nie mam pojęcia, jak wygląda jego szef, bo nie znalazłam w internecie ani jednego zdjęcia jego twarzy. Arthur Ashbourne może mieć równie dobrze

trzydziestkę co sześćdziesiątkę i nawet ta atrakcyjna blondynka, którą za-
bito w wynajmowanym domu, nie stanowi żadnego tropu. W zasadzie
nie obchodzi mnie wygląd Arthura Ashbourne'a; może poza faktem, że
czuję się niekomfortowo ze świadomością, iż mogę go minąć tu na tej sali
i nawet się nie zorientować, że to on.

Ciekawe, czy on zorientowałby się, kim ja jestem.

Rozglądam się dyskretnie za Deaconem Pikiem, przechadzając się
po Camelocie. Wkrótce zauważam, że z głównej sali wychodzi kilka kory-
tarzy prowadzących do kolejnych, bardziej kameralnych pomieszczeń.
Nie do wszystkich mogę wejść, przez co zastanawiam się, co się dzieje
tam w środku.

W końcu natrafiam na bar. Kręci się przy nim trochę osób, kelner
jednak zaraz znajduje czas, żeby mnie obsłużyć. Rozglądam się po półkach
i podejmuję szybką decyzję.

— Poproszę piwo. Butelkowe.

Oczy o mało nie wychodzą mi z orbit, gdy płacę banknotem wyciągnię-
tym z dekoltu. Przyjmuję butelkę i upijam niewielki łyk, po czym wycofuję
się spod baru.

Pewnie tak odstawiona dziewczyna jak ja powinna wybrać raczej
jakiegoś kolorowego drinka, ale za bardzo się boję, że ktoś mógłby mi przy
okazji czegoś dosypać. Piwo butelkowe jest najbezpieczniejsze ze wszyst-
kiego, co mogłam tu zamówić. Kelner zdjął je z półki i otworzył na moich
oczach.

Może jestem przewrażliwiona, ale wolę taka być, niż obudzić się
rano wielokrotnie zgwałcona.

W tłumie odnajduję ze dwie znajome osoby, skręcam więc w inną
stronę, starając się, by wyglądało to naturalnie. Nie chcę spotkać nikogo,
kto mógłby dodać dwa do dwóch i skojarzyć, po co tu jestem. Na szczę-
ście większość obecnych zajęta jest kibicowaniem facetom w klatce i obsta-
wianiem przed kolejną walką. Po tej poprzedniej jednego z zawodników wy-
wlekają prawie nieprzytomnego. Dwóch umięśnionych pracowników
trzyma go pod ręce, a trzeci toruje im drogę — i ten wydaje mi się zna-
jomy. To chyba właśnie osoba, której szukam — Deacon Pike. Na żywo
wydaje się większy i ma jeszcze bardziej ponury wyraz twarzy, w dodatku
jego policzek szpeci niewielka blizna.

Prowadzi swoich pracowników wraz z ledwo żywym facetem do innego
wyjścia niż to, którym sama przyszłam. Pewnie mają tu gdzieś zaplecze
dla zawodników albo coś w tym stylu. Idę za nimi, ostentacyjnie popijając

piwo i udając, że wcale się tym nie interesuję. Kątem oka szukam kamer na suficie, pewna, że tu są, ale jest za ciemno, żebym mogła cokolwiek zobaczyć.

Dzięki dwóm pracownikom Camelotu podtrzymującym pokonanego mężczyznę znajdują wreszcie wyjście na zaplecze. Drzwi są czarne i prawie zlewają się ze ścianami, w dodatku zupełnie ich nie widać w półmroku panującym w pomieszczeniu. Między nimi znajdują się stoliki z kanapami o wysokich oparciach, dzięki czemu trudno mnie dostrzec, kiedy podchodzę bliżej.

Zamek szyfrowy. Mogłam się spodziewać.

Przez chwilę popijam w miejscu piwo, niezdecydowana, czy próbować z zamkiem, czy raczej wrócić na salę i poszukać szczęścia gdzie indziej. Dopijam resztę trunku i zaczynam się bawić pustą butelką, gdy drzwi ponownie się otwierają i wychodzi z nich jeden z ubranych na czarno ochroniarzy.

Jego wzrok natychmiast pada na mnie. Zupełnie odruchowo uśmiecham się zachęcająco. Podchodzi bliżej i lustruje mnie od stóp do głów uważnym spojrzeniem, a ja udaję, że wcale mi to nie przeszkadza.

— Czekasz na coś? — pyta.

— Na ciebie — odpowiadam bez wahania. — Może ze mną zatańczysz?

— Jestem w pracy. — Widzę, jak jego spojrzenie rozpala się, gdy zagląda mi w dekolt. — Mógłbym sobie zrobić kwadrans przerwy, ale na pewno nie na taniec.

— A na co? — Wyciągam dłoń i opieram ją na jego torsie. Mam trochę stracha, bo igram z ogniem: facet jest napakowany i to może się dla mnie źle skończyć. Nie potrafię jednak przestać.

— Chodź do toalety, to ci pokażę — mruczy. Krzywię się.

— Do toalety? Nie jestem jakąś tanią dziwką.

Facet waha się, po czym chwyta mnie za ramię i szarpie lekko, prowadząc do wejścia na zaplecze. Na wszelki wypadek zapamiętuję kombinację cyfr, które wpisuje. Uderza we mnie fala adrenaliny, gdy ochroniarz wciąga mnie w korytarz za drzwiami.

Jest ciemny i mimo że w poprzedniej sali też panował półmrok, potrzebuję chwili, by przyzwyczaić wzrok. Mylę krok; ochroniarz podtrzymuje mnie i przyciąga bliżej do swojego boku. Nie opieram się.

— Za dużo wypiłaś, co? — mruczy, ruszając przed siebie. Zaglądam do jednego z pomieszczeń po drodze, ale jest puste. — Jak cię ktoś zerznie

tak mocno, że jutro nie będziesz mogła chodzić, to odechce ci się łażenia po pijaku po takich miejscach.

Gdybym miała odrobinę rozsądku, w tej chwili zaczęłabym się wyrwać, ale najwyraźniej nie mam. W wolnej prawej ręce nadal trzymam butelkę po piwie, którą ściskam mocniej, odwracając ją jak do uderzenia.

Ochroniarz wypcha mnie do jakiegoś niewielkiego pomieszczenia, chyba składziku na środki chemiczne, sądząc po zapachu. Przelotnie zastanawiam się, jak często muszą tu używać wybielacza, ta myśl jednak szybko wylatuje mi z głowy, gdy facet przyciąga mnie do siebie i wkłada mi język do gardła.

Jego wielkie dłonie obejmują mnie w pasie i zaczynam nieco panikować. Próbuję się wycofać, ale nie pozwala mi na to, wsuwając kolano między moje uda. Dobra. To już zaszło za daleko.

Robię mocny zamach i z całej siły walę ochroniarza butelką w głowę.

Roztrzaskuje się w drobny mak na jego czaszce, a facet odsuwa się nieco, by spojrzeć na mnie ze zdumieniem. Przez sekundę mam wrażenie, że zaraz się na mnie rzuci, ale wtedy pada nieprzytomny do przodu, przygniatając mnie do ściany.

Sapię i odruchowo próbuję go utrzymać, ale to jak próba zastopowania kowadła spadającego w dół. Z ust wyrwa mi się jęk, gdy facet ciągnie mnie swoim ciężarem na ziemię i upadam na tyłek, lądując pod nim na betonowej podłodze schowka.

Po prostu, kurwa, świetnie.

Próbuję się spod niego wygrzebać, co zajmuje mi dobrą chwilę. Facet totalnie odleciał i zastanawiam się, czy tak mocno go walnęłam, czy pozory mylą i ma dość delikatną czaszkę. Gdy w końcu stoję na nogi, poprawiam sukienkę, wyjmuję z cholewki paralizator i ostrożnie wyglądam przez przymknięte drzwi na korytarz.

Cofam się pospiesznie, przez przypadek włączając znokautowanemu przeze mnie ochroniarzowi na dłoń, gdy słyszę dobiegające z zewnątrz głosy. Zbliżają się, co oznacza, że ich właściciele są w ruchu i wystarczy, że poczekam, aż przejdą.

— Ja pierdołę, czy ci partacze nie potrafią zrobić jednej rzeczy dobrze?! — Słyszę czyjś pełen wściekłości głos. — Tak, najlepiej wpuście tu gliny, niech rozpieprzą to wszystko do fundamentów. Arthur powiesi was wtedy za jaja.

Wyglądam ostrożnie przez szparę w drzwiach i w półmroku panującym na korytarzu dostrzegam znajomą twarz — to Deacon Pike. Maszeruje

korytarzem w towarzystwie dwóch ochroniarzy, których prędko wysyła z powrotem na salę. Sam zaś skręca w drugą stronę, gdzie schody prowadzą z korytarza na piętro. Ciekawe, co tam jest.

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła? Prawdopodobnie niedługo się o tym przekonam.

Uchylam drzwi szerzej i rozglądam się na boki. Korytarz jest pusty, wychodzę więc ze schowka pewnym krokiem, jakbym miała prawo tu przebywać. Kieruję się ku schodom na piętro, mocno ściskając w dłoni paralizator niczym koło ratunkowe. W pewnym sensie tym właśnie dla mnie jest.

Przeskakuję po dwa stopnie, a kiedy pokonuję połowę kondygnacji, zza zakrętu przede mną wychodzi nagle ochroniarz i zatrzymuje się na mój widok.

— Czego tutaj szukasz? — pyta ostro. Robi w moją stronę krok, a potem drugi. — Nie powinno cię tu być. Klienci nie mają tu wstępu.

— Byłam z Markiem. — Posyłam mu zagubione spojrzenie. — Wyszedł i zostawił mnie samą. Pomożesz mi wrócić na salę?

— Raczej zabiorę twój tyłek do pokoju ochrony i tam cię przetrzepię — odpowiada stanowczo, na co cofam się o krok. — Nie pracuje tu żaden Mark. Ściemniasz, laska, więc lepiej mów, po co tu przyszedłaś.

— No wiesz co! — prychem z oburzeniem. — To on nie ma na imię Mark?! Znowu jakiś frajer próbuje mnie oszukać?!

Ochroniarz sięga po moje ramię, a wtedy atakuje go paralizatorem. Przyciskam go mocno do jego boku, a facet sztywnieje i widzę, jak zaciska zęby z bólu. Po chwili w drgawkach pada na schody i stacza się z nich na sam dół.

Ups. Mam nadzieję, że nic poważnego sobie nie zrobił.

Dostaję się w końcu na górę; schody wychodzą na kolejny, krótki i nieco szerszy korytarz, który kończy się podwójnymi drzwiami. Chowam się za załomem, gdy dostrzegam na korytarzu dwóch kolejnych ochroniarzy; muszę zaczekać, aż któryś z nich znajdzie się bliżej.

Idą razem i przez sekundę nie mogę się zdecydować, czy to dla mnie dobrze, czy wręcz przeciwnie. Próbuję spowolnić nieco oddech, nie potrafię jednak się uspokoić i serce nadal wali mi szybko. Nie mam czasu na zastanowienie, dlatego kiedy pojawiają się na wysokości schodów, wychodzę im naprzeciw.

Wskakuję jednemu z nich na plecy, oplatając wokół niego nogi i ramieniem naciskając tchawicę. Wyciągam paralizator w kierunku drugiego

i traktuję go kilkusekundowym impulsem, który posyła faceta na podłogę. W tym czasie pierwszy zaczyna walczyć i cofa się, objijając mnie o ścianę plecami, aż tracę dech.

Zrzuca mnie z siebie, zanim zdążę odzyskać siły. Upadam na podłogę i kiedy ochroniarz gotuje się do ciosu, atakuję jedyne miejsce, do jakiego mogę dosięgnąć. Celuję paralizatorem w jego genitalia i po chwili słyszę, jak z gardła mężczyzny wyrывa się krótki krzyk.

Zaraz potem pada na podłogę obok swojego kompana, ale obawiam się, że szkoda już została poczyniona. Nie byłam tak dyskretna, jak zamierzalam. Podnoszę się szybko z podłogi i poprawiam sukienkę, chociaż plecy bolą mnie tak, jakby ochroniarz zmiażdżył mi parę żeber, po czym z paralizatorem w ręce kieruję się wolnym już korytarzem ku podwójnym drzwiom.

Jestem przy samym wejściu, gdy drzwi otwierają się nagle i staje w nich Deacon Pike. Uchylam się w ostatniej chwili; pierwsza kula mija mnie dosłownie o cale. Słyszę też drugi wystrzał, ale wtedy już nacieram na mężczyznę, celując na ośleparalizatorem. Oboje zwałamy się na podłogę, wpadając z powrotem do pomieszczenia za podwójnymi drzwiami.

Odkopuję broń Pike'a na bok i podnoszę się na nogi, obciągając sukienkę. Kurwa, nigdy więcej takich ciuchów na akcję, bo nie mam ochoty podczas niej świecić bielizną! Robię kolejny krok w głąb pomieszczenia i dopiero wtedy rozglądam się wokół siebie.

Jestem w czymś w rodzaju dużego gabinetu. Cała ściana naprzeciwko wejścia jest wykonana z przyciemnionego szkła i wychodzi na główną salę na dole. W gabinecie znajduje się kilka kanap i foteli oświetlonych nastrojowym blaskiem stojących w kątach lamp, a także biurko, za którym siedzi mężczyzna.

Siedzi tam i przygląda mi się z zainteresowaniem.

Wydobywa z siebie przeciągłe gwizdnięcie i po chwili zza biurka wyskakują ku mnie dwa ogromne, czarne cienie. Cofam się o krok, w porę identyfikując warknięcia bestii i ich oślepiająco białe zęby.

Kurwa. Ten facet ma parę psów zabójców!

Czuję się nagle tak, jakbym przyszła z nożem na strzelaninę. Psy nacierają na mnie, a ja nie jestem na to gotowa.

Będę się bronić, ale przeczuwam, że to może boleć.

Rozdział 8

Kolejne gwizdnięcie zatrzymuje bestie w miejscu, ledwie jakieś dwie stopy ode mnie.

Wypuszczam z płuc wstrzymywane powietrze, gdy jak zahipnotyzowana wpatruję się w psy, które nadal szczerzą zęby i nie pozwalają mi się ruszyć z miejsca. Rozpoznaję w końcu spiczaste uszy i podłużne, czarne pyski. To para dobermanów.

— Lance, Percy, siad! — mówi mężczyzna stanowczo, a psy posłusznie siadają, nadal nie spuszczając ze mnie wzroku. — Everly Chance, prawda? Cieszę się, że postanowiłaś wpaść.

Dopiero wtedy przenoszę wzrok z psów na ich opiekuna. Na moment zasycha mi w ustach.

Arthur Ashbourne wcale nie jest stary. Z pewnością starszy ode mnie, ale dałabym mu trzydzieści pięć lat, może niewiele więcej. W jego kruczoczarnych, nieco za długich włosach widzę pierwsze pasma siwizny, z którymi jednak zaskakująco mu do twarzy.

Jest coś w rysach jego twarzy i sposobie, w jaki zaciska szczęki, co każe mi przypuszczać, że ludzie się z nim liczą. Może nawet się go boją. Wpatruję się w jego stalowoszare oczy, zastanawiając się, o czym myśli. Spodziewał się mnie? Przewidział, że spróbuję go odnaleźć? Czy to dlatego tak łatwo mi poszło?

Ma wąską, bladą bliznę biegnącą przez podbródek aż do kącika ust, przez co jedna ich strona wydaje się nieco obniżona, jakby ciągle miał na twarzy lekki grymas. Jego nos w przeszłości był bez wątpienia przynajmniej raz złamany, a rysy twarzy nie są wystarczająco regularne, aby nazwać go klasycznie przystojnym — ma jednak w sobie coś takiego, jakiś szorstki urok, co sprawia, że nie mogę oderwać od niego wzroku.

Nie wiem, czy wyglądam jak gapiąca się idiotka, ale on też przez chwilę wpatruje się we mnie, a z wyrazu jego twarzy nie potrafię przewidzieć, czy zaraz nakaże swoim psem rozszarpać mnie na kawałki, czy raczej zaprosi

mnie na drinka. Robi krok w moją stronę, a kiedy próbuję o tyle samo się cofnąć, doberman warczą ostrzegawczo.

— Chyba się mnie nie boisz? — Unosi drwiąco brew. — W końcu wtargnęłaś tu, po drodze nokautując trzech moich ochroniarzy.

— Czterech — poprawiam go odruchowo.

Arthur Ashbourne parska śmiechem.

— Lepiej, żeby Deacon nie słyszał, że nazywasz go w ten sposób. Nie lubi tego.

— Miałam na myśli człowieka, którego uderzyłam butelką w składziku na dole. — Uśmiecham się do niego bezczelnie.

Arthur Ashbourne przekrzywia głowę, patrząc na mnie z zaciekawieniem, które rozpala krew w moich żyłach.

Facet jest wysoki, gdyby znalazł się tuż przy mnie, sięgałabym mu co najwyżej do podbródka. W dodatku naprawdę dobrze zbudowany, biała koszula opina się ładnie na jego mięśniach, a mimo to ruchy ma zwinne jak pantera — przypuszczam, że i on ćwiczył kiedyś jakieś sztuki walki. Może nadal to robi. Może dlatego prowadzi akurat taki biznes.

— Zadałaś sobie wiele trudu, by tu dotrzeć — mówi wreszcie, robiąc kolejny krok w moją stronę. — Chciałaś mnie może o coś zapytać?

Spoglądam na jego psy, po czym znowu na niego, a następnie wyrzucam z siebie pierwsze, co mi przychodzi do głowy:

— Poważnie nazwałeś psy Lancelot i Percival?

Arthur Ashbourne uśmiecha się krzywo na te słowa.

— Pasują do Camelotu — odpowiada z zadowoleniem. — Dobrze się zastanów nad kolejnym pytaniem, bo trzeciego możesz nie mieć szansy zadać.

Bez słowa patrzę, jak podchodzi jeszcze bliżej. Dobermany przesuwają się nieco, by go przepuścić, gdy staje tak blisko mnie, że muszę zadrzeć głowę, aby na niego spojrzeć. Wdycham korzenny zapach jakichś drogich perfum.

Wsuwa dłoń do kieszeni garniturowych spodni, nadal nie spuszcżając ze mnie wzroku. Czuję się osaczona — uwięziona między nim a jego przypominającymi nieruchome pomniki psami — i dziwnie bezwolna, jak nigdy dotąd. Przy każdym innym facecie znalazłabym już dziesięć wyjść z sytuacji, ale nie przy nim.

Próbuję zmusić ciało do działania, bo wiem, że te uczucia nie wynikają z obecności psów. Ono jednak ma własne plany.

— Chcesz mnie zabić, Arthurze? — pytam, wytrzymując jego natarczywe spojrzenie.

Wyciąga dłoń, jakby chciał mnie dotknąć, a ja reaguję odruchowo. Włączam paralizator i przystawiam mu do ciała; to trwa niecałą sekundę, zanim się wycofuje, nie dość długo, by pozbawić go równowagi, ale na pewno dość, żeby bolało. Widzę, jak zaciska szczękę, po czym sięga po mnie szybko niczym pieprzony wąż i wykręca moje ramię, aż syczę z bólu, a paralizator wypada mi ze zdrtwiałych palców.

— Nigdy więcej tego nie rób — warczy, obracając mnie i zbliżając się do mnie tak, że niemal znajduję się w jego objęciach. Serce zaczyna mi walić tak głośno, że zaraz chyba wyskoczy z klatki piersiowej. — Bo mogę rzeczywiście zechcieć cię zabić, Everly.

Słyszę jęk od strony drzwi i gdy tam spoglądam, widzę, że Deacon Pike powoli wstaje na nogi. Posyła mi nienawistne spojrzenie i kuśtykając, rusza w naszą stronę.

— Już ja pokażę tej małej suce...

— Wyjdź stąd, natychmiast — przerywa mu Arthur.

Pike zatrzymuje się w pół kroku, zaskoczony.

— Ale...

— Powiedziałem coś — wchodzi mu znowu w słowo. — Wypierdaj i zamknij za sobą drzwi.

Pike przez chwilę mierzy mnie wkurwionym spojrzeniem, w końcu jednak posłusznie odwraca się i wychodzi z gabinetu. Patrzę z powrotem na Arthura i on też wraca do mnie wzrokiem.

— Gdybym chciał cię zabić, Nancy Drew — mówi już nie tak spokojnym tonem głosu, w którym wyraźnie słyszę drwinę — to gwarantuję, że już byś nie żyła. Szukałem cię, owszem, ale nie próbowałem zabić.

Unoszę pytająco brwi.

— Nawet twój piesek Deacon Pike do mnie strzelał — protestuję. Arthur parska śmiechem.

— Bo wparowałaś tu i zaczęłaś obezwładniać moich ochroniarzy. Naprawdę cię do dziwi? On tylko próbuje zapewnić mi bezpieczeństwo.

— Jakoś ci nie wierzę — pryham.

Mężczyzna uśmiecha się krzywo.

— A jednak jesteś tu. W moim gabinecie i w moich ramionach. Nie boisz się, że mogę cię zabić?

— Nie zrobisz tego. — Zadzieram wyżej brodę. — Mam zdjęcia z tego zdarzenia na Glenview Drive. Jeśli coś mi się stanie, trafią do ludzi, którzy będą wiedzieli, co z nimi zrobić.

Blefuję, ale on nie musi o tym wiedzieć. W tych zdjęciach nie ma niczego niezwykłego i niczego, co mogłoby pogrążyć kogoś takiego jak Arthur Ashbourne. A nawet gdyby coś takiego było, mój aparat fotograficzny leży obecnie schowany na recepcji motelu, w którym zapłaciłam za pokój z góry za trzy noce gotówką. Nikt nie ma do niego dostępu i nikt nie wie, że w pamięci aparatu znajduje się coś, przez co cały czas jestem bliska śmierci.

Arthur Ashbourne jednak nie zdaje sobie z tego sprawy.

— To się dobrze składa, że nie mam z tym nic wspólnego — odpowiada spokojnie.

Posyłam mu niedowierzające spojrzenie.

— Jasne. Właśnie dlatego ścigasz mnie po mieście, tak?

Arthur nie odpowiada, tylko przygląda mi się z ciekawością. Wkurza mnie to, ale jednocześnie...

Cholera. Jednocześnie mnie to podnieca.

Jak bardzo jestem nienormalna, że jego gorące, intensywne spojrzenie mnie podnieca? Okej, to totalnie ekscytujący facet, ale też totalnie niebezpieczny! A ja muszę być totalnie pozbawiona rozumu, że w ogóle myślę o nim w ten sposób!

Szarpię się, próbując uwolnić rękę, ale wtedy Arthur robi krok do przodu. Żeby na mnie nie wpadł, cofam się gwałtownie i mylę krok, aż trafiam plecami na ścianę. Dopiero wtedy puszcza moje ramię, nie odsuwa się jednak, tylko kładzie dłonie na ścianie po obu moich stronach.

— Trzeba było przekazać Deaconowi, że chcesz ze mną porozmawiać, zamiast nokautować jego i moich ochroniarzy — mówi w końcu z rozbawieniem. — Po tej akcji nie będziesz ich ulubioną osobą.

— A powinno mnie to obchodzić, bo...? — Robię pytającą minę.

Arthur uśmiecha się nieco krzywo.

— Bo może się okazać, że będziesz teraz spędzać w ich towarzystwie sporo czasu.

Rozchyłam usta, lecz nie wydobywa się z nich żadne słowo. Tego się nie spodziewałam. Rzadko komuś udaje się pozbawić mnie głosu, jednakże ten facet nie jest taki jak inni.

— Posłuchaj, nie wiem, o co ci chodzi, ale przyszedłam tu, bo wierzę, że tę sytuację da się wyjaśnić — odzywam się w końcu uspokajającym tonem. — Wyobraź sobie, że nie mam ochoty umierać i nie podoba mi się, że przez ostatnie parę dni kilkukrotnie do mnie strzelano.

— Kilkukrotnie? — Arthur marszczy brwi.

Kiwam głową.

— Właśnie. Podziurawiono mi samochód, zabito mojego asystenta i postrzelono mnie w dwóch miejscach. Na razie niegroźnie, ale obawiam się, że następnym razem mogę nie mieć tyle szczęścia.

Drgam, gdy dłonie Arthura Ashbourne'a przenoszą się ze ściany na moją talię. Wycięcia w sukience są idealne, żeby mógł wsunąć palce pod materiał i dotknąć nagiej skóry. Przechodzi mnie dreszcz i bardzo chcę ukryć reakcje ciała. Zaciskam zęby, gdy moje serce znowu przyspiesza.

Na litość boską. Przyszedłam tu, żeby skopać temu facetowi tyłek i kazać odwołać ogary, a nie pozwolić mu sobie obmacywać!

— W jaki sposób dałaś sobie radę? — pyta ku mojemu zdziwieniu. Prycham lekceważąco.

— Tak jak zwykle. Mam różne atrybuty, na które mogę liczyć w trudnych sytuacjach.

— Och, nie wątpię. — Jego kpiący uśmiech sprawia, że się iryтую i mam ochotę powiedzieć coś, co wyprowadzi go z równowagi. Właśnie dlatego pytam:

— Czy kobieta, którą zabito na Glenview Drive, była twoją żoną?

Arthur Ashbourne znowu przez chwilę nie odpowiada. Obserwuje mnie z namysłem, podczas gdy jego dłonie spoczywają nieruchomo na mojej talii.

— Tak, to była moja żona — potwierdza w końcu. Robi to tak beznamiętnie, że mam wątpliwości, czy mówić to, co zamierzam, ale w końcu samo mi się wyrwa.

— Przykro mi.

Kiwa głową, lecz w żaden sposób tego nie komentuje. Całkowicie to rozumiem. Tym bardziej próbuję wziąć się w garść i uświadomić sobie, że to, co ze mną robi ten facet, z pewnością tylko ja odbieram jako erotyczne. Koleś właśnie stracił żonę. Wątpię, żeby miał ochotę czegokolwiek ze mną próbować.

— Zabieram cię do mojego domu — oświadcza po chwili.

Marszczy brwi. Co on wygaduje?!

— Słucham?! Nie ma takiej opcji — fukam oburzona, ale on zdaje się zupełnie nie zwracać na to uwagi.

— Gdzie masz zdjęcia?

— Raczej nie przy sobie — pryham. — Nie mam ze sobą nic poza paralizatorem i kilkoma banknotami w staniku.

Po tych słowach spojrzenie Arthura odruchowo biegnie w stronę mojego dekoltu. Nie przeszkadza mi to tak jak wtedy, gdy wpatrywał się tam barman. Może dlatego, że spojrzenie tego mężczyzny jest tak samo obojętne jak wcześniej. W ogóle nie widać po nim, żeby ten widok go ruszał.

Palce na mojej tali poruszają się nieznacznie, dotykając mojej skóry. Dostaję dreszczy.

Problem w tym, że mi się to podoba! Gdyby było inaczej, już dawno wyrwałabym się z jego uścisku. Ale w gruncie rzeczy wcale tego nie chcę.

Nie zamierzam mu jednak o tym mówić.

— Nie spodziewałem się, że przyjdiesz tu z nimi — mruczy. Pochyla się nade mną niżej, aż prawie stykamy się nosami. Chyba zaraz udławię się własnym sercem. — Chcę wiedzieć, gdzie są. Moi ludzie przyносят je do mnie razem z twoimi rzeczami. Nie opieraj się, Everly, nic dobrego ci z tego nie przyjdzie.

Nie reaguję dobrze ani na rozkazy, ani na groźby.

Właśnie dlatego robię to, co w innej sytuacji nie przysłoby mi do głowy.

Mam za mało miejsca, żeby wziąć odpowiedni zamach, ale i tak podnoszę kolano i wyprowadzam cios między jego nogi. Arthur Ashbourne jęczy i zgina się w pół, a wtedy podrywam łokieć i z całej siły walę go nim w nos.

Mężczyzna klnie, jednak gdy go odpycham, dobermany reagują natychmiast i doskakują do mnie, gotowe się na mnie rzucić. Szczęrzą zęby i warczą, osłaniając przede mną Arthura, jakby go broniły. On tymczasem wyciera krew, która leci mu z nosa, po czym patrzy na mnie z niedowierzaniem.

Chyba mam kłopoty.

Porusza się tak szybko, że nie zdążam się nawet zasłonić. Zresztą za bardzo się obawiam, że psy jednak rzuciłyby się na mnie, gdybym znowu podniosła rękę na tego faceta. Arthur chwyta mnie w pasie i odwraca do siebie tyłem, kładzie mi dłoń na karku i przyciska mój policzek do ściany. Drugą ręką łapie moje nadgarstki i unieruchamia mi ramiona

za plecami. Napiera na mnie, przyszpilając do ściany, aż uciekają ze mnie resztki oddechu.

— Mówiłem ci, żebyś nigdy więcej ze mną nie walczyła — mówi mi do ucha, aż moją twarz owiewa jego gorący oddech. — Masz jakiś problem ze słuchem?

— Nie. Z rozkazami — odpowiadam zduszonym głosem. — Jest we mnie coś takiego, co za każdym razem każe mi je testować.

— Chętnie wypróbuję tę teorię — mruczy i cholera, jeśli to nie jest aluzja erotyczna, to już nie wiem co!

— Puść. — Szarpnię się kontrolnie, ale Arthur trzyma mnie mocno. — Obiecuję, że więcej cię nie uderzę, skoro sobie z tym nie radzisz.

Parska śmiechem, jednak nie zwalnia nacisku na moje ciało. Przy następnych słowach muska ustami moje ucho, co posyła dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa.

— Pójdiesz ze mną po dobroci?

— Niby dlaczego miałabym to zrobić? — pryham.

— Bo tylko ja mogę ci pomóc — odpowiada i wydaje mi się, że mówi szczerze, jakby naprawdę tak uważał. — Sama powiedziałaś, że przy następnej próbie zlikwidowania cię możesz nie mieć tyle szczęścia. Powiedzmy, że chcę zwiększyć twoje szanse.

— Dlaczego?

— Bo chcę wiedzieć, kto zabił moją żonę — wyjaśnia spokojnie. Podczas gdy ja dławię się własnym sercem, on wydaje się kompletnie nieporuszony naszą bliskością i pozycją, w jakiej mnie trzyma. — Możemy sobie wzajemnie pomóc, Everly Chance. Musisz mi tylko odrobinę zaufać.

— Z tym też mam problem — wyznaję. Arthur znowu parska śmiechem. Ma przyjemny, głęboki, miękki śmiech, podobnie jak głos.

— Bez obaw, wszystkiego cię nauczę. — Połuznia nieco uścisk na moich ramionach, za to jego druga dłoń obejmuje moją szyję, gdy woła w stronę drzwi: — Deacon?! Chodź tu na chwilę!

Słyszę, że drzwi się otwierają, i kiedy spoglądam w tamtą stronę, widzę Pike'a obrzucającego mnie nienawistnym spojrzeniem.

— Czy teraz mogę ją już zabić?

— Znajdź mi coś, żeby zasłonić jej oczy. Teraz — dodaje, kiedy mężczyzna wpatruje się w nas z niedowierzaniem.

— Cokolwiek chcesz zrobić, to zły pomysł, Arthur.

— Nie pouczaj mnie, co jest dobrym, a co złym pomysłem, tylko zrób, co mówię — warczy w odpowiedzi Ashbourne. Czuję, jak jego umięśnione ciało za mną się napina. — Chcę, żeby miała zasłonięte oczy.

— Nie tylko ja mam problem z zaufaniem, co? — komentuję złośliwie.

Deacon Pike z niedowierzaniem kręci głową, po czym wychodzi. Arthur tymczasem zaciska lekko dłoń na mojej szyi.

— Pojedziesz dobrowolnie? — pyta.

Z trudem wrzuszam ramionami.

— A mam jakieś wyjście?

— Zawsze jest jakieś wyjście, Everly. Możesz na przykład dać się zabić. Bez ciebie też sobie poradzę.

— W takim razie nie rozumiem, po co ci jestem potrzebna. Rzekomo mnie szukałeś.

— No cóż, jesteś w to wszystko jakoś zamieszana — odpowiada, po czym szarpie mnie do tyłu. Odrywam się od ściany i posłusznie idę w stronę jego biurka, gdzie Arthur wolną dłonią wyciąga z szuflady opaskę zaciskową. Nawet nie chcę wiedzieć, po co trzyma je w takim miejscu. — A ja zamierzam się dowiedzieć, o co chodzi. Więc tak, szukałem cię. Byłem na policji i rozmawiałem z twoim chłopakiem. Powiedział, gdzie się ukrywasz, dlatego wysłałem ludzi pod dom twojej przyjaciółki. Uciekłaś im na motocyklu.

Zaciska opaskę na moich dłoniach, a ja nadal nie protestuję. Gdyby ten facet chciał mnie zabić, rzeczywiście już dawno byłabym martwa. Mogę więc pozwolić mu zrobić, co chce, i zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi.

To lepsze niż ciągła ucieczka przed ścigającymi mnie zbirami.

W jednym jego opowieść jest prawdziwa: ludzie spod domu Stephanie rzeczywiście nie próbowali do mnie strzelać. Nawet wydało mi się to wtedy dziwne, potwierdza to jednak jego słowa. Ci ludzie rzeczywiście nie usiłowali mnie skrzywdzić, chcieli mnie tylko złapać.

Deacon Pike wraca, kiedy już jestem skrepowana. Posyła mi ponure spojrzenie, po czym rzuca Arthurowi worek jutowy.

— Popelniasz błąd — mówi, a ja chętnie pokazałabym mu środkowy palec, gdybym tylko nie była związana.

Arthur nie odpowiada; zamiast tego bez słowa zakłada mi worek na głowę.

Naprawdę mam nadzieję, że mnie nie zabiją.

Rozdział 9

Wychodzimy z Camelotu.

Arthur prowadzi mnie pustymi korytarzami zaplecza, informując o każdej zmianie poziomu i każdym zakręcie. Nie puszcza mnie ani na sekundę, cały czas trzyma dłonie na moich ramionach.

Nie wychodzimy tym samym wyjściem, przez które trafiłam do klubu — tego jednego jestem pewna. Schodzimy po jakichś schodach, po których Arthur sprowadza mnie ostrożnie, po czym trafiamy chyba na parking podziemny, biorąc pod uwagę, że w następnej chwili mężczyzna kładzie mi dłoń na głowie i zmusza do pochylenia się, po czym pomaga mi wsiąść do samochodu.

Nic nie widzę, ale to nie oznacza, że moje inne zmysły nie działają. Pod skrepowanymi dłońmi wyczuwam chłód skórzanej kanapy, do mojego nosa dochodzi słaby zapach tytoniu i whiskey. Czuję, że kanapa zapada się nieco, gdy Arthur siada obok mnie.

— Jedź prosto do domu — nakazuje kierowcy, który wydaje z siebie niezadowolone prychnięcie.

— To bardzo głupi pomysł. — Poznają ten głos, to Deacon Pike. — Przeleć ją tutaj i zostaw przy drodze za miastem, póki nie narobiła nam kłopotów.

Sapię z oburzeniem, ale Arthur nie odpowiada, lecz gwizdże. Słyszę psie warknięcia i domyślam się, że dobermany również zajęły miejsca w samochodzie. Ich dyszenie dobiega z tyłu, więc pewnie są w bagażniku. Ktoś zatrząskuje za nimi klapę.

— Przestań gadać i jedź — poleca Arthur tonem kończącym dyskusję.

Pike nie odzywa się więcej i dobrze, bo każdą obelgę i lekceważącą uwagę na mój temat zapisuję w pamięci, żeby potem z nawiązką mu się za nie odpłacić. On naprawdę nie powinien sobie jeszcze dokładać.

Słyszę, jak coś się zasuwa — czyżby między siedzeniem kierowcy a tylną kanapą istniała przesłona? — po czym ruszamy. Jest mi niewygodnie, nie mogę się oprzeć, trzymając ręce za plecami, ale nie narzekam, tylko siedzę wyprostowana jak trzcina. Nie będę o nic prosić tego człowieka.

— Musisz mi wybaczyć te środki ostrożności — odzywa się Arthur zaskakująco blisko mojego ucha. Mam ochotę się odsunąć, ale ostatecznie nie robię tego. — Cenię sobie prywatność, a tobie na razie niespecjalnie ufam.

— I *vice versa* — odpowiadam. Arthur się śmieje.

— Przekonam cię, że warto mi zaufać, Everly.

— Znajomi mówią do mnie Ever — poprawiam go, nie odpowiada jednak. — Mnie z reguły ludzie też ufają, wiesz? W końcu jestem prywatnym detektywem. Powierzają mi swoje problemy.

Naprawdę nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam. Coś musi być ze mną poważnie nie tak, skoro pozwałam się wieźć w nieznanym obcemu facetowi, w dodatku związana i z workiem na głowie. Nie potrafię zrozumieć podszeptów podświadomości, która uznała, że to dobra decyzja.

Nie potrafię też zrozumieć, jakim cudem ciągle jestem lekko pobudzona. Boję się, to fakt, ale ten strach wyzwała we mnie też inne uczucia. Mieszanka bliskości Arthura Ashbourne'a i jego perfum działa na mnie ogłupiająco.

Ciągle jednak powtarzam sobie, że to racjonalna decyzja. Tego właśnie chciałam: dostać się na jego teren i porozmawiać z nim. To najmniej inwazyjny sposób, by to zrobić. Na myśl o tym, że miałabym inaczej wywalczyć sobie drogę do tego faceta, żółć podchodzi mi do gardła. Mam dość zabijania.

Zresztą... Mogłam kogoś skrzywdzić w samoobronie, ale wątpię, żebym potrafiła to powtórzyć w innych okolicznościach.

— Słyszałem o tobie. Masz dobrą reputację na mieście — przyznaje po chwili Arthur. — Ludzie mówią, że jeśli jest coś, czego nikt nie potrafi znaleźć, to Everly Chance wykopie to choćby spod ziemi.

To naprawdę miłe. Aż się wzruszyłam.

— Każę to sobie wypisać na wizytówkach — odpowiadam cierpko.

Arthur parska śmiechem. Cały czas jest rozluźniony i spokojny. Odkąd powaliłam jego przyjaciela i weszłam mu do gabinetu, nie okazał nawet odrobiny niepokoju, nawet gdy trzasnęłam go w nos, aż poleciała krew. Ten facet nie uważa mnie za godną przeciwniczkę, co najwyżej za zabawną

uciażliwość. To strasznie mnie irytuje. Mam ochotę pokazać mu, na co mnie stać, żeby zaczął się ze mną liczyć.

Z drugiej strony, kiedy mówi o mojej opinii na mieście, słyszę w jego głosie zainteresowanie i odrobinę podziwu. Więc może on sam jeszcze nie wie, co o mnie myśleć?

W samochodzie na moment zapada cisza, która dzwoni mi w uszach. Żeby ją przerwać, pytam bez namysłu:

— Lubisz to?

— Co?

Wzruszam ramionami. Ręce cierpną mi od trzymania ich za plecami, ale postanowiłam, że nie będę się skarżyć.

— Wiązanie kobiet. Kręci cię to?

Drgam, gdy czuję na karku jego dużą dłoń. Ma szorstkie palce i naprawdę ciepłą skórę.

— Do tej pory mnie nie kręciło — przyznaje z rozbawieniem. — Więc chyba nie chodzi o kobiety, tylko o ciebie.

Serce podskakuje mi do gardła i już więcej się nie odzywam. Ten facet stanowczo nie powinien mi mówić takich rzeczy!

Próbowałam się zorientować, dokąd jedziemy, gdy tylko ruszyliśmy, ale szybko zarzuciłam ten pomysł. Nie jestem w stanie połapać się w płataninie zakrętów, światła i skrzyżowań, zwłaszcza że wyjeżdżamy z centrum, z którego możemy udać się wszędzie. Już w gabinecie Arthura nie potrafiłam rozpoznać stron świata, a co dopiero tutaj. Nie umiem określić nawet kierunku jazdy.

Pozwalam więc zawieźć się na miejsce, dochodząc do wniosku, że tam będę się martwić resztą.

Cała trasa zajmuje nam jakieś pół godziny. Kiedy samochód wreszcie staje, czuję ulgę, bo w worku na głowie źle mi się oddycha i jest za gorąco. Słyszę, że otwierają się drzwi, a ciężar Arthura obok mnie na kanapie znika. Po chwili mężczyzna ujmuję mnie za ramię i lekko ciągnie.

— Wysiadaj, pomogę ci — mówi, więc na oślep wychodzę z samochodu, starając się trzymać nogi złączone, skoro nie mam kontroli nad tym, jak wysoko podsuwa się na udach moja sukienka. Nie chcę, żeby któryś z tych facetów miał widok na moją bieliznę.

Sukienka jest krótka, a kiedy staję na nogach obok samochodu, czuję, że ledwie zakrywa mi tyłek. Próbuję obciągnąć ją unieruchomionymi za plecami rękami, idzie mi to jednak wyjątkowo kiepsko.

Spinam się, gdy na moich udach lądują dłonie Arthura. Ku mojemu zdumieniu ściąga materiał w dół, zakrywając nieco więcej nóg.

— Mamy po drodze trochę schodów, więc zamierzam coś zrobić. — Słyszę jego spokojny głos. — Nie bój się.

Z ust wyrwa mi się cichy krzyk, kiedy łapie mnie za biodra i podnosi, jakbym nic nie ważyła. Mój błędnik szaleje mimo worka na głowie i po chwili coś mocno wbija mi się w brzuch. Szarpnię się rozpaczliwie, bo nie mogę się niczego uchwycić ze skrzepowanymi dłońmi i jest mi bardzo niewygodnie.

— Uspokój się — poleca Arthur ostro. — Nie pozwolę, żebyś spadła.

Kładzie mi dłoń na tyłku i dopiero wtedy orientuję się, że przerzucił mnie sobie przez ramię jak worek ziemniaków. Gdzieś obok słyszę parsknięcie śmiechu.

— Jakie ma majtki? — To głos Deacona Pike'a.

Zabiję tego skurwysyna, przysięgam.

— Firmy *Pierdol się* — odwarkuję, próbując ignorować dłoń Arthura na moim pośladku. — Ta sama wyprodukowała też paralizator, którym pozbawiłam cię przytomności.

Arthur się śmieje i odwraca gwałtownie, aż o mało nie zlatuję mu z ramienia. Jego dłoń blokuje mnie w ostatniej chwili.

— Ani się waż — mówi i domyślam się, że kieruje te słowa do Pike'a. Pewnie tamten zrobił jakiś ruch w naszą stronę i dlatego Arthur tak nagle zmienił pozycję. — Ta kobieta jest teraz pod moją opieką.

Robi mi się gorąco na te słowa. Słyszę, że mówi poważnie.

— Ta kobieta pozbawiła przytomności czterech twoich ochroniarzy — przypomina mu ze złością Pike. — I mnie.

— Może to oznacza, że powinienem zatrudnić ją zamiast was.

Nie wytrzymuję, też parskam śmiechem. Cała ta wymiana zdań jest idiotyczna, a mnie nie jest zbyt wygodnie, gdy tak wiszę głową w dół. Na szczęście w następnej chwili Arthur kontynuuje wędrówkę w głąb domu; Pike jednak idzie za nami i nie przestaje marudzić.

— Nie powinienes jej ufać.

— A kto powiedział, że jej ufam? — dziwi się Arthur. Podrzuca mnie nieco, poprawiając chwyt, gdy zaczynamy wchodzić po schodach. Kręcę głową na wszystkie strony w nadziei, że grawitacja pomoże mi zrzucić worek, on jednak zaczął się gdzieś na moich włosach i nie chce

spaść. Jedynie nieco zsuwa się w dół, uwalniając moje usta. — Idź weź coś na uspokojenie, bo ci żyłka pęknie, Deacon.

— Jesteś niefrasobliwy i obaj będziemy mieć przez to kłopoty — kracze złowieszco Pike.

Boże, jak ten facet nudzi. Gęba mu się nie zamyka jak starej przekupie na targu.

— Pozwól mnie się o to martwić — brzmi protekcyjna odpowiedź Arthura. Pike prycha.

— To ja jestem twoim szefem ochrony...

— Głowa mnie już boli od tego waszego pieprzenia! — Nie wytrzymuję w końcu i podnoszę głos. — Tacy z was groźni gangsterzy, a boicie się jednej małej blondynki?! Rozumiem, dostałeś paralizatorem, to z pewnością było dramatyczne i traumatyzujące doświadczenie, ale może nie wpadaj od razu w paranoję!

Przez chwilę obaj milczą, wyraźnie zaskoczeni. W końcu Arthur odzywa się z rozbawieniem:

— Słyszałeś? Nazwała cię paranoikiem. Skąd ona tak dobrze cię zna?

Pike mamrocze coś pod nosem i kiedy schody wreszcie się kończą, a Arthur staje na moment, słyszę oddalające się kroki drugiego mężczyzny. Nareszcie.

Miałam go już serdecznie dość.

Arthur nie mówi nic więcej, gdy niesie mnie dalej, przypuszczam, że jakimś korytarzem, bo jesteśmy na tyle blisko jednej ze ścian, że czasami ocieram się o nią ramieniem. Mam ochotę powiedzieć mu, żeby mnie wreszcie postawił, ponieważ z każdą minutą krew coraz bardziej spływa mi do mózgu i za chwilę rzeczywiście będzie mnie bolała głowa, milczę jednak, zdecydowana, że wytrzymam wszystko. Nawet jeśli już nie czuję rąk.

W końcu Arthur przystaje na chwilę, po czym otwiera jakieś drzwi. Po kilku sekundach czuję, jak ściąga mnie z siebie i zanim zdążę zaprotestować, spadam i ląduję na miękkim materacu.

Worek z mojej głowy znika, a ja mrugam, usiłując przyzwycząić wzrok do światła. Rozglądam się pospiesznie i pierwszym, na co zwracam uwagę, jest pochylający się nade mną, chyba z siebie zadowolony Arthur Ashbourne.

— Mógłbyś mnie teraz uwolnić? — pytam cierpko, wskazując głową na ramiona. — Całkiem zdrętwiały mi ręce.

Pewnie umiałabym się sama oswobodzić, ale wolę, żeby on na razie o tym nie wiedział. Niech myśli, że jestem na jego łasce, przynajmniej dopóki nie zorientuję się w sytuacji i nie przekonam się, co mogę zrobić.

Arthur wyciąga z kieszeni garniturowych spodni niewielki scyzoryk i zbliża się do mnie. Siadam pospiesznie na łóżku, przez co o mało nie walę go głową w podbródek; uchyla się w ostatniej chwili. Tym razem zrobiłam to niechcący.

Sięga do moich nadgarstków i przez chwilę jego ramiona znowu mnie otaczają. Arthur przecina opaskę zaciskową i odsuwa się, zanim zdążę jakoś zareagować na jego bliskość.

Ten facet dopiero co stracił żonę, przypominam sobie znowu. Na pewno nie w głowie mu flirtowanie z tobą ani obmacywanie cię, Chance!

— Gdzie jesteś? — pytam, rozglądając się wreszcie dookoła i rozcierając ścierpnięte ręce.

Pokój jest duży i nowocześnie urządzone. Ogromne podwójne łóżko z baldachimem, na którym siedzę, stanowi w nim punkt centralny. Poza tym ustawiono tu też trochę białych mebli — szafa, komoda, toaletka pod oknem — i czarną sofę tuż przed szerokimi drzwiami tarasowymi. Cała jedna ściana jest przeszklona i wychodzi na dyskretnie oświetlony basen otoczony palmami. Z tego, co mogę zobaczyć w ciemnościach rozpraszanych światłem przy basenie, ogród kończy się w odległości wysokim murem.

W pokoju jest czworo drzwi — przez jedno z nich, obecnie niedomknięte, zapewne właśnie weszliśmy. Ciekawi mnie reszta. Może łazienka? A te drzwi obok niej? Co jeszcze?

— To osobny apartament gościnny w moim domu — wyjaśnia Arthur. — Za tymi drzwiami masz łazienkę, obok garderobę, a za tamtymi po drugiej stronie pokoju znajduje się salon.

Kiwam głową i staczam się z łóżka, ponownie rozcierając ręce, żeby przywrócić im normalne krążenie. Ruszam na obchód pomieszczeń, a Arthur przygląda mi się uważnie. Otwieram po kolei każde drzwi, by zobaczyć nowoczesną łazienkę z ogromnym prysznicem i dodatkową wanną, garderobę pełną pustych obecnie półek, a także przestronny salon z wyjściem na taras. Jesteśmy na parterze — to jedno mogę rozpoznać bez pudła. A skoro wchodziliśmy po schodach na górę, to z kolei oznacza, że dom ma podziemny parking.

— Teren jest patrolowany przez moich ludzi, więc nie próbuj uciekać. Mogą zechcieć cię zastrzelić, biorąc za intruza — dobiega mnie zza pleców lekko drwiący głos Arthura.

Odwracam się do niego i mrużę oczy.

— Nie mam pojęcia, dlaczego przyszło ci do głowy, że chciałam się stąd uciekać. Zgodziłam się przyjechać, prawda?

Nie odpowiada i ma szczęście, bo gdybym usłyszała, że zabrałby mnie niezależnie od mojej zgody, chyba znowu dostałby ode mnie w nos. Albo w klejnoty.

— Czy możemy teraz omówić, co właściwie tu robię? — pytam, opierając pięści na biodrach.

Arthur gestem zaprasza mnie do salonu. Przechodzę tam, czując za sobą jego obecność.

W pokoju królują jasne meble — biała narożna kanapa i fotele, a także stolik kawowy postawiony między nimi na puszystym, jasnym dywanie. Pasują do szarej podłogi z desek i białoszarych ścian. Na jednej z nich powieszono ogromną plazmę.

Zajmuję miejsce w fotelu i zakładam nogę na nogę, starając się wyglądać możliwie godnie pomimo faktu, że niedawno byłam niesiona na ramieniu jak pakunek, w dodatku z workiem na głowie. Zamiast usiąść na kanapie albo w drugim fotelu, Arthur siada bliżej mnie, na stoliku kawowym, i wyciąga przed siebie nogi. Gdy je nieco rozsuwa, może mnie praktycznie między nimi zamknąć.

Jego spojrzenie jest tak intensywne, że czuję się, jakbym nic na sobie nie miała.

— No dobrze — mówi. — Porozmawiajmy o tym, co możesz mi zaofiarować, Ever.

Czy tylko dla mnie zabrzmiało to dwuznacznie?

Rozdział 10

Sądząc po jego spojrzeniu, Arthur chyba oczekuje ode mnie odpowiedzi.

— Co JA mogę ci zaoferować? — pytam, unosząc brwi. — To ty mnie skrepowałeś i zaciągnąłeś do swojego domu jak jakiś jaskiniowiec.

W jego stalowoszarych oczach błyszczą satysfakcja i rozbawienie.

— Nie zrobiłem nic, na co byś mi nie pozwoliła — reaguje natychmiast. — A poza tym to ty wdaraś się do mojego gabinetu, domagając się rozmowy.

Też prawda. Nie zamierzam jednak przyznawać, że ma rację.

Naprawdę nie rozumiem, dlaczego się go nie boję. Powinnam. To gangster, prowadzi nielegalne walki i trzyma w garści zakłady bukmacherskie w całym Vegas — a kto wie, czym jeszcze na boku się zajmuje. Zabijanie ludzi to dla niego prawdopodobnie bułka z masłem. Nawet policja mnie przed nim nie obroni, skoro ma w niej znajomości wystarczające do osobistych odwiedzin u komendanta.

Mam nadzieję, że to nie moja wrodzona lekkomyślność nakazuje mi nie traktować go jak wroga, ale zdolność oceny charakterów. I że nie ma to nic wspólnego z mocnym pociągami fizycznym, który czuję, odkąd pierwszy raz na niego spojrzałam.

— Owszem, bo chciałam cię przekonać, że nie stanowią zagrożenia i nie trzeba mnie zabijać — mówię.

— Właśnie dlatego zaczęłaś mnie szantażować zdjęciami?

— Ta rozmowa trochę wymknęła się spod kontroli — przyznaję. Unoszę ręce w geście poddania. — Słuchaj, przepraszam, że wparowałam do twojego gabinetu i uszkodziłam po drodze twoich ochroniarzy. Ich też mogę przeprosić, jeśli ci na tym zależy. Ale ostatnie dni były dla mnie dość stresujące i nie widziałam innego sposobu, żeby się do ciebie dostać, a było to dosyć pilne.

— Wystarczyłoby, żebyś porozmawiała z Deaconem — odpowiada Arthur. — Wpuściłbym cię.

— Nie wiedziałam tego — wyjaśniam. — Krążą o tobie plotki, które nie przedstawiają cię jako najbardziej bezinteresownego, skłonnego do pomocy człowieka. Właściwie ludzie niewiele o tobie wiedzą.

— Bo cenię sobie prywatność. I nie jestem najbardziej bezinteresownym, skłonnym do pomocy człowiekiem, Ever.

— Więc czego oczekujesz w zamian za tę pomoc? — Marszczę brew.

Arthur niedbale wzrusza ramionami i porusza nieco nogami, aż jego łydki dotykają moich. Sztynnieję, ale udaję, że nie robi to na mnie wrażenia.

Chociaż robi. Zdecydowanie za duże. Jego twarde ciało przy moim sprawia, że mam na niego ochotę.

— Ściągają cię ci sami ludzie, którzy zabili moją żonę — przypomina mi niepotrzebnie. — Możemy upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Ja znajduję jej morderców, a ty pozbędziesz się zagrożenia. W ten sposób dopadnę ich prościej, niż gdybym miał to robić bez takiego punktu zaczepienia.

— Chcesz zrobić ze mnie przynętę?

Arthur pochyla się do przodu, opierając łokcie na udach.

— Byłabyś bardzo atrakcyjną przynętą — mówi z wilczym uśmiechem. Serce znowu podchodzi mi do gardła, staram się jednak wziąć w garść.

— O ile nie byłabym martwą atrakcyjną przynętą — ripostuję.

Łydki mężczyzny znowu ocierają się o moje, gdy Arthur obrzuca mnie leniwym spojrzeniem.

— Nie musisz się tego obawiać. Ochronię cię.

— Nie jestem przyzwyczajona do tego, że ktoś mnie chroni — protestuję. — Zawsze troszczę się o siebie sama. Pewnie dlatego stosuję zasadę ograniczonego zaufania, gdy chodzi o ludzi takich jak ty.

— Powiem ci, co zrobimy... — zaczyna.

— Och, powiesz mi?

— Zostaniesz tutaj — kontynuuje, zupełnie niezrażony moimi słowami.

— Pozwólmy tym ludziom, kimkolwiek są, miotać się i szukać cię po całym mieście. A potem zastawimy na nich pułapkę. Złapiemy kilku z nich i dowiemy się, kto ich wynajął. Do tego jednak przydadzą nam się wszystkie możliwe informacje. Co jeszcze wiesz o tej sprawie?

— Byłeś świadomy, że żona cię zdradza? — pytam, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

Arthur przez chwilę milczy i widzę, jak zaciska szczęki. Ten człowiek cały czas jest taki zwodniczo spokojny, że może oszukać większość ludzi, ale nie mnie. Pod tym spokojem czai się mnóstwo uczuć, których po prostu nie chce okazywać.

— Tak — odpowiada w końcu ku mojemu zdziwieniu. — To nie było... tradycyjne małżeństwo.

— Wiesz, z kim się wtedy spotkała? — drąży.

Arthur wzrusza ramionami.

— Nigdy się tym nie interesowałem. Nawet nie mieszkaliśmy razem, mogła robić, co chciała.

Och. Dobrze wiedzieć. To trochę zmienia moje postrzeganie sytuacji.

Arthur nie wygląda, jakby zależało mu na żonie i jakby był w żałobie po jej śmierci. Więc może to nie jest tak, że nie próbuje mnie uwodzić, bo cierpi po stracie.

— Dom wynajęto na fałszywe nazwisko — wyjaśniam. — Kimkolwiek był jej kochanek, nie chciał, żeby ktoś niepowołany poznał jego tożsamość. Myślisz, że atak mógł być wymierzony w twoją żonę czy raczej powinniśmy szukać informacji o jej kochanku?

— Myślę, że powinnaś przestać myśleć jak typowy prywatny detektyw — prycha Arthur. — Skupmy się na tych ludziach, którzy próbują cię zabić. W ten sposób dojdziemy do sprawców.

Albo i nie.

Zdecydowanie mamy inne pomysły na rozwiązanie tego problemu, ale nie będę drążyć w tej chwili tematu. Najwyżej zajmę się tym sama.

— Podaj mi adres twojego motelu — kontynuuje Arthur nieznośnym sprzeciwu tonem. — Wyślę moich ludzi po twoje rzeczy.

— Chcę tam jechać sama — odpowiadam pospiesznie.

— Naprawdę? — Kpiąco unosi brew. — Brakuje ci tego strzelania do ciebie? A może po prostu mi nie ufasz?

Oczywiście, że mu nie ufam. Nie zamierzam pozwolić mu położyć łap na aparacie. Wprawdzie nie ma tam nic cennego, ale i tak będę bronić tych zdjęć. Póki nikt nie wie, co na nich jest, mogę blefować i udawać, że posiadam coś, co może pomóc kogoś udupić.

Nie odpowiadam, niech wyciągnie własne wnioski.

Usta Arthura rozciągają się w leniwym uśmiechu, gdy jeszcze bardziej zsuwa nogi, napierając na moje. Jego kolana dotykają moich ud, a gdy przesuwają je nieco, wodząc po mojej skórze, odczuwam to jak pieszczotę. Wystarczy moment, żebyśmy znowu zrobiła się podniecona.

Ten facet chyba jednak mnie uwodził! I robi to w absolutnie pewny siebie sposób, jakby wiedział, że żadna kobieta mu się nie oprze. Nie wiem dlaczego, ale mam ochotę mu pozwolić się uwieść, mimo że poznałam go parę godzin temu.

Iskrzy między nam. Co mogę na to poradzić?

— Dobrze. — Przechyliła się jeszcze bardziej do przodu, kładąc dłoń na moich kolanach. Wodzi po nich pieścizotliwie, po czym obejmuje od zewnętrznej strony; jego długie palce sięgają aż do moich nągich ud. Walczę o oddech, bo mam wrażenie, że za chwilę się uduszę. — Pojedziesz tam, ale z moimi ludźmi i ze mną. Chcę cię mieć na oku. Widzę po twojej minie, że coś kombinujesz, i lepiej, żebyś nie próbowała mnie oszukać, Ever. Bardzo tego nie lubię.

Nie podoba mi się takie rozwiązanie i okazuję mu to dobitnie, krzywiąc się. To z kolei zdaje się go bardzo cieszyć.

— Skoro ani ty, ani ja nie jesteśmy zadowoleni z tego rozwiązania, to znaczy, że kompromis się udał — mówi Arthur, po czym odsuwa się ode mnie i wstaje. Wciągam głęboko powietrze, czując irracjonalny żal, że już mnie nie dotyka. — Ustalmy parę zasad obowiązujących w tym domu, Ever. Dla twojego bezpieczeństwa korytarz będzie patrolował jeden z moich ludzi. Jeśli będziesz chciała się czegoś napić albo coś zjeść, zwróć się z tym do niego. Masz do dyspozycji salon, sypialnię i łazienkę, możesz też wyjść na taras, jeśli masz ochotę. Nie lubię, jak po domu kręcą mi się obcy, a moi ludzie robią się bardzo nerwowi, kiedy kogoś takiego przyłapią, więc lepiej tego nie próbuj.

— Czy ja jestem więźniem? — Posyłam mu wyzywające spojrzenie. Wstaję z fotela, a Arthur obrzuca mnie gorącym spojrzeniem.

Czuję się pewniej, kiedy oboje stoimy, nawet jeśli on wciąż jest ode mnie sporo wyższy. Odpina guziki przy mankietach koszuli i podwija rękawy do łokci, dzięki czemu mogę obserwować jego umięśnione, lekko opalone przedramiona.

A to naprawdę przyjemny widok.

— Jeśli tak chcesz to nazywać — komentuje lekko. — Powiedzmy, że jesteś w chwilowej niewoli. Dla twojego własnego dobra.

— Nie lubię, jak mi się rozkazuje — przypominam mu. — I jak ogranicza się moją wolność.

— Ciekawe, co zamierzasz z tym zrobić. — Jego kolejny uśmiech jest bardzo protekcyjalny.

Prycham z lekceważeniem.

— Ciekawi mnie raczej, co ty zamierzasz zrobić. Chcesz mnie przywiązać do łóżka, żeby się upewnić, że w nim zostanę?

— Na razie nie. — Czy tylko dla mnie jego słowa brzmią dwuznacznie? — Ale nie chcesz testować mojej cierpliwości, Everly.

Moje pełne imię w jego ustach brzmi dziwnie miękko. Nie jestem do tego przyzwyczajona.

Muszę wziąć się w garść.

— Zobaczmy. — Może i przyjechałam do niego z własnej woli, ale to nie znaczy, że zgodzę się na ograniczanie mojej wolności. Lepiej, żeby o tym wiedział. — A teraz, jeśli oczywiście pozwolisz, chciałabym trochę odpocząć.

Wymijam go, zamierzając wrócić do sypialni, bo kusi mnie ten ogromny prysznic w łazience, nie zdążam jednak dojść nawet do drzwi, gdy przyciągają mnie do siebie silne ramiona Arthura. Uderzam plecami w jego klatkę piersiową; mężczyzna rozpościera dłonie na mojej tali, aż jego palce dotykają mojego brzucha, a kciuki wędrują pod wyścieg sukienki.

Kurczę, następnym razem koniecznie muszę znaleźć dla siebie inne ciuchy.

— Mówię poważnie. Nie próbuj stąd uciekać, Everly — szepcze do mojego ucha. — Uwierz mi: wolisz ukrywać się przed tymi ludźmi, którzy próbują cię zabić, niż przede mną. I tak cię znajdę.

Z trudem przetykam ślinę. To brzmi jak ostrzeżenie albo wręcz groźba. I wcale mi się nie podoba.

— A jeśli jednak spróbujesz, cóż... Lubię dobrą pogoń — dodaje. Jego głos jest chrapliwy i wywołuje dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa. Gdy Arthur przyciska do mnie biodra, trzymając mnie cały czas za brzuch i nie pozwalając się odsunąć, stwierdzam z oszołomieniem, że jest podniecony. — Ale ta zabawa będzie lepsza dla mnie niż dla ciebie.

Puszcza mnie bez oporów, kiedy próbuję mu się wyrwać. Odwracam się do niego przodem i patrzę, jak uśmiecha się leniwie, wkładając dłonie do kieszeni spodni. Ciekawe, jak ciasno obecnie tam ma.

— Myślę, że jeszcze nie skończyłeś mnie gonić — stwierdzam, ale nie czekam na jego odpowiedź, tylko ponownie się odwracam i idę w stronę sypialni. Arthur się nie odzywa, więc mogę bez przeszkód trzasnąć drzwiami i odgrodzić się od niego.

Rozglądam się po pomieszczeniu, zastanawiając się, co dalej. Jestem zmęczona, obolała po uderzeniu plecami w ścianę i czuję się brudna, marzę więc o prysznicu i łóżku. Problem w tym, że nie mam się w co przebrać. Nie mam przy sobie niczego, nie mogę zadzwonić do Malcolma i powiadomić go, że wszystko ze mną w porządku, w dodatku nadal nie wiem, gdzie dokładnie się znajduję.

Wzdycham i ruszam w kierunku łazienki. Po kolei.

Zacznę od najprostszych rzeczy.

Jestem już po długim, gorącym prysznicu, gdy ktoś puka do drzwi prowadzących na korytarz.

Mam na sobie tylko ręcznik, który nie osłania zbyt wiele, jednak nie zamierzam się tym przejmować. Kiedy otwieram, w progu stoi nieznan mi facet — wysoki i dobrze zbudowany, w czarnej obcisłej koszulce i bojówkach.

W rękach trzyma tacę wypełnioną jedzeniem i kawałek jakiegoś szarego materiału. Uśmiecham się do niego promiennie, gdy jego wzrok zsuwa się wzdłuż mojego ciała w dół aż do odkrytych nóg.

— To dla mnie? — pytam z entuzjazmem. Drab mamrocze pod nosem potwierdzenie. — Dziękuję. To naprawdę miłe, że o mnie myślicie. Wejdziesz?

Mężczyzna kręci głową.

— Mam pilnować pani z korytarza — odpowiada, wskazując głową wyznaczone mu miejsce. — Arthur kazał panią nakarmić i przynieść pani coś do ubrania. To tylko koszulka, ale do spania powinna wystarczyć.

— Faktycznie, będzie lepsza niż ręcznik. — Odbieram od niego wszystkie przedmioty. — Naprawdę dziękuję. I proszę, mógłbyś mówić mi po imieniu? Jestem Everly.

— To dziwne imię — odpowiada. — Bane.

— To dopiero dziwne imię. — Posyłam mu kolejny uśmiech. — Miło mi cię poznać, Bane. Będziesz tutaj też rano?

Poważnie kiwa głową, po czym cofa się o krok, za drzwi. Wiem, kiedy odpuścić, dlatego nie nalegam.

— To super, dobrze wiedzieć, że ktoś mnie pilnuje. — Puszczam do niego oko. — Jeszcze raz dziękuję. Dobranoc.

Zamykam drzwi, kiedy tylko odmrukuje coś niewyraźnie, po czym kładę tacę na stoliku obok łóżka i oglądam koszulkę.

Lepiej, żeby ten ochroniarz za drzwiami nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo miałam ochotę go znokautować i uciec, choćby z przekory. Wiem jednak, że to nie byłoby mądre. Po pierwsze, mam na sobie tylko rękawiczki. Po drugie, nie chcę robić takiego poruszenia jak w Camelocie. Po trzecie, myślę, że zyskanie sobie sympatii ochroniarza może mi w przyszłości przynieść korzyści.

Przebieram się pospiesznie, stwierdzając, że T-shirt, który mi przyniesiono, jest za duży o jakieś dziesięć rozmiarów. Ale to dobrze, bo sięga mi prawie do kolan i dzięki temu nie muszę się kłopotać bielizną. Odrzucam na plecy wilgotne włosy i biorę się za jedzenie, wdychając równocześnie zapach unoszący się dookoła mnie.

Czuję proszek do prania, ale nie tylko. Obok niego wyczuwam też słaby, ale znajomy korzenny aromat. Tak jakby T-shirt leżał w tym samym miejscu co inne, w których ktoś już chodził.

To koszulka Arthura.

Nie wiem, czy to powinno robić na mnie wrażenie, ale tak właśnie jest. Potrzebuję chwili, żeby się skupić na jedzeniu — zajmuję się nim dopiero, gdy mój żołądek wydaje z siebie głośnie burczenie.

Rzucam się na posiłek i równocześnie odkręcam butelkę soku pomarańczowego stojącą na tacy. Od piwa w klubie niczego nie piłam i nawet nie pamiętam, co ostatnio jadłam. Pożeram wszystkie przygotowane kanapki i pół tabliczki czekolady, by wreszcie poczuć się cudownie pełna. Wypijam resztkę soku i rozciągam się na łóżku, by przemyśleć swoją sytuację.

Chyba pierwszy raz będę spać w takim miejscu. Moje noclegi poza własnym lokum obejmowały zazwyczaj obskurne motele albo wnętrza samochodu. Tym razem znalazłam się w luksusowym domu, będącym w dodatku siedzibą gangstera. Luksus nie robi na mnie wrażenia — jest wygodny, ale obeszląbym się bez tego. Dużo większe wrażenie robi na mnie właściciel tego miejsca.

Z tego wszystkiego zapomniałam go zapytać, czy to on mnie wynajął. Ta kwestia wciąż nie daje mi spokoju. To znaczy oczywiście jest ich dużo więcej, ale ta wydaje mi się najprostszą do wyjaśnienia.

Podnoszę się i na bosaka podchodzę do drzwi, po czym przykładam do nich ucho. Słyszę powolne kroki przemierzającego korytarz ochroniarza — jakby nie mógł usiąść w miejscu na tyłku. Może się boi, że wtedy zaśnie.

Chciałabym wiedzieć, gdzie dokładnie jestem i jak w razie konieczności uciec z tego miejsca, tylko że tymi drzwiami nie wydostanę się na zewnątrz. Przechodzę więc do salonu i tam powtarzam operację, znowu przystawiając ucho do drzwi. Ponownie słyszę kroki ochroniarza — chyba wszystkie drzwi wychodzą na ten sam korytarz.

Odwracam się niezadowolona i mój wzrok pada na wyjście na taras. Wiem, że to głupi pomysł, ale znam siebie wystarczająco, by rozumieć, że i tak to zrobię. Walka nie ma sensu.

Otwieram przesuwne drzwi i na chwilę staję w progu, nasłuchując dźwięków z zewnątrz. Prawie nie słyszę ruchu samochodowego — tylko nieliczne odgłosy wydawane przez owady i buczenie jakiegoś narzędzia, może akumulatora. Na zewnątrz jest ciemno, cicho i spokojnie, a poza tym trochę chłodno. Mam gęsią skórkę, kiedy dociera do mnie pierwszy mocniejszy podmuch wiatru.

Nadal jestem boso i w samej koszulce bez bielizny, ale to mnie nie zatrzymuje. Ostrożnie wychodzę na zewnątrz i czujnie rozglądam się dookoła. Nigdzie nie widzę żywego ducha.

Najwyższy czas trochę powiedzieć.

Rozdział 11

Przesuwam się ostrożnie wzdłuż ściany budynku, co kilka kroków wypatrując ewentualnego zagrożenia.

Taras ciągnie się wzdłuż domu, cały czas idę więc po marmurowych kafelkach, dzięki czemu nie przeszkadza mi, że jestem boso. Rozglądam się wokół — właściwie nie wiem, czego szukam, z pewnością czegoś, co da mi przewagę i pozwoli w razie konieczności wymknąć się niepostrzeżenie z tego miejsca.

„Niepostrzeżenie” uważam za opcjonalne.

Ogród wokół domu jest duży, zaskakująco zielony jak na klimat Nevady i miejscami oświetlony reflektorami i lampami solarnymi. To naprawdę ładne miejsce i gdyby sytuacja była inna, pewnie chętnie spędziłabym tu trochę czasu. Na razie idę wzdłuż brzegu basenu, aż docieram do bardziej zacienionej części ogrodu. Gdy nie dostrzegam nikogo w zasięgu wzroku, odrywam się od ściany domu i biegnę pochylona w kierunku otaczającego posiadłość muru.

Kiedy wreszcie do niego dopadam, znowu spojrzeniem przeczesuję okolicę i widzę nadchodzącego powolnym krokiem ochroniarza. Znajduję dla siebie możliwie ciemne miejsce przy murze i zastygam, patrząc, jak mężczyzna obchodzi dookoła dom. Przyszedł z lewej strony, prawdopodobnie od przodu posiadłości, i właśnie tam chciałabym się dostać. Musiałam jednak najpierw zbadać potencjalną drogę ucieczki.

Przyglądam się murowi, pod którym stoję. Jest tak wysoki, że nie dałabym rady się na niego wspiąć bez dodatkowego wyposażenia. Powierzchnia pod moją dłońią jest gładka, bez miejsca na oparcie dla stóp ani na wbicie czegokolwiek, czym mogłabym się podeprzeć. Nie wyobrażam sobie, czego potrzebowałabym, żeby tędy uciec. Sprzętu do wspinaczki?

Powoli idę wzdłuż muru, nie spuszczać wzroku z ochroniarza, który na szczęście w ogóle nie patrzy w moją stronę. Kiedy znika za załomem

budynku, przebiegam z powrotem pod dom, zastanawiając się mimochodem, czy są tu kamery. To w sumie normalna sprawa w przypadku takich ludzi jak Arthur Ashbourne. Czy to znaczy, że ktoś ma teraz niezły ubaw, patrząc, jak śmigam po ogrodzie w samej koszulce?

Wątpię. Pewnie natychmiast by mnie zgarnęli i odeskortowali do apartamentu gościnnego.

Zaglądam ostrożnie za róg i kiedy nie widzę tam niebezpieczeństwa, powoli stawiam krok do przodu. Znajduję się przy głównym wejściu oświetlonym lampą — i dzięki temu dostrzegam kamerę nad drzwiami.

Zatrzymuję się i oceniam sytuację. Fasada domu jest duża, wejście przeszkłone i podwójne, a przed nim rozciąga się spory podjazd. Nie widzę nigdzie wjazdu na podziemny parking, być może znajduje się po innej stronie. Droga dla samochodów prowadzi gdzieś w bok, może za dom, a z drugiej strony kończy się masywną, zamkniętą na cztery spusty bramą. Co za jebana forteca.

Gdzie my właściwie jesteśmy? Gdzie w odległości pół godziny drogi od centrum Vegas może się znajdować takie miejsce, skąd w dodatku w ogóle nie słychać ruchu ulicznego? Ten facet mieszka na pustyni czy jak?

Kamera jest ustawiona bezpośrednio na wejście, obraca się jednak, próbuję więc odgadnąć, jaki ma zasięg. Najwyżej dwa, może trzy kroki w stronę fasady domu i powinnam znaleźć się na nagraniu, oczywiście jeśli będzie akurat zwrócona w moją stronę. Na poziomie pierwszego piętra przez całą długość budynku biegnie łączony balkon, z którego może udałoby mi się dostać do środka, gdybym tylko dała radę na niego wejść.

Czekam, aż kamera zacznie się obracać w drugą stronę, po czym ruszam. Chwytam za barierki balkonu nade mną, odpycham się nogą od ściany i podciągam się, chociaż mięśnie protestują przeciwko takiemu wysiłkowi. Przez chwilę majtam nogami w powietrzu i jestem przekonana, że nic z tego nie wyjdzie, ale wtedy udaje mi się podciągnąć wystarczająco i położyć łokieć na skraju balkonu. Opieram na nim ciężar ciała i zarzucam na balkon jedną nogę. Potem już idzie prościej.

Ciężko dyszę, gdy wreszcie udaje mi się stanąć, przekroczyć barierkę i znaleźć się na balkonie. Dobrze, że jestem sama, bo gdybym miała jakieś towarzystwo na dole, z pewnością miałoby świetny widok na moją cipkę. Odruchowo poprawiam koszulkę i dopiero po chwili ruszam dalej.

Pierwsze drzwi, za których klamkę chwytam, okazują się zamknięte. Tłumię rozczarowanie i idę do kolejnych; tam mam już więcej szczęścia.

Otwieram ostrożnie drzwi, za którymi znajduje się coś w rodzaju ogromnego salonu. Jest pewnie rozmiarów całego parteru w domu Cole'a. Podzielony na kilka stref wypoczynkowych, nawet w panujących ciemnościach wydaje mi się luksusowy. Na szczęście jest też pusty. Spoglądam na sufit, szukając kamer, ale żadnych nie dostrzegam.

Przemykam do przodu, chowając się za kolejnymi meblami. Otwarte przejście prowadzi ze strefy wypoczynkowej na dwa szerokie korytarze; w obu znajduje się kilka kolejnych drzwi, w jednym jednak brakuje kamer, w drugim natomiast dwie wiszą pod sufitem. To jasne, że ten drugi wydaje mi się bardziej atrakcyjny. Waham się.

Pozwolić się przyłapać, ale wcześniej znaleźć być może coś ciekawego, czy raczej dać sobie spokój i wrócić tą samą drogą, którą przyszłam?

Dać sobie spokój? Jakbym kiedykolwiek to potrafiła.

Przemykam korytarzem i dopadam do pierwszych drzwi. Łazienka, nic ciekawego. Zamykam i podchodzę do następnych.

W półmroku widzę wysokie półki wypełnione książkami. Biblioteka? Wślizguję się do środka, żeby trochę tam powęszyć. Właściwie nie wiem, co zamierzam znaleźć, ale kręci mnie fakt, że robię coś, czego nie powinnam. Chyba jednak nie jestem do końca normalna.

Szarpię za włącznik stojącej lampy i rozglądam się dookoła. Znajduje się tu mnóstwo regałów z książkami — to naprawdę cudowny widok. Poza tym w pomieszczeniu stoją też dwa duże fotele i stolik między nimi. Chociaż już wiem, że raczej nie znajdę tu nic interesującego, i tak podchodzę bliżej do regałów i zaczynam odczytywać kolejne tytuły — z czystej ciekawości. Chcę wiedzieć, co czyta człowiek, który na co dzień zajmuje się nielegalnymi walkami i zakładami bukmacherskimi.

To głównie klasyka literatury pięknej. Nie spodziewałabym się takiego wyboru po Arthurze Ashbournie, ale to przydatna informacja. Ten facet to nie tylko zagadka, którą chciałam rozwiązać, ale też masa sprzeczności.

Wyciągam nawet kilka tomów, ale ostatecznie nie ma w tym nic ciekawego. Wobec tego wyłączam lampę, czekam chwilę, aż wzrok przyzwyczai się na powrót do ciemności, po czym ruszam z powrotem na korytarz.

W ostatniej chwili przysmykam drzwi, gdy słyszę kroki na korytarzu niedaleko. Przeczekuję, aż ucichną, po czym wślizguję się z biblioteki i idę do kolejnego pomieszczenia.

To coś w rodzaju gabinetu. Pokój tonie w ciemnościach, gdy wchodzę głębiej, zauważając majaczące w mroku zarysy biurka i dużego fotela ustawionego przy tarasowych przeszkłonych drzwiach, przez które wpada odrobina światła z lampy przed wejściem. Jest tu również kącik z meblami wypoczynkowymi, ale nie poświęcam mu wiele uwagi, podchodząc od razu do biurka. Ciekawe, co mogłabym znaleźć w środku — oczywiście zakładając, że nie jest pozamykane na klucz.

Gdybym miała spinkę do włosów, poradziłabym sobie i z tym, ale obecnie niewiele jestem w stanie zdziałać...

Chcę krzyknąć, gdy ktoś nagle szarpie mnie do tyłu, ale wtedy silna ręka zasłania mi usta. Zderzam się plecami z czymś twardszym, reaguję więc instynktownie: odchylam mocno głowę, uderzając tyłem głowy w twarz napastnika. Słyszę stłumione przekleństwo i wiem już, kto mnie złapał. To jednak nie sprawia, że przestaję się wrywać, przeciwnie: próbuję uderzyć łokciem między żebra, a kiedy mi się to nie udaje, zaplatam nogę wokół łydki Arthura i szarpie mocno.

Z kolejnym przekleństwem mężczyzna traci równowagę, ponieważ jednak cały czas mnie trzyma, ja również upadam na podłogę. Odpycham się od niego i odsuwam pospiesznie, ale jest szybki i dopada mnie po zaledwie paru sekundach. Czuję szarpnięcie, gdy chwytą mnie za biodra, tracę równowagę i lecę na deski, aż uderzam w nie szczęką i dzwonią mi zęby.

Odwracam się na plecy i kopię mocno, na oślep, a moja stopa spotyka się z klatką piersiową mężczyzny. Ekspłduje w niej ból i jest to ostatnie uderzenie, jakie udaje mi się wykonać; zaraz potem Arthur opada na mnie całym ciężarem ciała, przygważdżając mnie biodrami do podłogi.

Próbuję się oswobodzić, ale jest ciężki i zdecydowany, by utrzymać mnie w miejscu. Sięgam dłońmi do jego twarzy, żeby wydrapać mu oczy, w ostatniej chwili uchyla się jednak i łapie moje nadgarstki, po czym odsuwa je na bok. Wciąż z nim walczę, ale jest ode mnie dużo silniejszy i bez problemu unieruchamia mi ręce na podłodze. Szarpie biodrami, na co jego uścisk tylko się wzmacnia.

— Przestań walczyć — syczy ze złością. — Jestem od ciebie silniejszy i dwa razy większy. Mógłbym złamać cię jak gałązkę, gdybym tylko chciał.

Zamieram, może dlatego, że zostały we mnie jeszcze resztki instynktu samozachowawczego. Arthur obniża się nieco, aż jego pachnący miętą oddech omiata moją twarz.

— Co tu robisz? — pyta.

Posyłam mu bezczelne spojrzenie, ale nie wiem, czy cokolwiek widzi w ciemnościach panujących w pokoju.

— Chciałam trochę pozwiedzać.

— Zapytam inaczej — cedzi przez zęby. — Jak tu weszłaś? Jak ominęłaś ochroniarza? Przysięgam, Bane za to zapłaci...

— To nie jego wina — przerywam mu pospiesznie. — Wyszedłam przez ogród.

— A potem co, włamałaś się do domu? — dopowiada ironicznie. — Wszystkie drzwi na parterze były pozamykane.

— Wspięłam się na balkon i znalazłam otwarte przejście na piętrze — wyznaję.

Arthur przez chwilę milczy, jednak uścisk na moim ciele nie słabnie. To trochę niekomfortowa sytuacja, zwłaszcza że mam na sobie tylko jego koszulkę, która znajduje się już zdecydowanie za wysoko na moich udach, jak mi się wydaje. Czekam jednak, bo nawet ja wiem, że lwa można drażnić tylko do pewnego momentu.

On jednak robi coś, co sprawia, że serce podchodzi mi do gardła. Podciąga moje ramiona, aż leżą na podłodze nad moją głową, chwytając oba nadgarstki jedną ręką, po czym zsuwa drugą dłoń do mojej szyi, którą lekko ścisną. Nie dość mocno, by było to bolesne albo uciążliwe, ale dość, żebym wiedziała, że mogłoby takie być. Serce wali mi jak szalone, gdy wpatruję się w niego w ciemnościach gabinetu. Dłoń na mojej szyi sprawia, że muszę nieco podnieść głowę.

— Powinienem był umieścić cię w celi w piwnicy — mruczy Arthur, na co unoszę brwi.

— Masz cele w piwnicy?

— Chcesz się przekonać? — W jego głosie słyszę drwinę.

Odruchowo kręcę głową. Arthur wydaje z siebie ciche westchnienie.

— Szkoda. To mogłoby być ekscytujące doświadczenie.

Pochyliła się jeszcze bardziej; jest już tak blisko, że niemal dotyka mnie nosem. Pewnie byłoby dobrze, gdyby trochę się odsunął.

Kolanem rozszerza mi nogi i jest to tak erotyczny ruch, że aż gwałtownie wciągam powietrze. Jego udo naciska na moją prawie niczym nieosłoniętą cipkę i sama nie wiem, czy go za to nienawidzić, czy błagać o więcej.

Jego nos w końcu łączy się z moim, po czym zsuwa się w dół twarzy do szczęki i szyi. Wstrzymuję oddech, bo nawet tak lekki dotyk sprawia, że moja krew zaczyna wrzeć. Gorący oddech Arthura owiewa moją twarz, a potem nagle wszystko wydarza się błyskawicznie.

Dłonie mężczyzny chwytają mnie w pasie i gdy Arthur wstaje, ciągnie mnie za sobą. Nie wystarcza mu jednak, że stoję na nogach; ponownie zarzuca mnie sobie na ramię i maszeruje do wyjścia z gabinetu.

— Co ty robisz?! Oszalałeś?! — Zaczynam się szarpać, lecz gdy tylko koszulka podjeżdża mi wyżej na ciele, zastygam. Biję Arthura pięściami w plecy, ale on tylko się śmieje i sięga do koszulki, po czym obciąża ją niżej. Powinno mnie to pewnie uspokoić, gdyby w następnej chwili nie wsunął pod nią dłoni i nie położył jej na moim nagim pośladku, żeby przytrzymać mnie mocniej. — Przestań mnie obmacywać, zboczeńcu!

W odpowiedzi tylko szczypie mnie w pośladek, a gdy piszczę, on znowu parska śmiechem. Wygląda na to, że wcale nie jest wściekły z powodu mojego wyskoku — raczej dobrze się bawi.

Co za palant.

Na korytarzu na szczęście jest ciemno i pusto — gdybyśmy minęli kolejnych ochroniarzy, spaliłabym się ze wstydu. Poznaję z grubsza rozkład pomieszczeń, kiedy Arthur dociera do schodów prowadzących na parter, a potem wraca korytarzem do gościnnego apartamentu.

Dopiero tam spotykamy ochroniarza — to Bane, który na nasz widok ze zdumienia wybałusza oczy.

— Ja... Jak... — jąka się, lecz Arthur przerywa mu surowo:

— Jeszcze raz opuści pokój bez mojego pozwolenia i będziesz miał twarz upiękkszoną złamanym nosem. Czy to jasne?

Ochroniarz mamrocze coś pod nosem, jednak Arthur nie czeka na jego wyjaśnienia, tylko otwiera drzwi do mojej sypialni i wchodzi do środka. Już po chwili znowu rzuca mnie na łóżko, a ja odbijam się od materaca i natychmiast przekręcam, żeby usiąść.

W sypialni nadal świeci się stojąca lampa przy łóżku i w jej blasku mogę dostrzec wreszcie twarz mężczyzny. Ma zmarszczone brwi i zaciśnięte usta, co jednak sprawia, że wydaje mi się tylko bardziej ekscytujący.

Zawsze miałam słabość do złych chłopców i nic nie byłam w stanie na to poradzić. Spotykałam się z paroma facetami prowadzącymi nie do końca legalne interesy, ale na większości i tak nie mogłam polegać.

Arthur to zupełnie inny rodzaj mężczyzny i aż mnie ściska w dołku, kiedy na niego patrzę. To silniejsze ode mnie.

— Jeśli jeszcze raz spróbujesz czegoś takiego, przykuję cię do łóżka — warczy, podchodząc krok bliżej. — To przestanie być zabawne, kiedy zachce ci się iść do łazienki.

— Chciałam się tylko zorientować, gdzie jestem. — Robię niewinną minę i wzruszam ramionami. — Nie miałam złych zamiarów. Nie chcę cię szpiegować ani nic takiego. Nudziłam się.

— To najgłupsza wymówka, jaką mogłaś wymyślić — prycha, po czym spuszcza wzrok na moje stopy. — Biegałaś po ogrodzie boso?

— Mam tylko jedną parę butów i sukienkę — przypominam mu z irytacją.

To sprawia, że przesuwa spojrzeniem po całej mojej postaci, by w końcu ponownie popatrzeć mi w oczy.

— I mój T-shirt, w którym bardzo ci do twarzy. — Jego usta wyginają się w kolejnym uśmiechu. Wygląda na zadowolonego z siebie. — Zanim wyjedziemy rano, poproszę kogoś o kupienie ci ubrań na zmianę.

— Nie musisz...

— Będziesz wzbudzała zainteresowanie w wieczorowej kiece — wchodzi mi w słowo. — To nie podlega dyskusji. A jeśli chciałaś pozwiedzać, wystarczyło mnie poprosić. Mogę oprowadzić cię jutro po całym domu.

To może być ciekawe.

— Albo mogę znowu cię ścigać, jak wolisz — dodaje. — Tylko ostrzegam, że następnym razem konsekwencje będą większego kalibru. Kiedy już ścigam kobietę i w końcu ją łapię, lubię ją potem mocno zerznąć.

Mimowolnie rozchyłam usta, jednak ton głosu Arthura nie sugeruje, że mężczyzna żartował. Wobec tego po chwili uśmiecham się leniwie.

— Naprawdę musisz z tym czekać do następnego razu?

Oczy mężczyzny zwężają się, gdy patrzy na mnie natarczywie, w milczeniu. Nie sądziłam, że moje słowa zrobią na nim jakieś wrażenie, ale po zmieniającej się w sypialni atmosferze zgaduję, że się myślę. Arthur obrzuca mnie kolejnym żarliwym spojrzeniem i wydaje mi się, że staję przez nie w płomieniach. Robi mi się gorąco nawet w samym T-shircie i mimo włączonej klimatyzacji.

Zdarzało mi się uprawiać seks bez zobowiązań, ale pierwszy raz proponuję go facetowi, którego nie znam nawet doby. Sama nie wiem, co o tym

myśleć. Czy na pewno wszystko ze mną w porządku? Może uderzyłam się w głowę podczas upadku ze schodów w motelu? A może po prostu to moja reakcja na stres?

W końcu Arthur robi krok do tyłu i napięcie między nami nieco się zmniejsza. Strasznie mnie to frustruje.

— Przeżyłaś kilka naprawdę stresujących dni — mówi lekko zachrypniętym głosem. — Powinnaś odpocząć. Jutro zastanowimy się, co dalej.

Nie wiem, czy ma na myśli nas, czy morderców swojej żony, ale nie precyzuje tego, gdy odwraca się na pięcie, by odejść. Nie wierzę, że to robi. Przecież mnie chce, widziałam to i czułam bardzo wyraźnie, a praktycznie sama mu się zaoferowałam. Co to za człowiek?!

I dlaczego to ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie?

— Nie karz Bane'a — proszę, kiedy już otwiera drzwi. — Był tu cały czas i to nie jego wina, że uciekłam.

Arthur kiwa głową, przyglądając mi się z namysłem.

— Więc następnym razem to będzie twoja wina, jeśli zostanie ukarany po twojej kolejnej ucieczce — odpowiada, po czym wychodzi.

Pozyskiwanie sobie przyjaźni ochroniarza słabo mi idzie. Chyba właśnie straciłam kilka punktów.

Wzdycham, gdy Arthur zamyka za sobą drzwi, i opadam na poduszki. Jestem podekscytowana i nieco podniecona, ale w jednym ten facet miał rację. Muszę odpocząć.

Problemem mojej frustracji seksualnej zajmę się później.

Rozdział 12

Rano budzi mnie ochroniarz z kolejną tacą z jedzeniem i torbą z nowymi ubraniami.

Uśmiecham się do niego, biorąc przyniesione przedmioty; Bane jednak nie odpowiada tym samym, a gdy patrzę w jego poważną twarz, widzę, że ma zaczerwienione lewe oko. Pewnie niedługo pojawi się tam piękny siniak.

— Arthur ci to zrobił? — pytam ponuro.

Bane wzrusza ramionami.

— Zasłużyłem.

— To była moja wina. — Cofam się, żeby odłożyć tacę i resztę rzeczy, po czym wracam do ochroniarza. — Przepraszam. Naprawdę nie chciałam, żebyś miał przeze mnie kłopoty.

— Wiem. — Dopiero wtedy się do mnie uśmiecha. — Nic się nie stało. To tylko lekkie uderzenie. Trochę poboli i przejdzie.

Arthur jest sprytny, myślę, robiąc krok do przodu, żeby przyjrzeć się oku ochroniarza. Nie próbuje karać mnie bezpośrednio, za to upewnia się, że będę wiedzieć, iż za każdy mój wyskok komuś się dostanie. Nawet ja, chociaż nie mam silnie rozwiniętego kompasu moralnego, czuję się z tego powodu trochę winna.

Bane pozwala obejrzeć sobie oko, ale stanowczo protestuje, gdy sugeruję, żeby sobie coś do niego przyłożył, na przykład lód. Powtarza tylko, że to nic takiego, i wkrótce potem zostawia mnie w sypialni samą.

Z westchnieniem wracam do tacy. Chwytam zachłannie filiżankę z kawą — jest jeszcze gorąca i cudownie mocna — i upijam duży łyk, po czym sięgam po tost i konfiturę pomarańczową. Biorę kęs i drugi, a potem interesuję się torbą z ubraniami.

Spodziewałam się czegoś dziwnego, w czym byłoby mi niewygodnie, ale w środku znajduję całkiem normalne ciuchy — szerokie granatowe

spodnie do kostki i czerwoną obcisłą koszulkę. Na dnie torby znajdują się też białe conversy i... bielizna.

Przyglądam się jej przez moment z lekkim zmieszaniem. Nie noszę czegoś takiego. Zazwyczaj ograniczam się do prostych szortów i sportowych staników, bo w tym jest mi najwygodniej, zwłaszcza gdy mam w planach aktywności fizyczne. Natomiast biustonosz i majtki, które mam przed sobą, są koronkowe i w pięknym kolorze głębokiej czerwieni. Na oko wydają się w odpowiednim rozmiarze.

Najchętniej rzuciłabym je w kąt, ale nie mam chyba innego wyjścia i muszę to założyć. Kończę śniadanie, a potem się ubieram. Gdy jestem już gotowa, przeglądam się w lustrze wiszącym na ścianie. Wyglądam dobrze. Zaskakująco dobrze. Ciekawe, czy to Arthur podał rozmiary komuś, kto kupował ubrania — jeśli tak, to ma do tego oko.

Gdy słyszę pukanie do drzwi, jestem przygotowana do wyjścia. Otwieram, a w progu widzę Arthura.

Obrzuca mnie uważnym, zadowolonym spojrzeniem. Sam jest ubrany nieco mniej oficjalnie niż wczoraj — ma ciemne dżinsy i wpuszczoną w nie szarą koszulę. Wygląda całkiem niezłe.

— Mam nadzieję, że rzeczy ci się podobają — mówi, powracając wzrokiem do mojej twarzy.

Uśmiecham się oszczędnie.

— Tak, bardzo dziękuję. Nie wiem, kto je wybierał, ale prawie trafił z rozmiarówką.

— Obawiam się, że to moja sprawka — odpowiada i nie wiem, czy się z tego cieszyć, pamiętając, jaką mam na sobie bieliznę. — Prawie?

— Lepiej ci idzie zgadywanie rozmiaru stanika niż butów — wyjaśniam złośliwie. — Są trochę za duże, ale dadzą radę.

Wymijam go i wychodzę na korytarz, nie czekając na odpowiedź.

Niestety nie odchodzę zbyt daleko. Ledwie przejdę kilka kroków, Arthur łapie mnie za ramię i do siebie przyciąga. Mam ochotę go uderzyć, ale ostatecznie postanawiam zostawić sobie tę przyjemność na później.

Chwyta mnie za kark i odwraca do siebie przodem; w jego podniesionej dłoni kołysze się czarny, aksamitny kawałek materiału.

— Chyba sobie żartujesz — prychem.

Unosi brew.

— Wolisz jutowy worek?

— Wolałabym wiedzieć, ile kobiet miało to na sobie przede mną — odpowiadam złośliwie.

Arthur uśmiecha się leniwie.

— Czyżbyś była zazdrosna, Ever?

— Goń się — mamrocze, ale pozwalam mu założyć mi na oczy tę pieprzoną opaskę.

Już po chwili znowu nic nie widzę. Ekstra. Chwieję się, gdy Arthur chwytam mnie za ramiona, i po chwili czuję jego gorący oddech na uchu.

— Kupiłem ją specjalnie dla ciebie — informuje mnie chrapliwym głosem, co sprawia, że serce podskakuje mi do gardła.

— Ciekawe kiedy — mówię z przekąsem, chociaż skoro miał czas na skombinowanie mi ciuchów, to pewnie i na to. — Jeszcze wczoraj wieczorem nie miałeś pojęcia o moim istnieniu.

— Czyżby? — pyta z rozbawieniem, po czym odsuwa się, bierze mnie za ramię i prowadzi korytarzem do wyjścia.

Słyszę obok nas jeszcze czyjeś kroki, więc na wszelki wypadek więcej się nie odzywam, bo nie chcę mieć mimowolnych świadków naszej rozmowy. Wydaje mi się, że w pewnym momencie do tych dźwięków dołącza też stukot psich pazurów o podłogę.

Znowu dobermany. Arthur chyba chce, żeby te piekielne bestie w końcu rozszarpały mnie na kawałki.

Czuję jego dotyk na dole pleców, tak nisko, że palce właściwie muskają moje pośladki. Staram się nie zwracać na to uwagi, ale to trudne, kiedy jego dłoń zdaje się budzić we mnie ogień. Zastanawiając się nad reakcjami mojego ciała na Arthura, dochodzę do wniosku, że nigdy wcześniej na nikogo nie reagowałam w ten sposób.

Mężczyzna pomaga mi zejść po schodach — zakładam, że na podziemny parking. Posłusznie pozwalam się wsadzić do samochodu i znowu siedzę w nim obok Arthura. Jedyną różnicą w porównaniu do poprzedniej podróży jest to, że tym razem nie mam skrępowanych nadgarstków. To już jakiś progres.

Jedziemy nieco ponad dwadzieścia minut, co oznacza, że z domu Arthura do motelu, w którym wynajęłam pokój, jest bliżej niż do centrum. A ponieważ mieszkałam na północ od centrum, dochodzę do wniosku, że i w tym kierunku musi się znajdować forteca Ashbourne'a.

Właściwie nie wiem, co zrobię, kiedy już ustalę lokalizację domu Arthura. Napuszczę na niego gliny? Na pewno nie jest taki głupi, poza tym *de facto* jak dotąd nie zrobił mi krzywdy. Nie widzę na razie powodu, by na niego donosić, ale muszę wiedzieć, na czym stoję. Potrzebuję odzyskać kontrolę nad sytuacją, a to jest jakiś sposób.

Zdecydowanie prostszy niż likwidacja kilku cyngli, którzy na mnie polują.

Arthur zdejmuje mi opaskę, zanim dojeżdżamy. Pewnie uznaje, że jesteśmy już w tak ruchliwym miejscu, które w dodatku dobrze znam, że nie ma sensu zakrywanie mi oczu. Chowa ją do kieszeni džinsów, a ja z niechęcią myślę, że może mu się jeszcze tego wieczoru przydać. W końcu muszę też jakoś do niego wrócić.

— Klucze są na recepcji — informuję sucho, próbując wysiąść z samochodu.

Arthur robi to przede mną, po czym podaje mi rękę, a równocześnie gwizdze na swoje psy. Pojawiają się przy nim natychmiast, czujne i wyglądające na żądne krwi — zapewne ktoś wypuścił je z bagażnika. Przyglądam im się z powątpiewaniem. Mogę nie lubić tych konkretnych dobermanów, co nie oznacza, że podoba mi się przyprowadzenie ich w miejsce potencjalnej strzelaniny.

Właśnie tym stało się moje życie. Zaczynam rozważać możliwość strzelaniny, jakby to było coś zupełnie normalnego!

Ale może się mylę i nic złego się nie stanie?

Drugim samochodem, który właśnie stoi za naszym, przyjechało trzech ochroniarzy, w tym Bane. Wszyscy razem wchodzimy do kilku-piętrowego budynku, w którym się zatrzymałam. Hol jest na tyle obskurny, że Arthur marszczy nos, gdy rozgląda się dookoła. Za kontuarem stoi młody chłopak, który na nasz widok krzyczy:

— Ej! Zakaz wprowadzania zwierząt!

— Załatw to i weź klucze. — Arthur kiwa głową, a Bane posłusznie rusza do recepcji. Nie ma mojego dowodu tożsamości, więc wątpię, czy uda mu się zdobyć klucze.

Arthur tymczasem ku mojemu zdziwieniu wyprowadza psy na parking, żeby pilnowały jego samochodu. Gdy wyglądam przez drzwi na zewnątrz, widzę, że trwają w miejscu jak dwa jebane posągi. Co za dziwne stworzenia.

Wtem Arthur zagaduje mnie słowami:

— Kto cię wynajął, Ever?

Wiele się spodziewałam, ale na pewno nie tego pytania. Odwracam się do mężczyzny i napotykam uważne spojrzenie. W pierwszej chwili mam ochotę skłamać, ale ta myśl szybko wylatuje mi z głowy.

— Nie wiem — przyznaję zgodnie z prawdą. — Przyszędł do mnie jakiś podstawiony gość, twierdząc, że żona go zdradza. Próbowałam go potem sprawdzać. Facet nie istnieje.

Arthur zamyśla się. Oboje przyglądamy się, jak Bane usiłuje załatwić coś na recepcji. Na jego podniesiony głos facet przy kontuarze nieco się kuli. Kiedy mój towarzysz nie odpowiada, dodaje:

— Właściwie to myślałam, że to byłeś ty.

Arthur parska śmiechem.

— Ever, naprawdę nie obchodziło mnie, czy żona mnie zdradzała — prycha. — Pomijając więc cały absurd tej możliwości, nie mam motywu, żeby ją zabić. Ona mnie nigdy nie interesowała.

Sama nie wiem, czy powinnam się z tego cieszyć, ale trochę tak jest. Pytanie brzmi: kto w takim razie interesował go zamiast żony?

— Warunki naszej współpracy były jasno określone od początku — dodaje po chwili. — Ale jeśli ktoś cię wynajął, żeby zrobić jej takie zdjęcia, mógł o tym nie wiedzieć. Mógł chcieć nas skłócić.

Milknie, jakby orientując się, że powiedział za dużo. On chyba nie chce, żebym zdawała sobie sprawę z jego niewiedzy. Wolałby pewnie uchodzić przede mną za wszechwiedzącego. Cóż, to tak nie działa. Nawet gangster nie musi wiedzieć absolutnie wszystkiego.

— Współpracy? — powtarzam, marszcząc brwi. — To nie brzmi jak normalne małżeństwo.

Arthur obrzuca mnie baczny spojrzeniem, ale nie odpowiada. Mam wrażenie, że właśnie poznałam prawdę na temat czegoś, o czym większość ludzi nie wie. Ten facet najwyraźniej miał ze swoją żoną coś w rodzaju układu biznesowego. Czy z tego powodu ktoś mógł chcieć ją zabić?

Zanim zdążę coś dodać, od strony recepcji wraca Bane. Jestem zdziwiona, gdy widzę, że na jego palcu kołysze się klucz, a w drugiej ręce ochroniarz trzyma mój aparat fotograficzny.

— Poważnie? — pytam. — Jak wy to robicie? Powinni go oddać tylko mnie.

— Siła perswazji — odpowiada Bane z rozbawieniem.

Przewracam oczami i nie komentuję tego więcej. Siła perswazji, jasne.

— Zabezpieczyłaś się, co? — zauważa Arthur, oddając aparat jednemu ze swoich ludzi, który zostaje na zewnątrz z psami. — Nie zostawiłaś aparatu w pokoju hotelowym.

— Nie jestem idiotką — pryчам. — Nikomu nie przyszłoby do głowy szukać go na recepcji. Wam też nie powinno.

Arthur kładzie mi dłoń na plecach i popycha mnie, prowadząc ku windzie. Każę jednemu z ochroniarzy wybrać odpowiednie piętro — piąte — a ja nie mam pojęcia, skąd zna jego numer. Chyba nie chcę mieć.

W windzie jest trochę ciasno, biorąc pod uwagę, że dzieli ją z Arthurem, Pikiem, Bane'em i jeszcze dwoma innymi ochroniarzami. Arthur wydaje się zniecierpliwiony i co chwila zerka na zegarek; pewnie by go tu nie było, gdybym nie uparła się pojechać po moje rzeczy osobiście. Sama nie wiem, czy to bardziej upierdliwe, czy słodkie.

Piąte piętro wita nas zapachem stęchlizny.

— Boże. — Pike krzywi się teatralnie. — Czy coś tu umarło?

— Może twoje poczucie humoru — mamrocze.

— Twoje życie musi być godne pozazdroszczenia, skoro sypiasz w takich miejscach. — Pike spogląda na mnie krzywo, po czym przenosi wzrok na Arthura. — Na wszelki wypadek dokładnie ją wyszoruj, zanim weźmiesz ją do łóżka.

Próbuję się na niego rzucić, ale w połowie ruchu zatrzymuje mnie silne ramię Arthura. Szarpnię się, on jednak nie zamierza mnie puścić; jedynie bliżej mnie do siebie przyciąga. Usta Pike'a rozciąga drwiący uśmiech, a ja w odpowiedzi pokazuję mu środkowy palec.

Może to niedojrzałe, ale czuję się dzięki temu odrobinę lepiej.

— Masz troskliwego szefa — warczą. — Gdyby nie on, już miałbyś złamany nos.

— Jasne — prycha. — Już widzę, jak taka pchła jak ty mnie uszkadza.

— To może coś jest nie tak z twoim wzrokiem, bo już raz to zrobiłam — przypominam mu, na co Pike znowu się krzywi, ale już nie odpowiada.

Ma jebane szczęście.

— Dobra, przestańcie — rozkazuje Arthur, szarpiąc mnie, aż znowu staję grzecznie po jego drugiej stronie. — Bo nałożę wam kagańce.

Kiwa głową, puszczając przodem ochroniarzy. Dwaj nieznani mi mężczyźni idą pierwsi, za nimi osłaniający mnie Bane, a potem Arthur i Pike — korytarz z dala od wind robi się na tyle wąski, że trudno, by dwie osoby szły nim obok siebie. Trochę rozumiem zniesmaczenie Pike'a. Co nie znaczy, że nie mam ochoty rozkwasić mu nosa.

Gdy docieramy do mojego pokoju, jeden z ochroniarzy otwiera drzwi i we dwóch wchodzi do środka jako pierwsi. Wydaje mi się, że trochę przesadzają ze środkami ostrożności, ale przecież nie będę ich pouczać.

— Bane, idziesz z nami — poleca Arthur. — Deacon, pilnuj tyłów.

Pike kiwa głową i zajmuje miejsce na korytarzu, podczas gdy my kierujemy się do pomieszczenia.

Rozglądam się po pokoju — nic specjalnego: brudna wykładzina na podłodze, podwójne łóżko zasłane białą, nie pierwszej czystości pościelą i jeszcze bardziej obrzydliwą narzutą, telewizor jak z wczesnych lat dwutysięcznych i wyjście na mikroskopijny balkon. Przy wejściu stoi duża, podwójna szafa, której wewnątrz sprawdza jeden z ochroniarzy.

— Czysto — mówi po inspekcji. — Możecie wchodzić.

Wkraczam do środka, nie pytając Arthura o zdanie, i chwytam leżący na łóżku spakowany plecak, po czym zakładam na siebie. Spod poduszki niepostrzeżenie wyciągam pistolet i kiedy inni rozglądają się po pokoju, wsuwam go za pasek spodni, pod koszulkę. Na łóżku leżą jeszcze moje ciuchy, ale nie jestem pewna, czy powinnam je zabierać. Chociaż przydałoby mi się ubranie na zmianę...

Marszczę brwi, zatrzymując się w pół kroku. Coś tu nie gra.

— Leżą po złej stronie — mówię.

Ochroniarze patrzą na mnie pytająco. Pierwszy głos zabiera Arthur.

— Co to znaczy: po złej stronie?

— Sypiam po lewej stronie łóżka — wyjaśniam. — Tam się ubierałam i tam zostawiłam rzeczy. Nie tu, bliżej wejścia, gdzie teraz leżą.

— Sprawdźcie łazienkę i balkon. — Arthur kiwa głową na dwóch ochroniarzy, po czym chwyta mnie za ramię. — Wychodzimy, już.

— Ale dlaczego...

— Ktoś tu był i grzebał w twoich rzeczach — tłumaczy, prowadząc mnie do drzwi. Bane idzie za nami. — Nie wiemy, co...

W następnej chwili wszystko dzieje się tak szybko, że nie od razu orientuję się w sytuacji.

Potężny huk wstrząsa całym pokojem, gdy jesteśmy już prawie przy drzwiach. Uderza we mnie fala gorąca, kiedy ktoś popycha mnie do przodu, aż upadam na podłogę na korytarzu i ból przeszywa moją czaszkę. Czuję na sobie ciężar i odruchowo zasłaniam głowę ramionami; wstrzymuję oddech, bo mam wrażenie, że wdycham żar.

Ciężar na mnie jeszcze się wzmaga i niemal mnie przygniata; próbuję z nim walczyć, ale nie mam dość sił. Krzyczę, usiłując się wydostać, i nawet nie słyszę własnego krzyku — za bardzo dzwoni mi w uszach. Mrugam, próbując się rozejrzeć i zrozumieć, co się dzieje, ale korytarz wypełniają kurz i gryzący dym.

— Kurwa! — Słyszę gdzieś obok znajomy męski głos. — Ever?! Gdzie jesteś?!

— Tutaj! — krzyczę desperacko i po chwili czuję, jak zmniejsza się ucisk na moich żebrach. Odczułuję się odrobinę i prawie wpadam na Arthura. — Co się stało?

— Bomba — informuje mnie ponuro. — Prawdopodobnie zainstalowali ją na drzwiach łazienki. Zdetonował ją jeden z moich ludzi. Nic ci nie jest? Musimy się stąd wynosić.

Pomaga mi podnieść się na nogi, chociaż chwieję się i kręci mi się w głowie. Chyba się w nią uderzyłam przy upadku.

Rozglądam się dookoła i wreszcie dostrzegam, co się stało. Drzwi prowadzące do mojego pokoju są wyrwane z zawiasów; część ściany się zawałiła, a środek stoi w płomieniach. Pomieszczenie jest kompletnie zdemolowane.

Bomba? Ktoś zastawił na mnie pułapkę?!

— Twoi ludzie...? — pytam słabo.

— Nie żyją. — Słyszę cierpki głos Pike'a. Oczywiście, że przeżył, przecież nawet nie wszedł do pokoju. — Musimy spadać, zanim zaroi się tu od glin. Zabierz ją albo ja to zrobię.

To brzmi nieco złowieszczo i odruchowo spoglądam niżej, na podłogę korytarza. Widzę tam Bane'a leżącego bez ruchu; ma otwarte oczy, które niewidzącym spojrzeniem wpatrują się w sufit, i dziurę w klatce piersiowej. Naprawdę.

Bane szedł za mną do wyjścia. Kiedy dociera do mnie, co się stało, robi mi się niedobrze.

— Czy on...

— Oślonił cię, tak — przerywa mi Arthur. Chwyta mnie mocno za ramię i ciągnie ku sobie. — To spod niego cię wydostałem. Musimy stąd spadać, Ever. Poważnie.

Piorunuję go spojrzeniem.

— Nie jest ci nawet odrobinę przykro, że właśnie straciłeś trzech ludzi?!

— Oczywiście, że mi, kurwa, jest — odpowiada wyraźnie wściekły. — I dopadnę tych gnoi, którzy do tego doprowadzili. Na razie jednak musimy się stąd zmywać. W żaden sposób nie pomożesz, jeśli tu zostaniesz, użalając się nad ciałem Bane'a, aż aresztuje cię policja. Tego właśnie chcesz?!

Kiedy mówi w ten sposób, zaczynam rozumieć, jak idiotycznie się zachowuję.

Właśnie dlatego pozwalam Arthurowi zaprowadzić się ku drodze ewakuacyjnej i zostawić za sobą pobojuwisko, płonący pokój oraz ciało człowieka, który ochronił mnie za cenę własnego życia.

Nie potrafię jednak wyrzucić z pamięci jego szklistych, nieruchomych oczu.

Rozdział 13

Zatrzymujemy się dopiero po przejechaniu około mili.

Pike zjeżdża na parking przy jakimś supermarkecie, podczas gdy ja cały czas walczę z mdłościami. Jest ze mną gorzej niż wtedy, gdy znalazłam ciało Kevina. Jeszcze bardziej odczuwam to, że ktoś przeze mnie zginął. Kiedy próbowałam zdobyć sympatię Bane'a, nie zakładałam, że odda za mnie życie, nawet jeśli nie do końca świadomie. Chciałam po prostu, żeby w razie konieczności pomógł mi w ucieczce z domu Arthura!

Dobermany kręcą się niespokojnie w bagażniku, jakby wyczuwały, że stało się coś złego. Kiedy Pike staje na parkingu, nie mogę ruszyć się z miejsca i mam w głowie kompletną pustkę. Arthur otwiera drzwi, żeby wysiąść, i w tej samej chwili te po mojej stronie też się otwierają.

Syczę, kiedy Pike chwyta mnie za ramię i wyciąga z samochodu. Szarpie mocno, a gdy próbuję się oswobodzić, jeszcze wzmacnia uścisk. Usiłuję krzyknąć, ale wtedy rzuca mnie gwałtownie na bok auta, aż uderzam w nie plecami. Jest przy mnie w ciągu sekundy i łapie mnie za gardło; w jego ciemnych oczach widzę wściekłość.

— Miałaś z tym coś wspólnego?! — krzyczy, nie zważając na fakt, że na parkingu znajduje się sporo postronnych osób. — Ostrzegłaś kogoś, że tam będziemy, suko?!

— Pojechało cię?! — drę się w odpowiedzi i uderzam go mocno, żeby go z siebie zepchnąć. Niewiele to daje. — Sama mogłam tam zginąć, debil! Po co niby miałabym robić coś takiego?!

Zaciska dłoń na mojej szyi, bez namysłu walę go więc prosto w tchawicę. Pike rozluźnia uścisk i wydaje z siebie taki dźwięk, jakby się dusił, nie puszcza mnie jednak całkiem. Co za twardy skurwysyn.

W następnej chwili Arthur odrywa ode mnie Pike'a i mocnym szarpnięciem posyła go do tyłu, aż mężczyzna traci równowagę. Spoglądam na Arthura, a na jego twarzy widzę zimną wściekłość, gdy patrzy na swojego szefa ochrony.

— Rozumiem, że jesteś wkurwiony, ja też jestem — mówi do niego; głos lekko mu się trzęsie z furii. — Ale jeśli jeszcze raz ją dotkniesz, zapomnę, że jesteś moim przyjacielem, i stracisz parę zębów.

— Jesteś ślepy czy głupi?! — warczy w odpowiedzi Pike, podnosząc się na nogi. Kaszle, co zapewne jest następstwem mojego uderzenia, po czym dodaje ze złością: — Ta kobieta sprawia, że nie zachowujesz się racjonalnie. Nie powinieneś jej ufać! Jaką masz gwarancję, że nie współpracuje z kimś, kto próbuje nas udupić?!

— To ją próbują zabić, nie widzisz tego? — Arthur zasłania mnie własnym ciałem, gdy Pike podchodzi bliżej. — Mówię poważnie, Deacon. Jeszcze raz zrobisz coś takiego, a pożałujesz. Jeśli nie zamierzasz mnie słuchać, to wypierdalaj z mojego domu. Znajdę innego szefa ochrony.

Zamieram z otwartymi ustami. Wow. Tego się nie spodziewałam!

Pike przez chwilę przygląda się nam z niesmakiem, po czym rusza w naszą stronę. Arthur przesuwa się nieco, żeby lepiej mnie zasłonić, ale jego szef ochrony nie sięga po mnie, tylko do wnętrza samochodu, skąd wyciąga mój plecak.

Chcę zaprotestować, jednak rezygnuję i w milczeniu patrzę, jak odwraca go do góry dnem i wyrzuca z niego całą zawartość. Zaciskam mocno zęby, gdy na ziemię trafia laptop Stephanie i mój aparat fotograficzny, który dostałam od ochroniarza, gdy ruszyliśmy w drogę powrotną.

— Pojechało cię?! — krzyczę. — Wiesz, co jest na tym aparacie? Jeśli go uszkodzisz, palancie...

Arthur przytrzymuje mnie, kiedy próbuję dostać się do Pike'a i mojego aparatu, i nie puszcza, mimo że szarpnię się mocno w jego uścisku. Pike tymczasem kuca przy całym wyrzuconym z plecaka majdanie i zaczyna uważnie go oglądać. Nie oszczędza niczego, nawet paczki moich tamponów. Nie krzywi się przy tym i ma taką minę, jakby kobiece przybory higieniczne w ogóle go nie krępowwały.

Wszystko, co przejrzał, odkłada na schludną kupkę, a gdy już kończy — szczególnie długo zatrzymał się przy moim kastecie, po obejrzeniu którego posłał mi rozbawione spojrzenie — bierze się za sam plecak. Sunie palcami po materiale, jakby czegoś szukał, aż w końcu to znajduje.

— Kurwa — mamrocze, wyciągając niewielki przedmiot spodziezdy fałd materiału. Rozszerzam w zdumieniu oczy.

— Czy to pluskwa?!

— Tak, to pluskwa. — Odwraca się do mnie ze złością wypisaną na twarzy, po czym zwraca się do Arthura. — Teraz rozumiesz? Ktoś próbuje przez nią dostać się do ciebie.

— To bez sensu — protestuję. — Podłożyli bombę w łazience. Raczej chcieli, żebym zginęła.

— I ubezpieczyli się na wszelki wypadek, gdyby jednak udało ci się przeżyć — wyjaśnia Pike. — To sprytni ludzie i nie wiemy dokładnie, czego chcą. Zabili Alice, a teraz usiłują zlikwidować świadka. Pewnie już dowiedzieli się, że dogadałaś się z Arthurem, i chcą coś na tym ugrać.

To by oznaczało, że nieważne, kim był kochanek żony Arthura — zabójcom chodziło właśnie o nią.

A teraz może im chodzić także o Arthura. Ta myśl nie jest specjalnie budująca.

— Usuń to — rozkazuje Arthur, zupełnie nie przejmując się sytuacją. — Pozbierajcie rzeczy i wracajmy do domu.

Odchodzi, zostawiając nas samych, co nie wydaje mi się najmądrzejszym pomysłem. Pike patrzy na mnie tak, jakby chciał mi wbić sztylet w serce, i podejrzewam, że moja twarz wyraża podobne uczucia. Podaje mi jednak plecak, żebym mogła schować w nim swoje rzeczy, a sam zajmuje się zniszczeniem pluskwy.

Wszyscy wyglądamy co najmniej dziwnie: jesteśmy potargani i cali w kurzu i resztkach tynku, aż klienci z pobliskiego supermarketu oglądają się na nas, przechodząc obok. Mam to jednak gdzieś. Pochyliłam się i wkładam rzeczy z powrotem do plecaka, po czym dyskretnie wsuwam tam również pistolet. Już go przeszukali, drugi raz przecież nikomu nie przyjdzie to do głowy.

Wracam w końcu do samochodu i ponownie zajmuję miejsce obok Arthura. Nawet na mnie nie patrzy; wzrok ma utkwiony w drodze przed nami i w karku Pike'a, gdy ten zajmuje miejsce za kierownicą. Ja też nie mam chęci na rozmowy. Mam ochotę jedynie stanąć pod prysznicem i zapomnieć o wszystkim, czego dzisiejszego ranka byłam świadkiem.

Nie wiem, co z tym wszystkim dalej robić. Chyba pierwszy raz w życiu czuję się tak bezradnie i wołałabym oddać kontrolę komuś innemu. Nawet jeśli ten ktoś jest gangsterem, który nie zawaha się złapać za pistolet, gdy będzie taka potrzeba.

Jeśli zrobi to w mojej obronie, jestem gotowa się z tym pogodzić.

Będąc pod prysznicem, ciągle przypominam sobie rozmowę z Malcolmem, jaką odbyłam z jednego z moich jednorazowych telefonów, ledwie wróciłam do domu Arthura. Poczulałam się nawet na tyle pewnie, by przekazać swój numer również innym znajomym. Trzęsę się nieco i szczękam zębami, ale staram się wziąć w garść, bo to właśnie jest w moim stylu.

Rozklejanie się za to nie jest w moim stylu.

— Na litość boską, Ever! — krzyknął Malcolm. — Dlaczego nie dzwoniłaś?! Myślałam, że coś ci się stało!

— Dlaczego coś miało mi się stać? — zdziwiłam się. — Przecież rozmawiałam z tobą jeszcze wczoraj.

— Ale potem się nie kontaktowałaś — warknął. — A rano dostaliśmy wezwanie do motelu, gdzie w jednym z pokoi eksplodowała bomba! Recepcjonista podał twój opis, Ever, a w środku znaleziono ciała!

— Owszem, znaleziono tam ciała — odpowiedziałam powoli. — Ale nie moje.

— Co się dzieje, do kurwy nędzy?!

Nie wiedziałam, jak mu to wytłumaczyć. Bałam się powiedzieć mu zbyt wiele.

— Nadal chcą mnie zabić i nadal kiepsko im to idzie — wyjaśniłam w końcu. — Znalazłam sojusznika... A przynajmniej tak mi się wydaje. Mieszkam teraz u niego. Na razie jestem bezpieczna... To jego ludzie zginęli w motelu.

— Ale kto to dokładnie jest, Ever?

Malcolm zdawał się wściekły i wcale mu się nie dziwiłam. Zawsze się o mnie troszczył. Wolałby sam mieć na mnie oko, niż pozwolić na to komuś obcemu. Wiedziałam jednak, że nie ma wystarczających koneksji, by to się mogło udać. Oboje skończylibyśmy martwi.

— To nieistotne — odpowiedziałam wykrętnie.

Malcolm prychnął.

— To zajebicie istotne! — zaprzeczył. — Wpędzisz się w jeszcze większe kłopoty, zadając się z nieodpowiednimi ludźmi, Ever! Tylko policja może zapewnić ci bezpieczeństwo. Zgłoś się na komendę, a ci pomogę.

Przewróciłam oczami. Mój praworządny, naiwny kuzyn. Niekiedy mam wrażenie, że żyjemy w zupełnie innych światach, które tylko czasami się przecinają.

— Wątpię, żeby policja mogła zapewnić mi bezpieczeństwo — zaprotestowałam sceptycznie. — Za to ten człowiek może. A jeśli uznam, że jakoś

mi zagraża, odejdę. Poradzę sobie, Mal. Naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

— Zawsze będę się o ciebie martwić.

Kiedy kończę prysnic, jego słowa ciągle dźwięczą mi w głowie. Z jednej strony to miłe, że ktoś się o mnie martwi, z drugiej nie chcę przysparzać Malcolmowi kłopotów. Boję się, że może przez to zrobić coś głupiego.

Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby coś mu się stało. To jedyny członek rodziny ze strony ojca, na którym mi naprawdę zależy.

Osuszam nieco mokre włosy, wycieram się i owijam ręcznikiem. Gdy przeglądam się w lustrze, uznaję, że wyglądam już nieco lepiej — nie mam żadnych widocznych śladów przeżycia kolejnego zamachu. To sprawia, że ponownie przypominam sobie tamtą scenę w motelu — przyciskające mnie do podłogi ciało Bane’a, gryzący w nos zapach dymu i woń spalonego ciała.

Tym razem nie potrafię powstrzymać odruchu wymiotnego. Ledwie zdążam pochylić się nad toaletą, gdy wyrzucam z siebie wszystko, co zjadłam na śniadanie. Torsje trwają chwilę, a kiedy wreszcie się kończą, jestem nieco bledsza i bardziej drżąca.

Nie pierwszy raz widziałam trupa i nie pierwszy raz zginął ktoś, kogo znałam, ale po raz pierwszy tak oczywisty jest fakt, że stało się to przeze mnie i dlatego, że ten ktoś próbował mnie chronić. Jest mi z tym naprawdę źle. Czy Bane zrobił to celowo? Czy gdyby próbował ratować siebie, zamiast mnie zasłaniać, mógłby przeżyć? I czy ja bym wtedy zginęła?

Zostaję przez chwilę na czworaka, obejmując porcelanową toaletę. W końcu udaje mi się podnieść i umyć zęby oraz twarz. Próbuję wziąć się w garść i chociaż czuję lekkie mdłości, torsje na szczęście nie wracają. Na wszelki wypadek biorę z szafki nad umywalką dwie tabletki przeciwbólowe i popijam wodą, przewidując zbliżający się ból głowy. Dopiero po tym jestem gotowa na wyjście z łazienki i zmierzenie się z rzeczywistością.

Zmieniam zdanie, kiedy wchodzę do sypialni i widzę siedzącego na moim łóżku Arthura.

Zatrzymuję się w pół kroku, gdy jego spojrzenie leniwie przesuwają się po całej mojej postaci. Jestem boleśnie świadoma faktu, że mam na sobie jedynie ręcznik, który niewiele zasłania — zawiązałam go na biuście i sięga mi tylko nieco za tyłek. Arthur tymczasem wygląda bardzo nieformalnie —

ma mokre włosy, co sugeruje, że też zdążył wziąć prysznic, założył zwykłą szarą koszulkę i ciemne spodnie dresowe. W dodatku jest boso.

To zaskakująco erotyczny widok — bosi facet siedzący na skraju mojego łóżka. Czuję na ten widok odrobinę ekscytacji, nawet jeśli w głowie nadal mam inne rzeczy.

Przez chwilę wpatrujemy się w siebie i żadne nie chce odezwać się pierwsze. W końcu ciszę przerywa Arthur.

— Nie chcesz się przebrać?

— Nie bardzo mam w co — przyznaję. — Moje jedyne ubrania są uwalone tynkiem i kurzem.

— No tak. — Arthur niemal mnie rozbiera tym swoim gorącym spojrzeniem i to wcale nie jest złe uczucie. Bezwiednie robię krok do przodu, w jego kierunku. — Będziemy musieli to naprawić. Zabiorę cię na jakieś zakupy.

— Nie — oponuję. — Po prostu daj mi jakąś koszulkę i dresy. To wystarczy.

— Moje dresy będą ci spadały z tyłka — odpowiada. — Chociaż jeśli tak będzie, to nie powinienem narzekać. Masz świetny tyłek.

Arthur Ashbourne, mistrz prawienia komplementów.

— Nie tylko tyłek mam świetny — zapewniam go, robiąc kolejny krok w jego stronę. — Chcesz się przekonać?

Właściwie nie wiem, dlaczego go prowokuję. To nie w moim stylu.

— Dlaczego nie chcesz iść na zakupy? — pyta, ignorując moją zaczepkę. — Kobiety chyba je lubią.

— Widocznie nie jestem typową kobietą. — Wzruszam ramionami. — Nie chcę jeszcze większych długów wdzięczności, niż już mam.

— To nie jest kwestia długu wdzięczności. — Uśmiecha się protekcjonalnie. — Chcę raczej uniknąć zamieszek w domu. Kiedy wyjdiesz tak ubrana na korytarz, gwarantuję, że moi ludzie nie będą równie powściągliwi jak ja.

Mam naprawdę ochotę pozbyć się ręcznika, ale powstrzymuje mnie myśl o odrzuceniu. Arthur cały czas trzyma się na dystans i nie wiem, czy zdecyduje się go zmniejszyć, a nie chcę paradować przed nim naga jak idiotka, podczas gdy on nie wykona w moją stronę nawet jednego ruchu. Ostatecznie robię tylko kolejny krok w przód, aż znajduję się w zasięgu jego ramion.

Arthur wyciąga rękę i chwyta za skraj mojego ręcznika. Ciągnie, aż niechętnie odrywam stopy od podłoża i przybliżam się do niego jeszcze bardziej. Rozchyła nogi, a ja wchodzę pomiędzy nie i czuję, jak jego dłoń znajduje dla siebie miejsce na moich plecach. Palce kurczowo zaciskam na węźle ręcznika.

— Nie lubię zakupów — przyznaję. — Wolałabym, żeby któryś z twoich ludzi po prostu znowu przywiózł mi jakieś dzinsy i koszulkę. Niczego więcej nie potrzebuję.

Arthur przygląda mi się uważnie, jakby nie dowierzał, ale to prawda. Zakupy mnie nudzą i denerwują. Uważam je za stratę czasu. Najczęściej kupuję ciuchy przez internet.

— Dobrze, zorganizuję coś — mówi wreszcie. — Muszę zaraz wyjść, mam coś do załatwienia, ale przedtem chcę obejrzyć twoje zdjęcia. Zamierzam jednak wieczorem pokazać ci dom, tak jak proponowałem. Czy mogłabyś mi obiecać, że do tego czasu nie zrobisz nic głupiego?

Lepiej nie, bo mogę tę obietnicę łatwo złamać.

Gdy tak mu się przyglądam, mam ochotę zapytać, czy wszystko w porządku. Stracił właśnie trzech ludzi, których z pewnością znał lepiej ode mnie — nawet jeśli nic po nim nie widać, to musiało coś dla niego znaczyć. Nie wierzę — albo nie chcę wierzyć — że w ogóle go to nie ruszyło. Nie mam jednak odwagi, by zapytać Arthura o samopoczucie.

— Postaram się — odpowiadam w końcu. To jedyne, co mogę obiecać.

Arthur uśmiecha się przelotnie.

— Dobrze i to — odpowiada, po czym kręci głową. — Od początku wiedziałem, że przyniesiesz mi kłopoty, Everly Chance. Mam tylko nadzieję, że jesteś tego warta.

Ja też mam taką nadzieję.

I spore wątpliwości, jeśli mam być szczerą.

Rozdział 14

Wieczorem, zgodnie z obietnicą, Arthur oprowadza mnie po domu.

W ciągu dnia miałam wystarczająco dużo czasu, by zastanowić się nad swoją sytuacją, bo rzeczywiście starałam się trzymać z daleka od kłopotów i opuściłam apartament gościnny tylko raz, żeby zajrzeć nad basen. Arthur wydawał się zadowolony, kiedy wrócił i się o tym dowiedział.

Dobija mnie tymczasowość sytuacji, w jakiej się znalazłam. Mam swoich klientów, których nie mogę tak po prostu zostawić, i interes do prowadzenia, bez którego nie będę miała z czego żyć. Nie mogę zniknąć nie wiadomo na jak długo i nie dawać znaku życia. Teraz mam szansę uciec przed ludźmi, którzy chcą mnie zabić, ale za to mogę narobić sobie nowych wrogów, z którymi będę musiała walczyć jutro, kiedy już wszystko się wyjaśni.

O ile się wyjaśni.

Nie mogę też w nieskończoność siedzieć w domu jednego z miejscowych gangsterów. Lawiruję pomiędzy jednym światem a drugim, mając znajomości zarówno w policji, jak i w półświatku, i nie chcę być kojarzona z konkretną osobą. Nie chcę, żeby ktoś mnie uznał za pieska Arthura Ashbourne'a.

Muszę coś wymyślić. I to szybko.

— Myślałam o tej przynęcie — mówię mu, kiedy wpada do mojego pokoju około siódmej wieczorem. — Zgadzam się. Załatwmy to jak najszybciej.

— Aż tak ci tu źle?

Arthur wygląda świetnie w białej koszuli i garniturowych spodniach, gdy wchodzi do salonu, w którym na niego czekam. Znowu ma podwinięte do łokci rękawy.

— Mam swoje życie, do którego muszę wrócić — tłumaczę spokojnie. — Nie mogę w nieskończoność siedzieć ci na głowie.

Arthur unosi brew.

— Na razie to raptem dwadzieścia cztery godziny, Ever.

Faktycznie. Tyle się przez ten czas wydarzyło, że wydaje mi się, jakby minęło ze sto lat.

— Im szybciej się tym zajmujemy, tym lepiej — protestuję jednak. — Rozpuść na mieście informację, że chcę się dogadać. Że zrobię wszystko, żeby ocalić życie. Ciągle mam zdjęcia, które mogę oddać, jeśli zostaną do tego odpowiednio przekonana.

Sprawdziłam aparat, kiedy wróciliśmy do domu Arthura. Na szczęście zdjęcia przetrwały i Arthur mógł je obejrzeć, zanim wyszedł. Zgrał je na swój komputer, żeby mieć kopie, ale zostawił oryginały na aparacie. W żaden sposób nie skomentował tego, co zobaczył, domyśliłam się jednak, że podobnie jak mnie zdjęcia niewiele mu powiedziały.

Ja nie chciałam oglądać ich kolejny raz. I tak pewnie do końca życia nie zapomnę tamtej sceny.

— Dobrze — zgadza się Arthur z nieodgadnioną miną. — Zastawimy pułapkę. Postaram się, żebyś była bezpieczna.

Kiwam głową, starając się zachować spokój, chociaż to wszystko sprawia, że znowu robi mi się niedobrze. Nie podoba mi się ta sytuacja.

Arthur tymczasem dodaje:

— Ale możemy porozmawiać o tym później. Na razie chciałem cię zaprosić na kolację i zwiedzanie domu. Zjesz ze mną?

Coś w jego minie podpowiada mi, że nie prosi tylko o to. Podoba mi się, że wreszcie nie używa swojego rozkazującego tonu, mimo że dziwnie go lubię. Arthur najwyraźniej ma jakieś obejmujące mnie plany.

A ja, o dziwo, chyba nie mam nic przeciwko.

— Jasne. Choć gdybym wiedziała, ubrałabym się jakoś inaczej.

— Nie wychodzimy z domu — uspokaja mnie. — Nie musisz się przebierać, tak wyglądasz świetnie.

Posyłam mu powątpiewające spojrzenie, ale nie komentuję jego słów. Po południu kolejny ochroniarz dostarczył mi torbę z ubraniami — było w niej kilka prostych koszulek, dwie pary dżinsów i szorty khaki, trochę bielizny i jedna wyjściowa sukienka w głębokim fioletowym kolorze. Oczywiście zdecydowałam się na obcisłe dżinsy i luźną zieloną koszulkę pasującą barwą do moich oczu. Ciekawe, czy ktoś celowo wybrał taki właśnie kolor, czy raczej to czysty przypadek.

Arthur otwiera drzwi na korytarz i gestem zaprasza mnie do wyjścia z apartamentu gościnnego. Kiedy go mijam, kładzie mi łagodnie dłoń

na plecach, a ja myślę, że znam tego faceta dwadzieścia cztery godziny i prawie nic o nim nie wiem, a jednak jest w nim coś takiego, co sprawia, że chcę mu pozwolić na wszystko.

Chyba trochę oszalałam.

Prowadzi mnie korytarzem do dużego salonu i jadalni, gdzie nakryto już stół na dwie osoby. Arthur jest bardzo pewny siebie, skoro nie miał wątpliwości, że przyjmę jego zaproszenie.

Te dwa pomieszczenia są ogromne i zajmują chyba połowę przestrzeni dostępnej na parterze. W jadalni króluje wielki stół na kilkanaście osób, przy którym Arthur sadza mnie tak, żebym zajmowała miejsce dokładnie naprzeciwko niego — dzieli nas tylko szerokość blatu. Znajduję się tak blisko, że gdybym wyciągnęła nogę, mogłabym go dotknąć.

Kolację podaje nam kobieta około czterdziestki, która jak się okazuje, gotuje i sprząta w domu Arthura. Przedstawia się jako Charlotte i wydaje się sympatyczna. Niewysoka i drobna, totalnie nie pasuje mi do tego domu pełnego facetów z mnóstwem testosteronu. Nie wygląda jednak, jakby było jej w tym miejscu źle.

Posiłek przebiega zaskakująco spokojnie i przyjemnie. Arthur jest uprzejmy, wypytuje mnie o pracę i życie w Las Vegas. Raczę go kilkoma zabawnymi historyjkami związanymi z moimi zleceniami. Mam parę takich, których zazwyczaj używam, żeby rozmowa się kleiła; wydaje się tym naprawdę zaciekawiony.

— Jak to się w ogóle stało, że pracujesz jako prywatny detektyw? — pyta, kiedy Charlotte znika, mówiąc, że idzie do domu. Nie szkodzi, najwyżej będziemy musieli posprzątać po kolacji.

— Właściwie zawsze wiedziałam, że chcę nim być. — Wzruszam ramionami, nadziewając na widelec kawałek łososia. — Od dziecka żyję w tym świecie i mam mnóstwo znajomości. To było nieuniknione.

Uśmiecham się lekko, a Arthur odpowiada mi badawczym spojrzeniem.

— Ale równocześnie masz chłopaka policjanta.

— Cole'a? — pry cham lekceważąco. — Fakt, spotykałam się z nim parę miesięcy. Ale nie o to chodzi, nie stąd mam znajomości w policji. Mój kuzyn tam pracuje.

— Poważnie? — Spojrzenie Arthura staje się czujne. Ta informacja chyba nie poprawiła moich notowań. — To dlaczego się z nim nie spotkałem, kiedy pojawiłem się na komendzie w twojej sprawie?

Parskam śmiechem.

— Bo Mal nie chciałby z tobą rozmawiać — wyjaśniam. — Jest lojalny wobec mnie. Cole, cóż... Jemu się wydaje, że najlepiej byłoby mnie zamknąć na jakiś czas i zresocjalizować, ale równocześnie obawia się, że przez to mogłaby ucierpieć jego reputacja. Malcolm z kolei to moja jedyna rodzina ze strony ojca, z którą mam jakikolwiek kontakt.

— Czy będę bardzo wścibski, jeśli zapytam dlaczego? — Arthur uśmiecha się krzywo. Wzruszam ramionami.

— Nie mam problemu, żeby o tym mówić. Moja matka była ze mną w ciąży, gdy ojciec dowiedział się, że ma powiązania z mafią. Związał, aż się za nim kurzyło. Założył nową rodzinę w Reno i nikt z nich nie chciał utrzymywać z nami kontaktów, są tacy obrzydliwie praworządni. Uważają mnie chyba za pomiot szatana.

— Ja też czasami tak o tobie myślę — wyznaje Arthur, na co parskam śmiechem.

— Nie mam pojęcia dlaczego. Jestem najmilszą istotą pod słońcem — odpowiadam bezczelnie. — A co do Malcolma... On jako jedyny uznał, że chce podtrzymać znajomość ze swoją kuzynką. Nawet moje przyrodnie rodzeństwo było szczęśliwe, kiedy uciekłam od nich po osiągnięciu pełnoletności.

— Mówiłaś, że nie mieliście kontaktu. — Arthur marszczy brwi.

Mina trochę mi rzędzie, gdy przechodzę do tej części historii.

— Gdzieś do moich siedemnastych urodzin — wyjaśniam. — Wtedy zmarła moja matka. Ojciec musiał przejąć nade mną opiekę. Skończyłam szkołę w Reno i natychmiast wyprowadziłam się z powrotem do Vegas. Nie próbowali mnie zatrzymać.

Pobyty w domu ojca wspominam jako jeden z najgorszych okresów w moim życiu. Nie lubię o nim opowiadać, jeśli nie muszę. Nigdy wcześniej ani później nikt tak bardzo nie dawał mi do zrozumienia, że jestem nikim i do niczego się nie nadaję.

Nawet Cole nie miał o tym wszystkim pojęcia i sama nie do końca rozumiem, dlaczego opowiedziałam to Arthurowi. W sposobie, w jaki mnie słucha — uważnie, nie spuszczać ze mnie wzroku, jakby spijał z moich ust każde słowo — dostrzegam coś, co zachęca do zwierzeń. Nie wiem, czy zachowuje się tak codziennie, ale na mnie to działa.

On cały na mnie działa. Nic na to nie poradzę.

— Przykro mi — odpowiada krótko.

Nie pytam go o jego rodzinę ani życie. Chciałabym, ale odnoszę też wrażenie, że nie powinnam. Ja nie mam nic do ukrycia, tylko że ja nie

prowadzę nielegalnych interesów. Arthur pewnie jest ostrożniejszy w opowiadaniu o sobie.

Kończymy jedzenie, po czym wspólnie zbieramy talerze i odnosimy je do kuchni. Cały czas czuję na sobie wzrok Arthura, nawet gdy odkrywam, że na deser Charlotte zostawiła nam pavlovą.

— Wow — wołam na ten widok. — Zawsze jecie tak wystawnie?

— Nie — odpowiada Arthur z rozbawieniem. Czuję jego obecność tuż za moimi plecami. — Poprosiłem Charlotte, żeby przygotowała coś specjalnego. Pomyślałem, że po takim dniu przyda ci się odrobina dobrego traktowania.

To naprawdę miłe z jego strony. Odwracam się, by stwierdzić, że znajduje się bardzo blisko. Cofam się pod szafki kuchenne, ale Arthur idzie za mną, po czym kładzie dłonie na blacie, zamykając mnie między ramionami. Czuję, jak serce podchodzi mi do gardła.

Znam tego faceta dwadzieścia cztery godziny, ale gdyby mnie teraz pocałował, nie oponowałabym. To tylko seks, nie muszę znać historii życia Arthura, żeby pójść z nim do łóżka. Nie mam jednak pojęcia, czy on myśli podobnie, bo nie przekracza pewnej granicy. Za każdym razem wycofuje się właśnie wtedy, gdy już wydaje mi się, że coś z tego będzie.

— Dziękuję — odpowiadam; głos mam nieco zachrypnięty. — Również za to, że mnie do siebie zabrałeś. Wcale nie musiałeś tego robić. Naprawdę to doceniam.

— Kim byłbym, gdybym nie pomógł pięknej kobiecie w opresji? — Jedna z jego dłoni wędruje na moje ramię, po którym przesuwa się leniwie. Oddech mi przyspiesza. — Mam ochotę na coś słodkiego. A ty?

Kiwam głową, chociaż nie wiem, czy myślimy o tym samym. A może Arthur wcale nie ma na myśli deseru, biorąc pod uwagę, jak na mnie patrzy? Jego stalowoszare, pociemniałe spojrzenie wydaje mi się jeszcze ostrzejsze.

Arthur przechyla się do mnie bardziej, aż nosem muskam jego policzek. On tymczasem sięga do bezy na szafce za mną i prawą ręką zaczyna kroić dla nas po kawałku, nie ruszając się z miejsca. Kiedy usiłuję się odsunąć, kładzie mi drugą dłoń na biodrze i przytrzymuje mnie tam, gdzie jestem. Zamieram i nie próbuję się wyrwać, bo w gruncie rzeczy wcale nie mam na to ochoty.

Obracam nieco głowę, przesuwając nosem po szczęce Arthura, aż ten zaciska palce nieco mocniej. Jestem przekonana, że czuje mój urywany oddech na twarzy, ale nic na ten temat nie mówi.

W końcu puszcza mnie i wydaje polecenie:

— Podaj, proszę, talerzyki z tamtej szafki.

Sięgam do niej posłusznie, a potem znajduję też widelczyki. Arthur podsuwa mi jedną porcję, a ja opieram się biodrem o kuchenną szafkę i zaczynam jeść, nie wracając do stołu w jadalni. Arthur idzie za moim przykładem, cały czas nie spuszczając ze mnie roziskrzonego wzroku.

Beza jest słodka i naprawdę pyszna. Jęczę, oblizując widelczyk, co sprawia, że mężczyzna spuszcza wzrok na moje usta. Nigdy wcześniej nie myślałam, że we wspólnym jedzeniu może być coś erotycznego, ale teraz zmieniam zdanie.

— Kiedy zjesz, pokażę ci resztę domu — obiecuje, a ja już zaczynam się zastanawiać, jak skończy się ta wycieczka.

— Są tu trzy kondygnacje?

— Tak, faktycznie. To też zauważyłaś podczas nocnego spaceru? —

Unosi brew.

Kręcę głową.

— Kiedy mnie tu przywiozłeś, z parkingu wносиłeś mnie po schodach i dopiero wtedy dotarliśmy na parter. Wnioskuje z tego, że masz tu jakiś poziom poniżej niego, parter i piętro, na które trafiłam podczas mojego, jak to nazwałeś, nocnego spaceru.

Arthur uśmiecha się nieznacznie.

— Jesteś bystra — stwierdza z zadowoleniem. — Ale nie powinno mnie to dziwić. Gdybyś nie była, nie miałabyś w Vegas reputacji jednego z najlepszych prywatnych detektywów.

— Naprawdę tak o mnie mówią? To takie kochane. — Odpowiadam mu złośliwym uśmiechem.

On przewraca oczami.

— Nie reagujesz dobrze na komplementy, co?

— Zależy, co chcesz przez nie osiągnąć. — Biorę do ust ostatni kęs bezy i dokładnie oblizuję widelczyk. — Nie lubię dostawać komplementów, jeśli są obliczone tylko na to, żebym na przykład rozłożyła przed kimś nogi.

Robi krok w moim kierunku i zabiera mi pusty talerzyk. Muska przy tym moje palce swoimi.

— A potrzebuję ich w takim celu? — pyta nieco drwiąco.

Nie mówię ani słowa, bo oboje doskonale znamy odpowiedź. Nic nie poradzę, że coś mnie ciągnie do tego faceta i nie zamierzam udawać, że jest inaczej. Nigdy nie byłam dobra w takich gierkach.

Arthur wkłada nasze talerzyki do zmywarki, po czym gestem pokazuje mi, żebym pierwsza wyszła z kuchni. Nie jestem już zdziwiona, gdy czuję jego dłoń w dole pleców. Prowadzi mnie korytarzem do schodów w dół i na górę. To tędy zniósł mnie poprzedniej nocy, gdy przyłapał mnie w swoim gabinecie.

— Na niższym poziomie są pokoje dla moich pracowników — tłumaczy, stając za mną i pochylając się do mojego ucha. — Możemy zajrzeć, ale to ich królestwo, staram się im tam nie przeszkadzać.

— Nie musimy — odpowiadam bez tchu.

— Na parterze mam apartamenty gościnne — opowiada dalej, popychając mnie lekko do przodu. — Oprócz twojego znajdują się tu jeszcze dwa. Poza tym salon, jadalnia i kuchnia, które już widziałas. Przy każdym apartamencie jest też łazienka. Domyślasz się, co jest na piętrze?

Domyślam się. I tym bardziej chce mi się śmiać, że akurat tam trafiłam poprzedniej nocy.

Arthur pokazuje mi jeszcze jeden apartament gościnny, podobny do mojego, po czym prowadzi mnie na piętro. Ze schodów trafiamy do znanego mi już salonu, do którego wkradałam się poprzedniej nocy. Przechodzimy przez niego, a mężczyzna wyprowadza mnie na balkon.

Dopiero teraz mogę uważnie rozejrzeć się dookoła. Chociaż zapada już zmrok, i tak widać dużo więcej niż poprzednio, gdy szłam tędy w całkowitych ciemnościach. Zamieram, kiedy za wysokim murem nie widzę prawie nic. Tylko w oddali majaczą jakieś zabudowania, ale bliżej nas znajduje się jedynie żółta spalona ziemia.

Chyba naprawdę jesteśmy na pustyni Mojave.

— Mieszkasz na pustyni? — pytam sceptycznie. Arthur śmieje się za moimi plecami.

— Preferuję odosobnienie i święty spokój. Mam ze dwa domy w mieście, ale ten lubię najbardziej.

Wycofujemy się, po czym Arthur prowadzi mnie ku dwóm korytarzom, które również widziałam poprzedniej nocy.

— Po lewej stronie znajduje się niewielka sala kinowa i pokój z bilardem oraz druga łazienka — informuje, chwytając mnie za ramiona. — Dlatego nie umieściłem tam kamer. Nie ma tam nic ciekawego.

— A w korytarzu po prawej jest? — pytam złośliwie.

— Zależy, co cię interesuje — odpowiada. — Chyba nie bez powodu wybrałaś wczoraj ten korytarz? Z pewnością zauważyłaś, że jest tam

kamera, i właśnie dlatego tam poszłaś. Znalazłem cię w moim gabinecie, gdy tylko ochroniarze mnie powiadomili, że tam jesteś. Szkoda, że nie zaszłaś jeden pokój dalej. Trafiałabyś do mojej sypialni.

Odwracam się do niego z uśmiechem na twarzy. Intensywne spojrzenie Arthura sprawia, że dostaję gęsiej skórki.

— Podobało ci się to? — Wiem, że go prowokuję, i mam to gdzieś.
— Jak musiałeś przyjść do gabinetu i mnie złapać?

Arthur robi krok w moim kierunku, aż znajduje się tuż przy mnie. Chociaż mnie nie dotyka, jego spojrzenie odczuwam jak najlepszą pieśczętę.

— Byłaś zbyt łatwym celem, żeby mi się to mogło podobać — odpowiada spokojnie. — Wolałbym, żebyś bardziej się broniła.

Ten facet lubi ciekawe rzeczy. Z każdą chwilą jestem coraz bardziej zaintrygowana.

— A gdybym teraz ci uciekła? — drażę.

Dłoń Arthura łąduje na moim biodrze i czuję jego oddech na policzku.

— Złapałbym cię w dwie sekundy.

Posyłam mu prowokujące spojrzenie.

— Chcesz się założyć?

Popycha mnie lekko, aż opieram się plecami o ścianę w korytarzu. Mam wrażenie, że temperatura w pomieszczeniu nagle wzrosła o kilka stopni.

— Bardzo chętnie. Dam ci dwie minuty przewagi — obiecuje. — Ale nie wychodź poza to piętro. Na innym może cię złapać któryś z ochroniarzy i zepsuć nam zabawę.

Czuję, jak do żył napływa mi adrenalina. Nie mogę się doczekać.

— Mogę z tobą walczyć — ostrzegam.

Arthur uśmiecha się nieco krzywo.

— Taką mam nadzieję — odpiera. — Chcę z tobą walczyć i zdusić w tobie wszelki opór. Nie zamierzam się zatrzymać, Ever. A gdybyś ty chciała to zrobić, nazwij mnie Ashem.

Wow. Teraz mamy własne słowo bezpieczeństwa? Z każdą chwilą robię się coraz bardziej podniecona. Odpycham go, a on nie protestuje, tylko odsuwa się posłusznie. Nadal jednak nie spuszcza ze mnie roziskrzonego spojrzenia.

— Dobra — zgadzam się. — Chociaż wątpię, żebyś chciała.

A potem odwracam się i odchodzę.

Już nie mogę się doczekać, aż mnie złapie.

Rozdział 15

Mam tylko dwie minuty. To bardzo mało, jednak zamierzam jak najlepiej wykorzystać ten czas.

Nie chcę szukać kryjówki, bo nie zamierzam dać się znaleźć jak ukrywające się podczas zabawy w chowanego dziecko. Chcę znaleźć miejsce, z którego mogłabym się bronić i w razie konieczności uciekać.

Przebiegam przez salon i otwieram wszystkie drzwi na balkon. To samo robię w jadalni, zanim trafię do drugiego korytarza. Kiedy spoglądam za siebie, nie widzę tam Arthura, chociaż czas jeszcze nie minął, i to sprawia, że przesywa mnie dreszcz. Naprawdę czuję się jak ścigana zwierzyzna. I zaskakująco mocno mnie to podnieca.

Biegnę do drugiego korytarza i zaglądam najpierw do sali kinowej, potem do pokoju z bilardem, a na koniec natykam się na niewielką siłownię. W każdym z tych pomieszczeń również otwieram drzwi na balkon. Zamierzam ścigać się z Arthurem wokół domu, aż przyzna, że wygrałam.

Chociaż będę równie zadowolona, jeśli to on zwycięży.

Wychodzę na balkon i czekam. Przywieram do ściany, rozglądając się na boki, i nasłuchuję kroków, które wkrótce zacynam słyszeć. Są miarowe, Arthur nie biegnie tak jak ja. Idzie spokojnie przed siebie, jakby wiedział, że to w zupełności mu wystarczy.

Serce bije mi coraz szybciej, gdy nasłuchuję tych kroków. W końcu odgłos ustaje, po czym mężczyzna wychodzi na balkon od strony salonu.

— Mam cię — mówi.

Kręcę głową.

— Jeszcze mnie nie złapałeś. Wiesz, kiedy wygrasz? — Nasze spojrzenia się krzyżują, a ja uśmiecham się lekko. — Gdy mnie wypieprzysz.

Odwracam się i uciekam, nie czekając na jego odpowiedź. Słyszę za sobą jego kroki, ale nie daję mu chwili na złapanie oddechu. Wpadam do sali kinowej i zatrząskuję za sobą drzwi, po czym zamykam je na klucz; nie otworzy ich z zewnętrznej strony.

Spoglądam na niego przez szkło. Przez chwilę patrzy na mnie intensywnie, bez słowa, po czym wycofuje się powoli. Ja również się odwracam i między rzędami krzeseł biegnę do wyjścia z pokoju.

Na korytarzu zatrzymuję się na moment. Arthur mógł albo pobiec dalej i wejść do domu przez salę bilardową lub siłownię, albo wrócić do salonu. Jeśli za wcześnie zacznę uciekać, mogę wpaść na niego po drodze. Czekam więc, aż w końcu słyszę kroki nadchodzące od strony pokoju bilardowego.

Uciekam z powrotem do salonu; przebiegam przez jadalnię i lawiruję między kanapami, żeby ponownie wydostać się na balkon. W wejściu przystaję na moment i sprawdzam, gdzie znajduje się Arthur. Jakoś długo go nie widzę i to mnie trochę wyprowadza z równowagi, w końcu jednak pojawia się w salonie. Znowu idzie spokojnie przed siebie.

Posyłam mu psotny uśmiech, po czym wybiegam na balkon. Nie oglądam się, gdy mijam zamknięte drzwi do sali kinowej i idę dalej, do pokoju bilardowego. Znowu słyszę za sobą kroki Arthura i myślę, że muszę coś zmienić w tej ucieczce, żeby nie być taką przewidywalną. Może powinienam ukryć się w jego sypialni?

Czy mogłabym mu jeszcze wyraźniej dać do zrozumienia, jak chcę, żeby to się skończyło?

Drzwi do pokoju bilardowego są zamknięte. Parskam śmiechem, gdy orientuję się, że Arthur musiał je zamknąć, wracając tędy do domu. Ruszam więc dalej, ku wejściu prowadzącemu do siłowni. Obawiam się, że i je zdążył zatrasnąć od wewnątrz i dlatego nie było go tyle czasu. Na szczęście drzwi są uchylone i mogę się wślizgnąć do środka.

Serce wali mi jak oszalałe, kiedy rozglądam się po ciemnym pomieszczeniu. Nie mieści mi się w głowie, że robię coś takiego i jeszcze uważam to za świetną zabawę. Chyba coś jest ze mną nie tak, jednak nie chcę tego przerywać, nawet jeśli przez moją krew płynie w tej chwili tona adrenaliny.

A może właśnie dlatego.

W półmroku widzę poustawiane w siłowni sprzęty: jest tutaj i rowerek, i bieżnia, i ławeczka, kilka sztang, a nawet wioślarz. Pod jedną ze ścian ułożono parę materaców.

Idę do drzwi, kiedy jednak do nich docieram, czeka mnie niespodzianka.

Są zamknięte na klucz.

Kurwa. Naciskam klamkę raz i drugi, ale to nic nie daje, nie chcą się otworzyć. Przecież wchodziłam do siłowni kilka minut temu, więc to niemożliwe, żeby drzwi były zamknięte. Chyba że...

Odwracam się z powrotem do okna, by zobaczyć, że Arthur właśnie wchodzi przez balkon do pomieszczenia.

— Grasz nieczysto — mówię z rozbawieniem. — Tylko ty masz klucze.

Po jego uśmiešku od razu widzę, że właśnie o to chodzi. Gdy ja pobiegłam z powrotem do salonu, on specjalnie został z tyłu, by przygotować pułapkę. Zamknął za sobą drzwi na balkon do pokoju bilardowego, a potem użył klucza, by uniemożliwić mi przejście z siłowni na korytarz. A ja jak głupia czekałam na niego w salonie.

Jest cwany. Z każdą chwilą coraz bardziej go lubię.

— To kiedy wygram? — pyta, jakby próbował sobie przypomnieć. — Mówiłaś coś o wypieprzeniu cię? Sprawdźmy.

Mam tylko sekundę, by przygotować się do walki. Nie zamierzam tak po prostu się poddać — to nie byłoby w moim stylu. Zresztą nie tego oczekuje ode mnie Arthur.

Wystarczy mu kilka długich susów, by znaleźć się przy mnie. Odskakuję w ostatniej chwili i nie pozwalam mu się schwytać; zamiast tego popycham go mocno, aż traci równowagę. Przekręca się i chwytam mnie za ramię, zanim zdążę się wycofać, w wyniku czego oboje upadamy na panele.

To naprawdę twarde lądowanie.

Arthur przygważdża mnie biodrami do podłogi, ale szarpnięcie i strącam go z siebie mocnym kopniakiem. Sądząc po jego jęku, chyba trafiłam w jakieś wrażliwe miejsce. Wstaję błyskawicznie i zataczam się nieco; Arthur łapie mnie za brzeg T-shirta i ciągnie, a gdy się nie poddaję, słyszę odgłos rozrywanego materiału.

— Hej! — krzyczę z oburzeniem. — Mam tylko dwie koszulki na zapas!

— Kupię ci nowe — odwarkuje, po czym znowu się na mnie rzuca.

Wiem, że mnie oszczędza, ale ja jego absolutnie nie, gdy celuję pięścią w jego żołądek. Uderzenie jest mocne i wyciska z niego powietrze, nie zatrzymuje go jednak w impecie. Arthur wpada na mnie i chwytam mnie w talii, aż lecę do tyłu. Zatrzymuję się dopiero, gdy plecami boleśnie uderzam w ścianę.

Pochyliłam się i gryzę go w ramię, a on w odpowiedzi szarpie mnie mocno i biodrami przyszpila do ściany. Odpycham się od niej z całej siły, praktycznie skacząc na Arthura, aż traci równowagę i znowu lądujemy

na podłodze — chociaż przynajmniej na leżącym tam materacu gimnastycznym. Tym razem cały impet uderzenia przyjmują na siebie jego plecy i to musi być bolesne, sądząc po przekleństwie, jakie z siebie wydaje.

Udami ściskam jego biodra i pochylam się, by przydusić go przedramieniem. Zakładam chwyt, ale mężczyzna nie pozwala mi utrzymać go zbyt długo — czuję uderzenie w bok, niezbyt mocne, lecz wystarczające, żebym na chwilę poluzowała uścisk, aż Arthur daje radę odciągnąć moje ręce i podnieść się do pozycji siedzącej.

Siedzę praktycznie na nim, gdy zbliża swoją twarz do mojej.

— Wolałbym cię pode mną niż na górze, ale tak też może być — warczy, po czym mnie całuje.

To absolutnie oszalamiające uczucie i przez moment poddaję się temu, odpowiadając na jego pocałunek z pasją, o którą nigdy bym się nie podejrzewała. Jego usta są niemal brutalne, język natarczywy i zmuszający do uległości, gdy wślizguje się między moje wargi. Wzdycham i otwieram się dla niego szerzej, bo instynktownie chcę mu oddać kontrolę. Pożądanie strzela we mnie mocnym płomieniem, po czym koncentruje się u zbiegu moich ud. Poruszam biodrami, czując napierającego na mnie twardego penisa.

Tym pocałunkiem Arthur walczy o dominację. Pokazuje, że to on tutaj rządzi i dyktuje warunki, a ja mam być mu posłuszna. Pozwalam na to przez kilka sekund, potem jednak mocno gryzę go w dolną wargę, aż czuję na języku posmak krwi.

Mężczyzna odsuwa się z jękiem i odruchowo oblizuje wargę, wpatrując się we mnie z niedowierzaniem.

— Ugryzłaś mnie — mówi, jakbym sama o tym nie wiedziała.

Uśmiecham się promiennie.

— To dopiero początek niespodzianek.

Arthur jest szybki niczym wąż, gdy bez problemu przewraca nas, aż to ja leżę na plecach pod nim, i przyszpila mnie do materaca biodrami. Sapię, kiedy czuję na szyi jego zaciskającą się powoli dłoń.

— Nie ruszaj się — poleca, chociaż wątpię, żeby sądził, że posłucham.

Sięga do zapięcia moich dżinsów i radzi sobie z nim bez problemu, mimo że uciekam biodrami i próbuję mu to uniemożliwić. Uderzam go pięścią w szczękę, aż głowa mu odskakuje, ale to nie powstrzymuje go na długo. Wydaje z siebie pełen zadowolenia pomruk, gdy uwalnia mi szyję, żeby chwycić oba nadgarstki jedną dłonią. Drugą szarpie mocno za dekolot mojej koszulki, aż ta rozrywa się na całej długości, ukazując

bieliznę. Zamieram na moment, gdy widzę, jak Arthur głodnym wzrokiem wpatruje się w mój biustonosz.

— Wiedziałem, że będziesz w nim wyglądać zajebiście — mamrocze, po czym przenosi wzrok na moją twarz. — Masz na sobie dół od kompletu?

— Możliwe. — Uśmieciam się do niego bezczelnie. — Musisz sam się przekonać. Jesteś już bardzo blisko.

Arthur wolną dłonią próbuje ściągnąć ze mnie spodnie, ale wtedy przekreślam się nieco, wsuwam pod niego kolano i wyprowadzam kopnięcie, celując między nogi. Syczy i odchyła się trochę, żeby uniknąć pełnej siły uderzenia, a wtedy mnie udaje się odturlać. Spadam z materaca, lecz gdy chcę się podnieść, stwierdzam, że dżinsy plątają mi się gdzieś w okolicach kolan i nie będzie to takie proste.

Zrzucam je z siebie jednym ruchem, po czym podnoszę się na nogi w tej samej chwili, gdy Arthur ponownie mnie dopada. Próbuję uciec, ale on chwyta mnie w pasie od tyłu, przyciskając moje plecy do swojej klatki piersiowej, i gdy wierzgam, unosi mnie nieco. Próbuję znowu trzasnąć go głową w twarz, jednak uchyla się, zapewne spodziewając się takiego ruchu po poprzednim razie.

Czuję jego zachłanne usta na szyi i wyprężam się, ocierając się o niego i jego zwiedziony, gorący członek. Słyszę jęknięcie i to sprawia, że mam ochotę natychmiast mu się poddać. Gdy Arthur stawia mnie z powrotem na podłodze, jedna z jego dłoni wędruje do moich piersi i wsuwa się pod miseczkę stanika. Zaczyna mnie pieścić, zaciskając mocno palce na moim sutku, a ja chłonę obezwładniającą przyjemność, która przebiega przeze mnie niczym błyskawica i kumuluje się między moimi nogami.

Arthur szarpie mnie i odwraca, aż ponownie ląduję plecami na ścianie. Zrywa ze mnie resztki koszulki, ja zaś sięgam do zapięcia w jego spodniach. Przyciągam go do siebie bliżej, a on całuje mnie mocno, wsuwając język głęboko w moje usta. Odpowiadam na to, pozwalając mu zawładnąć mną całą.

Właśnie w ten sposób Arthur Ashbourne kruszy we mnie resztki chęci do walki.

Nigdy wcześniej nie miałam takiej gry wstępnej, ale też nigdy wcześniej nie byłam tak podniecona. Dlatego cały czas odnoszę wrażenie, że nie mogę dostać się do niego dość szybko. Kiedy w końcu rozpinam mu spodnie i wsuwam dłoń pod bieliznę, by sięgnąć do penisa, niemal

jęczę z zadowolenia. Obejmuję mocno jego trzon, a Arthur pomaga mi, wolną ręką ściągając spodnie razem z bokserkami.

Przytrzymuje mnie za kark, pogłębiając pocałunek, na który odpowiadam mocno, odchylając nieco głowę, by dać mu lepszy dostęp. Chyba mu się to podoba, sądząc po tym, jak mruczy mi prosto w usta. Jego język splata się z moim. Arthur zastyga na moment, gdy zaczynam pieścić jego twardego już penisa. Nie widzę go, ale pod dłonią czuję, że jest duży. Zaciskam na nim palce, przesuwając nimi w górę i w dół, a Arthur niecierpliwym gestem zdziera ze mnie majtki.

— Zabezpieczasz się, Ever? — dyszy mi w usta, odsuwając się o centymetr.

Unoszę brew.

— Mam spirale? — odpowiadam. — Ale chyba nie tylko dlatego używa się prezerwatyw.

— Ufasz mi? — Pożądliwe spojrzenie Arthura sprawia, że niemal staję w płomieniach. Waham się, przygryzając wargę. Ten ruch sprawia, że męczyzna ponownie interesuje się moimi ustami.

— A ty mi ufasz? — pytam, kiedy w końcu udaje mi się od niego odsunąć. Arthur kiwa głową.

— Oczywiście.

Facet zrobi wszystko, żeby pobzykać bez gumki, myślę, jednak nie mam ochoty zatrzymywać się nawet na sekundę. Może to z mojej strony naiwne, ale jeśli Arthur daje do zrozumienia, że jest zdrowy, to zamierzam mu uwierzyć.

— Więc na co czekasz? — Prowokuję go, ściskając mocniej jego penisa.

Arthur pomrukuje, zabiera stamtąd moje dłonie, po czym chwytając mnie za pośladki i bez problemu podnosi, aż plecami sunę w górę po ścianie. Instynktownie oplatom go udami, a on w tym samym momencie wślizguje się we mnie.

Jęczę, czując, jak jego członek mnie rozciąga. Arthur nie jest delikatny, w jego ruchach nie ma łagodności, tylko paląca potrzeba i nieokiełznana namiętność. Zaciskam się na nim, obejmuję go za szyję, łączę nogi w kostkach za jego plecami, gdy zaczyna się we mnie poruszać. Wchodzi do samego końca, wypełnia mnie tak dokładnie, jakbym była dla niego stworzona. Jakby on był dla mnie stworzony.

Każde jego pchnięcie wyrywa ze mnie kolejny jęk, jego ruchy są głębokie, gwałtowne, niekontrolowane. Zaciska palce na moich biodrach prawie boleśnie, ale podoba mi się to i on doskonale o tym wie. Wargi

Arthura ponownie odnajdują moje; zatapia język w moich ustach w tym samym tempie, w którym mnie pieprzy.

Przywieram do niego cała, gdy jego biodra pracują coraz szybciej, wsuwając się we mnie i cofając się. Arthur posuwa mnie ostro, aż wydaje mi się, że więcej nie zniosę. Odrywam usta od jego warg i dyszę, bo mam wrażenie, że inaczej się uduszę; on tymczasem chowa twarz w mojej szyi, przygryzając skórę. Czuję jego wilgotne pocałunki, jego palce zaciskające się na moim ciele, jego twardego jak skała penisa penetrującego moją cipkę — i tych bodźców jest aż za dużo. Wiem, że za chwilę będę szczytować tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu.

— Zaraz dojdę — dyszę, ściskając Arthura za ramiona, aż wbijam mu paznokcie w skórę. — Nie przestawaj... Proszę...

Wtedy jednak Arthur zwalnia nieco, na co mam ochotę wyć z frustracji. Byłam już tak blisko!

— Trzymaj się — mamrocze, po czym odrywa mnie od ściany.

Kołyszę się na nim mocno, gdy męczyzna upada na kolana, po czym pochyla się do przodu, nie wypuszczając mnie z objęć ani nie wychodząc ze mnie. Sapię, czując pod plecami miękką materac.

Arthur ponownie wbija się we mnie, po czym przyspiesza ruchy. Zaciskam się na nim, wychodzę mu naprzeciw i łapię go za włosy, by przyciągnąć do siebie jeszcze bliżej.

Dochodzę nagle, krzycząc jego imię i odrzucając głowę do tyłu. To silny, długi orgazm, który sprawia, że zaciskam się mocno i na chwilę tracę kontakt z rzeczywistością, chociaż Arthur cały czas porusza się we mnie krótkimi, ostrymi pchnięciami. Trzymam go z całych sił, bo obawiam się, że inaczej mogłabym odlecieć. Po chwili on również nieruchomieje, kryje twarz w zagłębieniu mojej szyi i osiąga spełnienie, co czuję bardzo wyraźnie.

Nie pamiętam, czy kiedykolwiek pozwoliłam jakiemuś facetowi dojsć we mnie. Nawet Cole'a prosiłam, żeby używał gumek przez cały czas trwania naszego związku. Tym bardziej jest to dla mnie szokiem, gdy czuję spermę Arthura. Czy ja kompletnie zwariowałam?

Rozluźniam się w końcu, uznając, że mogę zastanawiać się nad tym później. Czuję oplatające mnie ramiona Arthura, który wcale nie chce zwolnić uścisku; wręcz przeciwnie, przyciąga mnie do siebie jeszcze mocniej. Chciałabym po prostu tak leżeć i zostać w tym miejscu do jutra,

ale to raczej niemożliwe. Pozwalam sobie na chwilę odpoczynku, żeby uspokoić oddech, i właśnie wtedy Arthur podnosi głowę znad mojego ciała.

— Wszystko w porządku? — mruczy.

Pochyla się i całuje mnie, a ja wplatom mu palce we włosy. Orientuję się wreszcie, że nawet nie zdjął koszuli, a ja wciąż mam na sobie biustonosz, choć nieco przekrzywiony. Kiedy ponownie się podnosi, w jego szarych oczach błyszczy rozbawienie.

— Jeszcze nigdy nie miałem takiej gry wstępnej — mówi.

Parskam śmiechem.

— Ja też nie. Jesteś wyjątkowy.

— Nie, to ty jesteś absolutnie wyjątkowa, Ever. — Tracę dech po tych słowach, ale dla Arthura one chyba nie znaczą zbyt wiele, bo po ich wypowiedzeniu pomaga mi zdjąć nogi ze swoich bioder i wysuwa się ze mnie. — Zabieram cię teraz do siebie. Mam przy sypialni łazienkę z ogromnym prysznicem, który obojgu nam się przyda.

— Sugerujesz, że śmierdę? — Unoszę brew.

Arthur siada i przez chwilę nic nie mówi, przyglądając mi się z satysfakcją. Nic dziwnego: leżę rozłożona przed nim niczym najlepsza zdobycz, na wpół naga, jeszcze zaczerwieniona po najgorętszym seksie, jaki miałam w życiu.

I, co odkrywam bardzo szybko, chcę więcej.

Wyciąga do mnie rękę, więc ujmuję ją bez namysłu i pozwalam mu się podnieść do pozycji siedzącej. Arthur przytrzymuje mnie w tali, gdy odrzucam włosy na plecy.

— Sugeruję, że chcę cię wypieprzyć pod prysznicem — protestuje. — Wezmę cię teraz na ręce. Nie obawiaj się, nie spotkamy nikogo na korytarzu.

— A kamery? — Patrzę na niego z powątpiewaniem. — Niekoniecznie chcę, żeby ochroniarze oglądali mnie półnagą na nagraniu.

Arthur parska śmiechem.

— Słusznie. Poczekaj.

Znajduje komórkę w porzuconych spodniach, po czym dzwoni na jakiś numer i wydaje polecenie. Przez moment czeka na odpowiedź i po chwili wszystkie kamery na piętrze zostają wyłączone.

— Chodźmy — mówi na koniec. — Zamierzam nie wypuścić cię z łóżka do rana.

To dobrze, bo nigdzie się nie wybieram.

Rozdział 16

Nasze rzeczy zostają w siłowni, gdy Arthur kluczem otwiera drzwi na korytarz i przenosi mnie do swojej sypialni. Pierwszy raz widzę to miejsce i jestem go ciekawa tak samo jak reszty jego apartamentu.

Jest urządzony nieco inaczej niż pokoje gościnne na parterze. Bardziej ascetycznie, z mniejszą liczbą mebli, króluje tu połączenie ciemnego drewna z czarną stalą. Jest z niej na przykład wykonana rama łóżka, które mijamy w drodze do łazienki. Jedna ze ścian została nawet pomalowana na czarno, podczas gdy reszta ma kolor jasnej szarości.

Łazienka jest ogromna i chociaż również ciemna — czarne płytki na podłodze i pod prysznicem — to wcale nie wydaje się ponura. Nie rozglądam się zresztą dokładnie, bo za bardzo zaprzęta mnie prysznic, pod który niesie mnie Arthur.

Nadal mam na sobie stanik, gdy o własnych nogach stoję na kafelkach i cofam się o krok. Mężczyzna wpatruje się we mnie roziskrzonym wzrokiem, a ja ściągam z siebie tę ostatnią część bielizny, po czym pomagam mu zdjąć koszulę. Odrzucam to wszystko gdzieś za nas, na podłogę, ale prawdę mówiąc, wszystko mi jedno, co się z nimi stanie.

— Odwróć się — mówi Arthur, a ja posłusznie wykonuję polecenie.

Spinam się, czując jego dłonie na ramionach, a następnie na głowie. On jednak tylko odkręca wodę i kiedy zaczyna na nas płynąć mocny strumień z deszczownicy, bierze się za mycie mnie i moich włosów. Nie spieszy się, a każdy jego ruch, posuwisty dotyk dłoni wywołuje we mnie dreszcze. Zwłaszcza gdy Arthur wplata mi palce między pasma i masuje łagodnie, aż szampon pieni się obficie.

— Walczyłaś chyba z dwadzieścia minut — mówi z zadowoleniem, spłukując ze mnie pianę. — Nie sądziłem, że wytrzymasz tak długo.

Prycham.

— Nie sądziłeś, że będę się bronić?

— Och, byłem pewien, że będziesz się bronić, po tym, co zobaczyłem w Camelocie — oświadcza protekcyjnie. — Po prostu nie sądziłem, że tak dobrze ci pójdzie. Złapałem cię tylko dlatego, że mam przewagę w tym domu, a ty za bardzo chciałaś wreszcie przejść do seksu.

Jasne. Bo tylko ja tego chciałam.

— Myślałam, że to ty chcesz przejść do seksu — odpowiadam złośliwie.

Arthur śmieje się, po czym się schyla i całuje mnie w szyję. Odchylam głowę, stwierdzając, że jego wargi i język, jego wilgotne pocałunki są cieplejsze od wody płynącej z deszczownicy.

— Ależ oczywiście, że chciałem — mruczy mi do ucha. — Przecież po to cię ścigałem. Opór tylko mnie podniecił.

Jeśli to ma go podniecać, bardzo chętnie będę z nim walczyć za każdym razem. Mnie też się, o dziwo, spodobało.

— Ach tak? Co jeszcze cię podnieca? — pytam.

Mam nadzieję na odrobinę brudnej gadki, ale to, co otrzymuję w odpowiedzi, przerasta moje oczekiwania.

— Wiele rzeczy. Ty cała na przykład. — Po tych słowach przywiera do moich pleców i czuję, że znowu jest pobudzony. — Lubię edging.

Unoszę brew. Właściwie mogłam się tego spodziewać.

— Bo jesteś maniakiem kontroli — odpowiadam.

Arthur naciska na mnie, aż opieram się o kafelki przed sobą. Chyba o to mu chodziło, bo dzięki temu znowu ma mnie uwieczoną między sobą a ścianą.

— Edging to nie kontrola, tylko dozowanie przyjemności — protestuje, schylając się, by wargami dotknąć mojego ucha. Jedna z jego dłoni wślizguje się pomiędzy mnie a ścianę, obejmując mnie w talii; druga wędruje na moją pierś i zaczyna ją leniwie pieścić. — Bo podróż może być tak samo przyjemna jak jej cel.

— Jestem prostą dziewczyną — wyznaję z rozbawieniem. — Lubię jechać prosto do celu.

— Och, ależ zabiorę cię tam — obiecuje. — Po prostu możemy obrać nieco... okrężną drogę.

Rozsuwa moje nogi kolanem i po chwili czuję, jak jego penis wślizguje się we mnie gładko, od razu aż po nasadę. Dyszę i wypinam nieco tyłek, żeby ułatwić Arthurowi penetrację. Dłoń z mojej talii zsuwa się między nogi i mężczyzna odnajduje moją lechtaczkę. Jęczę dziko, kiedy zaczyna się we mnie poruszać i równocześnie stymulować mnie palcami.

Woda spływa na nas coraz chłodniejszym strumieniem, ale nawet tego nie zauważam, bo jedynie studzi moje rozpalone ciało.

Próbuję chwycić się ściany, ale dłonie tylko ślizgają się po mokrych kafelkach, nie znajdując niczego do oparcia. Arthur tymczasem trzyma mnie w uścisku swoich ramion i pieprzy miarowo, za każdym razem wysuwając się i wsuwając z powrotem. Zwiększa tempo aż do momentu, gdy jestem na skraju orgazmu.

Właśnie wtedy zwalnia ruchy. Mam ochotę na niego wrzeszczeć.

Nadal mnie stymuluje, lecz na tyle powoli, że nie jestem w stanie osiągnąć spełnienia. Pozostaję podniecona, ale to stopniowo przeradza się we frustrację. Właśnie wtedy Arthur ponownie zaczyna mnie pieścić palcami.

To naprawdę okrutny człowiek. Wydaje się niewzruszony, kiedy wymawiam jego imię, błagając, by pozwolił mi dojść. Stopniowo przyspiesza, a w ostatniej chwili znowu się wycofuje. Mam wrażenie, że jestem rozpalona do czerwoności i że eksploduję, kiedy wreszcie osiągnę orgazm.

— To jest edging — mówi z satysfakcją Arthur do mojego ucha. — Mam nadzieję, że ci się podoba.

— Nienawidzę cię — udaje mi się wykrztusić, chociaż tak naprawdę zachodzę w głowę, jakim cudem on tak dobrze to znosi.

Po tych słowach Arthur odsuwa się ponownie, tym razem całkiem ze mnie wychodząc. Gdy odwracam się do niego, stwierdzam, że sięga po ręczniki i podaje mi jeden z nich. Posyłam mu pytające spojrzenie.

— Wytrzymaj się — poleca mi. — Nie chcę mieć całej pościeli w mydlinach. Zaciskam mocno wargi.

— Czy nie możemy...

— Nie — przerywa mi. — Dojdziesz na czworaka na moim łóżku, w mojej sypialni. Jasne czy chcesz znowu ze mną walczyć?

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem, z umysłem wciąż zasnutym mgłą pożądania. Powinam kopnąć tego faceta w dupę, wyjść z jego łazienki i apartamentu i więcej tu nie wracać, ale wiem, że tego nie zrobię. Za bardzo mnie do niego ciągnie. Za bardzo chcę doświadczyć wszystkiego, co może mi dać.

Cholera. Chyba wpadłam jak śliwka w kompot.

Bez słowa przyjmuję ręcznik i zaczynam się wycierać, a Arthur idzie w moje ślady, nie spuszczając ze mnie wzroku. Kiedy już oboje jesteśmy nadzy i wysuszeni, bierze mnie za rękę i prowadzi z powrotem do swojej sypialni.

Wskazuje mi łóżko głową, ale wtedy uznaję, że odrobina kontrolowanego buntu mi się przyda. Podnoszę wyżej głowę i rzucam mu wyzywające spojrzenie, całą sobą pokazując, że nie zamierzam spełniać jego zachcianek.

Arthur zbliża się do mnie z błyskiem w oku, a ja cofam się, dopóki moje nogi nie natrafią na skraj łóżka.

— Walcz ze mną — mówi, po czym bez ostrzeżenia się na mnie rzuca.

Cofam się jeszcze bardziej i upadam na łóżko, lądując na plecach. Uderzam Arthura pięścią w pierś i korzystając z okazji, odwracam się na kolana i pełnę, by zejść z materaca po drugiej stronie.

Czuję, jak silne dłonie łapią mnie za biodra i przyciągają z powrotem. Próbuje z nim walczyć, wierzgając, ale Arthur jest ode mnie silniejszy. Jednym ramieniem oplata mnie w talii, drugim chwyta za szyję, odciągając nieco moją głowę do tyłu, aż czuję uścisk na tchawicy. Uda Arthura nagle znajdują się po zewnętrznych stronach moich nóg i chociaż próbuję się wyślizgnąć, nie jestem w stanie, zwłaszcza gdy on pochyla się i praktycznie nakrywa mnie swoim ciałem. Dłoń na mojej szyi przemieszcza się, aż chwyta za kark i popycha; mimo że się szarpie, już po chwili policzkiem dotykam materaca. Gorący, wzwiedziony penis Arthura dotyka wejścia do mojej cipki, gdy mężczyzna kolanem rozsuwa mi nieco nogi, by ułatwić sobie penetrację.

Krzyczę, kiedy wchodzi we mnie jednym zdecydowanym ruchem. Dłoń z mojej talii przesuwana do piersi, zamyka palce na jednej z nich i zaczyna mnie pieścić, mocno, niemal brutalnie uciskając sutek. Napiera na mnie, uderza biodrami, po czym wycofuje się i ponawia ruch. Palce zaciskam kurczowo na prześcieradle, wychodząc mu naprzeciw biodrami, co Arthur kwituje pełnym aprobaty mruknięciem. Powoli zwiększa tempo, po czym zsuwa dłoń z mojej piersi w dół, do łechtaczki.

Już po chwili pieprzy mnie jak szalony, równocześnie mocno masując dłońią. Jest mi tak dobrze, że zaraz chyba zacznę krzyczeć. Instynktownie próbuję się odsunąć, ale Arthur mi na to nie pozwala: przenosi dłoń znów na moją talię i przyciąga mnie do siebie, nadziewając na swojego penisa, aż plecami ocieram się o jego tors.

Podnosi się do siadu i ciągnie mnie za sobą, nie wychodząc ze mnie nawet na sekundę. Jego dłonie na moim brzuchu i piersi, jego wbijający się we mnie twardy penis — tego wszystkiego jest za dużo. Kładę mu głowę na ramieniu i dochodzę mocno, gdy jego ruchy stają się krótkie, gwałtowne.

Arthur kończy tuż potem, we mnie; przysuwa usta do mojego ucha i mruczy:

— Jesteś moja. Rozumiesz?

Kiwam głową, choć chyba automatycznie, bo nie sędzę, żebym naprawdę rozumiała. To tylko seks. Zajebisty, gorący, najbardziej ekscytujący w moim życiu seks, ale nic poza tym. Niczego do siebie przecież nie czujemy.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że jemu może chodzić o coś innego.

Ten facet traktuje mnie jak swoją własność.

— Połóż się — poleca, ciągnąc mnie na łóżko; niechętnie godzę się na to. Łąduję na boku, z nim za plecami, nadal z jego penisem w cipce. Arthur oplata mnie nogami, przywiera do mnie torsem, po czym zarzuca na nas przykrycie. — Śpij. Obudzę cię potem.

Ciekawe kiedy.

Wysuwa się ze mnie w końcu, ale nie daje mi przestrzeni, tylko ponownie obejmuje ramieniem. W głowie nadal mam watę po niedawnym orgazmie — odnoszę wrażenie, że Arthur doprowadza mnie do jakiegoś mikroudaru. Jestem zmęczona i chcę spać; czuję się bezpiecznie w jego ramionach, a mimo to coś w mojej głowie mówi mi, że nie powinnam się na to zgadzać.

Radośnie to ignoruję.

Układam się wygodniej obok niego i zamykam oczy, próbując się nieco uspokoić i wyciszyć. Dzięki Arthurowi i najbardziej niesamowitemu pieprzeniu w życiu zapomniałam przynajmniej na chwilę o całym tym gównie, które czeka na mnie poza murami jego domu. Kładę głowę na poduszce i staram się rozluźnić.

— Lubisz taki seks? — dobiega mnie jego pytanie w momencie, gdy jestem w połowie drogi do snu.

Otwieram szerzej oczy i uśmiecham się kpiąco.

— To znaczy jaki?

— Walczyłaś ze mną — przypomina mi niepotrzebnie — ale nie powiedziałaś bezpiecznego słowa. Podobało ci się.

— Podobało mi się — przyznaję.

Arthur wzdycha w mój kark.

— Co konkretnie? Że mogłaś walczyć czy że dałaś się zdominować?

Nie rozumiem, po co on tak to roztrząsa, i wątpię, czy potrafię udzielić mu satysfakcjonującej odpowiedzi. Wzruszam ramieniem.

— Nie wiem — przyznaję. — Chyba obie te odpowiedzi są poprawne.

Nigdy przed nikim wcześniej nie przyznałam się, że kręci mnie dominacja partnera seksualnego. Może dlatego, że nigdy wcześniej mnie nie kręciła. Zawsze lubiłam zachowywać kontrolę, nawet w łóżku. Nie wiem, dlaczego z Arthurem jest inaczej, ale jest i nie ma się o co kłócić. Nie zamierzam zaprzeczać, bo nie widzę w tym nic wstydliwego. Arthurowi wręcz się to podoba.

— A ty? — drążę, kiedy nie odpowiada. — Często robisz coś takiego partnerkom seksualnym?

Śmieje się.

— Uciekłyby ode mnie, zanim bym dobrze zaczął — odpowiada. — Jesteś pierwsza, Ever. Poważnie.

Jakoś nie chce mi się w to wierzyć, więc pry cham lekceważąco.

— No dobra, ale mam nadzieję, że chociaż zmieniłeś pościel — odgryzam się. — Jestem pewna, że w tym łóżku nie jestem pierwsza.

Jego śmiech odrobinę zbija mnie z tropu.

— Mam domy w mieście, do których zapraszam kobiety — odpowiada spokojnie. — Ale nie tutaj. Tutaj to moje bezpieczne miejsce, do którego nie ma wstępu byle kto.

Trochę laskocze to moje ego.

— To znaczy, że kiedy zobaczyłeś, jak nokautuję Deacona Pike'a, wiedziałeś już, że nie jestem byle kim? — pytam z niedowierzaniem.

Drzę, gdy czuję wilgotne pocałunki Arthura na karku.

— Wiedziałem o tym, odkąd pierwszy raz o tobie usłyszałem — odpowiada. — A teraz śpij. Musisz nabrać sił, bo zamierzam budzić cię w nocy.

No dobrze. Dla takiej obietnicy jestem w stanie wreszcie się uciszyć, choć mam ochotę zadać mu jeszcze sto pytań.

Będą musiały zaczekać.

Kiedy budzę się rano, tylko przez sekundę jestem zdezorientowana i nie wiem, gdzie się znajduję.

Zaraz potem do świadomości przywraca mnie ciężkie ramię oplatające moją talię. Leżę przecież w łóżku Arthura, a jego nagie ciało przywiera do moich pleców. Czuję jego poranną erekcję na pośladku.

Mam ochotę odwrócić się do niego i go obudzić, ale waham się. Jestem nieco obolała i odrobinę obtarta po wszystkim, co robiliśmy ostatniej nocy,

poza tym zegarek na szafce nocnej wskazuje siódmą i wydaje mi się, że powinnam być gdzie indziej. Na przykład w łóżku w apartamencie gościnnym, nie tutaj.

Nie należę do kobiet, które analizują zachowania faceta po sto razy i martwią się na zapas, ale nic nie poradzę, że zaczynam się zastanawiać, jak on się zachowa, gdy się obudzi. Czy będzie chciał wyrzucić mnie ze swojego łóżka? Przeleci mnie, a potem każe wracać do siebie? To wydaje mi się najbardziej prawdopodobne, więc postanawiam oszczędzić sobie upokorzeń.

Ostrożnie wyplątuję się z uścisku Arthura, chociaż nie bardzo chce mnie puścić, i wstaję. Spoglądam przez ramię na niego, gdy śpi — wygląda teraz o wiele mniej przerażająco. Twarz ma wygładzoną, a te ciskające gromy oczy zamknięte. Włosy potargane, aż mam ochotę wpleść mu palce między pasma i je rozczesać, szczęśliwie w ostatniej chwili się powstrzymuję. Idiotka.

Zaglądam do łazienki, skąd zabieram leżącą na kafelkach koszulę Arthura; nie chce mi się szukać swoich rzeczy, więc bez nich ruszam bezszelestnie przed siebie. Gdy wychodzę na korytarz za drzwiami sypialni, stwierdzam, że kamery nadal są wyłączone. Ta pod sufitem w ogóle się nie świeci.

Dobrze, przynajmniej żaden z ochroniarzy nie zobaczy, jak wymykam się rano z łóżka faceta, w dodatku ich szefa.

Schodzę na parter i nie niepokojona przez nikogo trafiam do apartamentu gościnnego. Nigdzie nie widzę żywej duszy i ani jednego ochroniarza. Dopiero w mojej łazience zrzucam męską koszulę i wchodzę pod prysznic. Zmywam z siebie pamiątki po ostatniej nocy, których trochę jest na moim ciele; potem znów zakładam koszulę Arthura i z wilgotnymi włosami wracam do sypialni.

Ziewam — Arthur nie dał mi za dużo pospać w nocy — i zastanawiam się, co robić z tym jakże pięknie rozpoczętym dniem. Sięgam po komórkę, dochodząc do wniosku, że mogę zadzwonić do Malcolma i dać mu znać, że nadal żyję, po czym zamieram, gdy widzę na ekranie ikonę informującą o nieodebranych połączeniach. Marszczę brwi.

Przecież dawałam wszystkim znać, żeby do mnie nie dzwoniли, prawda? To ja miałam dzwonić do nich.

Gdy widzę w powiadomieniach numer Cole'a, mam ochotę nie oddzwaniać. Ostatecznie jednak nawiązuję połączenie, bo zastanawiam się, skąd

ma ten numer, poza tym jestem gotowa wreszcie wszystko mu wygarnąć. Rozumiem, że się o mnie martwi, ale doprawdy, jego działania wcale nie są podyktowane moim najlepszym interesem!

W końcu odbiera mruknięciem, a ja nie czekam na żadną bardziej rozwiniętą wypowiedź.

— Przysięgam, Cole, że jeśli dzwoniłeś, żeby znowu namówić mnie na pójście na policję, to pojedę tam tylko po to, aby nakopać ci do dupy — zaczynam, ale zaraz potem słyszę w słuchawce obcy męski głos:

— Cole jest tutaj, wszystko z nim dobrze, ale nie może podejść do telefonu.

Siadam ciężko na łóżku, gdy eksploduje we mnie niepokój.

— Z kim rozmawiam? — pytam.

Mężczyzna prycha.

— Z królową angielską — odpowiada nieuprzejmie. — Mam ci pokazać skan mojego prawa jazdy? Niech ci wystarczy, że jesteśmy w waszym domku i ucinamy sobie pogawędkę z twoim chłoptasiem.

Po prostu zajebiście.

— Czego chcecie?

— Przyjedź do domu ze zdjęciami, Everly, to może nic mu się nie stanie — odpowiada facet.

Kurwa. Nie wierzę, że dałam się tak podejść. Jestem kompletną amatorką!

— Daj mi go do telefonu — żądam.

— Nie ma mowy, kotku — ucina facet. — Przyjedziesz tu, to zobaczysz go na własne oczy.

— A jaką mam gwarancję, że w ogóle go tam macie i jeszcze go nie zabiliście? — prychem z niedowierzaniem. — Daj go, kurwa, do telefonu albo spierdalaj.

Facet w końcu się zgadza i po chwili zapada cisza. Słyszę, jak otwierają się jakieś drzwi. Pewnie trzymają Cole'a osobno i zbior poszedł do niego, by podać mu komórkę. Słucham dźwięków w tle i zastanawiam się, gdzie mogą go trzymać. Nasza sypialnia? To byłoby chyba najbardziej prawdopodobne. I liczba kroków się zgadza z trasą z salonu.

— Ever? — Muszę przyznać, że oddycham z ulgą, gdy słyszę w słuchawce znajomy głos. — Nie wiem, czego chcą, ale nie zgadzaj się...

Telefon zostaje mu zabrany, zanim dokończy zdanie. W następnej chwili odzywa się znowu ten obcy facet.

— Słyszałaś? Żyje i ma się dobrze. Na razie. — Milknie na chwilę, po czym dodaje: — Jeśli w ciągu godziny nie pojawisz się ze zdjęciami w waszym domu, ten stan może ulec zmianie.

Po tych słowach rozłącza się, a ja już wiem, że mam przejebane. Muszę jechać i pomóc temu idiocie.

Nie mam tylko pojęcia, jak się wydostanę z domu Arthura.

Rozdział 17

To jasne, że nie mogę mu o niczym powiedzieć.

Jestem pewna, że Arthur nie wypuściłby mnie ze swojego domu nawet przy lepszej wymówce, a co dopiero gdybym wyjaśniła, o co chodzi. Miałabym się narażać dla byłego chłopaka z policji? Nie ma mowy.

Dlatego właśnie pakuję niezbędne rzeczy do plecaka, przygotowuję się do wyjścia i wymykam z apartamentu, ciesząc się w duchu z wyłączonych kamer. Kiedy prosiłam o to Arthura poprzedniego wieczoru, nie sądziłam, że to tak bardzo mi się przyda. Mam szczęście.

Nie wiem, jak wydostać się z domu i jaki jest kod do głównej bramy. Muszę to załatwić inaczej. Wyłączone kamery tutaj również mogą okazać się moim sprzymierzeńcem, jeśli odpowiednio wszystko rozegram.

Nie zostawiam żadnej wiadomości, ale apartament znajduje się w stanie, który jasno wskazuje na moją ucieczkę. Brak plecaka będzie natychmiastową wskazówką dla kogoś, kto przyjdzie mnie szukać. Ostrożnie przebiegam korytarzem prowadzącym do klatki schodowej; nigdzie nie napotykam ochroniarzy. Następnie wędruję schodami w dół, gdzie wyostrzam czujność: to przecież poziom częściowo należący do ludzi Arthura.

Specjalnie wybrałam ciuchy w neutralnych kolorach — dżinsowe szorty, szarą koszulkę i ciemne conversy — żebym aż tak nie wyróżniała się na korytarzach, mimo to zdaję sobie sprawę, że nie jestem kameleonem i nie wtapiam się w ściany. Zatrzymuję się na dole przy klatce schodowej i przez moment nasłuchuję; wydaje mi się, że słyszę dźwięki rozmowy dochodzące z korytarza po prawej stronie, więc wybieram kierunek przeciwny. Wyglądam na korytarz i cofam się pospiesznie, gdy dostrzegam mężczyznę przechodzącego między pomieszczeniami. Czekam niecierpliwie, aż droga będzie wolna, po czym puszczam się biegiem, starając się narobić jak najmniej hałasu, korytarzem w lewą stronę.

Próbuję przypomnieć sobie kierunek, w jakim ostatnio podążałam tędy z Arthurem.

W końcu udaje mi się niepostrzeżenie dotrzeć do garażu. Ukrywam się przy ścianie za wejściem i prędko lustruję pomieszczenie. Nikogo w nim nie ma i nic w tym dziwnego — mamy wczesną poranną godzinę, nikt pewnie jeszcze nie pomyślał, żeby gdzieś wyjechać. W garażu stoją dwa maybachy — to chyba jednym z nich jeżdżę z Arthurem na tylnym siedzeniu — dwa terenowe SUV-y i jeden czarny, błyszczący motocykl. Nawet nie chcę wiedzieć, po co im tyle pojazdów.

Zastanawiam się, jak się stąd wydostać. Byle nie zajęło mi to dużo czasu, bo utknę tu na dobre. Szybko orientuję się jednak, że samochody ustawione są tak, że tylko część z nich może wyjechać z garażu od razu. Jeden maybach i jeden SUV zastawiają drogę drugiej parze. W takiej sytuacji decyzja jest dużo prostsza.

Na ścianie nieopodal, przy wysokim regale, na którym mieści się chyba wszystko, co jest potrzebne do naprawy aut, włącznie z zapasowymi oponami, wisi przeszklona szafka z kluczami do samochodów. Nie jest zamykana na zamek. Po etykietce z numerem rejestracyjnym wybieram odpowiedni klucz i przyciskiem odblokowuję drzwi pierwszego w rzędzie SUV-a. Następnie wchodzę do środka i zamykam się w aucie, po czym szukam dla siebie kryjówki.

Na tylnym siedzeniu znajduje się mnóstwo rzeczy: jakieś pakunki, koc, a nawet kawałek brezentowej folii. Wolę się nie zastanawiać, co oni z tym wszystkim robią. Mnie za to bardzo się to przydaje, gdy chowam się na tylnej kanapie, po czym próbuję zamaskować swoją obecność w samochodzie wszystkimi tymi rzeczami.

Wyciągam z plecaka pistolet, zamieram i czekam.

Jestem dobra w czekaniu. Od lat wymaga tego moja praca, która zwykle polega na żmudnej, wielogodzinnej inwigilacji. Sprawa wygląda jednak odrobinę inaczej, kiedy wiem, że dostałam tylko godzinę na przyjazd do domu Cole'a i kiedy spełnienie tego warunku wcale nie ode mnie zależy. Mój plan ma bardzo chwiejne podstawy. Zakładam, że Arthur dość szybko zorientuje się, że mnie nie ma. Zakładam, że będzie chciał mnie szukać. Zakładam, że skoro ze względu na wyłączone kamery nie ma pojęcia, dokąd się udałam, uzna, że mogłam wyjść poza teren posiadłości, i wyśle jednego ze swoich piesków, żeby poszukał mnie na zewnątrz.

Chcę, żeby sami wywieźli mnie z tego domu, ale nie mam pojęcia, czy ten plan się powiedzie.

Czekam jakieś sto lat — czyli w rzeczywistości pewnie około kwadransa, może dwudziestu minut — gdy w końcu słyszę przybliżające się do mnie krzyki. Rozpoznaję głos Deacona Pike'a.

— Sprawdź po prostu te jebane samochody! — drze się, chyba do jednego z ochroniarzy. — Ta suka nie mogła rozpląnąć się w powietrzu!

Och, wybiję mu kiedyś jedyńki za tę „sukę”.

Nie dociera do mnie niestety odpowiedź ochroniarza, prawdopodobnie dlatego, że nie drze się tak bardzo jak Pike. Słyszę jednak, jak otwierają się drzwi garażu i jak dwie osoby wchodzi do środka. Zamieram i dopiero wtedy rejestruję głos ochroniarza.

— Widzisz? Mówiłem, że ich nie ruszyła — mówi z satysfakcją. — Niby jak miałyby wyjechać przez bramę?

— W takim razie to oznacza, że jakoś przedostała się przez mur — odpowiada Pike z rozdrażnieniem. — Szef jest wkurwiony. Nie obchodzi go, jak to zrobimy, ale mamy ją znaleźć i do niego przyprowadzić. To brzmi dosyć złowieszczo.

— Trzeba przeszukać posiadłość, na pewno się gdzieś ukrywa — odpowiada ochroniarz lekceważąco.

Pike prycha.

— Na pewno, ale na wszelki wypadek wyjedź na zewnątrz i przejedź się kawałek. Jeśli ucieka na piechotę, to bez trudu ją wypatrzysz.

Wstrzymuję oddech, gdy słyszę ich kolejne ruchy. Ponownie trzaskają drzwi, a kroki ochroniarza dobiegają od etażerki z kluczykami. Mam ochotę wydać z siebie triumfujący okrzyk, gdy gwałtownie otwierają się drzwi po stronie kierowcy i po chwili SUV kołysze się nieco, oznajmiając obecność kierowcy.

— Jebany kutas — mamrocze ochroniarz, uruchamiając silnik. — Czy ja jestem pierdolonym chłopcem na posyłki?

Wyjeżdża z garażu, a ja wciąż nie ośmielam się choćby podnieść głowy znad rozłożonych na mnie pakunków. Nie chcę za wcześniej się spalić; wolę już stracić możliwość poznania trasy do domu Arthura i kodu do głównej bramy — i tak na pewno zmienią go po mojej ucieczce. Czekam więc cierpliwie, aż ochroniarz wyjedzie wystarczająco daleko poza teren posiadłości.

Zatrzymujemy się na moment; kierowca zapewne czeka na otwarcie bramy. Kiedy ruszamy ponownie, wreszcie ostrożnie wyglądam zza koca i unoszę nieco głowę.

Tak! Wyjeżdżamy na pustynię. Muszę odczekać jeszcze chwilę, żeby znaleźć się odpowiednio daleko — chcę, żeby ochroniarz nie dotarł tak łatwo z powrotem do domu. Jedziemy utwardzoną drogą, na której strasznie trzęsie, i postanawiam zaczekać, aż dotrzemy do asfaltu. Tamtędy łatwiej będzie mi się uciekało.

Dookoła nas rozciąga się pomarańczowy piasek pustyni Mojave. Jak okiem sięgnąć nie widzę innych zabudowań, tylko na horyzoncie majaczy miasto. Znajdujemy się w sporej odległości od Vegas, co oznacza, że zapewne nigdy nie zwieję stąd na piechotę. Mogłabym wprawdzie próbować dostać się do drogi, a potem łapać stopa, ale biorąc pod uwagę natężenie ruchu w tym miejscu, prędzej chyba dopadłyby mnie sępy.

Albo Arthur Ashbourne.

Nie doczekuję, aż dojedziemy do asfaltu. W pewnej chwili ochroniarz zatrzymuje się; widzę, jak rozgląda się dookoła, klnąc pod nosem. Chyba właśnie dochodzi do wniosku, że cała ta wyprawa jest bez sensu, w związku z czym zaraz prawdopodobnie spróbuje wrócić do posiadłości. Na to nie mogę pozwolić.

Podnoszę się szybko i rzucam do przodu, przystawiając facetowi do szyi lufę mojego pistoletu. Momentalnie zamiera.

— Otworzysz teraz drzwi i wysiądziesz na zewnątrz — instruuję go opanowanym głosem, chociaż serce wali mi jak szalone. — Tylko spokojnie. Żadnych głupich ruchów, bo przysięgam, że przestrzelę ci gardło. Uwierz mi, krztuszenie się własną krwią to kiepska śmierć.

— Chyba cię pojebało — odpowiada, wyraźnie zdenerwowany. — Nie możesz...

— Rób, co mówię, albo to będzie ostatnie polecenie, którego wykonania odmówisz. — Odbezpieczam pistolet tak, żeby to słyszał. — Nie będę powtarzać.

— Dobra, spokojnie — mamrocze, po czym posłusznie otwiera drzwi.

Wysuwa się powoli na zewnątrz, a ja w tym samym czasie, nie przestając do niego celować, przechodzę między fotelami do przodu, po czym zajmuję miejsce ochroniarza za kierownicą. On sam stoi na pustyni obok samochodu. Przyglądam mu się krytycznie.

— Wyjmij pistolet zza paska — rozkazuje.

Jestem bardzo czujna, gdy go wyciąga. Nie chcę stać się ofiarą postrzału jakiegoś ochroniarza, który nie do końca zrozumiał polecenia Arthura. Ashbourne raczej nie kazałby mnie zabić, zwłaszcza po tym, co zaszło między nami ostatniej nocy... Chociaż w zasadzie kto go tam wie.

Facet podaje mi pistolet, który rzucam na siedzenie pasażera za siebie, nawet się na niego nie oglądając. Każę mu jeszcze oddać komórkę, a gdy wypełnia i to polecenie, chwytam za klamkę.

— Biegnij do posiadłości powiedzieć szefowi, co się stało — polecam, po czym zatrzymuję drzwi i ruszam przed siebie tak gwałtownie, że aż opony buksują w piasku.

Obserwuję ochroniarza w tylnym lusterku, ten jednak na szczęście tylko przygląda się odjeżdżającemu SUV-owi i nie próbuje mnie zatrzymać. Sięgam na osłep po plecak i chowam do niego pistolet, po czym zostawiam go na przednim siedzeniu obok. Drugą dłonią mocno trzymam kierownicę, bo jazda po tej pełnej wertepów drodze nie należy do najprzyjemniejszych.

W końcu udaje mi się wydostać na asfalt. Ruszam całkowicie pustą drogą, kierując się w stronę Vegas. Rozkręcam mocniej klimatyzację, zastanawiając się, co robić dalej.

Dobra. Uciekłam. To jednak dopiero początek. SUV na pewno ma zainstalowany nadajnik i gdy tylko ochroniarz przekaze, co się stało, zaczną mnie namierzać i ścigać. Powinnam jak najszybciej pozbyć się samochodu, gdy tylko dojadę do centrum.

Kolejną kwestią jest pomoc Cole'owi. Jak niby mam tego dokonać?

Moje myśli na chwilę odbiegają od tego tematu, gdy rozdzwania się moja komórka. Wyciągam ją z plecaka, właściwie spodziewając się Arthura, ale dopiero po chwili orientuję się, że przecież nie dałam mu swojego numeru. Kontakt na wyświetlaczu jest zresztą zupełnie inny.

To wujek Eddie.

Och, po prostu świetnie.

— Potrzebuję, żebyś oddała mi tę przysługę, którą mi jesteś winna, Ever — odzywa się, gdy odbieram i przełączam go na tryb głośnomówiący.

Spoglądam w tylne lusterko, na szczęście droga nadal jest pusta. Przekraczam dozwoloną prędkość, by jak najszybciej znaleźć się w mieście. Mam mało czasu i nie chcę, żeby ludzie Arthura mnie dogonili.

— W tej chwili? Jestem trochę zajęta — odpowiadam.

Wujek Eddie wzdycha.

— Tak, w tej chwili, Ever. Nie mogę cierpliwie czekać, aż twój grafik łaskawie się połuzni. Potrzebuję, żebyś znalazła kogoś teraz.

Przewracam oczami. Wiedziałam, że to się tak skończy. Chociaż prośba wujka i tak jest stosunkowo niewinna, obawiałam się czegoś gorszego.

— Dobra, podaj mi szczegóły.

— Chodzi o pewną dziewczynę, która zniknęła z radaru — mówi wujek Eddie.

Nie dodaje nic więcej. Jeśli będę musiała wyrąbywać z niego te informacje, to nie zdążę tego załatwić do przyszłego roku.

— Szczegóły — warczę. — Naprawdę nie mam czasu na zabawę w podchody.

— Słyszałaś o strzelaninie dwa dni temu na Strip?

Prycham z niedowierzaniem.

— Chyba sobie żartujesz.

— Nie, nie żartuję sobie — zaprzecza. — Jakieś oprychy próbowały uciec z kasyna, w którym narobiły szkód, policja usiłowała ich zatrzymać na ulicy i wywiązała się strzelanina. Nie znam detali.

Dobrze wiedzieć, że w Vegas nie tylko ja mam problem z zabłąkanymi kulami.

— Dobra, i co?

— Według moich źródeł dziewczyna, której szukam, mogła trafić w ogień krzyżowy — kontynuuje wujek Eddie. — Jest krupierką, szła akurat do pracy. Nie wiem, co się z nią stało. Od tej pory nie ma z nią kontaktu.

— Może trafiła do szpitala? — sugeruję.

— Jej matka by się o tym dowiedziała, a nie dostała żadnej informacji — wyjaśnia wujek. — Posłuchaj, Ever, możesz uznawać mnie za interesownego gnojka i pewnie miałabyś rację, ale nawet ja rozumiem, że jesteś teraz w trudnej sytuacji, i nie prosiłbym cię o pomoc, gdyby to nie było naprawdę ważne. Ta dziewczyna ma raptem dwadzieścia trzy lata. To dobre dziecko. Nie zasłużyła na to, żeby stało jej się coś złego.

Wzdycham. Oczywiście, to na pewno chodząca niewinność. I na pewno wcale nie uciekła gdzieś ze swoim chłopakiem.

— Dobra, sprawdź to — obiecuję. To powinna być prosta sprawa. — Podaj mi nazwisko tej dziewczyny.

Grzebię w plecaku, szukając notatnika, który następnie razem z długopisem kładę na kierownicy przed sobą. Na szczęście droga jest pusta i nie wymaga dużego skupienia.

— Dziewczyna nazywa się Persephone Grant — mówi wujek, zapisuję więc wszystkie jej dane i informacje, które już mi podała. — Potraktuj to poważnie, Ever, proszę. Ona jest... naprawdę dla mnie ważna.

Unoszę brew.

— Myślałam, że nikt poza mną nie jest dla ciebie ważny — zauważam z rozbawieniem. — To jakaś twoja kochanka?

— Nawet sobie tak nie żartuj — odpowiada z oburzeniem, które mówi mi wszystko o łączącej ich relacji.

Parskam pełnym niedowierzania śmiechem.

— Czyżbyś miał jakieś nieślubne dziecko, o którym nikt nie wie, wujku?

Przez chwilę w słuchawce panuje cisza. W końcu Eddie fuka z frustracją:

— Jak ty to robisz, Ever? Skąd wiesz takie rzeczy?

— Siła dedukcji. — Wzruszam ramionami, choć on tego nie widzi.

— Ona w ogóle o tym wie?

— Nie i tak ma pozostać — nakazuje z naciskiem. — Nikt nie ma o niej pojęcia, więc raczej nie dlatego zniknęła. Wie tylko jej matka, ale ona zrobi wszystko, żeby chronić Persię. Przekazuję jej pieniądze i pilnuję ich obu na odległość, to tyle. Nie chcę dziewczyny wciągać w nasz świat i ona nie może się o niczym dowiedzieć. Rozumiesz?

Rozumiem, chociaż to trochę smutne. Dziwi mnie, że dowiaduję się o wujku czegoś, o czym do tej pory nie miałam pojęcia, a co stawia go w nieco lepszym świetle — w dodatku on właśnie tę informację próbuje ukrywać. Może jednak nie jest takim kompletnym gnojkiem, za jakiego go miałam. Wygląda na to, że faktycznie zależy mu na tej dziewczynie.

Coś takiego.

— Jasne — potwierdzam lekko. — Ode mnie niczego się nie dowie, potrafię zachować sekret. Persia Grant, lat dwadzieścia trzy, strzelanina na Strip. Spoko. Wyślij mi tylko SMS-em jakieś jej zdjęcie. Dam znać, kiedy się czegoś dowiem.

Rozłączam się, po czym natychmiast wybieram inny numer. Malcom odbiera po dwóch sygnałach.

— Co się dzieje, Ever? — pyta.

— Mam wszystko pod kontrolą — kłamię. — Mal, potrzebuję pomocy. Jesteś w stanie wyciągnąć dla mnie teczkę dotyczącą strzelaniny na Strip

dwa dni temu? Przydadzą mi się też nagrania z kamer, na pewno któraś coś zarejestrowała.

Malcolm wydaje z siebie pełne niedowierzania prychnięcie.

— Nie mów mi, że masz z tym coś wspólnego.

— Zaskoczę cię: akurat nie mam — odpowiadam z rozbawieniem.

— Nie cały świat kręci się wokół mnie, wiesz? Nie muszę brać udziału w każdej strzelaninie w mieście.

— Mam nadzieję, że rzeczywiście nie masz takich aspiracji — stwierdza poważnie.

Śmieję się mimo woli, chociaż sytuacja sprawia, że mój humor nie jest najlepszy.

— Zapewniam, że wcale mnie to nie bawi — pry cham. — Oddaję tylko komuś przysługę. Wyślij mi, proszę, co masz, na maila, dobra?

— Wiesz, że nie powinienem tego robić?

— Ale wiesz, że i tak to zrobisz, niezależnie od całego tego gadania? — wypominam niemal łagodnie. — Nie mam na myśli nic złego, przysięgam. Potrzebuję tylko kogoś znaleźć. Kogoś, kto pewnie potrzebuje pomocy.

Moją rodzinę, uświadamiam sobie nagle. Skoro wujek Eddie ma córkę, to ta cała Persia jest moją kuzynką. I pewnie nigdy się o tym nie dowie, sądząc po słowach wujka o trzymaniu dziewczyny w nieświadomości.

Czasami tak bywa łatwiej, gdy żyje się w naszym świecie. Jest tu wystarczająco groźnie, by nasi bliscy byli narażeni na różne ataki. Dziewczyna dzięki temu jest bezpieczna, a wujek Eddie nie ma słabości, którą mogliby wykorzystać jego przeciwnicy.

To jednak nadal nie mieści mi się w głowie.

— Dowiedz się też, czy ktoś zgłosił na policję zaginięcie Persephone Grant — dodaję, kiedy Malcolm w końcu potwierdza, że mi pomoże.

— Bardzo ci dziękuję.

Gdy kończę rozmowę z kuzynem, przychodzi wiadomość od wujka Eddiego. Spoglądam na zdjęcie, które mi przesłał, i mimowolnie wzdycham. Dziewczyna naprawdę wygląda niewinnie. Ma nieco egzotyczną urodę z tymi bursztynowymi, migdałowymi oczami i burzą czarnych kręconych włosów. Jest blada i ma nieco zbyt wystające kości policzkowe, ale obiektywnie jest bardzo ładna. Stanowi jednak moje totalne przeciwieństwo i w życiu nie powiedziałabym, że możemy być spokrewnione.

Rzucam w końcu telefon na siedzenie pasażera i zaczynam zwracać większą uwagę na drogę, bo właśnie wjeżdżam do Vegas. Muszę znaleźć miejsce na porzucenie samochodu, a potem dotrzeć do domu Cole'a i zastanowić się, co dalej.

Dopiero później mogę martwić się kuzynką, o istnieniu której nie miałam dotąd pojęcia.

Rozdział 18

— Ever, jak miło cię widzieć! Wejdiesz do środka?

Pani Richardson, sąsiadka Cole'a, uśmiecha się do mnie szeroko, gdy tylko otwiera drzwi.

To sympatyczna starsza pani, wdowa z pięcioma kotami na stanie. Ma trójkę dzieci, które porożędzały się po całej Nevadzie, i w rezultacie matkuje połowie ulicy. Zawsze kibicowała mnie i Cole'owi, więc pewnie zmartwiłaby się, gdybym jej wyznała, że się rozstaliśmy.

Zmartwi się jeszcze bardziej, gdy powiem jej to, co sobie przygotowałam.

— Dzień dobry, pani Richardson. — Uśmiecham się z zakłopotaniem.

— Mam pewną niezbyt przyjemną sprawę. Mogłabym wejść?

Sąsiadka poważnieje i przepuszcza mnie w drzwiach. Dopiero wtedy podnoszę głowę i odsuwam włosy z twarzy, bo chociaż podjazdy przed domami dzieli dosyć wysoki żywopłot, i tak obawiam się, że mógłby mnie dostrzec ktoś z domu Cole'a.

Pani Richardson prowadzi mnie do salonu, gdzie niechętnie siadam na wysłużonej beżowej kanapie. Od razu przechodzę do rzeczy.

— Jestem przekonana, że Cole mnie zdradza — oświadczam, na co pani Richardson robi zdumioną minę.

— Cole? Niemożliwe, to taki dobry chłopak! Świata poza tobą nie widzi!

Tak, właśnie dlatego parę dni temu kazał mi się wynosić.

— A jednak. — Z zalem kręcę głową. — Oczywiście nie dysponuję żadnymi dowodami, ale mam poważne podejrzenia. Sądzę, że właśnie teraz jakaś kobieta jest z Cole'em w jego domu. Miałam wyjechać na parę dni i nie spodziewał się, że tak szybko wrócę.

— No właśnie, jakiś czas cię tu nie widziałam. — Pani Richardson zamyśla się. — Tak mi przykro, kochana, chociaż nadal nie bardzo chce mi się w to wierzyć. Zamierzasz się z nim skonfrontować?

— O to właśnie chodzi. — Uśmiecham się nieśmiało. — Mam przy sobie lornetkę. Miałam nadzieję, że pozwoli mi pani spojrzeć przez nią od siebie w kierunku domu Cole'a, może zauważę coś, co potwierdzi moje podejrzenia... albo przekona mnie, że się mylę.

Starsza pani gwałtownie kiwa głową.

— Oczywiście, kochana! Nie krępuj się, patrz, ile tylko chcesz! Mam nadzieję, że mimo wszystko pomogę ci uratować ten związek, bo tak ładnie ze sobą wyglądacie. Pasujecie do siebie jak mało kto!

Z trudem zachowuję uśmiech, bo po tych słowach kobiety wreszcie robi mi się głupio. Ona dobrze mi życzy, a ja od progę ją okłamuję.

Ale przecież mam dobre powody. Prawda?

— Dziękuję, pani Richardson — odpowiadam ciepło.

— Nie ma za co. Nie przejmuj się, kochana, to na pewno tylko jakieś nieporozumienie. Zrobię nam herbaty, chcesz?

Kiwam głową i wzdrzgam się, gdy jeden z kotów sąsiadki zaczyna ocierać mi się o nogę. Nerwy mam cały czas napięte jak postronki i wystarczy byle dotyk, żebym chciała sięgać do ukrytego za paskiem szortów pistoletu. Lepiej, żebym nie zastrzeliła żadnego z pupili pani Richardson, bo to mogłoby ją zdenerwować. Muszę nad sobą panować.

Wstaję z kanapy i ostrożnie podchodzę do okna, wyjmując lornetkę z plecaka. Pani Richardson pewnie byłaby zaskoczona faktem posiadania przeze mnie broni; w końcu nie ma pojęcia, czym się zajmuję ani jakie mam znajomości. Cole'a zna znacznie dłużej ode mnie i wie, że on pracuje w policji, więc chyba automatycznie uważa, że jestem równie porządną osobą. Pewnie nie byłaby zadowolona, gdyby poznała prawdę. Większość mieszkańców przedmieść nie chce mieć w sąsiedztwie ludzi w jakiś sposób związanych z półświatkiem.

Zerkam przez lornetkę w kierunku domu Cole'a i klnę pod nosem. Rolety z tyłu budynku są opuszczone i nie mogę dostrzec, co się dzieje w sypialniach. Jestem w stanie zajrzeć jedynie do salonu, po którym przechadza się dwóch facetów w ciemnych kombinezonach maskujących. Rozmawiają ze sobą i chyba są zdenerwowani. Sięgam po aparat i pstrykam im kilka zdjęć; może później uda się ich rozpoznać na przykład na policji.

Zastanawiam się, co teraz. Domy pani Richardson i Cole'a są połączone tylnymi ogródkami, każdy z nich ma też tylne wejście, którym mogłabym przedostać się na sąsiednią posesję. Zapewne jednak ktoś pilnuje tamtej strony domu Cole'a. Musiałabym zaskoczyć pierwszego

przeciwnika — inaczej nie mam szans niepostrzeżenie dostać się do budynku obok i pomóc byłemu chłopakowi.

Pani Richardson wraca po chwili; słyszę stuknięcie, gdy stawia na stoliku kawowym dwie filiżanki z herbatą.

— Widać coś? — pyta z ciekawością, której nawet nie próbuje ukrywać.

Prycham z irytacją.

— Rolety w sypialni są opuszczone — odpowiadam. — Chyba będę musiała tam wejść. Wolałabym jednak zrobić to tylnymi drzwiami, żeby Cole mnie nie zauważył. Będę mogła przejść przez pani ogródek?

Kiedy odwracam się, by na nią spojrzeć, stwierdzam, że sąsiadka jest nieco zaskoczona. W zasadzie jej się nie dziwię. To nie jest normalny sposób załatwiania takich spraw.

— Na pewno nie wolisz z nim po prostu porozmawiać? — podsuwa niepewnie. — Uwierz mi, Everly, to zazwyczaj najlepsze wyjście.

Zazwyczaj może i tak.

— Porozmawiam z nim, jak już się dowiem, czy ma w łóżku inną kobietę — odpowiadam stanowczo.

Pani Richardson na szczęście nie nalega, tylko kiwa głową.

— Rozumiem. Oczywiście, możesz skorzystać z tylnego wyjścia. Ale najpierw napij się herbaty, dobrze? Uspokoi cię.

Z westchnieniem siadam z powrotem na kanapie i zanurzam wargi w gorącym napoju. Jezu. Nie znoszę herbaty. Gdybym nie chciała być miłą dla sąsiadki Cole'a, nie wypiłabym nawet łyka.

Spoglądam ukradkiem na zegarek na moim nadgarstku. Zostało już tylko kilka minut z godziny, którą dały mi na dojazd zbiry przetrzymujące Cole'a; to i tak niezły wynik. Sądziłam, że dłużej zeszło mi z czekaniem w garażu Arthura.

Ale to wciąż za mało czasu, żeby przygotować i wdrożyć jakiś sensowny plan. Znowu będę działać po omacku. Nie lubię tego.

—Bardzo pani dziękuję za pomoc — mówię w końcu, odstawiając na spodek niemal pełną filiżankę. — Nie będę zajmować pani więcej czasu.

— Ależ to nic takiego, kochana. — Pani Richardson ze śmiechem macha ręką. — To najciekawsza rzecz, jaka przytrafiła mi się, odkąd wczesną wiosną pan Jeffrey z naprzeciwka po pijaku wjechał samochodem w śmietniki przed domem. A żebyś widziała, jak potem awanturował się z policją, twierdząc, że ktoś nocą podstępem przeniósł je na inne miejsce!

Mimowolnie parskam śmiechem. To w zasadzie smutne, że samotna staruszka prowadzi taki tryb życia; kiedy jednak przypominam sobie, ile razy w ciągu ostatnich dni próbowano mnie zabić, dochodzę do wniosku, że czasami chętnie bym się zamieniła miejscami z kimś takim jak pani Richardson. Przynajmniej miałabym wtedy święty spokój.

Kobieta odprowadza mnie do tylnego wejścia, cały czas trajkocząc o tym, jak według niej pasujemy do siebie z Cole'em. Odruchowo kiwam głową, ale w żaden sposób jej nie odpowiadam.

Godzina nadal jest wczesna, dlatego po otwarciu drzwi owiewa mnie rześkie poranne powietrze. Żegnám się z sąsiadką i wychodzę do ogrodu.

Przyklejam się do ściany i powoli zbliżam się do sąsiedniej posesji. Kiedy przy tylnych drzwiach domu Cole'a dostrzegam jakiegoś faceta, kulę się nieco, żeby mnie nie spostrzegł między krzewami okalającymi dom pani Richardson. Wyciągam zza paska pistolet, po czym skradam się przejściem między budynkami. Gdy w końcu docieram do sąsiedniego, ponownie schylam się i chowam za roślinnością. Na szczęście Cole'owi nigdy nie chce się kosić trawnika ani dbać o ogród, dlatego między rosnącymi na skraju posesji krzewami i drzewami jest dość miejsca, żeby się ukryć.

Czekam, przyglądając się nieruchomemu mężczyźnie. Nie wygląda, jakby zamierzał ruszyć się spod drzwi. Sądząc po jego minie, nudzi się. Nie mogę go zastrzelić, to oczywiste. Po pierwsze, nie zamierzam nikogo zabijać, chyba że w obronie własnej, a po drugie, hałas ściągnąłby do mnie innych ludzi. Muszę to załatwić po cichu.

Biorę kamień i rzucam go w krzaki nieco bliżej przejazdu i ulicy, niż znajduje się miejsce, gdzie się ukryłam. Krzaki szeleszczą, a mężczyzna przy drzwiach natychmiast się tym interesuje. Wyciąga pistolet i rusza przed siebie ze wzrokiem utkwionym w miejscu, gdzie upadł kamień. Musi odwrócić się przy tym bokiem do mnie, co daje mi idealną możliwość ataku.

Przemykam między krzewami i w kilku susach dopadam do mężczyzny. Zamachuję się mocno i walę go kolbą pistoletu w potylicę. Upada na kolana, ale nie traci przytomności. Kopniakiem wytrącam mu z dłoni broń i uderzam jeszcze raz, a potem trzeci, żeby mieć pewność. Facet pada na twarz między krzewy, ale gdy sprawdzam mu puls, z ulgą stwierdzam, że nadal oddycha.

Przekraczam ciało mężczyzny i ruszam w kierunku tylnego wejścia do domu Cole'a. Ostrożnie naciskam klamkę i wślizguję się do środka,

nasłuchując. Od strony salonu dobiegają mnie podniesione męskie głosy, na szczęście kuchnia, do której wchodzi się od ogrodu, jest pusta. Wygląda na to, że porywaczy jest trzech i że tylko jeden z nich pilnował drzwi na tyłach.

Spodziewam się, że Cole jest przetrzymywany w sypialni, dlatego tam właśnie się kieruję. Z kuchni muszę tylko przejść do przedpokoju i otworzyć ostatnie drzwi, by znaleźć się we właściwym pomieszczeniu — znam rozkład domu Cole'a wystarczająco dobrze, w końcu mieszkałam tu przez kilka miesięcy.

Bezszelstnie otwieram drzwi sypialni, ale wewnątrz czeka mnie nieprzyjemna niespodzianka. Poza związanym, leżącym na łóżku Cole'em w pokoju znajduje się także kolejny zbir w czarnym kombinezonie.

Kiedy tylko wchodzę do środka, zrywa się z fotela i celuje do mnie. Skaczę gwałtownie w bok i bez namysłu strzelam dwukrotnie. Facet upada na podłogę, trzymając się za brzuch, przez palce przecieka mu krew; podbiegam bliżej i nadeptuję mu na dłoń, zanim zdąży ponownie do mnie wycelować. Krzyczy, ale to nieważne — i tak straciłam już element zaskoczenia. Słyszę pospieszne kroki w przedpokoju.

Kopnięciem odsuwam broń gdzieś pod komodę, po czym biegnę z powrotem do drzwi i blokuję je, zanim reszta napastników zdąży wpaść do środka. Oczywiście sam klucz nie powstrzyma ich długo, zanim jednak zrobię coś więcej, muszę uwolnić Cole'a. Siedzi na łóżku i wpatruje się we mnie z niedowierzaniem, ze związanymi za plecami rękami i z szarą taśmą na ustach.

Pospiesznie wyciągam z plecaka scyzoryk i podchodzę bliżej łóżka. W pierwszej kolejności zrywam Cole'owi z ust taśmę, na co ten wrzeszczy, jakbym go co najmniej żywcem obdarła ze skóry.

— Co ty tu robisz?! — syczy, kiedy wreszcie może.

Słyszając to pytanie, od razu zaczynam żałować, że jednak nie zostawiłam taśmy na poprzednim miejscu. Chowam pistolet za pasek i scyzorykiem przecinam Cole'owi więzy.

— Pomagam ci, debil — odwarkuję. — Pomóż mi przesunąć komodę pod drzwi.

Na szczęście Cole nie zadaje więcej głupich pytań, tylko podrywa się z łóżka, po czym posłusznie blokuje ze mną wejście komodą. Czuję wstrząs, gdy ktoś zaczyna walić w drzwi od drugiej strony — chyba rzuca się na nie całym ciałem. Krzyczę i padam na podłogę, ledwie do sypialni przedzierają się kule. Po kilku strzałach na szczęście wszystko milknie.

— Ciągłe możecie wyjść z tego żywi! — Słyszę następnie obcy męski głos po drugiej stronie drzwi. — Wystarczy, że odda pani aparat ze zdjęciami, panno Chance!

Jasne, a potem mnie zabiją, bo przecież jestem jebanym świadkiem tego, co zaszło na Glenview Drive!

— Do okna — szepczę do Cole'a, który na szczęście nie próbuje protestować.

Ma podbite oko i wielkiego siniaka na policzku, poza tym jest w niezłym stanie i chyba nie zrobili mu poważnej krzywdy. Zostawia mnie pod drzwiami, a sam biegnie do okna, które wychodzi na ogród za domem. Ledwie się przez nie wychyla, a z zewnątrz dobiegają kolejne strzały.

— Kurwa! — Cole chowa się za ścianą obok okna, czekając, aż strzały ustaną. — Zabrali mi służbową broń...

Głową wskazuję na porzucony pod ścianą pistolet postrzelonego przeze mnie faceta. Nie podnosząc się, Cole podpełza do niego i zabiera broń. Gdy wraca pod okno, ma nieco pewniejszą minę. Pokazuje mi, żebym do niego podeszła, więc przebiegam przez pokój i opieram się o ścianę po drugiej stronie okna.

— Nie wiedziałem, że umiesz strzelać — mówi Cole z pretensją. Przewracam oczami.

— Wielu rzeczy o mnie nie wiedziałeś. Możemy porozmawiać o tym później, gdy nikt nie będzie próbował nas zastrzelić?

— Dlaczego po prostu nie dasz im tego, czego chcą?

— A jaką mam gwarancję, że mnie wtedy nie zabiją?! — wściekam się. — Jestem świadkiem podwójnego morderstwa, Cole. Naprawdę myślisz, że zostawią mnie w spokoju, kiedy oddam im zdjęcia?!

Po jego minie widzę, że w to nie wierzy. Dobrze, pewnie nie jest jeszcze ostatnim naiwniakiem.

Wychyłam się nieco i szukam wzrokiem napastników, natychmiast jednak cofam się z przekleństwem na ustach, kiedy padają kolejne strzały. Nie dostrzegam skąd. Nie potrafię zneutralizować zagrożenia, gdy nie mam pojęcia, gdzie się znajduje.

— Widzisz go?! — krzyczę do Cole'a, gdy ten znowu się wychyla.

Kręci tylko głową; drzwi do sypialni i komoda chwieją się mocno i przeczuwam, że za chwilę napastnicy dostaną się do środka. A wtedy oboje pewnie będziemy martwi.

Po prostu, kurwa, cudownie.

— Świetna akcja ratunkowa — mówi z przekąsem Cole. — Naprawdę wielkie dzięki, czuję się teraz zajeżdżony bezpieczny, Ever.

— Czy możesz na chwilę się przymknąć?! — warczę, bo czuję, że za chwilę zastrzelę jego zamiast napastników na zewnątrz.

Skąd oni się w ogóle wzięli?! Nie było ich tam, kiedy wchodziłam tylnym wejściem do środka!

Komoda chwieje się coraz bardziej i wiem, że drzwi nie wytrzymają już długo. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy raczej skoczyć na tych ludzi, którzy znajdują się za chwilę w sypialni, wyeliminować ich i uciec głównym wejściem, ale zanim zdążę podjąć jakąś decyzję, dzieje się coś dziwnego.

Słyszę kolejne strzały i na zewnątrz ktoś zaczyna wrzeszczeć. Cole wychyla się ostrożnie, ale w naszą stronę nie lecą następne kule, co jest nieco zaskakujące. Mężczyzna patrzy na mnie z niezrozumieniem.

— Strzelają do siebie — relacjonuje. — Możemy spróbować, to może być nasza szansa.

— Do siebie? — pytam nieufnie. — Raczej wątpię...

— Chcesz tu zostać i jeszcze się nad tym pozastanawiać?

Zaciskam szczęki i kręcę głową, na co Cole uśmiecha się z wyższością. Och, jak bardzo mam ochotę wałnąć go w twarz.

— Pójdę pierwszy — dodaje, opierając się o parapet. — Będę cię ubezpieczał. Idź zaraz za mną.

Czekam tylko, aż zniknie za oknem, a potem ruszam w jego ślady i wyskakuję na zewnątrz. Ledwie moje stopy dotykają ziemi, słyszę, jak drzwi w sypialni ustępują i do środka wpadają bandziory z salonu. Przesuwam się obok Cole'a pod ścianę, a ten chwyta mnie za rękę i prowadzi w kierunku ulicy.

W połowie drogi orientujemy się, że stoją przy niej dwa samochody, których wcześniej tam nie było. Widzę dwóch mężczyzn celujących z broni gdzieś w głąb ogrodu, gdzie zapewne znajduje się ostatni napastnik, i zapiera mi dech, gdy w jednym z tych mężczyzn rozpoznaję Deacona Pike'a.

— Ja pierdolę, co to za ludzie?! — Cole chwyta mnie mocno za ramię i zasłania własnym ciałem, zatrzymując się w pół kroku. — Musimy uciekać...

Waham się jakieś dwie sekundy. Mogę spróbować uciec Arthurowi albo pogodzić się z tym, że tu jest, i do niego wrócić. Nigdy nie chciałam przecież zwać na stałe. Zamierzałam tylko pomóc byłemu chłopakowi.

Ciągnę Cole'a do ulicy, gdzie wkrótce zauważają mnie ludzie Arthura. Strzelanina wreszcie się kończy — zapewne zlikwidowali tego człowieka na zewnątrz, w ogrodzie — po czym dwóch ludzi zbliża się ostrożnie do okna sypialni, a ten trzeci podchodzi do nas. Cole wyciąga pistolet, gdy tylko tamten podnosi swój.

— Stój albo strzelę — mówi Cole stanowczo, na co facet przenosi wzrok na mnie.

— Panno Chance, szef pani oczekuje — odpowiada.

Cole posyła mi zaskoczone spojrzenie, gdy kiwam głową.

— Co to ma, kurwa, być?! — syczy na mnie.

— Uspokój się, wszystko w porządku — rzucam, po czym spoglądam na ochroniarza. — Pójdę. Muszę się tylko upewnić, że mój przyjaciel też będzie bezpieczny.

— O to proszę się nie martwić — uspokaja ochroniarz, nadal jednak celuje do Cole'a, który ani myśli opuścić broń.

— To jacyś gangsterzy — cedzi. — Nie pójdziesz z nimi, Ever.

Uderzam go łokciem w brzuch, aż zgina się wpół, i wyrywam mu z dłoni pistolet. Cole patrzy na mnie z niedowierzaniem i pretensją, na które nie reaguję — nie mam czasu na słowne przepychanki.

Ochroniarz wydaje się rozbawiony tą sceną, gdy chowa broń i wskazuje nam gestem, żebyśmy poszli chodnikiem w stronę ulicy.

— Rób, co każą, a wszystko będzie dobrze — warczę do Cole'a, po czym posłusznie ruszam przed siebie.

Cole chwytam mnie za rękę, a ja pozwalam mu ją trzymać, ale nie trwa to długo. Ledwie docieramy do chodnika przed domem, jeden z ochroniarzy łapie mnie mocno za ramię i kieruje w stronę pierwszego z maybachów zaparkowanych przy krawężniku; kolejny mężczyzna pojawia się znikąd i wciąga Cole'a do drugiego auta. Cole próbuje coś za mną krzyknąć, ale nie zwracam na to uwagi, bez protestów dając się wsadzić na tylne siedzenie samochodu.

Ledwie siadam na kanapie, gdy napotykam wyraźnie wściekłe, pociemniałe spojrzenie stalowoszarych oczu. Drzwi zatraskują się za mną i zostają zamknięte na tylnym siedzeniu maybacha z wkurzonym Arthurem Ashbourne'em.

A potem on się odzywa i zaczynam rozumieć, że mój wyskok chyba nie rozejdzie się po kościach.

— Co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz, Ever?!

Rozdział 19

Ruszamy spod domu Cole'a. Gdy oglądam się za siebie, widzę, że drugi samochód jedzie za nami jak przyklejony. To dobrze, bo w środku chyba znajduje się mój były chłopak.

Deacon Pike spogląda na mnie rozeźlony z siedzenia kierowcy.

— Mówiłem, że z tą suką będą same problemy — cedzi przez zęby. Przewracam oczami. — Pozbądź się jej, póki jeszcze możesz.

Coś drga mi w sercu z niepokojem, kiedy Arthur przesuwając wzrok na swojego szefa ochrony.

— Podnieś przesłonę, Deacon— mówi surowo.

Mężczyzna na przednim siedzeniu prychnął.

— Daj spokój, Ash. Myślisz teraz fiutem, a nie głową. Wystarczy pierwsza lepsza ciasna cipka i już ci rozum odbiera?

Mam ochotę powiedzieć coś bardzo niecenzuralnego, na szczęście Arthur mnie ubiega.

— Powiedziałem: podnieś przesłonę — powtarza nadal opanowanym głosem. — A jeśli tego nie zrobisz, możesz zatrzymać samochód, żebym ci mógł wybić przynajmniej dwa zęby.

Pike posyła mi jeszcze jedno nienawistne spojrzenie, jakby chciał dać do zrozumienia, że to moja wina, po czym posłusznie podnosi nieprze-zroczytą przesłonę między przednimi a tylnymi siedzeniami. Z jednej strony się cieszę, że nie muszę dłużej patrzeć na tego dupka, a z drugiej to oznacza, że zostaję sam na sam z Arthurem.

Z wściekłym Arthurem Ashbourne'em, który w tym stanie przypomina zamkniętą w klatce panterę.

Na chwilę zapada między nami cisza. Arthur wygląda przez okno i widzę, jak drga mu mięsień w policzku; chociaż chce sprawiać wrażenie opanowanego, raczej jest wkurwiony. Ja jestem co najwyżej rozdrażniona,

przez co mogę nie mieć dość siły do walki, żeby rozstrzygnąć na swoją korzyść nadchodzącą kłótnię.

W końcu postanawiam odezwać się pierwsza.

— Jak mnie znaleźliście? — pytam spokojnie.

Arthur spogląda na mnie z niedowierzaniem.

— Właśnie to masz mi do powiedzenia? Zniknęłaś bez słowa, zostawiłaś mnie samego w łóżku i wybrałaś się do swojego chłopaka, gdzie o mało nie zginęłaś, a teraz masz czelność pytać, jak cię znalazłem?

Chyba troszeczkę dramatyzuje.

— Musiałam pomóc Cole'owi — tłumaczę, starając się brzmieć racjonalnie. — Zadzwonili do mnie, że go zabijają, jeśli nie przyjadę. Co innego mogłam zrobić?

— Rzeczywiście, wymkniecie się z mojego domu i groźenie bronią mojemu człowiekowi było najsensowniejszym rozwiązaniem — warczy z przekąsem.

Wzdycham.

— Nie pomógłbyś mi, gdybym poprosiła. Więc postanowiłam zająć się sprawą sama.

Po tych słowach w samochodzie znowu na moment zapada cisza. Potem Arthur mówi ze złością:

— Tak, nie pomógłbym ci, bo ten człowiek kompletnie mnie nie interesuje, rozumiesz? Ciebie też nie powinien.

— To przeze mnie chcieli go zabić — próbuję mu wyjaśnić. — Nie mogłam go zostawić...

— Nie zamierzam o tym dyskutować — przerywa mi. — To w ogóle nie jest, kurwa, sprawa do dyskusji. Nie będę słuchał twoich tłumaczeń i nie chcę, żebyś mówiła na ten temat coś więcej. Jasne?

Zaciskam szczęki, nie mając najmniejszego zamiaru odpowiedzieć. Arthur kontynuuje:

— Nigdy więcej nie próbuj ode mnie uciekać. Naprawdę nie chcesz wiedzieć, co się stanie, jeśli znowu coś takiego zrobisz.

— Co, uderzysz mnie? Zastrzelisz? — Posyłam mu prowokujące spojrzenie.

Słyszę jego warknięcie, gdy przysuwa się i chwyta mnie za ramię. Serce zaczyna mi walić jak oszalałe; czuję jego drugą rękę na moich plecach, jego oddech na moim policzku, jego nos muskający moją skórę. Chociaż jestem zła, bo nienawidzę, kiedy traktuje się mnie w taki sposób, i tak momentalnie robię się podniecona.

On lubi, kiedy mu się stawiam. A ja się lubię stawiać i dawać mu w końcu wygrać. Tym razem to jednak nieco inna sytuacja — nie chodzi o to, że tylko próbowałam mu uciec. Ja naprawdę to zrobiłam. W dodatku prosto z jego łóżka poszłam do byłego chłopaka — wcale się nie dziwię, że Arthur jest wkurwiony. Też bym była, gdyby to on zrobił coś takiego.

Jego palce wdzierają się pod moją koszulkę, przesuwają się wzdłuż kręgosłupa, aż drzę, i docierają do zapięcia biustonosza na plecach, z którym radzą sobie bez problemu. Oddycham chrapliwie, gdy Arthur przenosi wargi na moją szyję i całuje mnie coraz niżej, równocześnie dłońmi obejmując piersi. Jezu.

Myślałam, że chodzi o karę. Że Ashbourne chce mi pokazać, co się stanie, jeśli będę nieposłuszna. Tymczasem on...

— Nie testuj mojej cierpliwości — warczy mi do ucha, po czym zsuwa usta jeszcze niżej, do obojczyka i ramienia. — Kiedy spędzamy razem noc, chcę cię rano zobaczyć w moim łóżku, a nie usłyszeć, że uciekłaś z mojej posiadłości. Czy to jest jasne?

Ścisnął moje piersi mocno, niemal boleśnie, aż odruchowo kiwam głową. Arthur potrafi mnie sobie podporządkować. Nie wiem, jak to robi, ale żadnemu facetowi przed nim się nie udało.

Jego dłonie zostawiają piersi, teraz wplata palce w moje włosy i szarpie, odchylając mi głowę do tyłu. Całuje zachłannie szyję, gdy tylko ją odsłaniam, a drugą dłoń zsuwa do zapięcia moich szortów. Jego ruchy są gwałtowne, niecierpliwe. Mruczy z aprobatą, gdy wyprężam się w jego stronę, niemo prosząc o więcej. Jego palce wślizgują się pod gumkę moich majtek.

— Jezu, Arthur... — dyszę, chwytając go mocno za ramiona. — Pike...

— Nie widzi nas i nie słyszy — uspokaja mnie. — I niech myśli, co chce. Mam to gdzieś.

Wsuwa we mnie najpierw jeden, a potem także drugi i trzeci palec. Zaciskam się na nim mocno, jęczę, gdy zaczyna mnie posuwać, kciukiem masując łechtaczkę. Czuję jego urywany oddech na policzku, zanim muśnię go wargami.

— Zabieram cię do siebie, gdy tylko wrócimy do mojego domu — szepcze mi do ucha. — Zamierzam cię związać, ukarać, a potem mocno zerznąć. Zrozumiałaś? — Kiwam głową, ale wtedy on mruczy z niezadowoleniem. — Pełnym zdaniem, Ever.

— Zrozumiałam — wyduszam.

Palce Arthura we mnie jeszcze przyspieszają, mężczyzna utrzymuje mnie na granicy orgazmu i doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Serce mi wali, a krew szumi w uszach, czuję rumieniec na policzkach i tak bardzo chcę dojść.

— Zamierzasz się sprzeciwić? — mamrocze Arthur.

Parskam krótkim śmiechem.

— Prawdopodobnie.

— To dobrze — odpowiada z zadowoleniem. — Lubię cię taką.

Jeszcze kilka szybkich ruchów i wybucham, dochodząc na jego palcach. Głowa opada mi na oparcie kanapy i pojękuję, gdy Arthur maksymalnie przedłuża mój orgazm. Zamykam oczy, bo potrzebuję chwili, żeby dojść do siebie. Dopiero kiedy oddech nieco mi zwalnia, patrzę na Arthura, który przygląda mi się tymi swoimi stalowoszarymi błyszczącymi z pożądania oczami.

— Lubię też twoje jęki i wyraz twarzy, kiedy dochodzisz — mruczy, obejmując dłonią mój policzek. Kiedy kciukiem przesuwam po moich wargach, odruchowo je rozchyłam i pozwalam mu wsunąć palec głębiej. Zaciskam na nim usta i zaczynam ssać. — Kurwa, Ever, nawet nie wiesz, co ze mną robisz. Jak bardzo chcę cię w tej chwili zerznąć.

Spogląda za okno i znowu wymyka się z niego przekleństwo. Orientuję się, że zajechaliśmy na jakiś parking i wyraźnie zwalnimy. Nie wiem, o co chodzi, ale wiem, że nie mogę pokazać się nikomu w tym stanie, dlatego gorączkowo poprawiam ubrania, kiedy tylko Arthur mnie puszcza. Przyglądam włosy; podejrzewam, że i tak wyglądam, jakbym przed chwilą obściskiwała się na tylnym siedzeniu, ale mam to w dupie.

Po chwili zatrzymujemy się i opada przesłona oddzielająca nas od Deacona Pike'a, ale nawet nie patrzę w tamtą stronę, tylko pytając na Arthura.

— Wysadzamy twojego chłoptasia — prycha. — Chyba nie myślałaś, że pojedzie dalej z nami? Ja się nie dzieję, Ever.

— Cole to nie jest mój „chłoptas” — odpowiadam, chociaż wiem, że on się ze mną drażni. Widzę to po uśmiechu, na jaki pozwala sobie po moich słowach. Sięgam do klamki i otwieram drzwi. — Możecie go wysadzić, mnie jest wszystko jedno. Tyle że najpierw chcę z nim porozmawiać.

Arthur chwytam mnie za ramię, zanim zdążę wysiąść.

— Nie widzę powodu, dla którego to miałyby być konieczne — mówi spokojnie.

Unoszę brew i wyszarpuję ramię.

— Ale ja widzę — odpowiadam, po czym wyskakuję z samochodu.

Po drodze zauważam jeszcze znaczące spojrzenie Pike’a rzucone w kierunku Arthura. Mówi wyraźnie, że gdyby to zależało od niego, leżałabym już martwa na ziemi. Mam ochotę pokazać mu środkowy palec, ale przypominam sobie, że jestem dorosłą kobietą, która potrafi załatwiać swoje sprawy w dojrzały sposób, i udaje mi się powstrzymać.

Cole jest już na zewnątrz, prowadzony przez jednego z ochroniarzy. Podbiegam do niego, gdy próbuje oswobodzić się z uścisku i zaczyna się awanturować z facetem wyższym od niego o pół głowy. Nie sądziłam, że Cole może być tak głupi.

— Ever! Nic ci nie jest?! — Łapie mnie za ramię, momentalnie zapominając o ochroniarzu.

Kręcę głową.

— Wszystko w porządku. A z tobą? Nic ci nie zrobili?

— Nie. — Patrzy na mnie twardo. — Nie powinnaś była przyjeżdżać, Ever. Coś ci się mogło stać.

— Nie mogłam cię tam zostawić. — Marszczę brwi. — To moja wina, że w ogóle do ciebie dotarli. Chodziło im o mnie. Musiałam...

— Wystawić się na cel i dać się zastrzelić? — Słyszę za sobą spokojny, nieco drwiący głos Arthura.

Oczywiście, że musiał przyleźć za mną. Odwracam się, by zobaczyć, jak idzie w naszą stronę, z dłonią nonszalancko włożoną do kieszeni garniturowych spodni, w białej koszuli z rozpiętym górnym guzikiem — chociaż ja z pewnością tego nie zrobiłam! — i nieco rozczochranymi włosami, z którymi jest mu zaskakująco do twarzy — no dobrze, to akurat moja zasługa. Roziskrzzone spojrzenie ma utkwione we mnie, po jego ruchach poznaję jednak, że jest czujny i spięty.

Cole zaślania mnie przed Arthurem własnym ciałem. Patrzę na niego z niedowierzaniem, ale on już w ogóle nie koncentruje się na mnie.

— Czego ty właściwie chcesz? — pyta Arthura zaczepnie.

Ten tylko przewraca oczami.

— Właśnie uratowałem wam obojgu życie. Nie ma za co.

— Tak, tak, dziękujemy — odpowiada Cole z przekąsem, po czym chwytając mnie za rękę. — A teraz zabieram stąd Ever w bezpieczne miejsce.

Arthur kiwnięciem głowy odprawia ochroniarza, który posłusznie wraca do jednego z samochodów. Sam jednak najwyraźniej nie zamierza ustąpić pola. Zresztą wcale się tego po nim nie spodziewałam.

— Poprawka: to JA zabieram ją w bezpieczne miejsce — mówi spokojnie. — W przeciwieństwie do ciebie przynajmniej mogę to zrobić.

Cole spogląda na mnie ze złością, odsuwając się o krok.

— Więc to tak? Zadajesz się z gangsterami, Ever? — W jego głosie słyszę oskarżenie i rozczarowanie, nie robi to jednak na mnie większego wrażenia. — Pieprzysz się z tym gościem? Jesteś małą dziwką, która rozkłada nogi przed każdym, kto ma na pieńku z prawem?

W oczach Arthura błyska niezadowolenie i męczyzna robi kolejne kroki w naszą stronę, zaciskając pięści. Wiem, że chce przywalić Cole'owi, dlatego stoję mu na drodze, kładąc dłonie na jego piersi. Arthur zatrzymuje się, lecz nadal nie spuszcza wkurzonego spojrzenia z Cole'a. Mój były chłopak jest wściekły i sądząc po postawie, gotowy do walki.

— Pójdę z Arthurem — mówię, odwracając się bokiem do Cole'a. Ten tylko z niedowierzaniem kręci głową. — On pomoże mi uporać się z tą sprawą.

— A zastanawiałaś się, czego zażąda w zamian.

— To już nie twój problem — pryham. — Chcę tylko, żebyś powiedział mi, co wiesz. Co słyszałeś od tych ludzi, czy masz jakieś pojęcie, kto mógł ich wynająć. Cokolwiek. Proszę, Cole.

Przez chwilę cała nasza trójka milczy; daje się wyczuć unoszące się między nami napięcie. W końcu odzywa się Cole, w którego głosie słyszę rezygnację.

— Przy mnie prawie ze sobą nie rozmawiali — mówi niechętnie. — Słyszałem tylko urywki jakiejś rozmowy telefonicznej, którą prowadzili chyba na korytarzu. Mieli włączony tryb głośnomówiący, więc wiem, że rozmawiali z kobietą.

— Z kobietą? — podchwytuję. — Jesteś pewien?

— Tak, jestem pewien — potwierdza z rozdrażnieniem. — Nie mam pojęcia, kto to był ani czego dokładnie chciał. Powtarzała tylko coś o tym, że muszą dostać zdjęcia. Nic więcej nie wiem.

Przez moment przetrawiam te słowa, by w końcu pokiwać głową.

— Dziękuję — odpowiadam, uśmiechając się do niego słabo. — I przepraszam, że to musiało cię spotkać. Postaraj się nie wychylać przez jakiś czas. Dam ci znać, kiedy wszystko się uspokoi.

— Ale już do mnie nie wrócisz, prawda?

Otwieram usta, lecz w pierwszej chwili nie wiem, jak mu to powiedzieć. Jest mi źle z tym, że Cole'owi zależy na mnie bardziej niż mnie

na nim. Wiem, że zrobiłam błąd, pozwalając sobie być z nim tak długo. Powinnam była zauważyć wcześniej, że Cole czuje coś, czego ja nigdy nie odwzajemnię. To moja wina.

— Nie wrócę — potwierdzam w końcu ze smutkiem. — Przepraszam.

Cole kiwa głową, jednak nie odpowiada. Po chwili dodaje:

— I muszę cię prosić, żebyś z nikim o mnie nie rozmawiał. Nie przyznawaj się, że mnie widziałeś, nie przekazuj, gdzie można mnie znaleźć. Oczywiście jeśli chcesz, żebym przeżyła.

Arthur chwyta mnie za ramię i odciąga od Cole'a, a ja nie protestuję dłużej, tylko pozwalam znowu wsadzić się na tylne siedzenie maybacha. Cały czas mam w pamięci spojrzenie mojego byłego chłopaka, które sugeruje, że go skrzywdziłam.

Zazwyczaj mnie to nie obchodzi, ale w jego przypadku jest mi z tym zaskakująco trudno.

Gdy ruszamy w dalszą drogę, posyłam chmurnemu Arthurowi niezadowolone spojrzenie i trochę się na nim wyzywam.

— Nie masz dla mnie opaski na oczy?

Prycha lekceważąco.

— A jest ci jeszcze potrzebna? — pyta retorycznie. — Przecież już wiesz, gdzie znajduje się mój dom. Wyjechałaś stamtąd moim własnym samochodem.

Sądząc po jego spojrzeniu, Arthur chyba w tej chwili za bardzo mnie nie lubi. Wzruszam tylko ramionami i więcej się nie odzywam.

On też nie.

Powrotna droga do jego domu zapowiada się fascynująco.

Rozdział 20

— Chcę, żebyś obiecała, że nigdy więcej nie wytniesz mi takiego numeru.

Zgodnie z zapowiedziami Arthura trafiam prosto do jego apartamentu. Prowadzi mnie od razu do swojej sypialni i nawet nie próbuję protestować, tylko daję się wciągnąć do środka tuż po tym, jak niecierpliwie odprawił wszystkich ochroniarzy.

Kątem oka spoglądam na ogromne łóżko, które zajmuje w jego sypialni najwięcej miejsca, jednak nie jestem jeszcze gotowa na kapitulację. Właśnie dlatego odwracam się twarzą do Arthura, splatam ramiona na piersi i spoglądam na niego prowokująco.

— I sądzisz, że moje słowo ci wystarczy? — pytam z niedowierzaniem.

— Ile ono jest dla ciebie warte?

— Przekonajmy się, ile jest warte dla ciebie. — Arthur robi krok w moją stronę, nie spuszczając ze mnie wzroku. Jest jak polujący na ofiarę jastrząb. — Obiecay mi to, Ever. Słucham.

Przekrzywiam głowę, namyślając się.

— A może spróbujesz mnie zmusić? — podsuwam.

Oczy Arthura błyszczą pożądaniem, gdy robi kolejny krok w moją stronę, aż jest tak blisko, że muszę zadrzeć głowę, aby spojrzeć mu w oczy.

— Nie próbuj rozpraszać mnie seksem — oponuje. — Nie mam ochoty znowu szukać cię po mieście jak ostatni idiota.

— Wcale nie musiałeś.

— Ależ musiałem, bo inaczej pewnie byś już nie żyła — prycha. Naprawdę jest zły. — To było skrajnie głupie, nieodpowiedzialne i nie w porządku wobec mnie. W dodatku uciekłaś bez słowa...

— A co, zazwyczaj ty jesteś tym, który pierwszy wychodzi z łóżka? — przerywam mu.

Arthur z frustracją kręci głową.

— W ogóle nie o to chodzi. Podziękuj mi teraz za uratowanie życia i obiecaj, że więcej nie oddalisz się stąd bez mojej zgody.

Pierwsza część jest nawet kusząca. Co do drugiej... Nie ma takiej opcji. Arthur nigdy nie usłyszy ode mnie podobnych słów.

Tym razem to ja robię krok w jego kierunku i kładę mu dłoń na piersi.

— Chcesz, żebym podziękowała ci na kolanach? — pytam niewinnie.

Sądząc po tym, jak porusza mu się mięsień w policzku, nie spodziewał się takiej odpowiedzi. To dobrze, bo lubię zaskakiwać.

— Chciałbym, żebyś potraktowała mnie poważnie — mówi.

Marszczę brwi.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Sięga po mnie tak szybko, że nawet nie zdążam zauważyć kiedy. W jednej chwili patrzę mu w oczy, w następnej jestem do niego odwrócona plecami, a on trzyma mocno moje ramiona. Kątem oka dostrzegam, że z kieszeni spodni wyciąga kolejną opaskę zaciskową, i w następnej chwili czuję, jak ona zamyka się na moich nadgarstkach.

Mam nadzieję, że jednak każe mi uklęknąć, lecz Arthur najwyraźniej ma inne plany. Obejmuje mnie ramionami, sięga do moich szortów i rozpiną je, po czym ściąga gwałtownie razem z bielizną. Gdy jest tak blisko, na pośladku wyraźnie czuję jego gorącego, wzwidzionego członka.

Liczę, że chociaż mnie dotknie, jednak on nie robi nic z tych rzeczy. Popycha mnie do przodu, aż kolanem opieram się na łóżku, po czym chwyta za kark i naciska. Próbuje się wyrwać, szarpię się w jego uścisku, ale Arthur tylko dodaje nieco siły, po czym bez problemu zmusza mnie do schylenia się, aż policzkiem dotykam materaca. To niezbyt wygodna pozycja, bo ręce mam skrępowane za plecami i jestem idealnie dla niego wypięta, ale jest w tym coś podniecającego. Zwłaszcza gdy Arthur odsuwa się na moment i przez parę sekund po prostu tak klęczę, bez żadnego bodźca ani dotyku.

A potem nagle na mój pośladek spada silny klaps, który wyrывa ze mnie krzyk.

Krzyczę bardziej z zaskoczenia niż bólu, ale Arthur i tak syczy z niezadowolaniem.

— Mam cię jeszcze zakneblować? — warczy.

Masuje dłońią miejsce, w które wcześniej uderzył, a ja rozluźniam się nieco.

— Jeśli mnie zakneblujesz, nie będę mogła podać bezpiecznego słowa.

— A zamierzasz? — Jego powątpiewający ton wskazuje wyraźnie, co Arthur o tym myśli. Nie odpowiadam, bo wiem, że ma rację. — Nie zaknebluję cię, jeśli nie będziesz się darła na cały budynek. Nie chcesz chyba, żeby wpadli tu moi ochroniarze i zobaczyli twój goły tyłek.

— Może by mnie chociaż przerznęli, czego ty chyba nie zamierzasz robić, skoro wolisz gadać — pryham.

W odpowiedzi dostaję drugie mocne uderzenie, w drugi pośladek. Drgam, ale tym razem udaje mi się powstrzymać krzyk. Skóra piecze, gdy Arthur zaczyna ją dla odmiany pieścić.

— Nie będziesz w mojej obecności mówić o różnicy z innymi facetami, czy to jasne? — pyta, na co kiwam głową. — Świetnie. Idźmy dalej. Poproszę teraz o twoją obietnicę. Może brzmieć mniej więcej tak: „Arthurze, nigdy więcej nie zrobię czegoś tak nieprzemyślanego i głupiego. Wiem, że jesteś ode mnie mądrzejszy i lepiej rozegrasz tę sprawę”.

Śmieję się, ale on pozostaje poważny. Zdaje się, że nie żartuje.

— Chyba śnisz — odpowiadam.

Kolejnego uderzenia właściwie już się spodziewam. Po nim przychodzi następny klaps i jeszcze jeden. Zaciskam mocno zęby, stwierdzając równocześnie, że robię się podniecona. Podoba mi się, że on mnie bije. Chyba jestem jakaś nienormalna.

— Spróbujmy jeszcze raz — mówi po chwili Arthur spokojnie, znowu delikatnie gładząc mój tyłek. Jeden z jego palców zsuwa się do cipki i zaczyna się nią bawić, na co jęczę i przechylam w jego stronę biodra. — Obiecaj, że nie zrobisz niczego bez konsultacji ze mną.

Kiedy nadal nie odpowiadam, wsuwa we mnie palec i zaczyna mnie nim miarowo pieprzyć. Powoli, głęboko, jakby nigdzie mu się nie spieszyło. Robię się coraz bardziej rozgrzana i podniecona.

—Zobacz, jesteś mokra — zauważa Arthur z satysfakcją. — Lubisz dostawać klapsy, Ever?

Nikt nigdy wcześniej nie dał mi klapsa, więc chyba nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Wiem jednak, że zaskakująco kręci mnie dominacja Arthura. Nic na to nie poradzę.

Jak dotąd żaden facet nie odważył się mnie związać i uderzyć. Nie jestem typem kobiety, która wydaje się chętna na takie zabawy. Arthur

jednak jakimś cudem odkrywa tę część mnie, o istnieniu której nie miałam zielonego pojęcia.

Wyciąga ze mnie palec, a kiedy odwracam ku niemu głowę, widzę, że go oblizuje — to dla mnie zaskakujący erotyczny widok.

— Zajebicie smakujesz. — Pochyla się nade mną, podciąga mi koszulkę wyżej i rozpina stanik, nie może go jednak całkiem ze mnie zdjąć, gdyż mam skrępowane ręce, więc tylko odsuwa materiał z piersi. Z gardła wyrывa mi się jęk, gdy Arthur zaczyna pieścić moje sutki. — Masz dość, Ever?

Absolutnie nie mam dość. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę go miała dość.

Jego dłonie znikają z moich piersi i po chwili czuję kolejne uderzenie w pośladek. Przesuwam nieco głowę, żeby bezgłośnie krzyknąć w materac, chociaż nie z bólu, raczej z podekscytowania. Serce wali mi jak szalone; dostaję jeszcze jednego klapsa, po czym słyszę dźwięk rozpinanego rozporoka.

— Chcę usłyszeć, że mi się podporządkujesz — mamrocze Arthur; równocześnie czuję napierającą na mnie główkę penisa. Jęczę i wypycham do niego biodra.

— Nie zrobię tego — odpowiadam z trudem. — A ty właśnie to we mnie lubisz.

Chwyta mnie za biodra, kiedy wchodzi we mnie jednym pchnięciem, od razu głęboko. Krzyczę w materac; jestem tak dokładnie wypełniona, jakby penis Arthura był stworzony specjalnie dla mnie. Arthur wysuwa się i ponownie we mnie zanurza, i z każdym jego kolejnym ruchem narasta we mnie napięcie, które grozi rychłą eksplozją. Jest mi tak dobrze, że jęczę przy każdym pchnięciu, a po chwili zaczynają mi się trząść nogi.

On chyba to zauważa, bo oplata ramieniem moją talię i przyciąga mnie do siebie, utrzymując nas ciągle w tej samej pozycji. Wbija się we mnie bezlitośnie, nie przyspiesza jednak, przez co cały czas tkwię w stanie na granicy orgazmu. Wiem, że robi to celowo, i nienawidzę go za to.

— Lubię, kiedy się stawiasz — przyznaje chrapliwym głosem. — Dzięki temu to jeszcze bardziej podniecające, kiedy wreszcie się poddajesz.

Porusza się we mnie rytmicznie, ale po chwili przystaje na moment, przez co mam ochotę wyć z frustracji. Dłonią gładzi mój pośladek, a ja drgam lekko, bo zaczerwieniona od uderzeń skóra jest wrażliwa. Fiut Arthura pulsuje we mnie i mimo woli zastanawiam się, jak bardzo żelazną samokontrolę ma ten facet.

Lubi edging. Potrafi powstrzymać się od przyjemności i czekać z uwolnieniem tak długo, jak tylko będzie miał ochotę. To jasne, że ma jebaną żelazną samokontrolę. Dziwne, gdyby nie miał.

— Proszę — jęczę. — Nie przestawaj.

Pochyla się nade mną, jedną z dłoni opiera się na materacu obok mojej głowy i po chwili czuję jego wargi na karku, z którego odsuwa mi włosy. Przechodzi mnie dreszcz. Arthur wycofuje się powoli, po czym ponownie wsuwa we mnie penisa, aż po nasadę. Powtarza ten ruch, ale kiedy chcę wyjść mu naprzeciw i poruszam biodrami, przytrzymuje za nie stanowczo, mocno, unieruchamiając mnie w miejscu.

— Jesteś gotowa powiedzieć, że nie zrobisz więcej nic głupiego?

— Tak — mówię bez tchu; odpowiedź wyrывa mi się bez żadnej konsultacji z rozumem, który chyba zamroczyły opary pożądania. — Będę cię... o wszystkim informować. Proszę...

Arthur przyspiesza ruchy, zanurzając się we mnie coraz szybciej i coraz mocniej. Ponownie czuję, jak zbliża się orgazm, zaciskam się mocno na penetrującym moje wnętrze penisie i dochodzę z krzykiem, podczas gdy Arthur nie przestaje się poruszać. Mam wrażenie, że ten orgazm trwa i trwa, aż w końcu zostawia mnie pustą, całkowicie pozbawioną sił i bezwładną.

Dopiero wtedy Arthur wysuwa się, a po chwili czuję coś ciepłego na pośladkach. Chryste. Skończył na mnie.

Sama nie wiem, co o tym myśleć. Nigdy wcześniej nie zostałam tak potraktowana przez faceta— chyba żaden się nie odważył, a ja nie proponowałam. Arthur jednak robi ze mną, na co ma ochotę, bierze, co chce, a ja sama daję mu wszystko.

— Nie ruszaj się — poleca szorstko, po czym wstaje, zdejmując z siebie resztę ciuchów, co poznaję po szeleście materiału, i wychodzi z sypialni.

Odwracam głowę na tyle, na ile mogę, i próbuję coś dostrzec; widzę otwarte drzwi do łazienki i domyślam się, że to tam poszedł. Po chwili Arthur rzeczywiście wychodzi stamtąd, wspaniale nagi i piękny. Pożeram go wzrokiem, bo chyba nie widziałam wcześniej tak dobrze zbudowanego mężczyzny. To właściwie powinno być zakazane, by tak wyglądać! Zwłaszcza że jego penis nawet w stanie spoczynku robi wrażenie.

Arthur pochyla się za mną i tracę go z oczu, bo nie chcę skrócić sobie karku, żeby nadal mu się przyglądać. Czuję coś chłodnego na skórze i dopiero po chwili orientuję się, że przyniósł z łazienki wilgotny ręcznik,

by zetrzeć ze mnie spernę. To niby nic takiego, ale serce i tak zaciska mi się boleśnie. To naprawdę miłe.

Mężczyzna sięga do kieszeni porzuconych na łóżku spodni i wyjmuje z nich szczyryk.

Może powinnam się obawiać, co tym razem zrobi, ale nie mam ani odrobiny wątpliwości i właściwie nie jestem zaskoczona, gdy rozcina nim wiążącą moje nadgarstki opaskę. Wzdycham z ulgą, mogąc wreszcie rozprostować ramiona, które lekko mrowią, lecz zanim zdążę się podnieść, Arthur chwytą mnie w pasie i podciąga do góry, aż opieram się o jego klatkę piersiową.

— Zdejmij resztę ciuchów — poleca, na co się waham.

— Jest wcześniej — przypominam mu. — Pewnie masz coś do zrobienia...

— Na razie mam ciebie do zatrzymania w moim łóżku — przerywa mi. — Potem będziemy się zastanawiać nad resztą.

Puszczam mnie, a ja nie zamierzam dłużej się sprzeciwiać. Posłusznie zdejmuję koszulkę przez głowę i pozbywam się stanika, po czym, nadal kłęcząc na łóżku, odwracam się do niego już całkiem naga. Widzę, jak pożądliwe spojrzenie Arthura przesuwają się na moje piersi, ale nie jest jeszcze gotowy na powtórkę.

Zamiast tego kładzie mnie na łóżku i sam wyciąga się obok. Przeżyłam bardzo intensywny poranek, więc nie miałabym nic przeciwko krótkiej drzemce, sądząc jednak po spojrzeniu Arthura, jest całkowicie rozbudzony i niezbyt gotowy, by iść spać.

Pochyla się i całuje mnie, zmuszając do położenia się na wznak, na co chętnie się godzę. Wplątam mu palce we włosy i przyciągam go do siebie bliżej, a on pogłębia pocałunek, wsuwając mi język w usta. Nasze oddechy się mieszają, jego miękkie, gorące wargi sprawiają, że znowu robię się podniecona, chociaż przed chwilą przeżyłam prawdziwy odlot.

— Uwielbiam cię — mamrocze mi w usta Arthur, od czego moje serce zaczyna szaleć. — Jesteś zajebista.

— Wiem — odpowiadam nieskromnie. — Nie znajdziesz drugiej takiej jak ja.

Mówię to żartobliwie, ale uważam, że te słowa nie są całkiem nieuzasadnione. W przeciwieństwie do moich byłych facetów Arthurowi zdaje się nie przeszkadzać, że nie należę do tych delikatnych, łagodnych kobiet. Mało tego: chyba go kręci, że rozwiązuję problemy za pomocą pięści

albo kastetu i nie mam skrupułów, by wedrzeć się do ściśle strzeżonego biura gangstera w nielegalnym klubie.

Arthurowi na te słowa zaświecają się oczy.

— Nie zamierzam szukać — odpowiada. — Nie wypuszczę cię stąd.

Ton jego głosu jest zaborczy i mam wrażenie, że powinnam się go obawiać, ale jakoś tego nie robię — dawno już przeszłam ten etap. Czymkolwiek Arthur zajmuje się na co dzień, wiem, że mnie nie skrzywdzi. Nie mam pojęcia, kiedy zaczęłam mu ufać, ale tak właśnie jest i nie zamierzam się z tego powodu denerwować.

Obracam się na brzuch i przyglądam się mężczyźnie. Arthur wyciąga rękę i przesuwając palcami po moich plecach, wzdłuż kręgosłupa, by w końcu wrócić do miejsca tuż nad pośladkami.

— Ci ludzie, którzy mnie szukają, chcą zdjęć — podejmuję w końcu temat, który wisi między nami. — Ale chcą też mnie zabić. W końcu jestem świadkiem.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odpowiada Arthur. — Nie musisz się tym martwić. Kazałem moim ludziom rozpuścić na mieście informację, że dopadłem cię jako pierwszy.

Unoszę pytająco brew.

— Zapewne chcieli cię zlikwidować, żebym nie dowiedział się tego, co wiesz — tłumaczy cierpliwie. — Może spodziewali się, że na tych zdjęciach będzie coś, co pomogłoby rozpoznać sprawców? Pewnie nie wiedzieli, ile dokładnie widziałas. Przekazałem więc informację, że cokolwiek chcieli przede mną ukryć, ja już to wiem. Nie będzie im się opłacało dłużej próbować cię zabić.

Marszczę brwi, zastanawiając się nad konsekwencjami tej informacji.

— To znaczy, że mogę bezpiecznie wrócić do siebie? — pytam w końcu.

Arthur wydaje z siebie niezadowolone warknięcie.

— Przed chwilą ci powiedziałem, że cię stąd nie wypuszczę, prawda? — mamrocze. — Poza tym wiesz mi przysługę. Naprawdę dużą przysługę. Albo i dwie, biorąc pod uwagę, jak dzisiaj uratowałem tyłek tobie i temu twojemu chłoptasiowi z policji.

— Czy mógłbyś przestać tak o nim mówić? — Wiem, że Arthur się ze mną drażni, ale za każdym razem i tak dają się nabrać. — On nie jest mój, zerwałam z nim, jeszcze zanim cię poznałam. Nie jestem kobietą, która sypia z kilkoma facetami w tym samym czasie.

— To dobrze. — Na usta Arthura wypelza powolny, pełen zadowolenia uśmiech. — A co do tych przysług... Chyba nie zamierzasz odrabiać tego w łóżku?

— Zamierzam znaleźć wspólnie z tobą morderców twojej żony — informuję go. Arthur unosi brwi z rozbawieniem, które mnie irytuje. Nie widzę w tym nic śmiesznego. — Mamy wspólny cel. Oni próbowali mnie zabić, a ty z pewnością chcesz ich dopaść, nawet jeśli niewiele cię z nią łączyło. Pomogę ci.

— Myślisz, że możesz zrobić coś, czego nie zrobi zastęp moich ludzi? — Arthur uśmiecha się tak pobłaźliwie, że mam ochotę go uderzyć.

— Pewnie uważałeś tak samo, zanim wdarłam ci się do gabinetu — odpowiadam uprzejmie. — Ale jakoś wtedy pokonałam ich bez problemu.

— Więc pewnie sądzisz teraz, że są bezużyteczni, co?

Momentalnie rzednie mi mina.

— Nie — protestuję smutno. — Wcale tak nie uważam.

W końcu jeden z nich uratował mi życie, za co zapłacił własnym. Gdy tylko sobie o tym przypominam, czuję wyrzuty sumienia, że leżę teraz beztrzesko w łóżku z Arthurem i w ogóle nie myślę o Banie, który za mnie zginął. Moje życie może i jest za szybkie, żeby rozpamiętywać przeszłość, ale o tej konkretnej osobie zdecydowanie powinnam pamiętać. Gdyby nie on, nie wiem, co by się ze mną stało.

Arthur chyba orientuje się, w którą stronę płyną moje myśli, bo przysuwa się bliżej i całuje mnie mocno. Jego język wdziera się do moich ust, sprawiając, że tracę dech.

— W porządku, ale zrobimy to razem — mówi, kiedy na chwilę się odsuwa. — Żadnych więcej akcji w pojedynkę, czy to jasne? Nie mam ochoty znowu brać udziału w strzelaninie na ulicy w biały dzień.

Te słowa przypominają mi o zleceniu od wujka Eddiego, ale to musi jeszcze poczekać. Najpierw zajmę się mężczyzną, w którego łóżku leżę. Potem całą resztą.

— Jasne — potwierdzam beztrzesko. — Ja też wołałabym tego uniknąć.

Sapię, kiedy Arthur zdziera ze mnie przykrycie i nakrywa mnie swoim ciałem. Jego twardy penis uderza w moje udo, gdy zapraszająco rozchyłam nogi. Tym razem nie zamierzam z nim walczyć.

Zostawię to sobie na później.

Rozdział 21

Gdy po południu Arthur zostawia mnie samą, by „zająć się interesami”, jak to oględnie określił, odpalam laptopa Stephanie i biorę się do pracy.

Mail od Malcolma ze wszystkimi potrzebnymi materiałami już na mnie czeka. Przeglądam najpierw teczkę ze sprawą zaginięcia dziewczyny, stwierdzając, że nie ma w niej zbyt wielu informacji. Ot, policja porozmawiała z matką Persephone, zapytali też o nią w pracy i to chyba wszystko. Dziewczyny nie ma raptem parę dni, w Las Vegas to tyle co nic. W większości przypadków zaginieni ludzie odnajdują się sami.

Matka, Eveline Grant, zeznała, że nie było jej w mieście cały weekend i nie wie, w którym momencie córka zniknęła. Pierwszym krokiem powinno więc być przepytanie sąsiadów, czy czegoś nie widzieli albo nie słyszeli.

Strzelanina na Strip została nagrana przez jedną z ulicznych kamer. Całość ulicy nie jest objęta ich zasięgiem, ale miejsce, które najbardziej mnie interesuje, akurat tak. Siadam na sofie w salonie Arthura i włączam czarno-białe nagranie, próbując rozpoznać na nim interesującą mnie osobę.

Na nagraniu naprawdę dużo się dzieje i rozszyfrowanie go nie jest proste. Trzech napastników wypada z kasyna i chce uciec, ale policja zatrzymuje ich pod budynkiem, więc ci odpowiadają ogniem. Po chwili przeradza się to w regularną strzelaninę, a przechodnie ukrywają się między samochodami i pod ścianami okolicznych budynków — właściwie: gdzie tylko się da. Zatrzymuję nagranie co chwilę i szukam Persii, aż w końcu wydaje mi się, że ją widzę w jednym z samochodów, które zostały zablokowane na ulicy. Dziewczyna wysiada z niego i chowa się za tylną maską, rozglądając się, jakby chciała dokądś uciec, chociaż naprawdę nie wiem, co próbuje osiągnąć.

Sięgam po telefon, na którym mam zapisane jej zdjęcie, i porównuję fotografię z nagraniem. Ta sama burza czarnych włosów, ta sama blada cera. Dziewczyna jest niewysoka i drobna, ubrana w krótką sukienkę. Mam nadzieję, że nie stało jej się nic złego.

W pewnej chwili na nagraniu dzieje się coś dziwnego. Przybliżam się nieco do ekranu laptopa, bo wydaje mi się, że źle widzę.

— Co, do...

Urywam w połowie zdania, patrząc, jak zamaskowany facet w czarnym ubraniu wpada między napastników. Nie mam pojęcia, skąd się wziął, ale porusza się w sposób, który budzi mój głęboki podziw. Policja wstrzymuje ogień, a facet nokautuje dwóch strzelców, zanim ci w ogóle zorientują się, co się dzieje. Trzeci z nich rzuca się do ucieczki, a ja od razu zauważam, że wybiera dokładnie ten kierunek, by przeciąć drogę dziewczynie zza samochodu.

Później wszystko dzieje się bardzo szybko. Strzelec chwyta Persię i zasłania się nią jak tarczą, po czym wyciąga ją poza zasięg kamery. Zamaskowany facet biegnie za nimi.

Przeglądam nagrania z pozostałych kamer, ale wygląda na to, że miejsce, w którym się znaleźli, jest martwym punktem. Nigdzie ich nie widzę. Przesuwam więc nagrania po kilka sekund do przodu, próbując znaleźć Persephone, aż w końcu widzę ją, jak biegnie ulicą. Oddała się od kasyna, jest sama. Macha na przejeżdżającą taksówkę, po czym wsiada do środka. Dostrzegam logo korporacji, więc spisuję numery i znajduję w internecie kontakt do tej firmy.

— Dzień dobry, nazywam się Persephone Grant, w ostatnią niedzielę jechałam z jednym z państwa kierowców — mówię, kiedy zgłasza się dyspozytorka. Podaję jej numer rejestracyjny i numer boczny taksówki. — Czy mogłabym prosić o kontakt do tego kierowcy? Mogę zostawić numer, niech oddzwoni. Zgubiłam wtedy naszyjnik i myślę, że mógł zostać w jego samochodzie.

— Zasadniczo nie zezwalamy na bezpośredni kontakt z naszymi kierowcami — odpowiada dyspozytorka z wahaniem. — Mogę jednak przekazać mu pani zamiary i poprosić, by do pani oddzwonił. Jeśli się zdecyduje, to będzie wyłącznie jego dobra wola.

— Oczywiście. Będę bardzo wdzięczna. — Dyktuję jej numer mojej jednorazowej komórki, po czym kończę rozmowę.

Zaraz potem dzwonię do Malcolma.

— Kojarzysz jakiegoś zamaskowanego wariata, który biega po mieście i bije ludzi? — pytam bez ogródek. — Może mieliście jakieś zgłoszenia?

Malcolm parska śmiechem. Poprawiam się na sofie i w końcu układam się na brzuchu, bo chociaż niechętnie się do tego przyznaję, trochę boli mnie tyłek. Na samo wspomnienie, jak Arthur dał mi lanie, robi mi się jednak zaskakująco gorąco.

— Chyba nie rozumiem, o co ci chodzi — odpowiada w końcu mój kuzyn.

— Na tym nagraniu ze strzelaniny pod kasynem pojawia się jakiś wariat, który własnoręcznie obezwładnił napastników — wyjaśniam ze zniecierpliwieniem. — Jest niesamowity. Kto to taki?

— Ach, chodzi ci o Króla Kier — wyjaśnia Malcolm ku mojej konsternacji.

— Kogo?

— Króla Kier — powtarza. — Ten facet od paru miesięcy spędza policji sen z powiek. Naprawdę o nim nie słyszałaś? Media go uwielbiają. To jakiś jebany mściciel w masce.

— Nic z tego nie rozumiem — przyznaję. — Jaki mściciel, o czym ty mówisz? Nie jesteśmy w Gotham.

— A czasami odnoszę takie wrażenie — ripostuje Malcolm, na co parskam śmiechem. — Nie pytaj mnie, dla mnie to też nie ma sensu. Jakiś czas temu na ulicach zaczął pojawiać się ten facet. Wpada na takie akcje, pomaga policji, zazwyczaj raczej obezwładnia napastników, niż ich zabija. Nie wiem, jak to robi, ale po prostu to robi. Przy każdej interwencji zostawia coś w rodzaju... podpisu. Wizytówki. Kartę, króla kier. Dla tego dostał taki przydomek. Media sfiksowały na jego punkcie.

Podnoszę się i jeszcze raz spoglądam na nagranie, na faceta w czarnym ubraniu i w masce. To naprawdę jakiś świr.

Ale ten świr sprawił, że Persephone Grant uciekała przed nim ulicą.

— Dobra, dzięki — mamroczę, choć nadal nie mieści mi się to w głowie. — To jakaś szalona historia.

— Mnie nie musisz tego mówić — odpowiada kuzyn ze śmiechem.

Kiedy kończę z nim rozmawiać, kolejny raz przyglądam się nagraniu, jednak z każdym obejrzeniem coraz mniej wierzę w to, co widzę. Na szczęście niedługo potem oddzwania taksówkarz i mogę się oderwać od widoku zamaskowanego faceta powalającego dwóch uzbrojonych strzelców.

— Dzień dobry, dziękuję, że pan oddzwonił — szczebioczę do słuchawki. — Nazywam się Persephone Grant. Pewnie mnie pan nie pamięta, ale w niedzielę wiózł mnie pan wieczorem z centrum, ze Strip...

— ...na Artic Street, tak, pamiętam. — Kierowca na szczęście wchodzi mi w słowo. — Trudno zapomnieć, skoro to się działo po tej strasznej strzelaninie. W czym mogę pani pomóc? Ariel, dyspozytorka, wspominała coś o zagubionym naszyjniku?

— No właśnie — potwierdzam. — Gdyby mógł pan tylko poszukać go w okolicach miejsca, w którym siedziałam, byłabym wdzięczna. Gdzieś go zgubiłam i miałam nadzieję, że u pana.

— Pewnie, nie ma problemu. Jak wyglądał?

Też chciałabym wiedzieć.

— Z małym złotym wisiorkiem w kształcie... litery P — zmyślam na poczekaniu. — To nic cennego, ale ma dla mnie wartość sentymentalną.

— Jasne. Poszukam i dam znać, dobrze?

W myślach przepraszam go za dodatkową robotę, dziękuję i rozłączam się. Trochę mi głupio, że robię obcemu facetowi kłopot tylko po to, by podstępem dowiedzieć się, gdzie zawiózł Persephone, ale przecież nie mogłam zapytać wprost.

Zaglądam znowu do teczek dziewczyny założonej przez policję. Mieszka z matką w domku jednorodzinny na Artic Street. To było takie oczywiste. Przestraszyła się i uciekła do domu.

Strzelaniny czy czegoś jeszcze?

Ponownie wyjmuję komórkę i wybieram świeżo zapisany w niej numer Arthura. Zgłasza się po kilku sygnałach.

— Nie bardzo mogę teraz rozmawiać.

— Więc się streszczę — uspokajam go. — Mam coś do załatwienia na mieście.

— Wrócę wieczorem, to...

— Nie mogę czekać do wieczora — przerywam mu. — Mam zlecenie do wykonania. Muszę porozmawiać z matką dziewczyny, która zaginęła, i z jej sąsiadami, nie będę ich nachodzić po nocy. Dzwonię do ciebie tylko dlatego, że obiecałam.

— I doceniam to — przyznaje Arthur z westchnieniem. — Dobra. Daj mi minutę, zaraz do kogoś zadzwonię. Pojedzie z tobą.

Świetnie. Będę mieć ochroniarza w roli niańki.

— To chyba jakiś żart.

Kiedy wychodzę z mojego apartamentu, już przebrana i gotowa do drogi, widzę stojącego na środku korytarza Deacona Pike'a. Przy jego nogach warują dwa dobermany, z którymi najwidoczniej dogaduje się lepiej niż ja. Nic dziwnego. Mieszka tu znacznie dłużej.

To znaczy... ja wcale tu nie mieszkam. Tylko się zatrzymałam. Tymczasowo.

— Tak, ja też się bardzo cieszę. — Pike uśmiecha się krzywo. — Jesteśmy dzisiaj na siebie skazani, Nancy.

Nie znoszę, kiedy ktoś nazywa mnie Nancy Drew. To takie protekcyjne. A gdy robi to Deacon Pike, jest jeszcze sto razy gorsze.

— Czy Arthur chce się ciebie pozbyć? — myślę na głos. — Ma cię dość czy jak? Bo jeśli spędzę z tobą choćby godzinę zamknięta w jednym samochodzie, to z pewnością w końcu cię zabiję.

Ku mojemu zaskoczeniu Deacon Pike parska śmiechem.

— Może nie będzie tak źle. — Obrzuca mnie uważnym spojrzeniem, za które mam ochotę mu przyłożyć. — Tylko się na mnie nie rzuć, wariatko.

Prycham i wymijam go z trudem w korytarzu, uważając na śledzące moje ruchy psy.

— Chciałbyś — rzucam, po czym idę w stronę schodów.

Pike się śmieje i podąża za mną, na szczęście jednak nie próbuje mnie dotykać. Nie wiem, co ten facet do mnie ma, ale sprawia, że z każdą chwilą nie znoszę go coraz bardziej.

Tym razem siedzę na przednim fotelu, kiedy wyjeżdżamy z posesji. Nie mam zawiązanych oczu, bo na tym etapie to już bez sensu, więc mogę dokładniej obejrzeć okolicę. Do bramy prowadzi długi żwirowy podjazd, wzdłuż którego rosną palmy. To przednia część tego samego ogrodu, którym skradałam się mojej pierwszej nocy tutaj. Całość sprawia wrażenie zamkniętej oazy, także z powodu muru, który oddziela posiadłość od pustyni.

Podaję Pike'owi adres Persephone Grant i ruszamy do Winchester. W przeciwieństwie do Cole'a czy Stephanie, Persephone i jej matka mieszkają we wschodniej części Las Vegas, nieco bliżej centrum, ale nadal w podmiejskiej dzielnicy pełnej domków jednorodzinnych. Kiedy dojeżdżamy na miejsce, a Pike parkuje maybacha na podjeździe, przez chwilę przyglądam się budynkowi. Jest parterowy, niewielki, ale dobrze utrzymany i porządnym. Ogródek przed domem niedawno koszone,

elewacja jest czysta, a całość starannie wypielegnowana. Gdybym kiedykolwiek miała na stałe zamieszkać na przedmieściach, to pewnie właśnie w takim miejscu.

Otwieram drzwi i wtedy Pike po raz pierwszy od naszego wyjazdu przerywa ciszę.

— Idę z tobą.

— Nie potrzebuję cię tam — protestuję.

Prycha lekceważąco.

— Mam to gdzieś. Arthur kazał mi nie spuszczać cię z oka i to właśnie zamierzam robić. Trzymać się twojego upierdliwego tyłka.

— Tylko nie rób tego dosłownie — radzę. — Arthurowi by się to nie spodobało.

Wyskakuję z samochodu, nie czekając na odpowiedź tego dupka. Żar leje się z nieba i zaczynam żałować, że nie wybrałam na tę wizytę czegoś lżejszego od boyfriendów i niebieskiej luźnej koszulki spadającej z jednego ramienia. Idąc do drzwi, wyjmuję z kieszeni spodni gumkę do włosów i spinam jasne pasma w luźny koczek z tyłu głowy. Dzięki temu jest mi odrobinę lżej.

Słyszę za sobą kroki Pike'a, ale próbuję go ignorować, kiedy dzwonię do drzwi. Pewnie mogłam się wcześniej umówić — nawet o tym nie pomyślałam — ale trochę się obawiałam, że matka Persephone z jakiegoś powodu nie będzie chciała ze mną rozmawiać. Na szczęście otwiera mi drzwi zaledwie po chwili oczekiwania.

Wygląda podobnie jak córka: drobna, ciemnowłosa i o równie bladej cerze. Koło pięćdziesiątki, ma sporo zmarszczek w okolicach oczu i ust, zwłaszcza gdy uprzejmie uśmiecha się na nasz widok.

— Dzień dobry. — Wyciągam w jej kierunku rękę. — Nazywam się Everly Chance, przysłał mnie Eddie.

Uśmiech momentalnie schodzi z jej twarzy, chociaż mimo wszystko ściska moją dłoń. Może nie powinnam była zaczynać od wspomnienia o wujku, ale wolę być w takich przypadkach szczerą, zwłaszcza że potrzebuję pomocy tej kobiety.

— Eddie? — pyta słabo, oglądając się na stojącego za moimi plecami Pike'a. — Nie rozumiem, dlaczego...

— Jestem prywatnym detektywem, znam Eddiego od lat. — Postanawiam chwilowo nie wspominać o naszym pokrewieństwie. — Pomyślał, że mogłabym pani pomóc z tym... małym problemem z córką.

Uśmiecham się do niej zachęcająco, ale niewiele to daje, Eveline Grant nadal patrzy na mnie podejrzliwie i niepewnie. Nawet nie cofa się, by przepuścić mnie w drzwiach i zaprosić do środka.

— Prywatny detektyw? — powtarza ze zdziwieniem. — Pani usługi są zapewne bardzo kosztowne.

— Proszę się o to nie martwić. — Zakładam dłonie za plecy. — Rachunek jest już uregulowany.

Kobieta marszczy brwi.

— Nie chcę, żeby Eddie płacił...

— Nic mi nie zapłacił — wchodzi jej w słowo, bo powoli zaczynam tracić cierpliwość. — Byłam mu winna przysługę. Proszę się tym nie przejmować. Chciałam tylko chwilę porozmawiać i zobaczyć pokój Persii, jeśli to możliwe.

Eveline Grant waha się przez chwilę, ale w końcu nas wpuszcza. Posyła jednak krytyczne spojrzenie Pike'owi, gdy ten wchodzi do jej przedpokoju. Może dlatego, że jest wysoki i zajmuje naprawdę dużo miejsca.

— Deacon Pike — przedstawia się sztywno, nawet nie podając jej ręki.

Przewracam oczami.

— Bardzo przepraszam, pan Pike robi dzisiaj za mojego ochroniarza i nie w smak mu ta rola. Proszę nie brać tego do siebie i nie zwracać na niego uwagi — mówię do niej, po czym pozwalam się zaprowadzić do salonu.

Jest niewielki i przytulny. Wydaje mi się, że pasuje do obu pań Grant.

— Rozumiem, że nie było pani w mieście, kiedy Persia zniknęła? — pytam, siadając na kanapie.

— Policja już mnie o to wypytywała — odpowiada niepewnie Eveline.

Robię głupią minę.

— Tak, wiem, czytałam raport. Na szczęście ja nie jestem z policji.

Po tych słowach kobieta wreszcie lekko się uśmiecha. Po chwili zaczyna mówić:

— Wróciłam do Vegas dopiero w poniedziałek rano. Od razu się zorientowałam, że coś jest nie tak. Persia powinna być wtedy w domu, a jej nie było. Eddie... sugerował, że coś mogło się stać podczas tej strzelaniny w centrum...

— Moim zdaniem Persia wróciła po tym wydarzeniu do domu — przerywam jej. — Rozmawiałam z taksówkarzem, który to potwierdził. Rozumiem, że do miasta Persia też jeździła taksówką?

— Zazwyczaj uberem — odpowiada Eveline. To zapewne z tamtego samochodu wysiadła, gdy wszystko się zaczęło. — Ale skoro wróciła, to co się mogło z nią podziać?

— Właśnie tego chciałabym się dowiedzieć. Mogłabym zobaczyć jej pokój?

Eveline kiwa głową, choć po jej spojrzeniu przypuszczam, że według niej to nic nie da. Pike przez cały czas trwania naszej rozmowy stoi za kanapą, jakby rzeczywiście odgrywał rolę mojego ochroniarza. Kiedy jednak podnoszę się i idę za kobietą w głąb domu, on podąża za mną jak cień.

Narozna sypialnia Persephone na tyłach domu jest miła i przytulna. Utrzymana w pastelowych kolorach, ma dwa ogromne okna i duże łóżko z lekkim baldachimem. Rozglądam się po pokoju, a potem podchodzę do jednego z okien, otwieram je i wyglądam na zewnątrz.

Wychodzi na ogrodzony tylny ogród. Spoglądam w dół: wzdłuż fundamentów domu biegnie szeroka rabatka pełna krzewów i sukulentów, czyli tego, co w klimacie Nevady najłatwiej się utrzymuje. Przyglądam jej się, ale wygląda normalnie. Cofam się więc i przechodzę do drugiego okna, które wychodzi z kolei na wąską ścieżkę biegnącą między domem Grantów a sąsiednim, nieco podobnym.

— Czego pani właściwie szuka? — pyta Eveline, na co Deacon Pike parska zlekceważeniem.

— Może własnego rozumu — mamrocze.

— Goń się — odpowiadam podobnym tonem, po czym wyglądam przez drugie okno.

Oh! Chyba znalazłam to, czego szukałam.

Otwieram okno i wychylam się mocno, by dokładniej obejrzyć rabatkę. Krzewy w kilku miejscach są pogiete, a w ziemi widzę niewyraźny odcisk buta. Jest za duży, żeby mógł należeć do Persephone Grant. Ta dziewczyna jest drobna i niewysoka, pewnie ma rozmiar stopy podobny do mojego.

Ktoś tu był. W jej domu. Wszedł przez okno i... zabrał ją?

Podciągam się na rękach i przerzucam nogi przez parapet, żeby wyskoczyć przez okno na zewnątrz. Deacon Pike reaguje pierwszy.

— Co ty robisz, wariatko? Natychmiast tu wracaj!

Ignoruję go, zeskakuję na ziemię i rozglądam się dookoła. Słyszę za sobą przekleństwo Pike'a, ale nie zwracam na niego uwagi, tylko ruszam w kierunku ulicy.

Gdybym była intruzem, który postanowił włamać się do cudzego domu i porwać mieszkającą w nim kobietę, jak bym to zrobiła?

Na pewno pod osłoną nocy. Przedostanie się między budynkami i wejście do środka przez uchylone okno to nic trudnego. Gorzej z zataszczeniem dziewczyny z powrotem do samochodu. Prawdopodobnie uśpiłabym ją i wyszła drzwiami, udając, że mi wolno. Gdybym była dużym mężczyzną — sądząc po odcisku buta — raczej nie miałabym problemu z wzięciem dziewczyny na ręce i wyniesieniem jej.

Wejść do domu — to inna kwestia. Intruz musiał się zakraść. Przejść między budynkami, oczywiście.

Idę na przód domu, gdzie Pike czeka już na mnie przed głównym wejściem. Jest wkurwiony, widzę to po jego minie, lecz prawdę mówiąc, w ogóle mnie to nie rusza. Po lewej znajdują się okna sąsiedniego domu, odsłonięte rolety pozwalają zobaczyć sypialnię i salon. Skręcam w tamtą stronę zamiast z powrotem do Eveline Grant.

— Jesteś jakaś nienormalna? — pyta Pike ze złością.

Macham na niego lekceważąco ręką.

— Po prostu zaczekaj tu chwilę.

Wskakuję na werandę sąsiedniego domu i już po chwili pukam do drzwi. Otwiera mi starsza pani w okularach i z wałkami na głowie. Przygląda mi się podejrzliwie, kiedy uśmiecham się i wyciągam do niej dłoń.

— Dzień dobry, nazywam się Everly Chance, jestem prywatnym detektywem. — Pokazałabym swoją legitymację, gdyby nie to, że zapodziałam ją gdzieś po drodze. Pewnie powinnam jej poszukać w domu Cole'a albo w moim biurze, ale na razie nie mam ochoty wracać do żadnego z tych miejsc. — Wie pani, że pani sąsiadka, Persephone Grant, zaginęła?

— Słyszałam od Eveline, co się stało — odpowiada staruszka z niepokojem. — Mówiłam, że policja może mnie przesłuchać, ale nic nie wiem.

— Chciałam tylko zapytać, czy nie słyszała pani czegoś podejrzanego nocą z niedzieli na poniedziałek — kontynuuję. — Według moich informacji ktoś zakradł się do domu Grantów ścieżką między waszymi domami i wszedł do środka. Może coś pani słyszała albo widziała?

— Naprawdę? — Staruszka rozszerza ze zdziwienia oczy. — Mówi pani, że ktoś tu był?! Eveline twierdziła, że Persia nie wróciła z miasta...

— Ja uważam, że wróciła — wchodzę jej w słowo — i że ktoś ją tutaj znalazł. To jak, widziała coś pani? Może coś słyszała?

Staruszka zamyśla się na chwilę, po czym odpowiada:

— Mam lekki sen i śpię przy otwartym oknie. Obudziłam się w nocy, bo wydawało mi się, że słyszę coś z ulicy. Tylko że kiedy wyrzałam na zewnątrz, nic nie zobaczyłam. Nie mogłam usnąć, więc poszłam do kuchni nalać sobie wody. — Milknie na moment, ale zaraz dodaje: — Chyba słyszałam potem silnik samochodu. Jakby coś parkowało przy drodze, a później odjechało. Nie skojarzyłam, że to mogło mieć jakiś związek ze zniknięciem Persii...

Oczywiście, że nie. Uśmiecham się do niej uprzejmie.

— Rozumiem, że nie widziała pani nic więcej? Samochodu?

— Nie, wtedy już nie wyglądałam na zewnątrz. — Staruszka z żalem kręci głową. — Przepraszam. Nie wiedziałam, że to może być ważne.

— Nic się nie stało. — Pocieszam ją. — Która mogła być wtedy godzina?

— Pewnie dziesięć po trzeciej — odpowiada po chwili namysłu. —

Była trzecia, kiedy wstałam. Samochód usłyszałam niedługo później.

Chociaż tyle dobrego, że mam mniej więcej ustalony czas.

— Bardzo pani dziękuję za pomoc.

Żegnam się ze staruszką, zeskakuję z werandy i idę do drogi. Pike i Eveline Grant wołają coś za mną, ale nie zwracam na nich uwagi. Spoglądam ulicą w obie strony — jak okiem sięgnąć, wokół znajdują się tylko domy jednorodzinne. Nigdzie tutaj raczej nie znajdę kamer ulicznych. Pewnie dopiero na najbliższym skrzyżowaniu, a nie mam żadnej pewności, którędy pojechał porywacz.

Nie mam jednak dużego wyboru. Jeśli chcę ruszyć z tą sprawą do przodu, muszę przynajmniej spróbować.

Wyjmuję telefon i ponownie wybieram numer Malcolm'a.

— Czego potrzebujesz tym razem? — pyta z niecierpliwym westchnieniem. — Nie wypłacisz mi się z tych wszystkich przysług.

Chcąc spłacić jedną, wpadam w inne. Trudno, będę się tym martwić później. Persephone to zasadniczo też moja sprawa. Skoro jest córką Eddiego, jest również moją kuzynką. Nie mam z rodziną zbyt dobrych relacji, więc fajnie byłoby pomóc przynajmniej tej jednej jej przedstawicielce.

— Chciałabym przejrzeć zapisy z kamer z okolic Artic Street z nocy z niedzieli na poniedziałek — odpowiadam. — Interesują mnie okolice trzeciej w nocy. Na samej ulicy pewnie nie ma kamer, ale wystarczą takie z najbliższych skrzyżowań.

— Wiesz, że zasadniczo to nielegalne? — napomina mnie kuzyn uprzejmie.

— Wiesz, że zasadniczo mogłabym bez problemu włamać się na twoje konto, ale z uprzejmości wolę cię o to najpierw zapytać? — odpowiadam niewinnie.

Malcolm wzdycha. Nawet mu się nie dziwię, ma ze mną trudne życie.

— Dobra — zgadza się w końcu. — Załatwię to. Ale naprawdę, Ever, dość tych przysług na jakiś czas.

Przytakuję i dziękuję mu. Wiem, że ciągle potrzebuję jego pomocy. Jednak ja też czasami mu pomagam, gdy potrzebuje informacji. Po prostu teraz to ja jestem w tarapatach i to on musi pomóc mnie.

Malcolm zresztą doskonale wie o tym.

Rozdział 22

— Zachowujesz się jak nienormalna.

Pike odzywa się natychmiast, gdy żegnamy się z Eveline Grant i wsiadamy z powrotem do samochodu. Oczywiście wyjaśniłam wszystko matce Persii i obiecałam się skontaktować, jeśli dowiem się czegoś więcej. Była oszołomiona, że ktoś mógł się włamać do jej domu, pozwoliła mi nawet obejrzeć resztę pomieszczeń, ale nigdzie nie zauważyłam innych śladów. Facet jest jak duch.

Ale istnieje naprawdę i go znajdę, choćbym miała wykopać go spod ziemi.

— Po prostu wykonuję swoją pracę — mamrocze, spoglądając w telefon.

Nie powinnam się spodziewać żadnej wiadomości od Arthura, a jednak na nią czekam. Jestem naiwniaczką. On jest zajęty swoimi interesami, a łączy nas tylko seks. Seks i wspólny wróg. Nie mogę mieć nadziei na coś więcej, ale podświadomie wiem, że spotkałam faceta jednego na milion. Pasujemy do siebie. Nie wyobrażam sobie, żeby którekolwiek z nas mogło stworzyć normalny, długotrwały związek, który nie rozpadłby się po kilku miesiącach, jak choćby mój z Cole'em, ale gdybym miała jakiegoś chcieć, to właśnie z facetem takim jak Arthur.

Chryste, przestań, Everly, rozkazuję sobie w myślach. Po prostu, kurwa, przestań.

— Mogłabyś normalnie powiedzieć: „Teraz wyjdę przed dom i pójde porozmawiać z sąsiadką”, zamiast bez słowa wyskakiwać przez okno — warczy wkurzony Pike. — Pasujesz, kurwa, do niego.

Unoszę brwi.

— Ojej, czyżby Arthur nie zwierzał ci się ze wszystkich swoich planów?

— Ty już, kurwa, lepiej nic nie mów. — Jest wyraźnie wściekły i nie bardzo wiem czemu. Nie zrobiłam przecież nic złego. — Rozumiem, że już skończyliśmy i możemy wracać do domu?

Kiwam głową, ale nie odpowiadam. Spoglądam kątem oka na Pike'a, który prowadzi z zaciętą miną, i zastanawiam się, o co mu właściwie chodzi. W następnej chwili słowa wypływają ze mnie same.

— Wiesz, naprawdę nie mam złych zamiarów. Przepraszam, że znokautowałam cię wtedy, w klubie Arthura. Nie chciałam, ale nie było innego wyjścia. Musiałam z nim porozmawiać. Nie zamierzam skrzywdzić Arthura ani działać na jego szkodę. Przysięgam. Nie musisz się mnie obawiać.

— Nie obawiam się ciebie — prycha. — Jesteś tylko jakąś bezmyślną dupą, przez którą Arthur traci zdrowy rozsądek. Spokojnie, przejdzie mu z czasem.

Co za palant.

— Dobra, wiesz co? Spierdalaj. — Chociaż wiem, że to niedojrzałe, nie mogę się powstrzymać od tych słów. — Nie jest mi potrzebna twoja zjebana opinia. Nie wiem, o co ci chodzi, ale mam to gdzieś.

— A nie powinnaś, bo z nas dwojga to ja jestem ważniejszy dla Arthura. — Śmieje się.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem.

— Ach tak? O to chodzi? Jesteś zazdrosny, biedaku? Może kochasz się po cichu w swoim szefie, co?

— Świruska — cedzi przez zaciśnięte zęby.

Tym razem to ja się śmieję.

— Znam całkiem sporo szefów ochrony, wiesz? I żaden z nich nie zachowuje się jak palant, w przeciwieństwie do ciebie.

— Zapewne przed niejednym też rozkładałaś nogi — prycha.

Oj, zaraz tam przed „niejednym”. Raptem tylko przed Stanem.

— Wysyłasz sprzeczne sygnały — odpowiadam natychmiast. — Sama już nie wiem, czy chcesz przelecieć mnie, czy Arthura.

Pike na szczęście nie odpowiada i dalszą drogę odbywamy w milczeniu. Dobrze, bo inaczej mogłabym go w końcu zabić. Arthur mimo wszystko nie byłby chyba zadowolony z takiego obrotu spraw.

Dlaczego w ogóle puścił mnie na miasto akurat z Pikiem? Przecież wie, że się nienawidzimy. Miał nadzieję na jakieś ocieplenie relacji czy co?

Ponownie sprawdzam telefon, chociaż wiem, że nie znajdę żadnych nowych powiadomień. Malcolm tak szybko pewnie nie wyciągnie nagrań z monitoringu, ale byłoby fajnie, gdybym mogła się tym zająć zaraz po powrocie do domu Arthura...

— On do ciebie nie zadzwoni, wiesz? — Słyszę głos Pike'a.

Spoglądam do góry, szukając cierpliwości pod dachem samochodu. Podobno karma wraca, więc co takiego złego zrobiłam w życiu, że pokarało mnie obecnością akurat Deacona Pike'a?

— Sprawdź swój telefon, może zadzwoni do ciebie — odwarkuję.
— Na pewno tęsknisz za nim bardziej niż ja.

— Wiem, że spędziłaś ostatnią noc w jego apartamencie. Nie myśl, że to coś oznacza. Jesteś tylko kolejną dupą do pieprzenia.

— Oczywiście — potwierdzam, unosząc na niego wzrok. — Przecież to ty jesteś jedyną prawdziwą miłością Arthura.

Pike już otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale przerywam mu, wykrzykując nagle ostrzeżenie. Wjeżdżamy na skrzyżowanie na zielonym świetle i w ostatniej chwili zauważam ciężarówkę prującą prosto na nas z lewej strony. Pike ma dosłownie sekundę na reakcję — ogląda się w lewo, po czym wdeptuje do podłogi pedał gazu, aż samochód rusza z kopyta.

W następnej chwili czuję mocne uderzenie; w uszy wdziera mi się wizg rozrywanego metalu, słyszę krzyk i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to ja krzyczałam. Chwytam się deski rozdzielczej, mój błędnik szaleje, gdy samochód obraca się dookoła, sunąc przed siebie po jezdni. Odruchowo zasłaniam głowę ramionami, gdy z impetem uderzamy w nadjeżdżające z naprzeciwka auto i SUV koziółkuje, aż nie słyszę już nic innego poza trzaskiem rozdzieranego na części samochodu. Uderzam głową w szybę i na chwilę tracę świadomość, a kiedy ją odzyskuję, stwierdzam, że wszystko się zatrzymało.

SUV stoi. Albo raczej leży. Do góry nogami.

W głowie mi huczy i nie mogę się pozbierać. Oglądam się panicznie cała, próbując dojść, czy wszystkie członki mi działają i czy nie stało mi się nic poważnego. Pasy nadal trzymają, ale mimo to na wpół leżę na dachu samochodu, nie mogąc się jednak całkowicie wydostać. Do świadomości przywraca mnie Pike, który szarpie moje ramię.

— Słyszysz mnie, Ever? — syczy, po czym uderza mnie otwartą dłońią w policzek. — Kurwa, musimy stąd wiać! Budź się, śpiąca królowo!

— Nie śpię, a ty jesteś popierdolony — wyduszam z siebie, po czym niemrawo sięgam do pasa, który nie chce się rozpiąć. — Pomóż mi z tym...

Pike, cały czas praktycznie leżąc na dachu nad — choć obecnie właściwie pod — fotelem kierowcy, wyciąga z kieszeni spodni scyzoryk, po czym przecina mój pas, nie bawiąc się w delikatności. Spadam na ziemię ciężko jak worek kartofli, aż coś boleśnie wbija mi się w udo. Zduszam

przekleństwo i próbuję otworzyć drzwi po swojej stronie. Chociaż uderzam w nie ramieniem, nie ustępują.

— Idź za mną — rzuca Pike, odwracając się, by wypełznąć na zewnątrz po swojej stronie; zauważam, że drzwi zostały tam oderwane i obecnie w SUV-ie zieje sporych rozmiarów dziura. Nie żeby to miało jakieś znaczenie, ten samochód nadaje się już tylko na złom. — Uważaj i nie wychylaj się, jeśli ci nie pozwolę.

Ramiona mnie bołą, kiedy chwytam za fotel kierowcy i próbuję się przeczołgać na miejsce obok. Zaciskam mocno szczęki i pomagam sobie nogami, odpychając się od fotela, mimo to idzie mi dość ślamazarnie.

— Pospiesz się! — syczy z zewnątrz Pike. — To nie jest, kurwa, jakaś jebana gra w podchody!

Ktoś właśnie próbował nas zabić. Czy on poważnie myśli, że mogę uznać to za zabawę?! Co za palant!

W końcu udaje mi się wyczołgać na zewnątrz; słyszę przybliżający się sygnał syreny, jakby na miejsce wypadku już jechała policja albo karetka, skupiam się jednak na broni w ręce Deacona Pike'a. Siedzi oparty o bok zniszczonego samochodu i rozgląda się dookoła uważnie.

Bezwładnie padam na asfalt obok Pike'a, nie zważając na to, że ranię sobie dłonie odłamkami szkła. Nawet tego nie czuję. Też rozglądam się dookoła: dostrzegam samochody stojące dookoła skrzyżowania; większość pewnie zatrzymała się, gdy wydarzył się wypadek. Widzę też ciężarówkę, która nas potrafiła; stoi niedaleko, przy wyjeździe ze skrzyżowania, a kiedy na nią spoglądam, drzwi szoferki otwierają się, a ze środka wyskakuje facet w kapturze na głowie.

I z karabinem maszynowym w dłoni.

— Kurwa! — Pike dostrzega go w tej samej chwili co ja i szarpie mnie za rękę, ciągnąc na tył zniszczonego SUV-a. Kiedy powietrze rozdziera pierwsza seria z karabinu, jesteśmy już schowani za wrakiem. — Kurwa, kurwa, kurwa!

Odruchowo osłaniam głowę, gdy w powietrzu nad nami świszcze grad kul; krzyczę, kiedy jedna z nich odbija się od karoserii SUV-a bardzo blisko nas. Gdzie ta jebana policja?! Czy ten facet z szoferki nie powinien raczej uciekać, słysząc syrenę?!

Pike wychyla się zza samochodu i oddaje kilka strzałów, po czym cofa się z kolejnym przekleństwem na ustach. Żałuję, że nie mam przy sobie czegoś, co mogłoby pomóc; niestety mój pistolet został w domu Arthura

razem z plecakiem. Mam przy sobie tylko telefon komórkowy, do niczego w tej chwili nieprzydatny.

— Będę cię osłaniał! — krzyczy w następnej chwili Pike. — Kiedy zacznę strzelać, przebiegniesz do najbliższego budynku!

Wpatruję się w niego jak w wariata.

— Oszalałeś?! Nigdzie się nie ruszam bez ciebie! — odpowiadam.

Pike posyła mi rozwścieczone spojrzenie.

— Próbuję właśnie uratować twój jebany tyłek, więc czy mogłabyś, z łaski swojej, przestać mi się sprzeciwiać?!

Kiedy mu się przyglądam, widzę wystający mu zza paska drugi pistolet. Wskazuję na niego głową.

— Daj mi broń.

— Nie mam najmniejszego zamiaru — prycha. — Masz uciekać, kiedy dam ci znać.

— Daj mi, kurwa, broń — powtarzam ze złością. — O dziwo, zdajesz się myśleć tylko o mnie, a ja chcę wydostać stąd nas oboje. Daj mi pistolet.

Nie wiem, co takiego usłyszał w moim głosie albo zobaczył w moich oczach, ale po sekundzie wahania wyjmuje pistolet i podaje mi. Sprawdzam go szybko: jest naładowany. Nie zamierzam z tego korzystać, ale na wszelki wypadek chcę wiedzieć.

— To byłby dobry moment, żebyś mi powiedziała, co zamierzasz — odpowiada Pike, przekrzykując kolejną serię.

— Zorientujesz się — rzucam, po czym podnoszę się nieco, by być gotową do biegu.

Pike wzrusza ramionami i pokazuje mi gestem, żebym zaczekała. Po chwili, gdy milkną strzały, wychyla się zza samochodu i zaczyna odpowiadać ogniem. Nasz przeciwnik musi w tym momencie się ukryć, więc to dla mnie doskonały moment, żeby wyprysnąć zza samochodu i, tak jak kazał Pike, pobiec do najbliższego budynku.

Tylko że nie kieruję się do budynku.

Biegnę przed siebie, jak najszybciej mogę, po czym dopadam do pierwszych ustawionych na skrzyżowaniu samochodów. Ich właściciele kryją się w środku, przerażeni strzelaniną, nie mam jednak czasu się tym przejmować. Syreny słychać coraz bliżej i wiem, że lada moment wpadnie tu policja, co nie będzie dobre również dla mnie i dla Pike'a. Jak miałabym to wszystko wytłumaczyć? Zwłaszcza gdy prędko odkryliby moją tożsamość i zorientowali się, że mnie szukają?

Podbiegam do pierwszego lepszego samochodu i szarpie za drzwi od strony kierowcy. Otwierają się, ukazując moim oczom skuloną na przednim siedzeniu, przerażoną czarnoskórą młodą kobietę.

— Wypad z auta — mówię stanowczo, celując w nią zabezpieczonym pistoletem.

Dziewczyna wrzeszczy — właściwie się jej nie dziwię — więc wyciągam rękę i niemal siłą wywlekam ją z samochodu. Zaczyna płakać i zasłaniać się, jakby to miało cokolwiek dać, gdybym chciała ją skrzywdzić. Cholera.

— Przepraszam — dodaję właściwie wbrew sobie. — Nie mam innego wyjścia. Wynagrodzę to pani.

Może. Jeśli znajdę ją po numerach auta.

Zajmuję miejsce za kierownicą, po czym sięgam na siedzenie pasażera obok i podaję dziewczynie jej torebkę. Jest zszokowana i wpatruje się we mnie bez słowa, ale przyjmuje ją mechanicznie, a ja zatrzaskuję drzwi i ruszam na środek skrzyżowania.

Schylam się na siedzeniu i zaciskam zęby, gdy w samochód uderza kolejna seria. Udaje mi się zatrzymać tuż przy pogruchotanym SUV-ie; przechylam się i otwieram drzwi po stronie pasażera.

— Wsiadaj! — krzyczę do skulonego za wrakiem Pike'a; kątem oka widzę, jak na skrzyżowanie wjeżdżają policyjne radiowozy.

Wskakuje do środka i zatrzaskuje drzwi, a ja ruszam z piskiem opon, oddalając się od ciężarówki i faceta z karabinem. Posyła za nami kolejną serię, która rozbija w drobny mak tylną szybę i wyrwa ze mnie krzyk, potem jednak udaje mi się skrócić w jakąś ulicę i wyjechać wreszcie z tego cholernego skrzyżowania. Już po chwili oddalam się z miejsca zdarzenia, z każdym momentem coraz bardziej się rozpędzając.

Niestety w następnej chwili słyszę za nami syrenę policyjną, a kiedy spoglądam w lusterko, dostrzegam, że ściga nas pojedynczy patrol. Po prostu, kurwa, świetnie.

Dojeżdżamy do kolejnego skrzyżowania, na którym właśnie zapala się czerwone. Po dwóch stronach auta powoli ruszają ze świateł, ja jednak zamiast się zatrzymać, wciskam gaz do dechy.

Pike drze się na mnie, lecz nie zwracam na niego uwagi, gdy przejeżdżam obok samochodów, mijając je dosłownie o kilkadziesiąt cali. Serce chyba przestaje mi bić na moment, kiedy skręcam gwałtownie kierownicą, omijając jedno z aut, które staje w poprzek drogi i zaczyna gwałtownie trąbić. Wpadamy w końcu na drugą stronę skrzyżowania,

a gdy patrzę w tylne lusterko, widzę, że policja próbuje powtórzyć mój manewr.

Muszą zatrzymać się na chwilę, nie zdążamy jednak odjechać zbyt daleko, gdy wznawiają pościg. Mamy większą przewagę na kolejnej, nieco bardziej ruchliwej ulicy, ale to nie wystarczy. Musimy ich zgubić.

— Skreć tutaj — poleca mi nagle Pike, wskazując boczną ulicę. — Zaraz za zakrętem zobaczysz sklep z parkingiem. Wjeżdż na niego i zgaś silnik.

Wykonuję jego polecenia, o nic nie pytając. Skrećam w boczną uliczkę, a chwilę potem drugi raz, wjeżdżając na parking. Znajduję wolne miejsce w tylnym rzędzie i zatrzymuję się. Mam nadzieję, że nasz samochód jakby wtopi się w tłum i policja go nie dostrzeże.

Pike chwyta mnie za kark i naciska, każąc mi się pochylić, co natchmiast robię. Słyszę, jak radiowóz skręca w boczną ulicę, po czym oddala się nią; policjanci przejeżdżają obok, nieświadomi, że ukryliśmy się na parkingu. Pewnie pomyśleli, że próbujemy uciec autem gdzieś dalej.

— To ślepa uliczka, zaraz się zorientują, że nas tam nie ma, i zawrócą — mówi Pike, otwierając drzwi samochodu. — Wyskakuj.

Posłusznie wysiadam, po czym wydaję telefon z kieszeni spodni, żeby pstryknąć szybką fotkę tablicom rejestracyjnym. Pike wyzywa mnie od idiotek i ciągnie za ramię, poddaję mu się więc, pozwalając się wyprowadzić z parkingu.

Wychodzimy na chodnik i wracamy do głównej ulicy. Pike obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie, na co w pierwszej chwili się usztywniam.

— Uspokój się — syczy mi do ucha. — Nie widzieli nas, nie wiedzą, jak wyglądamy. Idź normalnie przed siebie, to na pewno nie przyjdzie im do głowy nas zatrzymać.

— Jasne — mamrocę. — Lepiej się przyznaj, że próbujesz mnie obmacać.

— Chciałabyś. — Śmieje się, po czym wolną ręką wydaję z kieszeni swój telefon.

Chowam pistolet za paskiem pod koszulką, żeby nikt z przechodniów go nie zauważył, po czym próbuję się nieco rozluźnić. Serce wali mi tak, jakby zamierzało za chwilę wyskoczyć z klatki piersiowej, a schodząca ze mnie adrenalina sprawia, że zaczynam szcząkać zębami. Bolał mnie

głowa, ręce i kolana, ale chyba kolejny raz powinnam być wdzięczna, że skończyło się na powierzchownych ranach. Mogło być dużo gorzej.

Mogliśmy oboje umrzeć.

— Potrzebujemy transportu — rzuca Pike do słuchawki, gdy wychodzimy na główną ulicę. Słyszę za nami syrenę radiowozu i mimowolnie kulę się nieco. — Jesteśmy na Fremont Street. Wysyłam ci lokalizację.

Radiowóz mija nas w pędzie, na szczęście choć na ulicy nie ma wielu przechodniów, nie zwracamy niczyjej uwagi. Dopiero kiedy policja się oddala, trochę się uspokajam. Robimy jeszcze kilka kroków, po czym Pike zatrzymuje się przed fasadą jakiegoś sklepu i puszcza mnie.

— Któryś z moich ludzi podjedzie po nas innym samochodem — wyjaśnia, chowając telefon. Posyła mi uważne spojrzenie. — Przez moment myślałem, że zamierzasz mnie tam zostawić.

Wzruszam ramionami.

— Przez sekundę o tym myślałam — żartuję. W rzeczywistości to nawet nie przemknęło mi przez głowę. — Ale w końcu uznałam, że nawet ty nie zasługujesz na takie traktowanie. Zwłaszcza że mnie uratowałaś.

— Pomysł z kradzieżą samochodu był niezły — przyznaje niechętnie. — No i to ty pierwsza zauważyłaś ciężarówkę. — Marszczy brwi, jakby go to zdziwiło. — Gdybyś mnie nie ostrzegła, wbiłaby się w nas centralnie, a nie tylko w tył samochodu, i pewnie by mnie zabiła. Zdążyłem w porę przyspieszyć.

Uśmiecham się do niego złośliwie.

— Wygląda na to, że mimo wszystko tworzymy niezły zespół, co? — rzucam.

Deacon Pike przewraca oczami.

— Nie wyobrażaj sobie za dużo, Nancy.

Rozdział 23

Arthur przyjeżdża niedługo po tym, jak Deacon i ja docieramy do jego domu. Znajdujemy się właśnie w salonie na parterze i siedzimy na kanapie, kiedy wpada do środka. Jest wściekły i ma mord w oczach, aż ochroniarz, który otwiera mu drzwi, cofa się odruchowo.

Nic dziwnego. Gdy Arthur jest w takim stanie, wygląda naprawdę przerażająco.

— Co to ma, kurwa, być? — pyta od wejścia. Spoglądamy na niego z Pikiem pytająco. — Skąd wiedzieli, gdzie będziecie?!

To w zasadzie dobre pytanie, na które jednak żadne z nas nie potrafi odpowiedzieć. Wyjątkowo zgodnie wzruszamy ramionami.

— Sam wypadek mógł być przypadkowy, ale na pewno nie ten gość z karabinem — odpowiadam głupio, na co Pike parska śmiechem.

Arthur spogląda na niego i marszczy brwi.

— Widzisz coś zabawnego w tym, że o mało nie zginęliśmy? — pyta uprzejmie.

Trzyma dłonie w kieszeniach spodni, ale i tak mam wrażenie, że zaciśnął je w pięści. Drga mu mięsień w policzku, co jest najlepszą oznaką zdenerwowania i faktu, że nie chce go okazywać. Stalowszare oczy ciskają pioruny, więc kiepsko mu to wychodzi — aż zaczynam się zastanawiać, jak by się zachowywał, gdyby się nie powstrzymał. I czy zachowywał się podobnie, gdy od niego uciekłam.

— No cóż... W każdym razie nie zginęliśmy — odpowiada Pike spokojnie, po czym wskazuje na mnie głową. — Ta dziewczyna to największa farciara pod słońcem. Kolejny atak na nią, a ona znowu nie jest nawet draśnięta.

— Chyba jednak jest. — Arthur pokonuje pokój długimi krokami, by zatrzymać się tuż przy mnie. Odsuwam się nieco, kiedy klęka przede mną i sięga do mojej głowy. Otacza moją twarz dłońmi i ogląda mnie

uważnie, z bliska, na co mu pozwalałam z bijącym szybko sercem. Jego dotyk parzy mnie i tylko tyle wystarczy, żebym się podnieciła. — Ktoś cię opatrywał?

— Niby po co? — dziwię się.

— Masz rozciętą wargę i łuk brwiowy, nie zauważyłaś?

Pike za plecami Arthura przewraca oczami.

— To nic takiego, Ash, od tego się nie umiera.

— Idziemy na górę, ja cię opatrzę. — Nie zwracając uwagi na jego słowa, Arthur chwytą mnie za ramię i niemal siłą podnosi z kanapy. Wstaję posłusznie, bo nadal za bardzo się trzęsę, żeby mieć ochotę na jakiegokolwiek sprzeciw. Arthur obejmuje mnie ramieniem, po czym odwraca się do Pike'a. — Oczekuję, że dowiesz się, jak do tego doszło.

Pike ponuro kiwa głową.

— Jasne, że się dowiem. Potrzebuję twojego komputera, Nancy — zwraca się do mnie.

Robię zaskoczoną minę.

— Po co?

— Tylko my wiedzieliśmy, dokąd jedziemy — wyjaśnia niechętnie.

— Pewnie miałaś te informacje także na laptopie.

Zamyślam się.

— Dostałam na maila dane dotyczące zaginięcia tej dziewczyny — przyznaję. — W policyjnych aktach był jej adres. Ale nikt poza mną i tobą nie wiedział, że właśnie tam się wybieramy.

— Ten laptop razem z resztą twoich rzeczy leżał w pokoju hotelowym, gdy podłożono ci bombę — dodaje i dopiero wtedy zaczynam rozumieć. — Jeśli to, co podejrzewam, to prawda, wówczas wszystko to jest moją winą. Powinienem był sprawdzić twoje rzeczy dokładniej.

— Podejrzewasz, że mogli się włamać do mojego laptopa — stwierdzam.

Pike przytakuje.

— Tak, skoro mieli do niego bezpośredni dostęp. Wystarczyło, że zainstalowali szpiegowskie oprogramowanie. Powinienem był o tym pomyśleć.

— To nie twoja wina — protestuję odruchowo. — Nikt nie może myśleć o wszystkim. Dzisiaj poradziłaś sobie świetnie.

— To ty poradziłaś sobie dzisiaj świetnie — odpowiada i robi taką minę, jakby jego samego dziwiły te słowa. — Ale nie musiałyby do tego dojść, gdybym dobrze wykonywał swoją pracę.

Arthur przygląda nam się ze zdumieniem, które na chwilę wypiera z jego oblicza cały gniew.

— Jeszcze wczoraj wydawało mi się, że jedyne, co robicie zgodnie, to skakanie sobie do gardeł — komentuje, na co parskam nieco histerycznym śmiechem. — Gdybym wiedział, że wystarczy wystawić was razem na niebezpieczeństwo, żebyście zaczęli się ze sobą dogadywać, zrobiłbym to już wcześniej.

— Nie wyobrażaj sobie za dużo — mamrocze Pike, co wygląda na jego standardową odpowiedź, skoro sama wcześniej usłyszałam od niego identyczne zdanie.

Nie odpowiadam, tylko przewracam oczami i pozwalam Arthurowi zaciągnąć się na piętro, do jego apartamentu. Idę powoli, bo cały czas trzęsą mi się nogi, i jego to chyba irytuje — ledwie wychodzimy z salonu, zatrzymuje się i tak po prostu, jakbym nic nie ważyła, bierze mnie na ręce.

Wydaję z siebie zaskoczone sapnięcie i chwytam go kurczowo za szyję, żeby nie spaść. Arthur nie mówi ani słowa, kierując się ze mną w ramionach na schody i wchodząc na piętro. Jego twarz znajduje się tak blisko, że czuję na policzku spokojny, gorący oddech, a jego usta co chwila muskają moją skroń.

— Mogę iść sama, wiesz? — odzywam się w końcu nieco zduszonym głosem.

Arthur nie odpowiada ani słowem, co tylko mnie wkurza. Pokonuje schody i kieruje się do salonu przy swojej sypialni. Nie próbuję już protestować, bo wiem, kiedy bitwa jest przegrana, i potrafię się z tym pogodzić.

No dobra, czasami potrafię.

W końcu sadza mnie na skórzanym kanapie w swoim salonie i wychodzi. Poprawiam się, opierając plecy o tył kanapy, i zastanawiam się, czy właśnie w tym czasie Deacon Pike grzebie w moich rzeczach piętro niżej, by znaleźć laptop. Nie podoba mi się ta myśl, ale nie mam wystarczająco dużo sił, by się podnieść i tam pójść, żeby spróbować mu przeszkodzić.

Arthur po chwili wraca z podręczną apteczką. Kładzie ją na stoliku kawowym i ponownie klęka przy mnie, po czym ogląda uważnie moją twarz.

— To nie powinno było się wydarzyć — mówi szorstko.

Wzdycham.

— Nic na to nie poradzisz.

— Gdybyś nie opuściła mojego domu, nic by się nie stało.

— I nic się nie stało — upieram się. — Potrafię sobie radzić, Arthur, bez ciebie też. Nie potrzebuję faceta, który będzie mnie chronił przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

— A jednak przyszedł do mnie po pomoc.

Przypatruję mu się z irytacją, gdy wyciąga z apteczki waciki i środek dezynfekujący. Nie pozostało w nim ani śladu po poprzednim wzburzeniu; znowu jest spokojny i opanowany. Ciekawe, czy to też tylko maska.

— Przyszedłam, bo w tej konkretnej sprawie rzeczywiście potrzebuję pomocy — wyjaśniam. — To nie oznacza, że dam się zamknąć w twoim domu. Nigdy nie będę typową damą w opałach.

— Zauważyłem i nie wymagam tego od ciebie — mruczy, chwytając mój podbródek. — Nie byłabyś taka interesująca, gdybyś była damą w opałach. Co nie oznacza, że twój sposób bycia nie jest frustrujący.

Syczę, kiedy środkiem dezynfekującym przeciera mój łuk brwiowy. Szczypie.

— Dlaczego miałby być frustrujący? — pytam.

Dłoń Arthura opada na chwilę, gdy mężczyzna wpatruje się we mnie poważnie.

— Mnie frustruje. Bo się o ciebie martwię — przyznaje niechętnie. — Mnie też to dziwi, Ever, ale tak jest. Przerwałem naprawdę ważne spotkanie, żeby wrócić do domu i opatrzeć twój pęknięty łuk brwiowy. Chyba coś jest ze mną nie tak.

Możliwe. Ale jeśli to prawda, to ze mną też jest coś nie tak.

— Naprawdę to doceniam — odpowiadam poważnie. — Mogę ci pokazać, jak bardzo.

Nasze spojrzenia się krzyżują i wiem, że Arthur zdaje sobie sprawę, co mam na myśli. Raz jeszcze przemywa mój łuk brwiowy, po czym kciukiem przesuwając go po moich wargach. Rozchylił je zapraszająco. Serce zaczyna mi walić, gdy Arthur wsuwa palec głębiej.

— Zaczekajmy, aż lepiej się poczujesz — proponuje.

Zaciskam wargi na jego palcu.

— Czuję się doskonale — kłamię. Wcale nie czuję się doskonale, ale jestem przekonana, że podarowanie mu odrobiny seksu oralnego poprawiłoby mi samopoczucie.

Dotykam językiem jego palca i ssę lekko, na co wzrok Arthura się wyostrza. Wolną dłonią chwyta mnie za kark.

— Nie mam dużo czasu — ostrzega. — Zostawiłem moich kontrahentów, żeby do ciebie przyjechać, i będę musiał do nich wrócić.

Kontrahentów. Brzmi ciekawie. Kiedyś na pewno będę chciała do wiedzieć się na ten temat czegoś więcej, ale na razie mam inne sprawy na głowie.

— Szybko się uwinę — zapewniam go, po czym chwytam za jego krawat i ciągnę, chcąc, żeby usiadł na kanapie obok mnie.

Arthur chętnie zajmuje miejsce, a ja siadam na nim okrakiem, po czym jednym ruchem zdejmuję bluzkę przez głowę. Mężczyzna spuszcza wzrok na moje piersi i sięga do nich, palce wsuwając pod koronkę miseczek. Nigdy nie nosiłam takiej bielizny, dopóki nie pojawiłam się w domu Arthura i nie dostarczył mi ciuchów na zmianę. Zaskakująco dobrze czuję się z faktem, że mogę mu się pokazać w czymś ładnym i seksownym.

Odsuwa materiał z jednej piersi i schyla głowę, by wziąć w usta mój sutek. Jęczę i przyciągam go do siebie bliżej, po czym zsuwam dłonie w dół jego torsu, by dotrzeć do zapięcia spodni. Radzę sobie z nim bardzo szybko i już po chwili wkładam mu dłoń do bokserek. Wydaję z siebie zadowolone mruknięcie, gdy moje palce zaciskają się na twardym już penisie.

Zamieram, gdy słyszę sygnał mojej komórki. Nadal mam ją w kieszeni dżinsów.

— Zignoruj to — poleca mi Arthur, więc oczywiście wyjmuję telefon i spoglądam na wyświetlacz.

Malcolm. Kurwa. To może być ważne.

— To zajmie tylko minutkę — obiecuję.

Arthur podnosi głowę i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Chyba oszalałaś.

Ja jednak już odbieram; przytrzymuję komórkę jedną dłonią, a drugą znowu wsuwam Arthurowi pod bieliznę. Syczy i chwytam mnie za przedramię, ale nie zamierzam dać się powstrzymać.

—Mał, mam nadzieję, że to coś ważnego — odzywam się.

Mój kuzyn prycha z rozdrażnieniem w słuchawkę.

— Czy masz coś wspólnego z dzisiejszą strzelaniną na skrzyżowaniu South Bruce Street z Fremont Street?

Parskam śmiechem.

— Myślisz, że mam coś wspólnego z absolutnie każdą strzelaniną w Vegas?

Malcolm nie wydaje się jednak rozbawiony.

—Z każdą nie, ale prawdopodobnie z tą, która miała miejsce w okolicy, w której byłaś — wypomina mi i, kurczę, nawet ma rację. Przecież on wie, że byłam w pobliżu, bo sama prosiłam o nagrania z kamer z okolic Artic Street. — Poza tym jeden ze świadków podał rysopis zaskakująco mocno przypominający twój.

— Ach, widzisz, dobrze, że mi przypomniałeś — odpowiadam, mocniej zaciskając palce na penisie Arthura. Zaczynam go leniwie pieścić i mówię do słuchawki: — Potrzebuję namiarów na tę dziewczynę. Podam ci adres, gdzie znajdziecie jej samochód, ale ma wybitą szybę, chciałabym oddać jej pieniądze za naprawy.

— Chyba sobie żartujesz! — wykrzykuje Malcolm po tych słowach i doprawdy nie rozumiem, dlaczego jest taki oburzony.

— Dlaczego miałabym żartować? — dziwię się. Napotykam pełne napięcia spojrzenie Arthura i już nie mogę odwrócić wzroku. — To poważna sprawa. Ukradłam jej samochód i chciałabym za to jakoś zadośćuczynić.

— Lepiej zgłoś się na policję.

— Teraz to chyba ty sobie żartujesz — śmieję się. — Nie ma takiej opcji, Mal. Coś jeszcze?

— Zajmuję się tą sprawą. Mogę wystawić nakaz aresztowania.

— Oczywiście, że możesz — potwierdzam. — Nie będę miała o to do ciebie pretensji. W końcu to twoja praca.

Mój kuzyn przez chwilę milczy i w tej ciszy wyraźnie wyczuwam jego frustrację. W zasadzie go rozumiem, ostatnio sporo przeze mnie przechodzi.

Wyciągam w końcu penisa Arthura ze spodni i przyspieszam nieco ruchy, gładząc go po całej długości. Jest naprawdę okazały. Aż przyjemnie się na niego patrzy.

— Nie wiem, jak to robisz, Ever, ale kiedy mówisz takie rzeczy, sprawiasz, że czuję się winny. — Wzdycha w końcu mój kuzyn.

— Absolutnie tego nie chcę — protestuję natychmiast. — Nie dlatego to powiedziałam.

— Wiem i właśnie w tym problem. Czuję się jak ostatni gnój, że w ogóle straszę cię czymś takim, a ty nawet nie jesteś o to zła. Coś wymyślę, obiecuję. W zasadzie nie dlatego dzwoniłem. Chciałem ci dać znać, że przesłałem ci nagrania z kamer, i przy okazji przypomniałem sobie, że nie

powiedziałem ci, kto wziął sprawę tego podwójnego morderstwa na Glenview Drive. To sierżant Zachary Scott. Znasz go, prawda?

Marszczę brwi, próbując sobie przypomnieć. Powinnam go pamiętać, w końcu to dobry znajomy Cole'a.

— To jakaś rodzina tego waszego komendanta? — pytam w końcu, nie przestając pieścić penisa Arthura. Ten chwytam mnie za rękę, jakby chciał mnie powstrzymać, ale tylko kręcę głową.

— Tak, to jego siostrzeniec — przyznaje Malcolm. — I nie tylko o to chodzi. Krąży plotki, że oni obaj są umoczeni.

Zaskoczona zatrzymuję się na moment, co wyraźnie nie podoba się Arthurowi. Syczy, a ja wznawiam ruchy.

— Więc co? Uważasz, że ktoś ich opłaca?

— Uważam, że coś w tej sprawie śmierdzi — odpowiada zdecydowanie. — Ktoś celowo chciał mieć przy niej właśnie tego człowieka. Nie wiem, o co w tym chodzi, i dopóki nie dowiemy się więcej, nie powinnaś się wychylać.

— Nie mam zamiaru — mówię lekko zaniepokojona. Rozpraszam się i znowu zwalniam ruchy, na co Arthur mruczy z niezadowolaniem.

— Kończ już. — Słyszę jego niski głos.

Malcolm prycha.

— Żartujesz sobie? Masz tam faceta?!

— Właściwie... — zaczynam, ale w tym samym momencie Arthur traci cierpliwość.

Sapie, kiedy zrzuca mnie z kolan i popycha na kanapę, po czym przywiera do moich pleców, aż oboje na niej klęczymy wyprostowani. Odruchowo chwytam się oparcia, kładąc na nim łokcie, gdy czuję usta Arthura na karku. Obejmuje mnie w pasie i sięga do zapięcia moich boyfriendów, po czym zsuwa je razem z bielizną.

— Ever, jesteś tam? — pyta niecierpliwie Malcolm. — Lepiej od razu się przyznaj, kogo tam masz.

Drgam, gdy czuję twardego, gorącego penisa Arthura na moim pośladku.

— Oszalałeś? Rozmawiam — szepczę do niego, ale w tej samej chwili Arthur wyjmuje mi telefon z ręki.

— Właśnie skończyłaś — oznajmia, po czym przerywa połączenie i rzuca komórkę na stolik za nami.

Nadal nie wierzę, że właśnie dał do zrozumienia mojemu kuzynowi, w jakiej sytuacji się znajduję, ale Arthur myślami jest już zupełnie

gdzie indziej. Wbija się we mnie jednym zdecydowanym ruchem, wypełniając mnie bardzo dokładnie, aż jęczę i pochylam się nieco do przodu, łapiąc oparcie kanapy. Arthur gorączkowo rozpina mój stanik, a potem jego palce odsuwają materiał i zamykają się na mojej piersi. Słyszę jego głęboki pomruk tuż przy moim uchu.

— Miałam ci obciągnąć — przypominam, walcząc z nierównym oddechem.

Arthur się śmieje.

— Może następnym razem.

Wycofuje się, po czym ponownie na mnie napiera, a potem zaczyna we mnie mocno uderzać, wyrывая z mnie jęk z każdym ruchem. Jego palce bawią się moją piersią, Arthur obejmuje mnie ramieniem i drugą dłonią sięga do mojej lechtaczki. Odchylam się nieco do tyłu, kładę mu głowę na ramieniu i zaciskam się na nim, gdy wbija się we mnie głęboko.

Arthur narzuca ostre tempo, na które odpowiadam z entuzjazmem. Pieprzymy się szybko, gwałtownie i równie szybko dochodzimy. Krzyczę, kiedy dopada mnie orgazm, który sprawia, że na moment tracę dech; chwilę później Arthur wypełnia mnie spermą.

Oddycham głęboko, usiłując odzyskać równowagę. Jezu. Chyba zemdleję. Kręci mi się w głowie i ledwo trzymam się w pionie; dobrze, że Arthur obejmuje mnie mocno w pasie i do siebie przyciąga.

— Naprawdę chciałam ci obciągnąć — mówię, kiedy wreszcie jestem w stanie.

Dostaję gęziej skórki, gdy czuję gorące usta Arthura na karku i ramieniu. Obejmuje mnie tak szczerlnie, jakby nigdy nie chciał puścić.

— Gdybyś naprawdę chciała, nie odebrałaś telefonu — wypomina mi, na co przewracam oczami. — Kim jest facet, z którym rozmawiałaś?

Oho. Czyżby wychodził z niego zazdrośnik?

— Mal to mój kuzyn — wyjaśniam. Arthur mruży coś potakująco prosto w moją skórę. — Nie musisz być o niego zazdrosny.

— A o tego twojego faceta z policji?

Wow. Nie zaprzeczył. Trudno mi w to uwierzyć.

— O niego też nie — odpowiadam miękko. — Mówiłam ci, że rozstałam się z nim, zanim cię spotkałam.

Wyjątkowo korzystnie zbiegło mi się to w czasie.

— To dobrze — kwituje Arthur, wysuwając się ze mnie. Cała się lepię i muszę do łazienki. — Później mi powiesz, czego chciał od ciebie kuzyn. Teraz naprawdę muszę już uciekać.

Wypieprzył mnie i sobie idzie, przemyka mi przez głowę z rozbawieniem. Ale kiedy Arthur odwraca mnie do siebie przodem i obdarza długim, gorącym pocałunkiem, uświadamiam sobie jeszcze jedno.

Absolutnie mi to nie przeszkadza.

Rozdział 24

Po prysznicu i tabletkę przeciwbólowej — w końcu odezwała się głowa, którą walnęłam w SUV-a podczas kolizji — zasiadam do laptopa i biorę się za zmusną pracę polegającą na przeglądaniu nagrań, które podesłał mi Malcolm.

Nie korzystam ze swojego komputera — a właściwie komputera Stephanie — tylko z jednego z urządzeń należących do Arthura, które udostępnił mi, gdy poprosiłam. Laptop Steph nadal pozostaje w rękach sprawdzającego go Deacona Pike'a. Mam nadzieję, że go nie uszkodzi.

Arthur uparł się też, że załatwi sprawę z właścicielką samochodu, który ukradłam na skrzyżowaniu podczas strzelaniny. Miałam trochę wątpliwości, bo nie wiem, czy jego „załatwienie tej sprawy” nie przerazi jej jeszcze bardziej niż moja interwencja, ostatecznie jednak dałam mu wolną rękę.

Kładę się na łóżku Arthura na brzuchu i włączam pierwsze nagranie. Szybko się orientuję, że w tej pozycji raczej usnę, niż znajdę coś wartościowego. To kolejny intensywny dzień, po którym padam na twarz, i ostatnim, na co mam ochotę, jest wypatrywanie jakiegoś samochodu na kamerach ulicznych. Zwłaszcza że nawet nie wiem dokładnie, czego szukam, jaki ten samochód miałby być ani kto powinien go prowadzić.

Na szczęście skrzyżowania, z których Malcolm wyciągnął nagrania, są prawie puste. Nie mam zbyt wielu kandydatów do etykiety porywczy niewinnych dziewcząt. Dopiero na trzecim nagraniu, ze skrzyżowania z East Karen Avenue, dostrzegam coś, co mnie interesuje i podrywa do pozycji siedzącej.

Bingo. Niebieska półciężarówka przemyka przez skrzyżowanie; ma przykrytą pakę, a za kierownicą siedzi facet... w masce.

Poważnie. Ma czarną maskę, która zasłania mu pół twarzy. Zupełnie jak ten gość z nagrania ze strzelaniny na Strip.

Tym razem nie proszę o pomoc kuzyna. Loguję się za pomocą jego danych, żeby sprawdzić numery rejestracyjne samochodu, szybko jednak przekonuję się, że nie są prawdziwe. Ktoś je zmienił.

Biorę więc komórkę i dzwonię do wujka Eddiego.

— Dobrze, że dzwonisz, Ever — odzywa się po dwóch sygnałach. — Właśnie miałem się z tobą kontaktować...

— Kojarzysz typa, którego nazywają Królem Kier? — wchodzę mu w słowo.

Wujek wzdycha głęboko.

— Oczywiście. Od jakiegoś czasu psuje nam krew w mieście.

— Dobrze wiedzieć — mamrocze. — Wygląda na to, że to on porwał Persię.

— Co takiego?! — Sądząc po tonie głosu, nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

— Sprawdziłam ślady w jej rodzinnym domu. Ktoś porwał z niego Persię, prawdopodobnie tej nocy po strzelaninie na Strip — relacjonuję moje odkrycia. — Ona go tam widziała. Króla Kier. Nie wiem, co dokładnie robili, bo kamery tego nie uchwyciły, ale uciekła od niego, a on z jakiegoś powodu wrócił do jej domu i ją porwał. Ma półciężarówkę na fikcyjnych blachach, ale mogę spróbować...

— Słuchaj, Ever, nie będę już potrzebował twojej pomocy — przerywa mi nagle wujek Eddie.

Zamieram w pół słowa. Czy ja się właśnie przesłyszałam?

— Mogę jeszcze poszperać... — zaczynam, ale wujek kończy za mnie:

— A potem znowu omal nie zginąć w strzelaninie?

Już o tym wie? Wieści w mieście szybko się rozchodzą.

— To nie miało nic wspólnego z twoją sprawą — protestuję.

— Wiem — potwierdza. — Ale się wychylasz, a nie powinnaś. To był z mojej strony błąd, że poprosiłem cię o pomoc.

Nic nie poradzę, że po tych słowach czuję się urażona.

— Robię dobrą robotę — przypominam mu. — Nie uważam, żeby to był z twojej strony błąd.

— Wiem, że robisz dobrą robotę, Ever. — W głosie wujka Eddiego słyszę rozbawienie. — Nie o to mi chodziło. Tak trudno uwierzyć, że się o ciebie martwię? Obok Persii jesteś jedyną osobą, o jaką kiedykolwiek się troszczyłem. Może nie okazuję tego zbyt dobrze i może na co dzień jestem skurwysynem, ale miałbym wyrzuty sumienia, gdyby coś ci się

stało, bo zmuszałem cię do pracy dla mnie. Więc tyle wystarczy. Dalej sam się tym zajmę.

Wow. Absolutnie nie spodziewałam się po nim takich słów! Chyba nigdy wcześniej nie słyszałam od wujka Eddiego czegoś, co przypominałoby wyznanie jakichkolwiek uczuć. Zawsze wiedziałam, że mnie lubi, ale nie liczyłam, że to mogłoby w jakiś sposób wpłynąć na jego decyzje biznesowe — a w gruncie rzeczy taka relacja nas łączy.

To jednak naprawdę miłe, że ktoś się o mnie troszczy.

— Co zamierzasz zrobić? — pytam więc, nie mogąc się od tego powstrzymać.

Wujek Eddie wzdycha.

— Jeszcze nie wiem, ale nie chcę, żeby ktoś dowiedział się, że interesuję się tą sprawą. Nikt nie może mnie połączyć z Persią, a obawiam się, że jesteś zbyt oczywistym powiązaniem między nami.

Aha. Więc jednak nie chodziło tylko o troskę o mnie.

— Doszły cię jakieś plotki? — dziwię się. — Powiedziałam o sobie tylko matce Persephone. Nikt inny nie wie, że to ty mnie zatrudniłeś.

— Nic konkretnego — odpowiada niechętnie. — Ale mam wrażenie, że ten facet, kimkolwiek jest, jest sprytny. Nie chcę, żeby się domyślił zbyt wiele. Pewnie nie ma pojęcia, kogo tak naprawdę porwał, i wołałbym, żeby tak zostało.

Nie zamierzam się z nim o to kłócić. Upewniam się tylko, że w takim razie jesteśmy kwita, po czym kończę rozmowę.

Jestem potwornie zmęczona, ale równocześnie głodna jak wilk, więc postanawiam najpierw zająć się tą drugą kwestią. Gdy otwieram drzwi na korytarz, spodziewam się znaleźć tam jakiegoś ochroniarza, jednak pomieszczenie jest puste. Co za przyjemna odmiana.

Bez problemu znajduję kuchnię, w której również nikogo nie zastaję. Mimo woli zastanawiam się, gdzie są psy, kiedy Arthura nie ma w domu; nie chciałabym się na nie natknąć. Otwieram ogromną, podwójną lodówkę i zaczynam w niej grzebać, po czym bez namysłu sięgam po kawałek mango i jogurt; w misie obok lodówki znajduję też inne owoce, między innymi banany, winogrona i kiwi. Zamierzam zrobić sobie sałatkę owocową, dlatego z jednej z szuflad wyciągam deskę do krojenia, a ze stojaka duży, wyglądający na ostry nóż.

— Co ty tutaj robisz?

Odwracam się gwałtownie, słysząc ten surowy głos. Deacon Pike wchodzi do kuchni, a w ślad za nim jak cienie podążają dwa dobermany.

Mężczyzna spuszcza wzrok na nóż w mojej dłoni. Chyba widzę w jego oczach odrobinę niepokoju — o ile to nie jest moje pobożne życzenie.

— Nie widzisz? Myszkuje i szukam na was haków. — Przewracam oczami.

Pike marszczy brwi.

— Nie powinnaś mieć dostępu do kuchni. Jest tu za dużo przedmiotów, którymi mogłabyś zrobić komuś krzywdę.

— Oczywiście, że jest — potwierdzam z irytacją. — Ciekawi mnie tylko, po co miałabym robić komuś krzywdę.

Psy warczą, kiedy Pike podchodzi bliżej, i kładą uszy po sobie, wpatrując się we mnie. Czuję się trochę niepewnie, kiedy im się przyglądam, dlatego odwracam się z powrotem do kuchennego blatu i zabieram się za krojenie owoców.

Mam nadzieję, że Pike zrozumie ten niewerbalny przekaz, lecz nic z tego. Słyszę, jak odsuwa stołek i siada przy barze na środku pomieszczenia. Czuję na sobie jego spojrzenie i to mnie strasznie irytuje.

— Arthur wpuścił do swojego domu kogoś kompletnie obcego — mówi. Ciekawe, czy chce mi to wyjaśnić, czy znowu mnie obrazić. — Jestem jego szefem ochrony. To jasne, że próbuję go przed tobą bronić, zwłaszcza że sam najwyraźniej stracił głowę i wystawia się na cios.

— Nie musisz go przede mną bronić — przypominam mu stanowczo.

Pike uśmiecha się drwiąco, co dostrzegam kątem oka.

— Jestem innego zdania.

— Och, oczywiście, bo przecież Arthur Ashbourne sam sobie nie poradzi. — Prycham z rozdrażnieniem.

Chcę wyprowadzić Pike'a z równowagi, ale nie udaje mi się to. On cały czas przygląda mi się tak protekcyjnie, jakby wiedział więcej ode mnie. Chryste, jak ten człowiek mnie wkurza!

— Możesz nawet nie chcieć go skrzywdzić celowo — kontynuuję ku mojej rosnącej złości. — Ale ty generalnie wyglądasz na chodzącą katastrofę, Nancy. Na dziewczynę, za którą kłopoty ciągną się jak smród. Jak z tym twoim jebanym komputerem.

Dopiero po tych słowach spoglądam na niego wprost. Nadal ściskam w dłoni nóż, przez co Pike niepewnie zerka na ostrze.

— Skończyłeś z nim? — pytam.

Kiwa głową.

— Wyobraź sobie, że ktoś zainstalował na nim oprogramowanie szpiegowskie. Ten, kto podłożył bombę, wyraźnie przygotowywał się też na inne możliwości.

— Inne możliwości? — Marszczę brwi. — Chcieli mnie zabić.

— Widocznie nie mieli pewności, czy pułapka zadziała. — Pike wzrusza ramionami. — Nie pytaj mnie, jaki jest w tym sens. Wiem, że mimo to założyli ci wtedy pluskwę i zawirusowali komputer. Pewnie chcieli mieć zapasowy plan i chyba słusznie, nie?

— To jacyś partacze. — Przykładam ostrze do ust i zamyślam się. — Nie mogę mieć aż tyle szczęścia. Już dawno powinnam była paść trupem.

Deacon Pike robi minę, jakby właśnie fantazjował na ten temat. Jeszcze jedna złośliwa uwaga w moim kierunku i wbiję mu nóż w oko.

A potem skończę robić sałatkę.

— Gdybym ja się tym zajmował, na pewno tak by było. — Uśmiecha się paskudnie, na co wdycham i powracam do krojenia owoców.

Przez chwilę mi nie przeszkadza, ale nadal siedzi w kuchni, jakby uznał, że musi mnie pilnować. Czuję na sobie jego spojrzenie i już to mnie denerwuje. Przekładam w końcu pokrojone owoce do salaterki i zaczynam szukać w szafkach jakichś orzeszków. Wreszcie znajduję ziarna słonecznika, dodaję razem z jogurtem do owoców i całość jest gotowa.

Oglądam się przez ramię na Pike'a, który siedzi na stołku barowym. Machinalnym gestem głaszczę po łbie jednego z dobermanów. Że też się nie boi, że ta bestia odgryzie mu rękę.

— Chcesz trochę? — pytam, wskazując salaterkę z sałatką.

Pike robi taką minę, jakbym oszalała.

— Owoce? A co ja jestem, królik, żeby jeść jakąś zieleninę?

Przyglądam się sałatce uważnie; no dobra, są w niej zielone winogrona i kiwi, ale poza tym kolory ma jednak inne. Wzruszam ramionami, biorę miskę i widelec i siadam na stołku barowym naprzeciwko Pike'a.

Jeden z dobermanów wstaje i podchodzi bliżej, po czym obwąchuje mnie uważnie. Zamieram i wlepiam w niego wzrok.

— Wiesz, że wystarczy jedna komenda, żeby rzuciły ci się do gardła? — pyta od niechcienia Pike. — Tresowałem je razem z Arthurem.

Och, kurwa, po prostu świetnie.

Z całych sił udaję, że wcale się nie boję. To jedyne wyjście w tej sytuacji.

— A co, sam byś się nie odważył i wolałbyś wysłużyć się psami? — pytam zjadliwie.

Pike mruży oczy.

— Poradziłbym sobie z tobą jedną ręką, Nancy.

Nie odpowiadam na tę jego absurdalną uwagę, tylko spuszczam wzrok na sałatkę i zaczynam pałaszować ze smakiem. Wyszła naprawdę dobrze. Mam tylko nadzieję, że nikt nie będzie tęsknił za tym kawałkiem mango.

Zjadam połowę i czuję się całkowicie pełna. Znowu przeszukuję szafki w kuchni, aż znajduję folię spożywczą, zakładam ją na salaterkę i chowam resztę do lodówki. Przy okazji odkrywam w środku sok pomarańczowy i nalewam sobie trochę. Przez cały ten czas Deacon Pike patrzy na mnie bez słowa.

Co za świr.

— Idę teraz spać — oznajmiam, obchodząc wyspę, żeby znaleźć się jak najdalej od pary dobermanów. — Jeśli chcesz dalej się na mnie gapić, może zrobić się dziwnie.

Odchodzę, zanim Pike zaszczyci mnie jakąś odpowiedzią. Odprowadza mnie spojrzeniem, ale nie rusza się spod baru.

Lepiej, żeby nie zeżał reszty mojej sałatki.

Budzę się, gdy czuję dłonie sunące w górę mojego brzucha.

W pierwszej chwili się spinam i próbuję odsunąć, ale wtedy silne męskie ramię przyciąga mnie bliżej do twardej klatki piersiowej i tuż przy uchu słyszę znajomy, zachrypnięty, niski głos:

— Co ty tu robisz?

Mój otumaniony snem mózg jeszcze do końca nie kontaktuje; poznaję wprowadzie głosu Arthura, ale zupełnie nie wiem, o co mu chodzi.

— Śpię — mamroczę, czując, jak jego dłoń wkrada się pod moją koszulkę. Nie mam na sobie majtek i Arthur wkrótce się o tym przekona, jeśli tylko przesunie rękę w dół.

Na razie jednak skupia się na górnej połowie mojego ciała. Obejmuje moją pierś i naciska lekko, pieszcząc mnie leniwie. Senność powoli ustępuje podnieceniu, kiedy czuję na karku jego gorące usta.

— Dlaczego tutaj? — pyta natarczywie.

Dopiero wtedy zaczynam rozumieć, o co mu chodzi. Chce wiedzieć, dlaczego nie jestem w jego sypialni.

— Bo tu miałam rzeczy na przebranie — mruczę, przeciągając się, gdy wargi Arthura wędrują do mojej szyi i miejsca, gdzie pod skórą bije mi puls. Mężczyzna z pewnością poznaje, że już jest przyspieszony. — Nie chciałam paradować w samej koszulce po korytarzach.

— Musimy coś na to zarządzić — odpowiada, po czym jego dłoń opuszcza moją pierś i wędruje w dół, docierając w końcu do zwieńczenia ud. Odruchowo rozchyłam nieco nogi, by wpuścić go pomiędzy nie.

Jęczę, kiedy Arthur palcami odnajduje miejsce, w którym najbardziej chcę go mieć. Wsuwa palec do mojej cipki i zaczyna nim poruszać. Odchyłam głowę do tyłu i opieram ją o jego pierś.

— W jaki sposób? — pytam zdyszana.

Arthur dokłada drugi palec, wsuwa je we mnie głęboko, równocześnie odpowiadając:

— Na przykład przenosząc twoje rzeczy do mojej sypialni.

To nic nie znaczy, powtarzam sobie w myślach. To nie tak, że on coś deklaruje. I tak mieszkam tymczasowo w jego domu, więc po prostu chce mieć do mnie łatwiejszy dostęp. Opanuj się, Chance.

A jednak nie mogę nic poradzić na to, że moje serce po tych słowach idiotycznie podskakuje.

Mruczę coś potakująco, skupiając się na penetrujących mnie palcach; kciuk Arthura odnajduje moją łechtaczkę i pieści mnie coraz mocniej, aż buduje się we mnie napięcie, które grozi rychłym wybuchem. Chryste, ten facet sprawia, że mogłabym dojść w dwie minuty!

Czuję gorącego, twardego penisa na pośladku i po chwili Arthur wyjmuje palce, zastępując je swoim członkiem. Wchodzi we mnie od tyłu, mocno, do samego końca, aż instynktownie wyrzucam w jego kierunku biodra, chcąc być jeszcze bliżej niego. Twarz ukrywam w poduszce, żeby w razie czego móc w nią krzyczeć, zaciskam zęby na materiale, wypinając się bardziej. Arthur chwyta mnie za biodra i zaczyna mocno posuwać, wydobywając ze mnie kolejne jęki.

Obejmuje mnie ramieniem, splata swoją dłoń z moją i przyszpila ją do materaca obok mojej głowy. Jego ruchy stają się gorączkowe, coraz szybsze i niewiele potrzeba, żeby pchnąć mnie za krawędź. Szczytuję mocno, zaciskając się na jego penisie i tłumiąc głośne jęki poduszką. Mam wrażenie, że czuję ten orgazm wszędzie, w całym ciele, nawet w cebulkach włosów.

Arthur jęczy, zamiera i kończy chwilę po mnie. Przywiera do moich pleców, aż się do niego przytulam; dyszę i jestem cała spocona, ale mam to gdzieś. Za każdym razem po seksie z Arthurem czuję się, jakby ktoś przepuścił mnie przez wyżymaczkę. Mam ochotę tylko na nowo położyć się spać.

— Która godzina? — pytam niewyraźnie, z twarzą nadal w poduszce.

Arthur całuje mnie niespiesznie w ramię, od czego dostaję ciarek.

— Prawie pierwsza w nocy. Poszłaś wcześniej spać?

— Byłam wykończona — przyznaję. — Strzelaniny zazwyczaj tak na mnie działają. Dopiero wrócisz?

Potakuję, chwytając mnie za podbródek, żeby odwrócić do siebie moją głowę. Pozwalam mu zarówno na to, jak i na głęboki, gorący pocałunek, którym mnie następnie obdarza. Pocałunek zazwyczaj stanowi raczej grę wstępną, ale oczywiście nie u nas.

— W piątek zabieram cię do Camelotu — oznajmia ku mojemu zdziwieniu, kiedy w końcu się ode mnie odsuwa.

Chcę się do niego odwrócić, ale nie pozwala mi na to, mocniej zaciskając ramię na mojej talii. Nie mam siły ani ochoty się z nim szarpać, więc wzdycham i spoglądam na niego, wykręcając szyję.

— A co dokładnie mam tam robić?

— Nic. — Wzrusza ramieniem. — Umówiłem się z pewnym... człowiekiem, który może wiedzieć, komu podpadła moja żona. Chcę, żebyś była przy tej rozmowie.

Kiwam głową. To miłe, że wtajemnicza mnie w takie sprawy.

— Zastanawiałam się, kiedy to zrobisz — przyznaję.

Arthur pochyla się i muska nosem mój policzek.

— Co dokładnie?

— Wykorzystasz to, że mnie masz — wyjaśniam z rozbawieniem.

— Ciągle tylko wyciągasz mnie z kłopotów. Nie przeprowadziliśmy nawet jednej porządnej rozmowy o tym, co widziałam, od kiedy mnie tu przywiozłeś.

— Naprawdę myślisz, że nie wykorzystuję tego, że cię mam? — Parska śmiechem.

Przewracam oczami.

— Nie mam na myśli seksu. Przecież nie po to wyciągnęłaś mnie z Camelotu i zabrałaś do siebie.

— Oczywiście, że po to.

Jego ton głosu sugeruje, że coś musi być ze mną nie tak, skoro myślę inaczej. Marszczył brwi, przyglądając mu się uważnie.

— Mówisz serio? — dziwię się. — Już w Camelocie wiedziałeś, że się bzykniemy?

— Nie, Ever — mamrocze, schylając usta do mojej szyi. — Już w Camelocie wiedziałem, że będziemy się bzykać. Użyj czasu ciągłego.

Chichoczę, bo nie mogę się powstrzymać. Ten facet czasami jest po prostu niemożliwy.

— No dobra — zgadzam się w końcu. — Powiedzmy, że wiedziałeś. Ale nie tylko dlatego zabrałeś mnie do siebie.

— Nie tylko — zgadza się. — I spokojnie, wykorzystam jeszcze cały twój potencjał. Rozpuściłem po mieście informację, gdzie można cię znaleźć. Jeśli ktoś będzie chciał przejąć ciebie albo twoje zdjęcia, przyjdzie do mnie. Śpij, pogadamy o tym później.

Znając go, pewnie nigdy. Już nawet nie mam ochoty się o to sprzeczać. Chcę tylko spędzić najbliższe osiem godzin, śpiąc w jego ramionach.

Rozdział 25

Camelot wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałam.

W środku jest głośno i gorąco, ale na głównej sali znajduję się tylko przez minutę i zaraz uciekam do znajomej strefy VIP-owskiej. Gdy wchodzę na górę, widzę, że Arthur niczym jastrząb przygląda się pomieszczeniu zza weneckiego lustra; słysząc mnie, od razu odwraca się w moją stronę. W jakiś sposób wiem, że kontrolował moją drogę z baru na dole do jego kryjówki.

Zajmuje miejsce na kanapie i gestem pokazuje, bym usiadła obok niego. Ostrożnie omijam biurko, za którym warują dwa dobermany, i stawiam na stoliku butelkę z moim piwem. Zamiast wybrać miejsce, które mi polecił, siadam mu okrakiem na nogach, co wyraźnie go zaskakuje.

Odchyła się na oparcie, a ja moszczę się na jego kolanach, ocierając się majtkami o materiał jego spodni. Obejmuję go za szyję, a Arthur kładzie mi dłonie na biodrach. Moja czarna skórzana kiecka podjeżdża tak wysoko na udach, że mężczyzna bez problemu może zobaczyć moją równie czarną bieliznę. Wkłada dłonie pod materiał i przesuwa je na moje pośladki, które obejmuje mocno.

— O której ma przyjść ten człowiek? — pytam.

Stalowszcare oczy Arthura wpatrują się we mnie z żarem, który uświadamia mi, że on wcale nie ma teraz ochoty na rozmowy.

— Ten człowiek nazywa się Gabriel Kelly — wyjaśnia opanowanym głosem. — Jest ojcem Alice, prowadzi interesy w Nowym Jorku.

— Współpracujesz z nim? — Marszczę brwi.

Arthur kręci głową.

— Współpracowałem z Alice — odpowiada. — I tak spodziewałem się, że Gabriel przyjedzie do mnie szybciej. W końcu zginęła jego jedyna córka. Z pewnością chce się dowiedzieć, kto za tym stoi.

— Miała jakichś wrogów? — drażę. — Albo ty?

Arthur parska śmiechem.

— Ever, my mieliśmy mnóstwo wrogów — wyjaśnia protekcjonalnie. — Cała zabawa polegała na tym, żeby nie dać się im podejść. Alice dała się podejść jak dziecko. To mnie trochę dziwi.

Robię zamyśloną minę, przypominając sobie tamten dzień. Jadąc do kochanka, żona Arthura z pewnością chciała zachować ostrożność, ale też dyskrecję. Może to drugie było powodem, dla którego nie wzięła ze sobą ochrony?

— Może jej kochanek był w to jakoś zamieszany — podsuwam. — Może powinniśmy się dowiedzieć, kim był.

— Policja go nie zidentyfikowała. — Arthur zaciska dłonie na moich pośladkach i zaczyna je pieścić, aż przesywa mnie dreszcz. — Pamiętasz, kto zajmuje się tą sprawą?

— Siostrzeniec komendanta. — W zamyśleniu przekrzywiam głowę. — Myślisz, że może chcieć celowo wstrzymywać śledztwo?

— Wiesz, kto go opłaca?

Potrząsam głową. Arthur pyta o to tak, jakby był pewien, że Scott dla kogoś pracuje, więc chyba wie więcej ode mnie.

— A wiesz, kto może wiedzieć?

Waham się, przygryzając wargę, co sprawia, że Arthur spuszcza wzrok na moje usta. Zachary Scott chodzi na squasha z Cole'em. Zakładając, że Cole jest w porządku — a nigdy nie podejrzewałam go o nic innego poza byciem idiotą — pewnie mogłabym go poprosić, żeby się czegoś dowiedział. Problem w tym, że obecnie nie jestem ulubioną osobą mojego byłego faceta.

— Możliwe — przyznaję w końcu powoli. — Chcesz, żebym spróbowała się czegoś dowiedzieć?

— Dużo cię to będzie kosztowało?

Uśmiecham się do niego leniwie.

— Może będę musiała pociągnąć za parę sznurków.

Palce na moich pośladkach zaciskają się mocniej. Arthur przyciąga mnie do siebie bliżej, aż kładę mu dłonie na piersi, by na niego nie wpaść.

— Lepiej, żeby to nie była aluzja seksualna — warczy. — Bo absolutnie się na to nie zgadzam.

Parskam śmiechem. To w zasadzie ciekawe widzieć, jak wyprowadza go z równowagi myśl o mnie z innym facetem.

— Żartowałam. — Śmieję się. Arthur nie wygląda jednak na rozba-
wionego. Wręcz przeciwnie, wpatruje się we mnie z irytacją. — Nie uży-
wam seksu w mojej pracy. No, prawie nigdy.

— To mnie jakoś nie pociesza — mamrocze.

Przewracam oczami.

— Chryste, a myślałaś, że jak weszłam na zaplecze Camelotu? Wcią-
gnęłam jednego z twoich ludzi do schowka na szczotki.

Jeśli myślałam, że uspokoję go tym wyznaniem, to się pomyliłam.
Dzieje się dokładnie odwrotnie. Arthur mruży oczy i zaciska szczęki,
po czym cedzi przez zęby:

— Którego?

Robię głupią minę.

— Takiego ze środkami czystości i z mopami.

— Którego człowieka, Ever — uściśla, z trudem nad sobą panując.

— Nie udawaj idiotki.

— Chyba nie wyrzucisz go teraz z pracy albo coś — pryham.

Arthur zamyśla się.

— Albo coś.

— Przestań! — Uderzam go pięścią w żebra, na co w ogóle nie reaguje.

— Nic między nami nie zaszło. Po prostu dałam mu do zrozumienia,
że coś mogłoby zająć. Być może raz go pocałowałam, nic więcej. Nie idę na
całość z facetami, którzy stanowią środek do celu w śledztwie.

Arthur puszcza mój pośladek, po czym przesuwa dłoń na moją szyję
i chwyta mnie mocno za kark.

— To znaczy, że ja nim nie jestem? Środkiem do celu?

Wątpię, żeby faktycznie się tym przejmował.

— Absolutnie nie — zaprzeczam jednak. — Ty jesteś komplikacją.

— A ja myślałem, że facetem, dzięki któremu wciąż żyjesz. — Posyła mi
protekcjonalny uśmiech, na co pryham z lekceważeniem.

— Czy teraz możemy wrócić do sedna? Spróbuję się czegoś dowiedzieć
w kwestii Zachary’ego Scotta. Ale niczego nie obiecuję.

Zanim Arthur zdąży odpowiedzieć, dzwoni jego komórka. Odbiera,
mruczy coś do głośnika, a potem przez chwilę słucha rozmówcy, kiwa-
jąc głową.

— Nadal tam są? — pyta, a ja nie bardzo wiem, o co mu chodzi.

Znowu słucha kogoś po drugiej stronie, po czym się rozłącza. Puszcza
mnie i pokazuje, żebym zeszała z jego kolan, co robię bardzo niechętnie.

Arthur też wstaje, kładzie mi dłoń na plecach i podprowadza mnie do lustra weneckiego.

— Przyjrzyj się — mówi, wskazując salę na dole. — Widzisz coś nietypowego?

W klatce walczy jakichś dwóch napakowanych facetów, wokół nich zebrał się spory tłumek. Większość miejsc siedzących też jest zajęta. W pierwszej chwili nie wiem, czego mam szukać, zwłaszcza że na dole jest mnóstwo ludzi, szybko jednak wyławiam z tłumu kilka znajomych twarzy. Marszczę brwi i wskazuję Arthurowi dwie osoby.

— Co oni tu robią? — pytam. Kiedy na niego patrzę, widzę, że Arthur przygląda mi się z zadowoleniem.

— Do Camelotu przychodzą różni ludzie. Skąd wiedziałaś, że o nich mi chodzi?

— Znam ich — wyjaśniam, po czym natychmiast się poprawiam. — To znaczy znam z widzenia. To gliniarze.

Arthur kiwa głową; najwyraźniej doskonale o tym wiedział.

— Przesłuchiwali cię w sprawie twojej żony? — podsuwam, on jednak zaprzecza.

— W tej sprawie rozmawiałem tylko raz, z komendantem. Dlaczego uważasz, że to oni mieliby mnie przesłuchiwać?

— Bo pracują z Zacharym Scottem — tłumaczę. Odsuwam się o krok od Arthura i rzucam mu podejrzliwe spojrzenie. — On nie pracuje dla ciebie, prawda? Gdyby tak było, trzymałbyś to przede mną w tajemnicy.

Arthur parska śmiechem.

— Nie musisz wymyślać teorii spiskowych — zapewnia. — Nie opłacam Zachary'ego Scotta, nawet nie przeszło mi to przez głowę. Skoro są tu jego ludzie, to oznacza, że albo śledztwo kręci się wokół mnie, albo niedaleko znajduje się osoba, która kontroluje sytuację.

Coraz mniej z tego rozumiem, na szczęście Arthur nie oczekuje ode mnie odpowiedzi. W ogóle nie przejmuję się węszącymi na dole policjantami; chwytam mnie za biodra i odwraca do siebie, po czym opiera o przeszkloną ścianę antresoli.

— Kiedy przyjdzie Kelly, pozwól, że ja będę mówił. — Przysuwa się do mnie, aż nosem dotyka mojego nosa. — Uwierz mi: nie chcesz zadzierać z tym facetem.

Jestem skłonna w to uwierzyć. Chociaż więc ton jego głosu bardziej przypomina rozkaz niż prośbę, i tak kiwam głową.

— Postaram się — odpowiadam. Tylko tyle mogę mu obiecać.

Arthur chyba to rozumie, bo na ustach błąka mu się uśmiech, gdy pochyla się jeszcze bardziej, żeby mnie pocałować.

Rozchylam usta szerzej i wpuszczam do środka jego język. Chwytam go za szyję i przyciągam, a Arthur wsuwa kolano między moje nogi, ocierając się nim o moją cipkę, aż wzdycham. Jego pocałunek jest mocny i głęboki, zaborczy, a gdy odchylam głowę, żeby dać mu do siebie lepszy dostęp, Arthur mruczy z aprobatą.

Czuję jedną z jego dłoni na udzie pod sukienką; robię się jeszcze bardziej napalona, gdy uświadamiam sobie, że moglibyśmy się pieprzyć pod tą ścianą z widokiem na całą salę na dole i ze świadomością, że klienci Camelotu nas nie widzą. Chciałabym tego, a skoro twarde dowód poządania Arthura wbija mi się w udo, myślę, że on też by tego chciał.

Niestety nie jest nam dane zajść dalej, bo w następnej chwili zza pleców Arthura dobiega mnie nieznanymi męski głos:

— Ciekawa scena, ale może pozbądź się już tej dziwki, Ashbourne, i pogadajmy o interesach.

Arthur odsuwa się ode mnie, instynktownie chyba zasłaniając mnie częściowo własnym ciałem. Nie uważam, żebym tego potrzebowała, ale nie odzywam się, tylko robię krok w bok, poprawiając ubranie, po czym staję obok niego.

Mężczyzna, który właśnie wszedł do gabinetu Arthura, jest od nas sporo starszy. Na oko dałabym mu sześćdziesiąt lat, ale wygląda dobrze. Wysoki, szczupły, ma siwe, krótko obcięte włosy, chłodne bladoniebieskie oczy i usta wykrzywione w grymasie mającym chyba imitować uśmiech. Dłonie trzyma w kieszeniach szarych garniturowych spodni.

Za nim stoi Deacon Pike, który bezradnie rozkłada ręce, posyłając Arthurowi znaczące spojrzenie. Chyba oznacza to, że facet wdarł się do gabinetu bez pytania ani pozwolenia. Ciekawe, jak to zrobił.

— Gdybyś nie wszedł bez zaproszenia, nie zastałbyś takiej sceny. — Głos Arthura jest ostrzegawczy, gdy podchodzi do mężczyzny. — To Everly Chance, prywatny detektyw, i zostanie z nami na czas tej rozmowy. Ever, to jest właśnie Gabriel Kelly.

Mężczyzna spogląda na mnie z ciekawością, więc odważnie robię krok do przodu i wyciągam do niego dłoni. Ścisną ją mocno, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Everly Chance — powtarza w zamyśleniu. — Chyba już słyszałem to nazwisko. To nie ciebie szuka tutejsza policja?

— Nie wiedziałam, że jesteś taki zorientowany w sprawach tutejszej policji. — Posyłam mu uprzejmy uśmiech.

Gabriel mruży oczy.

— Jestem zorientowany we wszystkich sprawach, które mogą się łączyć ze śmiercią mojej córki. Jak rozumiem, byłaś świadkiem tego zdarzenia.

Dopiero wtedy to do mnie dociera. Przecież ten facet właśnie stracił dziecko. Nie wygląda wprawdzie jak ojciec w żałobie, ale mimo wszystko powinnam chociaż postarać się być miła.

— Tak. Bardzo mi przykro — odpowiadam nieco sztywno.

Gabriel Kelly w końcu puszcza moją dłoń.

— Dziękuję. Alice była moim jedynym dzieckiem, więc chyba nic dziwnego, że chcę znaleźć jej morderców. — Przenosi wzrok na niewzruszonego Arthura, jakby to było dalszą częścią jakiejś ich wcześniejszej rozmowy. — Chciałbym zobaczyć zdjęcia, które zrobiłaś tamtego dnia...

— Nie po to przyprowadziłem tu Ever i nie o tym będziemy dzisiaj rozmawiać — wchodzi mu w słowo Arthur. Po tonie jego głosu poznaję, że jest zirytowany, chociaż stara się to maskować. Pewnie nie podoba mu się, że zaczęłam rozmowę z jego teściem, skoro miałam się nie odzywać. — Siadajcie.

Gabriel Kelly posłusznie zajmuje miejsce na kanapie, a Arthur prowadzi mnie na drugą, znajdującą się naprzeciwko. Siadam obok niego i zakładam nogę na nogę, po czym strząsam dłoń Arthura, którą próbuje mi położyć na kolanie.

Nie jestem tu jako obiekt seksualny i nie pozwolę się sprowadzić do roli maskotki. Lepiej, żeby o tym nie zapominał.

— Czy Zachary Scott pracuje dla ciebie? — wypalam, zanim Arthur zdąży się odezwać.

Kończąc mi wprawdzie po głowie, że chyba prosił, bym możliwie mało mówiła, ale przecież obiecałam tylko, że się postaram.

Gabriel Kelly spogląda na mnie z uprzejmym zdziwieniem.

— Nie wiem, kim jest Zachary Scott — odpowiada, a Arthur posyła mi miazdzące spojrzenie.

Pewnie chce, żebym się zamknęła i pozwoliła mu mówić. Zamierzam nawet przez chwilę mu to umożliwić.

— Zachary Scott to policjant, który zajmuje się sprawą śmierci Alice — wyjaśnia Arthur Kelly'emu. — Przypuszczamy, że jest przez kogoś opłacony. Zaczniemy jednak od początku. Podobnie jak my chcesz wiedzieć, kto zabił Alice...

— Może to raczej ja zacznę — przerywa mu Kelly, a Arthur, o dziwo, nie protestuje. Zaciska mocno usta i krzywi się z niezadowoleniem, ale milknie. — Minęło już parę dni od śmierci mojej córki. Chciałbym wiedzieć, co zrobisz, żeby znaleźć jej morderców.

Wow. Gabriel Kelly zwraca się do Arthura tak, jakby ten był niesfornym dzieciakiem. Przyglądam się temu z niedowierzaniem, gdy Arthur odpowiada ostro:

— Nie będziemy rozmawiać w ten sposób. Jeśli jedynie czegoś ode mnie oczekujesz, ale nie chcesz współpracować, to moi ludzie wyprawdzą cię z Camelotu.

— Za drzwiami stoi także czterech moich ludzi — odpowiada Kelly beznamyślnie. — Ale nie chcę się z tobą spierać, Arthurze. Chcę się po prostu dowiedzieć, dlaczego Alice zginęła, i potraktować tak samo ludzi, którzy są za to odpowiedzialni. Zostawiłem moje interesy w Nowym Jorku, żeby się tym zająć, więc wolałbym nie tracić czasu.

— To oczywiście — przyznaje Arthur. — Ale z naszej ostatniej rozmowy zrozumiałem, że masz swoje podejrzenia. Chciałbym je poznać.

Gabriel Kelly obrzuca mnie chłodnym spojrzeniem.

— To nie jest coś, co zwykłem omawiać przy osobach postronnych.

— Ever nie jest osobą postronną — broni mnie Arthur, od czego robi mi się cieplej na sercu. — Jest prywatnym detektywem i pomaga mi z tą sprawą. I tak wszystko później jej przekażę, więc oszczędź nam czasu i powiedz, co masz do powiedzenia.

Kelly zastanawia się przez chwilę, w końcu niechętnie kiwa głową.

— Dobrze. To jednak, co tu powiem, musi pozostać między naszą trójką — oświadcza surowo. Przynajmniej. — Przed śmiercią Alice miała kłopoty.

— Jakie kłopoty? — Arthur marszczy brwi. — Nic mi nie mówiła.

— Oczywiście, że nie mówiła, bo nie chciała wyjść na słabą — odpowiada Kelly z wyraźnym rozdrażnieniem. — Ale je miała. Ostatni... transport zaginał i nigdy nie dotarł na miejsce. Dostawca nie był z tego powodu szczęśliwy.

Wpatruję się to w jednego, to w drugiego, jakbym oglądała mecz tenisa, i zastanawiam się, o czym oni, do cholery, mówią. Kelly celowo używa ogólników, żebym się nie domyśliła, ale nie jestem głupia. Transport? Dostawca? Czyżby żona Arthura zajmowała się przemyceniem narkotyków?

— To znaczy, że wisiała mu forse — odpowiada Arthur, nie zważając na moją konsternację. — Nie zabiłby jej.

Kelly wzrusza ramionami.

— Może uznał, że odbierze ten dług od kogoś innego. — Po tych słowach spogląda na Arthura znacząco.

— Nikt nie kontaktował się ze mną w tej sprawie — oświadcza mój towarzysz. — Od paru dni jestem zajęty jedynie ratowaniem Ever z kłopotów.

Prycham z oburzeniem.

— No wiesz co, jesteś beczelny — odpieram. — Sama doskonale sobie radzę!

Arthur posyła mi pobłażliwe spojrzenie.

— Tak, oczywiście — przytakuje protekcjonalnie, na co mocno zaciskam szczęki, żeby nie powiedzieć czegoś ostrego.

Co za palant! Już ja mu tego nie zapomnę. Jeszcze pożałuje, że to powiedział.

— Spróbuję się dowiedzieć czegoś bardziej konkretnego — obiecuje Kelly, ignorując naszą wymianę zdań. — Chyba że ty wiesz, u kogo się zapatrywała, i jesteś w stanie skontaktować się z tą osobą.

Ku mojemu zdziwieniu Arthur kiwa głową.

— Oczywiście, dowiem się, jaka jest sytuacja. Ever powęszy na policji. Ma tam pewne... hm... znajomości.

— Świetnie. — Kelly posyła mi przelotne spojrzenie, nie zważając na złośliwy ton Arthura. — Zostanę w Vegas przynajmniej kilka dni. Oczekuję, że do tego czasu uda się ustalić jakieś konkrety. Wiem, że nie zależało ci na Alice i że szybko się po niej pocieszyłeś — przy tych słowach znowu zerka na mnie — ale dla mnie to był ktoś naprawdę ważny i chcę znać prawdę.

Dziwne, że w ogóle musi to tłumaczyć. Według mnie to oczywiste, skoro był jej ojcem.

— To całkowicie zrozumiałe... — zaczyna Arthur, jednak nie jest mu dane dokończyć tę wypowiedź. W następnej chwili rozpętuje się bowiem piekło.

Mam wrażenie, jakby wszystko trwało ułamek sekundy. Słyszę ogłuszający huk dobiegający od strony sali na dole; gdy patrzę w tamtą stronę, widzę ogromną kulę ognia, a w następnym momencie dociera do nas fala uderzeniowa, która rozbija szkło weneckie w drobny mak. Krzyczę, odruchowo zasłaniając się ramieniem; impet zwala mnie z nóg i posyła na podłogę. Uderzam głową w coś twardego i ostry ból mnie obezwładnia.

Potem chyba urywa mi się film.

Rozdział 26

— Ever! Ever, na litość boską, obudź się!

Z trudem rozklejam powieki. Mam nadzieję na jakąś przyjemną, uspokajającą scenerię, ale nic z tego — nadal znajduję się w gabinecie Arthura w Camelocie, tylko teraz przypomina on pobojowisko.

Od razu wraca do mnie to, co się wydarzyło. Głowa boli, jakby ktoś wsadził mi do mózgu rozżarzony pogrzebacz, próbuję to jednak zignorować i jakoś się pozbierać. Arthur chwyta mnie w pasie i pomaga usiąść. Czuję w powietrzu żar i spaleniznę.

— Nic ci nie jest? — pyta z niepokojem.

Rozglądam się półprzytomnie dookoła.

— Uderzyłam się tylko w głowę — odpowiadam zachrypniętym głosem. — Co się stało?

— Musimy stąd wyjść — mówi i w tej chwili do gabinetu wpada kilku ochroniarzy w towarzystwie Deacona Pike'a.

Gabriel Kelly leży obok na podłodze, chyba nieprzytomny. Podbiega do niego dwóch jego ludzi, a Pike momentalnie znajduje się przy nas. Ma zalaną krwią twarz — chyba z powodu pękniętego łuku brwiowego.

— Co tam się stało? — pyta ostro Arthur, pomagając mi wstać.

Podłoga w jego gabinecie jest usłana kawałkami szkła. Kaleczę się na kilku z nich, zanim udaje mi się stanąć na nogi. Spoglądam tam, gdzie do niedawna znajdowało się lustro weneckie — na dole jest ciemno, szaleje pożar, gdzieś widzę leżących bez ruchu ludzi.

Czy oni nie żyją?

Z takiej odległości nie jestem w stanie tego ocenić, a Arthur nie daje mi czasu na rozważania. Łapie mnie za ramię i zaczyna ciągnąć w stronę wyjścia z gabinetu.

— Na dole prawdopodobnie wybuchła bomba — odpowiada ku mojemu niedowierzaniu Pike.

Co takiego?!

Nie myślę chyba racjonalnie, bo w pierwszej chwili nie chcę przyjąć tego do wiadomości. W głowie wciąż odtwarzam tamtą scenę — kula ognia na dole, docierająca do nas fala uderzeniowa, która roztrzaskała przeszkloną ścianę w drobny mak — nie potrafię tego jednak połączyć ze słowami Pike'a. Nie pomaga też fakt, że nadal dzwoni mi w uszach i nie umiem się na niczym skupić.

Pike gwizdże na psy, którym na szczęście nic się nie stało i które po chwili, wyraźnie rozdrażnione, podbiegają do nas. Mężczyzna uspokajająco głaszcze je po głowach.

Wpatruję się w nie bezmyślnie, co wyprowadza z równowagi Arthura. Zamiast ruszyć w stronę wyjścia, zatrzymuje się i bez namysłu bierze mnie na ręce. Dopiero to trochę mnie otrzeźwia.

— Pójdę sama...

— Nie, nie pójdziesz — przerywa mi, po czym za Pikiem i dobermanami idzie na zewnątrz. Oglądam się na Kelly'ego, którego z gabinetu wyciągają jego ludzie. — Uderzyłaś się w głowę, możesz mieć wstrząśnienie mózgu. Złap mnie za szyję i siedź cicho.

Normalnie pewnie wkurzyłabym się na taki rozkazujący ton, ale tym razem nie mam na to siły. Posłusznie obejmuję jego szyję ramionami i pozwalam się wynieść z gabinetu.

— Za chwilę wpadną tu gliny — mówi ze złością Pike, gdy korytarzem podążamy ku schodom, pewnie znowu do tego innego wyjścia, które nie prowadzi przez główną salę na dole.

— Zadzwoń do naszych kontaktów — poleca mu Arthur. — Chcę, żeby ta sprawa została możliwie szybko zamieciona pod dywan. Nie życzę sobie policji węszącej w Camelocie, jasne?

— Oczywiście — zgadza się Pike. — Jedźcie do domu, wszystkim się zajmę.

— Nie — protestuje Arthur. — Ja zostaję. Wsadzę tylko Ever do samochodu i wracam do ciebie. Trzeba oszacować straty i pomóc klientom na dole. Chcę wiedzieć, czy ktoś zginął i w jakim stanie jest budynek.

Rozdziawiam usta. Zamierza mnie teraz zostawić?

— To nie jest dobry pomysł — oponuje Pike. — Ktoś zdetonował w Camelocie bombę, nie wiesz, czy nie chciał cię zabić. Nie powinieneś się narażać...

Arthur nie pozwala mu dokończyć.

— To nie był atak na życie moje czy Ever.

Nie mam pojęcia, co on chce przez to powiedzieć. Pike chyba też nie, sądząc po jego skonsternowanej minie. Schodzimy po schodach i docieramy na podziemny parking, gdzie czeka na nas jeden z samochodów Arthura. Obok niego stoi dwóch ochroniarzy, których już znam z widzenia.

Jeden z nich uchyla tylne drzwi maybacha, a Arthur stawia mnie wreszcie na ziemi i pozwala samej wsiąść. Opieram się plecami o auto, podczas gdy Pike otwiera bagażnik i nakazuje psom wskoczyć do środka.

— Skąd wiesz, że to nie był atak na nasze życie?

— Bo ktoś zadał sobie bardzo dużo trudu, żeby wnieść bombę na teren Camelotu, i bardzo mało, żeby zdetonować ją tak, by faktycznie nam zaszkodzić — wyjaśnia Arthur bez wahania. — Ten ktoś chciał, żebym nie dogadał się z Kellym. Może miał nadzieję, że w ten sposób nas skłóci. To kolejny powód, dla którego muszę wrócić. Chcę się upewnić, że nic mu nie jest i że nie zrozumiał tego źle.

No dobrze, to ma sens. Arthur jest skupiony i poważny, myśli też dużo racjonalniej ode mnie, w czym zresztą nie ma nic dziwnego. Moja głowa nadal za bardzo mnie boli.

— Więc mogłeś to zrobić od razu — odpowiadam.

Arthur przewraca oczami.

— Nie mów mi, co mam robić, Ever. Znam swoje priorytety. Najpierw twoje bezpieczeństwo, potem reszta. Jedziesz do domu z moimi ludźmi. Przyjedzie do ciebie lekarz, który cię obejrzy.

— To nie jest konieczne...

— Przestań się wreszcie ze mną spierać — przerywa mi tonem, który zamyka mi usta. — Zrobisz, co uznam za stosowne. A w tej chwili chcę, żebyś wróciła do mojego domu i poczekała tam na lekarza.

Mam ochotę skopać mu tyłek za ton, jakiego wobec mnie używa, ale powstrzymuję się, bo wiem, że jest zdenerwowany i wytrącony z równowagi tym, co się stało, a poza tym się o mnie martwi. Kiwam więc głową i nawet Pike nie odważa się zażartować z faktu, że pozwalam sobie rozkazywać.

Gdy wsiadam, wciąż kręci mi się w głowie i nie czuję się dobrze. Arthur zagląda za mną do środka i dłonią pieszczotliwie obejmuje mój policzek.

— Na pewno wszystko w porządku? — pyta łagodniejszym tonem; chyba zaskakuje go, że bez sprzeciwu dałam się wsadzić do auta. Pewnie myśli, że coś jest ze mną nie tak, skoro nie protestuję.

— Tak — odpowiadam bez przekonania. — Idź zając się Kellym. Dam sobie radę.

Waha się przez sekundę, ale w końcu się cofa i zatrząskuje za sobą drzwi. Zostaję sama na tylnym siedzeniu, z językiem opieram głowę o tył kanapy i zamykam oczy, mając nadzieję, że dzięki temu przestanę w niej tak bardzo wirować. Do tego czuję młodość, a na pewno nie pozwolę sobie na zarzycanie tapicerki maybacha.

Nawet nie wiem, kiedy w końcu ruszamy z miejsca. Czuję się tak źle, że szybko zapadam w płytką, niespokojną drzemkę.

Arthur wraca do domu dopiero nad ranem.

Zdążam do tego czasu przyjąć wizytę lekarską — na szczęście wygląda na to, że nic mi nie jest — wziąć prysznic, zjeść coś, zadzwonić do Cole'a i położyć się spać w sypialni Arthura. Odpoczywam i jestem taka słaba, że zasypiam mimo przeżyć z Camelotu. Budzę się dopiero o piątej rano, z bijącym mocno sercem i ze spoconym czołem, gdy słyszę hałasy w sypialni.

Siadam gwałtownie na łóżku i widzę, że Arthur przebiera się właśnie w T-shirt i dresy. Ma wilgotne włosy, więc zapewne zdążył wziąć prysznic, na mój widok jednak zatrzymuje się w pół kroku.

— Przepraszam, nie chciałem cię obudzić — mówi, po czym podchodzi bliżej.

Obserwuję go uważnie. Ma cienie pod oczami, zarost na twarzy i wygląda na zmęczonego. Przesuwam się, żeby zrobić mu miejsce obok siebie w łóżku.

— Nic się nie stało — zapewniam go miękko. — Załatwiłeś wszystko?

— Udało mi się przekonać Gabriela, że nie próbowałem go zabić. — Zaciska mocno szczęki, po czym siada na materacu obok mnie. Przechesuje wilgotne włosy palcami i wzdycha. — Rozwiązaliśmy też problem policji. Niestety sprawa nie będzie taka łatwa, bo na dole zginęło pięć osób.

Znowu robi mi się niedobrze. Chryste.

— Znaleźliście jakieś ślady? — dopytuję.

Arthur wzrusza ramionami.

— Pike nadal przegląda nagrania z kamer. Na pierwszy rzut oka wydaje się jednak, że powinienem bardziej interesować się tym, kogo zatrudniam.

— Myślisz, że bombę podłożył ktoś z personelu?

— Jestem tego prawie pewien. — Sięga po mnie i obejmuje mnie w pasie, po czym do siebie przyciąga. Kładę mu dłonie na ramionach. — Wybuch nastąpił w pobliżu baru. Jeden z pracowników wyszedł wcześniej, podając jakieś prywatne powody. Pike próbuje go namierzyć, ale już wiemy, że nie ma go w jego mieszkaniu. Wydaje się, że wziął pieniądze i uciekł z miasta.

Nie brzmi to dobrze. Uśmiecham się lekko.

— Mogę go znaleźć, jeśli chcesz.

— Pike się tym zajmie. — Arthur wplata mi dłoń we włosy i odchyła nieco moją głowę. — Camelot niestety będzie przez jakiś czas zamknięty. Musimy zająć się naprawami, zanim znowu tam kogoś wpuszczymy. To uciążliwość.

— Uciążliwość? — powtarzam z niedowierzaniem. — Powinieneś się cieszyć, że nie jesteśmy wśród tych pięciu osób, dla których to był ostatni wieczór w życiu.

— Uwierz mi, zdaję sobie z tego sprawę i czuję się za to odpowiedzialny — odpowiada poważnie. — Wszyscy klienci w Camelocie są naprawdę dokładnie sprawdzani. Niestety zabrakło tego samego w przypadku personelu i dlatego, moim zdaniem, pojawił się ten problem. Teraz mogę tylko ograniczać straty. Gabriel nie był pod wrażeniem, uważa, że nie kontroluję tu sytuacji. I ma pieprzoną rację.

Widzę, że go to dręczy. Arthur może i jest twardym facetem, może i zajmuje się nielegalnymi interesami, ale to nie znaczy, że nie ma serca. A mnie jest go w tej chwili zwyczajnie żal; nie zamierzam mu jednak o tym mówić, bo pewnie nie byłby zachwycony.

— Poradzimy sobie — zapewniam go.

Dopiero wtedy Arthur zdaje się w pełni skoncentrować na mnie.

— A ty? Jak się czujesz? — dopytuje. — Był u ciebie lekarz, prawda?

— Tak, nic mi nie jest. To tylko lekkie wstrząśnienie mózgu. — Wzruszam ramionami. — Byłam po prostu nieco oszołomiona, to wszystko. Przespałam się trochę i teraz czuję się już dużo lepiej.

— To dobrze. — Z roztargnieniem gładzi moje włosy; widzę, że myślami ciągle błądzi gdzieś daleko. — Zabrałem cię do siebie, żebyś mogła być bezpieczna, a nie po to, żeby cię narażać na kolejne ataki.

— One często ci się zdarzają? — pytam pozornie lekko.

Zaczynam się obawiać, że nawet jeśli znajdziemy morderców jego żony, nie będziemy mieć spokoju. Arthur ma wielu wrogów i mogę być jego słabym punktem. Nie zamierzam dać się ograniczać w przyszłości, w końcu mam pracę, która nie zawsze jest bezpieczna i która wymaga kontaktów z różnymi ludźmi. Mam wątpliwości, czy nasze style życia da się pogodzić — zakładając oczywiście, że Arthur by tego chciał. Może on liczy tylko na niezobowiązujący seks do czasu, aż będę się mogła od niego wyprowadzić?

Ale nie wygląda na to. Arthur zachowuje się tak, jakby faktycznie mu na mnie zależało. Może tego nie mówi, jednak nie musi, mam oczy i widzę, co się z nim dzieje. Kilka godzin temu wyniósł mnie ze swojego gabinetu po wybuchu, chociaż mógł w tym czasie zajmować się wyjaśnieniem sytuacji z Kellym i z policją. To ważne sprawy, a jednak postawił mnie na pierwszym miejscu. Kiedy o tym myślę, czuję sensację żołądkową, która jest mi zupełnie obca. Nie wiem, jak na to reagować.

Boję się, że mogłoby nas połączyć coś więcej niż tylko seks. Już teraz zaczyna mi na nim zależeć. Martwię się o niego i chcę mu pomagać, z czym tylko mogę. Mam w nosie, jak zarabia na życie i kto przez niego zginął. Mogłabym się w nim zakochać, gdybym tylko sobie na to pozwoliła.

Ale wiem, że na dłuższą metę to nie ma sensu.

— Mam wrogów, Ever — przyznaje niechętnie. — Dobrze wiesz, jak to jest z ludźmi takimi jak ja. Dużo osób mnie nie lubi. Muszę się mieć na baczności prawie na każdym kroku. Ta sytuacja jest jednak wyjątkowa.

Kiwam głową i nie odpowiadam. Niepokój ścisła mój żołądek, gdy myślę o tym, że nie nadaję się na jego stałą partnerkę. Stanowiłabym zbyt łatwy cel dla jego wrogów, pracując jako prywatny detektyw, i na pewno nie dałabym się zamknąć na stałe w jego domu. Nie wiem, czy istnieje sposób, żeby to pogodzić.

— O czym myślisz? — pyta, przyglądając mi się uważnie.

Ciekawi mnie, czy zastanowił go wyraz mojej twarzy i dlatego zapytał. Mam nadzieję, że nie.

— Zastanawiam się, skąd znasz Kelly'ego. — Zmieniam temat.

Arthur patrzy na mnie podejrzliwie, jakby nie wierzył, że właśnie to miałam na myśli, pozwala mi jednak na takie kłamstwo.

— Walczyłem u niego — odpowiada ku mojemu zdumieniu.

— Jak to: walczyłeś? — pytam, kiedy nie rozwija wypowiedzi.

Uśmiecha się do mnie leniwie i wplata mi palce we włosy.

— Brałem udział w nielegalnych walkach, gdy byłem młodszy — wyjaśnia. Robię zaskoczoną minę. — Sądziłem, że domyśliłaś się po moim wyglądzie. Złamany nos i blizna to pamiątki po tamtych czasach.

Tak przyzwyczałam się już do jego wyglądu, że zupełnie przestałam zwracać uwagę na blizny.

— Mieszkałem wtedy w Nowym Jorku — kontynuuje tymczasem Arthur. — Byłem najlepszym zawodnikiem Gabriela. W ten sposób poznałem jego córkę.

— Kiedykolwiek coś między wami było? — To ostatnie pytanie zadaję ostrożnie, niepewna, na ile będzie chciał się przede mną otworzyć.

Arthur jednak kręci głową.

— Wyłącznie interesy. To Gabriel pomógł mi zdobyć wszystko, co mam dzisiaj. Nie miałem nic przeciwko Alice, ale chciałem, żeby to był czysty układ. Żadnych sentymentów, tylko pieniądze. Kiedy przeprowadziliśmy się do Vegas, mało kto w ogóle wiedział, że jest moją współniczką. To często się nam przydawało. Ale zaliśmy się od lat i dobrze się dogadywaliśmy. Żal mi zarówno jej, jak i Gabriela.

Obejmuję go za szyję i pozwalam się przyciągnąć jeszcze bliżej. Oddech nieco mi przyspiesza, gdy usta Arthura muskają mój policzek.

— Rozmawiałam z Cole'em — mówię znienacka.

Arthur sztywnieje i odsuwa się nieco, by spojrzeć mi w oczy.

— Z twoim byłem facetem? Po co?

— Bo zna Zachary'ego Scotta — wyjaśniam. — Może się czegoś na jego temat dowiedzieć.

— A zechce ci pomóc?

— Przekonałam go. — Uśmiecham się. — Cole mimo wszystko ma do mnie słabość, nawet jeśli równocześnie mnie nie znosi. To ostatnia rzecz, o jaką go proszę. Potem chciałabym się od niego odsunąć.

— To bardzo dobrze — prycha. — A najlepiej już teraz się odsuń. Ja skończę z nim załatwiać tę sprawę.

— Nie będzie chciał z tobą rozmawiać. — Potrząsam głową. — Nie musisz się obawiać, Arthur, nie zamierzam zanadto się do niego zbliżać. Jedynym facetem, do którego chcę się zbliżać, jesteś ty.

Po tych słowach na jego usta wypływa seksowny uśmiech.

— Chętnie sprawdziłbym tę teorię, ale jestem naprawdę padnięty. — Trochę mnie to rozczarowuje, choć w zasadzie nie dziwi. Ten facet

spędził ostatnie godziny w lokalu, w którym doszło do wybuchu, między policją i ofiarami, a także z groźnym gangsterem, którego musiał przekonać o swojej niewinności. Na jego miejscu też miałabym dość. — Chciałbym tylko, żebyś się ze mną położyła.

Waham się, przygryzając wargę.

— To może ty się położysz, a ja coś dla ciebie zrobię? — proponuję.

Arthurowi po tych słowach rozżarzają się oczy. Wygląda na zainteresowanego.

— Nie musisz...

Urywa, kiedy popycham go do tyłu, aż opada na poduszki. Bez namysłu siadam na nim okrakiem i sięgam do jego spodni. Czuję dłonie Arthura na biodrach; na pewno orientuje się już, że poza koszulką nic na sobie nie mam.

Ściągam mu spodnie w dół i uwalniam penisa. Ma wzwód, ale nie jest jeszcze twardy jak skała, jak zwykle, gdy się pieprzyimy. Tym łatwiejsze będzie wzięcie go do ust.

Pochylam się i wsuwam między wargi samą główkę. Arthur jęczy i wpłata mi palce we włosy, naciskając lekko.

— Weź go głębiej — mówi.

Spełniam to polecenie, ssąc i ruszając głową w tempie, które nadają mi jego ręce. Czuję, jak jego fiut twardnieje mi w ustach, jak z każdą chwilą robi się coraz gorętszy i pulsuje coraz mocniej. W końcu krztuszę się, gdy dociera do tylnej ścianki mojego gardła.

— Och, tak. — Słyszę zadowolony pomruk Arthura. — Właśnie tak. Przyspiesz trochę.

Posłusznie zwiększam tempo, sunąc wargami po jego penisie. Arthur wdycha i wypycha biodra. Spoglądam do góry i widzę, że wpatruje się we mnie z napięciem i zachwytem. Zniknęło gdzieś to zmęczenie, które jeszcze chwilę temu widziałam w jego oczach.

Wiedziałam, że to będzie dobra terapia.

Arthur przytrzymuje moją głowę i wbija się we mnie, pieprząc mnie w usta, aż w końcu dochodzi, jęcząc moje imię. Połykam spermę i podnoszę się, uśmiechając się do niego leniwie. Spogląda na mnie lekko oszołomiony; nadal jestem podniecona i trochę żałuję, że już szczytowałam, ale będę dobrą, bezinteresowną partnerką i mu tego nie wypomnę.

Chcę się właśnie koło niego położyć, gdy Arthur chwytą mnie za ramię. Patrzę na niego pytająco.

— Kłęknij i pochyl się do przodu — poleca.

Przekrzywiam głowę.

— Jesteś zmęczony...

— Już mi dużo lepiej — przerywa. — I na pewno mam dość sił, żeby ci się odwdzięczyć. Ukłęknij.

Posłusznie spełniam więc jego polecenie i pozwalam mu wsunąć we mnie język od tyłu. Jęczę głośno i chwytam poduszkę, żeby ukryć w niej twarz.

Arthur pewnie nie byłby zadowolony, gdyby wszyscy w jego domu słyszeli moje krzyki.

Rozdział 27

Następne dwa dni mijają w miarę spokojnie.

Arthura więcej nie ma w domu, niż jest, a ja nie wychylam się za bardzo, zbierając informacje na odległość, telefonicznie i mailowo. Nie mam żadnych wieści od Cole'a, próbuję jednak dowiedzieć się od wujka Eddiego, co się mówi na mieście o mnie i o Arthurze.

— Tylko tyle, że jesteś pod jego ochroną i że jeśli ktoś chce z tobą zadrzeć, automatycznie zadziera z nim — słyszę w odpowiedzi. — Wszyscy się zastanawiają, czy to oznacza, że ma na ciebie monopol.

— Absolutnie nie — protestuję z oburzeniem. — Możesz to przekazać, komu się da. Nic się nie zmienia w kwestii moich usług. Nadal pracuję, dla kogo tylko chcę.

— Ludzie się zastanawiają, czy wciąż mogą liczyć na twoją bezstronność. No wiesz: skoro jesteś związana z Ashbourne'em...

— Ja nie jestem z nim związana — upieram się. — To tylko chwilowy sojusz, dopóki nie wyjdę z kłopotów. Nie jestem lojalna wobec Arthura Ashbourne'a.

— Dobrze to słyszeć — śmieje się wujek Eddie. — Niektórzy już ubolewali, że tracą swojego ulubionego prywatnego detektywa.

— Nie tracą — zapewniam go stanowczo. — Wracam na rynek, jak tylko wszystko się uspokoi. A co z Persią? Znalazłeś ją?

Wujek przez chwilę milczy, aż wreszcie odpowiada wymijająco:

— Pracuję nad tym. Rozumiem, że możesz traktować tę sprawę osobiście, bo dowiedziałaś się, że to twoja rodzina, ale nie martw się. Persii nic nie będzie, już ja się o to zatroszczę.

Choć niechętnie, przyjmuję w końcu jego wyjaśnienia, po czym kończę rozmowę. Siedzę właśnie na kanapie w salonie Arthura, spoglądając w okno, za którym rozciąga się widok na ogród wokół domu. Kładę komórkę na stoliku i w tej samej chwili słyszę kroki od strony drzwi.

Odwracam się w tamtą stronę i widzę, że Arthur wchodzi do pokoju. Znowu jest nieogolony, z czym jest mu cholernie do twarzy, poza tym ma na sobie ciemne spodnie garniturowe i białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami i rozpiętym guzikiem pod szyją. Wygląda na to, że właśnie wrócił z jakiegoś spotkania; wydaje się zmęczony, ale stalowoszare spojrzenie ma ostre i czujne. Pociera palcami bliznę na podbródku, podchodząc do mnie.

— Nie jesteś wobec mnie lojalna, tak? — pyta złowieszczo.

Krzywię się. Oczywiście, że musiał słyszeć. A mogłam zamknąć się w jakimś miejscu, do którego nie miałby dostępu.

Problem polega na tym, że Arthur ma dostęp do wszystkich pomieszczeń w tym domu.

— Nie to miałam na myśli — odpowiadam, starając się brzmieć jak ktoś opanowany, chociaż moje serce przyspiesza bieg.

Arthur podchodzi jeszcze bliżej, staje za kanapą, na której siedzę, i opiera się o jej tył, prawie nade mną zawisając.

— Bardzo mnie ciekawi, co w takim razie miałaś na myśli.

Nie wiem, co sądzić o jego wyrazie twarzy i tonie głosu. Jest spokojny, bo mało go to obchodzi, czy raczej ukrywa prawdziwe emocje, żebym się nie domyśliła, że go to rusza? A może naprawdę nie zamierza mieć o to pretensji i rzeczywiście chce, żeby mu wszystko wyjaśniła? Bo wierzy, że faktycznie chodziło mi o coś innego?

Cóż, nie liczyłabym na to ostatnie. Znam wystarczająco dużo facetów, by to wiedzieć.

— Że mogę pracować też dla innych osób. — Wzruszam ramionami. — W tym dla twojej konkurencji.

Arthur posyła mi niezadowolone spojrzenie.

— Myślałem, że wyraziłem się jasno, kiedy przekazałem kilku osobom, że jesteś moja.

Zaraz, co takiego?!

Zrywam się z kanapy i oddalam o krok, aż niemal wpadam na stolik kawowy. Arthur przygląda się temu spokojnie i pewnie nawet nie domyśla się, jak bardzo w tej chwili dudni mi serce. Czuję krew uderzającą mi do głowy.

— Prywatnie można tak powiedzieć, chociaż nie rozumiem, po co rozpowiadać o tym na mieście. — Jestem z siebie dumna, że mój głos nadal jest spokojny i nawet nie drży. — Ale służbowo to zupełnie coś

innego. Nadal jestem prywatnym detektywem i nadal pracuję dla tego, kto zechce zapłacić za moje usługi.

— Chyba rzeczywiście nie rozumiesz, Ever. — Arthur wymija kanapę, żeby znaleźć się bliżej mnie; cały czas nie spuszcza ze mnie wzroku. — Jesteś moja. W każdym tego słowa znaczeniu. Chcę, żebyś była przede wszystkim lojalna wobec mnie. Dopiero potem możesz myśleć o innych swoich klientach.

— Ty nie jesteś moim klientem — protestuję ze złością.

Arthur kiwa głową.

— Rzeczywiście, powiedziałbym raczej, że jesteśmy partnerami. To chyba znaczy więcej niż relacja między klientem a usługodawcą.

Mam mętlik w głowie i już nie wiem, co o tym sądzić. Arthur ma na myśli partnerów w sprawach służbowych czy prywatnych? Czy on w ogóle stosuje jeszcze taki podział? Czy wszystko mu jedno i nie widzi potrzeby, żeby to rozgraniczać?

To jakaś bzdura. Nie dam się w coś takiego wciągnąć.

— To tylko chwilowy układ — upieram się. — Zepsujesz mi reputację na mieście, Arthur, a kiedy wszystko się skończy, kiedy będę mogła wrócić do siebie i znowu przyjmować klientów, ludzie będą się bali ze mną współpracować.

— To nie jest żaden chwilowy układ — odpowiada spokojnie, robiąc kolejny krok w moją stronę. — Przecież wiesz o tym. I na pewno nie skończy się, kiedy znajdziemy zabójców mojej żony.

— Ależ skończy się.

— Ależ oczywiście, że nie. — Mam wrażenie, jakbym gadała do jebanej ściany. — Nie wmawiaj nikomu, że nie jesteś ze mną związana, bo wiesz, że to nieprawda. Jesteś ze mną. Chcę, żeby tak zostało.

Wow. Czy to jest sposób Arthura Ashbourne'a na poproszenie mnie, żebyśmy byli parą? Rzecz jasna nie ma w jego słowach nic z prośby i *de facto* nie mówi też nic o byciu parą, ale tak to interpretuję. Z grubsza.

Sama nie wiem, co o tym myśleć, a moje serce chyba zaraz wyrwie mi się z piersi i upadnie mu do stóp. Widocznie jest bardziej chętne na taki układ od mojego rozumu. Nic dziwnego.

— Sypiamy ze sobą — mówię, starając się, żeby brzmiało to racjonalnie. — To jeszcze nie jest związek.

— Mieszkamy ze sobą — poprawia mnie. — Sypiamy ze sobą, jemy wspólnie posiłki, rozmawiamy, spędzamy razem czas. Jak dla mnie to definicja związku.

Za chwilę dostanę zawału i to będzie jego вина.

— Mieszkamy ze sobą chwilowo. To się zmieni, gdy już będę mogła wyjść stąd bez obawy, że ktoś spróbuje mnie zabić na ulicy.

— Nie zmieni się.

Wpatruję się w niego z niedowierzaniem. Czy on naprawdę zamierza mi mówić, co mam robić?

— Myślę, że mam w tej sprawie coś do powiedzenia — zauważam.

— Dobrze się dogadujemy, to prawda, i seks jest świetny, faktycznie, ale nie wiem, czy chcę z tobą być. Nie podoba mi się, że próbujesz mnie kontrolować, i nie zamierzam się ograniczać w kwestii mojej pracy. Nie jestem kobietą, którą da się przykuć do kaloryfera w kuchni.

— Nigdy bym tego nie spróbował — zapewnia mnie Arthur miękko, robiąc kolejny krok w moją stronę. Jest już prawie przy mnie. — Wolałbym przykuć cię do łóżka.

Oczywiście.

— A ja wolałabym, żebyś w takiej chwili pozostał poważny, bo to dla mnie dosyć istotny temat — odpowiadam, na co Arthur marszczy brwi.

— Przecież ja jestem śmiertelnie poważny.

Co za palant.

— Dziwnie to okazujesz — warczę.

Arthur likwiduje resztę dystansu między nami, łapie mnie za ramię, przyciąga do siebie, po czym kładzie mi dłoń na plecach. Próbuję się odepchnąć, ale trzyma mnie mocno, a ja nie mam ochoty się z nim szarpać.

— Posłuchaj, Ever. — Oczy mu błyszczą, gdy się do mnie pochyła, i jakimś cudem wiem, że to, co za chwilę usłyszę, bardzo mi się nie spodoba. — Wiedziałem, że chcę cię przy moim boku, odkąd pierwszy raz cię zobaczyłem. Jesteś jedyną kobietą, która do mnie pasuje. Nadażasz za mną. Nie boisz się mnie i stawiasz mi się, kiedy tylko możesz. Nie wymagasz żadnych romantycznych pierdoł. Jesteś kurewsko gorąca, no i nigdy z nikim nie miałem takiej relacji seksualnej jak z tobą. Mam cię i nie zamierzam cię wypuścić z rąk, a kiedy już przyjmiesz do wiadomości, że w tej kwestii lepiej mi się podporządkować, niż unosić honorem, zrozumiesz, że mam rację.

Chyba go pogięło.

To moja pierwsza myśl. Zaraz po niej przychodzi druga: że robię się napalona od samego słuchania, jak o mnie mówi. Z entuzjazmem i podziwem. Jemu naprawdę nie chodzi tylko o seks. Nawet nie tylko o to, że jestem dla niego jakiegoś rodzaju trofeum.

Jemu chodzi o mnie. O mnie — właśnie taką, jaka jestem. Podobam się Arthurowi ze wszystkim, co starałam się ukrywać przed moimi poprzednimi facetami: przekorą, nieposłuszeństwem, bezczelnością, ciętym językiem i gotowością do walki. Jemu to nie tylko nie przeszkadza, on to wręcz we mnie lubi.

Moje serce topnieje nieco, gdy to sobie uświadamiam, ale nadal jestem daleka od pogodzenia się z losem, który dla mnie przygotował. Unoszę brwi.

— A kiedy już się mną znudzisz? — pytam ze złością. — Rozumiem, że wtedy będę musiała się wyprowadzić i spróbować ułożyć sobie życie od nowa? I przekonać wszystkich moich klientów, że wróciłam na rynek?

— Skąd pomysł, że możesz mi się znudzić? — Wydaje się autentycznie zaskoczony.

Przewracam oczami.

— Bo prędzej czy później tak się stanie.

— Ever, wątpię, czy przy tobie ktokolwiek się może znudzić — prycha z rozbawieniem. — Ja na pewno nie zamierzam.

— A ja nie zamierzam dać się zamknąć w twoim domu i zrezygnować z własnego życia, bo tak ci się podoba.

Uśmiecha się szelmowsko i próbuje objąć dłonią mój policzek, lecz odpycham jego rękę. Nie wydaje się tym faktem przejęty.

— Na pewno znajdziemy jakiś kompromis — zapewnia mnie zwodniczo łagodnie.

Nie wiem, co planuje, ale nie dam się na to nabrać. Potrzebuję przestrzeni, próbuję się więc wydostać z jego objęć, on jednak wcale nie chce mnie puścić. Powoli to przestaje być zabawne.

— Puść mnie natychmiast. Nie żartuję — mówię wściekła.

Arthur krzywi się, ale nie zwalnia uścisku.

— Zmusz mnie — odpowiada za to.

Chryste.

Doskonale wiem, w co on gra, ale to nie znaczy, że mam zamiar zmieniać reguły. Robię się jeszcze bardziej podniecona na tę myśl i momentalnie wyrzucam do kosza wszystkie słowa o uwolnieniu się od niego. Arthur świetnie wie, jak to na mnie działa, stąd taki tekst.

Jestem na niego wkurzona, więc nie waham się ani chwili. Rzucam się na niego całym ciałem, aż Arthur sapie i leci do tyłu, po czym uderza plecami o ścianę. Wbijam mu łokieć w brzuch i celuję kolaniem między nogi; w ostatniej chwili on się odsuwa i mój cios osiąga tylko zewnętrzną stronę jego uda.

On powiedział na mieście, że należę do niego, przypominam sobie ze złością, po czym znowu atakuję. Arthur blokuje mój cios i chwytą mnie mocno w pasie, odwraca się ze mną w ramionach i przyciska mnie do ściany. Jego biodra uderzają w moje, jego dłonie odnajdują moje nadgarstki i przytrzymują je mocno, choć nie boleśnie. Szarpie się i próbuję go odepchnąć kolaniem.

Arthur zatacza się do tyłu i wpada na stół, zrzucając z niego wazon z suszem, który rozbija się w drobny mak na podłodze. Jego gorące spojrzenie zdaje się przepalać mnie na wylot, gdy ponownie rusza w moją stronę. Zmuszam nogi do ruchu i odsuwam się, on jest jednak szybszy i chwytą mnie za nadgarstek, zanim zdążę uciec. Szarpie mnie gwałtownie do siebie, a gdy ponownie zaczynam z nim walczyć, drzwi salonu nagle otwierają się i do środka spada dwóch ochroniarzy.

— Słyszeliśmy, że coś się zbiło... — zaczyna niepewnie jeden z nich, ale wyjątkowo zgodnie krzyczymy na nich:

— Wynocha!

Mężczyźni wycofują się, a Arthur korzysta z chwili mojej nieuwagi i całuje mnie mocno, wsuwając język między moje rozchylone wargi. Przebiega mnie gorący dreszcz i w pierwszej chwili chcę mu się poddać, szybko jednak przypominam sobie, że nadal z nim walczę, i gryzę go mocno w wargę.

Arthur odsuwa się ode mnie z krzykiem i przygląda mi się z niedowierzaniem.

— Ugryzłaś mnie — stwierdza oczywiste.

Posyłam mu paskudny uśmiech.

— To dopiero początek atrakcji, jeśli będziesz mnie zmuszał do czegoś, na co nie mam ochoty.

— Ależ ty masz ochotę na wszystko, co jest ze mną związane, tylko nie chcesz się do tego przyznać nawet sama przed sobą — odpowiada natychmiast. — Nie zamierzam ograniczać twojej wolności, Ever. Chcę tylko, żebyś ze mną została i żebyśmy ustalili jakieś zasady.

— I na wszelki wypadek już mi je narzucasz za moimi plecami? — pry cham.

— Ja nie...

Uderzam go lewą pięścią w szczękę, zanim zdąży dokończyć. Głowa odskakuje mu na bok i męczyzna potrzebuje sekundy, żeby się otrząsnąć i spojrzeć na mnie z niedowierzaniem.

— W końcu ci oddam i wtedy będziesz miała do mnie pretensje.

— Jasne, zrób to. — Posyłam mu bezczelne spojrzenie. — Nie chcę żadnego specjalnego traktowania.

— Już jesteś specjalnie traktowana — zauważa ze złością. — Każda inna osoba, która zwracałaby się do mnie w ten sposób, już dawno by tego pożałowała.

— Każda inna? — Unoszę brwi. — A może tylko wszystkie te, które nie rozkładają przed tobą nóg?

Arthur wsuwa kolano między moje nogi i naciska, aż materiał jego spodni ociera się o moją cipkę. Wstrzymuję oddech. Nic nie poradzę, że to wystarczy, żebym robiła się podniecona. On z pewnością doskonale o tym wie.

— Każda inna — powtarza uparcie. — Nikt nie pozwala sobie na tyle wobec mnie co ty. Nikomu poza tobą nie pozwoliłbym się bezkarnie uderzyć. Rozumiesz?

Wiem, co chce mi powiedzieć, i mam mętlik w głowie, gdy o tym myślę. W pewnym sensie jestem dla niego wyjątkowa. W pewnym sensie on dla mnie też. Warto pewnie coś z tego zbudować i sprawdzić, dokąd nas to zaprowadzi. Wolalabym jednak, żeby Arthur nie podejmował za mnie pewnych decyzji. Nie podoba mi się, że usiłuje mnie kontrolować i ograniczać.

Tym razem to ja przechylam się, żeby go pocałować. Chociaż nadal jestem na niego wściekła, równocześnie myślę o innych rzeczach. Zwłaszcza gdy Arthur całuje mnie gwałtownie, wsuwając mi język do ust, jakby brał mnie całą w posiadanie. Łapie mnie za biodra i ciągnie, aż oboje lądujemy na kanapie: on rozprostowuje nogi, a ja okrakiem siadam mu na udach.

— Zależy mi na tobie — dyszy, kiedy odsuwa się ode mnie na moment. — To nie jest chwilowy kaprys, Ever. Powiedz, że dla ciebie to tylko seks, a wypuszczę cię stąd choćby dzisiaj.

Chciałabym tak powiedzieć, ale nie mogę.

— Za krótko się znamy, żebyś mógł to wiedzieć — odpowiadam uparcie.

Arthur przewraca oczami, równocześnie wsuwając dłonie pod moją koszulkę i gładząc mnie po nagich plecach, aż wyginam się przy nim w łuk.

— Ever, wiem, czego chcę, kiedy to widzę — przekonuje mnie. — Zawsze potrafiłem szybko podejmować decyzje. Nie muszę się zastanawiać ani analizować swoich uczuć. Po prostu wiem. Tak samo wiedziałem, że zostaniesz ze mną, odkąd wtargnęłaś do mojego gabinetu w Camelocie. Ty też tego chcesz, więc może po prostu przestaniesz się opierać? Jestem pewien, że całą resztę możemy wypracować.

Ciekawe, w jaki sposób. Zapewne w taki, który uderzy tylko w moją wolność i niezależność.

Zdaję sobie jednak sprawę, że Arthur się deklaruje i że to dużo dla niego znaczy. Może i jest kontrolującym dupkiem, ale od początku wiedziałam, na co się piszę. Zawsze potrafiłam wywalczyć sobie takie życie, jakiego chciałam, i teraz też tak będzie. Nie chcę rezygnować z niego tylko dlatego, że ten związek może przeszkodzić mi w pracy.

Mam przecucie, że jeszcze tego pożałuję, ale nie potrafię się w tej chwili wycofać.

Pochyliam się i ponownie go całuję, a Arthur traktuje to jak odpowiedź. Sięga do moich spodni i rozpina guziki, po czym wsuwa dłoń do środka; równocześnie drugą ręką odpina haftki w staniku. Radzi sobie z rozbieraniem mnie dużo lepiej niż z przekonaniem mnie, żebym z nim została.

Unoszę się nieco, gdy wsuwa palce do mojej cipki. Jestem już wystarczająco rozgrzana, by zapewnić mu odpowiedni poślizg.

— Właściwie to chciałem z tobą porozmawiać, zanim przejdziemy do seksu — mówi zdyszczanym głosem, ustami ocierając się o moją szyję.

Chwytam go mocno za ramiona i odsuwam się o cal.

— Ach tak?

— Tak — odpowiada, nie przestając posuwać mnie palcami. — Rozmawiałem z dostawcą Alice. Tym, którego towar zaginął w drodze do Stanów.

Rozchyłam usta. Z trudem mogę skupić się na rozmowie, gdy palce Arthura pracują we mnie, aż sama zaczynam poruszać biodrami. On jednak, mimo mgły w oczach, chyba zamierza dokończyć ten temat.

Lepiej, żeby to zrobił, zanim ja skończę.

— Yhm — mruczę, bo to jedyny dźwięk, jaki w tej chwili mogę z siebie wydać.

— To on się ze mną skontaktował. Przekazał, że odpowiada za wybuch w Camelocie.

Zatrzymuję się na moment i patrzę na niego nieco przytomniej, z zaskoczeniem.

— Jak to?!

— Tak to — mamrocze, pochylając się, by pocałować mnie w szyję. Instynktownie obejmuję go ramionami. — Chce mnie zmusić, żebym spłacił długi Alice.

— Myślisz, że on stoi za jej śmiercią?

— Nie sądzę — odpowiada z roztargnieniem, przesuwając wargi na mój obojczyk. — Jej śmierć wcale nie byłaby mu na rękę. Wolałby się kontaktować z nią niż ze mną, bo to od niej prędzej dostałby pieniądze. Zresztą nie znał szczegółów. To nie on. To tylko pech, że Alice zginęła akurat teraz, kiedy miała poważne kłopoty.

Waham się, ale nie odpowiadam. Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Może Arthur właściwie zrozumiał intencje tego człowieka — w końcu go zna — i faktycznie ten dostawca nie ma nic wspólnego ze śmiercią Alice, ale to nie znaczy, że nie jest w tę sprawę jakoś zamieszany. Przypadki się zdarzają, jasne, ale nie na taką skalę.

Nie mówię tego jednak na głos, bo po pierwsze, nie mam żadnych dowodów, a po drugie, w następnej chwili Arthur bardzo skutecznie absorbuje mnie sobą. Podciąga mi do góry koszulkę, aż pomagam mu i zdejmuję ją przez głowę, a wtedy on ściąga ze mnie stanik. Schyla głowę, by zacisnąć usta i zęby na jednym z moich sutków, a ja jęczę, wplatając mu palce we włosy i przyciągając go do siebie bliżej.

— Nie wierzę... w... pecha — odzywam się z trudem, na co Arthur podnosi na mnie roziskrzony wzrok.

— Poważnie? — pyta, po czym językiem zaczyna drażnić brodawkę. Zaraz potem dodaje: — A powinnaś. To przez niego wplątałaś się w tę sprawę.

Po tych słowach ponownie skupia się na moim ciele, a ja nie pozostaję mu dłużna, sięgając do zapięcia jego spodni. Ta ostatnia wypowiedź jednak ciągle kołaczy mi się w głowie.

Miałam pecha, że trafiłam na tamto morderstwo. Gdyby nie było mnie wtedy pod tamtym domem, nie zostałabym wplątana w całą tę sprawę i nikt nie próbowałby mnie potem zabić.

Problem polega na tym, że tak jak powiedziałam Arthurowi: nie wierzę w pecha podobnie jak w zbiegi okoliczności.

Rozdział 28

— To jakaś bzdura.

Z moimi podejrzeniami wracam do Arthura dopiero po rozmowie z Cole'em. Wpatruje się we mnie z powątpiewaniem, kiedy siadam na kanapie obok niego, po czym wyciągam z tylnej kieszeni dzinsów komórkę.

— To nie jest przypadek. Sam zobacz.

Podsuwam mu telefon, na ekranie którego wyświetlam zdjęcie, jakie dostałam od Cole'a. Udało mu się je zrobić, gdy w czasie lunchu dostrzegł Zachary'ego Scotta w jednej z restauracji w centrum. Policjant nie był sam.

Chociaż widziałam tego mężczyznę tylko raz w życiu, od razu go rozpoznaję. Ma nadwagę i łysieje od czoła, jest spocony i czerwony na twarzy, gdy rozmawia z Zacharym. Mimo to wydaje się bardziej pewny siebie niż wtedy, gdy przyjełam go w swoim biurze na Lynwood Street.

— Kto to jest? — pyta Arthur, oddając mi telefon.

— Przedstawił mi się jako Darren Freemont — wyjaśniam. — To przez niego wylądowałam na Glenview Drive. Powiedział, że jest mężem Alice, że podejrzewa ją o zdradę i że mam ją śledzić i zdobyć na to dowody. Właśnie dlatego stałam się świadkiem tamtego morderstwa. Dlatego robiłam zdjęcia.

Arthur marszczy brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Nigdy nie widziałem tego człowieka — mówi w końcu. — Myślisz, że dla kogoś pracuje?

— Został podstawiony — przypominam mu niecierpliwie. — Jego adres był fałszywy. Miałam wtedy zły dzień i nie sprawdziłam go tak, jak powinnam. Dałam się wyrolować, co zwykle mi się nie zdarza. To oczywiste, że dla kogoś pracuje. Dla kogoś, kto kontroluje też śledztwo dotyczące twojej żony.

— Chcesz mi powiedzieć, że...

— To nie był przypadek — wchodzi mu w słowo, bo jestem zbyt nabuzowana, by czekać na jego wnioski. — Od początku mi się to nie podobało. Ja nie miałam pecha, Arthur. Ktoś wynajął mnie celowo, żebym tamtego wieczora znalazła się na Glenview Drive. Ta sama osoba ciągle węszy w tej sprawie.

— To bez sensu — oponuje ponownie. — Kto i po co miałby to robić? Przecież nikt poza mordercą Alice nie mógł wiedzieć, co się tam wtedy stanie.

Posyłam mu znaczące spojrzenie.

— No właśnie.

Arthur przez chwilę milczy, patrząc na mnie z niedowierzaniem, po czym parska śmiechem.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wynajął cię jej morderca? To bez sensu. Po co miałby to robić? Po co załatwiać sobie świadka, którego potem ściga się po całym mieście i próbuje się go zabić?

To słaba strona mojej teorii.

— Tego jeszcze nie wiem — odpowiadam. — Ale się dowiem. Moim zdaniem to ma sens. Ktoś chciał, żebym tam była. Nie zobaczyłam niczego przez przypadek.

Arthur zamyśla się, odruchowo sięgając do moich włosów i nawijając sobie pasmo na palce. Staram się tym nie rozproszyć, chociaż to trudne.

— Pokaż mi jeszcze raz te zdjęcia — prosi w końcu. — Może nie przyrzeliśmy się im wystarczająco dokładnie. Może coś przeoczyliśmy.

Wstaję z kanapy i biegnę do sypialni, w której trzymam aparat. Zwalniam nieco, wracając. Gdy wchodzi do salonu, widzę Arthura rozpartego na kanapie; spogląda za okno, dzięki czemu mam widok na jego profil. Ściska mnie w dołku, gdy tak na niego patrzę. Wygląda zajebiście w białej koszuli z rękawami podwiniętymi do łokci i garniturowych spodniach — jego zwykłym stroju „tuż po pracy”. Wiem, że próbuje dogadać się z dostawcą Alice, ale nie podaje mi dokładnych szczegółów. Nie powiem, żeby mi to pasowało. Denerwuje mnie, że nie dzieli się informacjami.

Kiedy jednak widzę go w takim stanie, z cieniem zarostu na twarzy i w rozpiętej pod szyją koszuli, nie potrafię się na niego wściekać. Nie umiem się też wkurzać o to, że próbuje mnie do siebie przywiązać i zmusić do przynajmniej częściowej rezygnacji z pracy. Arthur taki już jest i doskonale o tym wiedziałam, kiedy pierwszy raz poszłam z nim do łóżka. Podobnie jak ja chce mieć wszystko ułożone po swojemu.

W końcu odwraca głowę i spogląda na mnie.

— Coś się stało? — pyta, obrzucając mnie uważnym spojrzeniem.

Wyglądam całkiem normalnie, tak jak zwykle, kiedy on kończy pracę. W dzinsach i obcisłej białej koszulce nie ma nic seksownego, jednak on patrzy na mnie tak, jakby zamierzał zjeść mnie żywcem. Pewnie właśnie o tym w tej chwili myśli.

Zazwyczaj potrzebujemy jakichś pięciu minut, by rzucić się na siebie, gdy on wraca do domu. Prawdopodobnie jest to związane również z faktem, że wariuję w zamknięciu i mam zdecydowanie za dużo sił, ale to nie tylko moja inicjatywa. Myślę, że Arthur po prostu za mną tęskni.

Dochodzę do tego wniosku również dlatego, że ja tęsknię za nim, gdy go nie ma.

Coś musi być ze mną nie tak. Nigdy dotąd nie tęskniłam za żadnym facetem. Byli to byli, nie to nie. Zawsze sobie z tym radziłam.

Z Arthurem jest inaczej. Z nim wszystko jest inne.

— Nie, wszystko w porządku — zapewniam go, po czym zmuszam nogi do ruchu i podchodzę bliżej, w rękach ściskając mój aparat.

Arthur chwytam mnie za ramię i przyciąga do siebie, więc zamiast usiąść obok niego, bez namysłu siadam mu okrakiem na kolanach. Wiem, że to może sprowadzić rozmowę na nieco inne tory, ale nie mogę się powstrzymać. Trzymam aparat między nami jak tarczę, na wypadek gdyby Arthurowi przyszło do głowy coś głupiego, na przykład mnie pocałować.

Pokazuję mu zdjęcia, a on zaczyna je uważnie przeglądać. Robiliśmy to już wcześniej i nie doszliśmy do żadnych sensownych wniosków — wątpię więc, by ponowne oględziny miały coś zmienić. Pozwalam mu jednak na to.

— Cole ma do mnie zadzwonić, jeśli zauważy, że Scott znowu spotyka się z tym facetem — dodaję od niechcenia. — Może udałoby mi się wtedy go złapać.

— Tobie? — Arthur spogląda na mnie znad zdjęć i marszczy brwi.

— Tak, mnie, a co? Myślisz, że tego wcześniej nie robiłam? Dowiem się, dla kogo pracuje i po co w ogóle mnie zatrudniono.

— Nie ma mowy — protestuje spokojnie.

Och, mam tego dość. Jeszcze raz użyj wobec mnie takiego tonu i więcej mnie nie zobaczy!

— Okej, wyjaśnijmy sobie jedno — zaczynam, próbując równocześnie wstać mu z kolan; Arthur przytrzymuje mnie jednak za biodra i nie pozwala

mi się odsunąć. — Nie będziesz mi mówił, co mam robić, i nie będziesz mi niczego zabraniał, chyba że jedyne, co chcesz zobaczyć, to moje plecy, gdy będę odchodzić.

— To oznacza, że mógłbym też patrzeć na twój tyłek — odpowiada Arthur spokojnie. — To nie taka zła opcja.

— W takim razie przypatrz mu się, bo więcej go nie zobaczysz — warczę i znowu usiłuję się odsunąć. — Mówię poważnie, Arthur.

Mężczyzna odkłada aparat fotograficzny na kanapę obok nas i łapie mnie za kark, zmuszając, żebym na niego spojrzała. Jestem naprawdę wściekła i denerwuje mnie, że on cały czas pozostaje taki niewzruszony.

— Zrozum: martwię się o ciebie — mówi łagodnie. — Nie chcę, żebyś się narażała.

Przewracam oczami.

— Ja tak czy inaczej to sprawdzę, więc lepiej udajmy, że już się o to pokłóciliśmy, i przejdźmy do momentu, gdy dogadamy się, jak to zrobić, żebyśmy oboje byli równie niezadowoleni.

Arthur parska śmiechem. Wygląda dużo przystępniej, gdy mruży oczy, aż wokół nich pojawia się siateczka zmarszczek.

— Widzę, że nauczyłaś się już, na czym polega kompromis. — Mruga do mnie, a ja się krzywię. — Dobrze, niech ci będzie. Ten kompromis będzie łatwy. Po prostu sprawdzimy to razem.

Tak myślałam, że właśnie coś takiego zaproponuje. W zasadzie nie mam nic przeciwko.

— Nie masz na to czasu — protestuję jednak.

— Znajdę go, skoro chodzi o twoje bezpieczeństwo i dobre samopoczucie — zapewnia mnie. Muszę przyznać, że robi mi się od tego cieplej na sercu. — Poważnie, Ever. Nie próbuj niczego głupiego sama. Pomogę ci. Zrobimy to razem.

Kiwam głową. Arthur ponownie sięga po aparat i zaczyna przeglądać zdjęcia, widocznie uznawszy, że wszystko jest już ustalone. Ja cały czas mam wrażenie, że pewne kwestie między nami nie zostały rozwiązane — jak choćby to, co się stanie, kiedy już zakończy się ta sprawa. Nie mam jednak ochoty poruszać teraz tego tematu, bo nie chcę się znowu denerwować. Wolę odłożyć go na później.

Pewnie to odbije mi się potem czkawką, ale mam to gdzieś.

Marszczę brwi, kiedy kątem oka zerkam na przewijane przez Arthura zdjęcia.

— Widzisz tam coś? — pytam niespokojnie.

Arthur podnosi na mnie wzrok.

— To samo, co za pierwszym razem — odpowiada. — Dlaczego pytasz?

— Pokaż. — Wyciągam dłoń i zabieram mu aparat, a on nie protestuje. Przesuwam zdjęcia do tyłu i oglądam je jedno po drugim. Potrząsam z frustracją głową. — Coś tu się nie zgadza.

Arthur chce mi ponownie zabrać aparat, ale mu nie pozwalam. Zamiast tego odwracam go tak, żebyśmy oboje mogli dobrze widzieć zdjęcie, i pokazuję to, o które mi chodzi.

— Co tu widzisz?

— Czy to test na ostrość wzroku? — Posyła mi protekcyjny uśmiech. — Widzę dwa trupy leżące na podłodze. Krew wokół nich. Napastnicy stoją nad nimi. Nieźle ujęcia. Gdyby okna nie sięgały od podłogi do sufitu, nie uchwyciłabyś tego wszystkiego.

— Tak, brawo ja — mamrocę na odczepnego. — To teraz zobacz to. Gdzie celuje ten zamaskowany facet?

Przesuwam zdjęcia o kilka do tyłu, gdy kobieta leży już na podłodze, a jej kochanek ma za chwilę zostać zastrzelony. Tym razem to Arthur marszczy brwi, przyglądając się uważnie zdjęciu.

— Nie wiem — wyrokuje w końcu. — W niego. Celuje w niego.

— W głowę — uświadamiam go. — Celował w głowę. Nie widać tego zbyt dobrze na zdjęciach, ale jestem pewna. Celował w głowę.

— I co z tego? — Arthur posyła mi pełne niezrozumienia spojrzenie.

Wzdycham niecierpliwie i przesuwam zdjęcia z powrotem do przodu. Wskazuję palcem ciało mężczyzny.

— Widzisz plamy krwi? Wcale nie koncentrują się wokół jego głowy — mówię. — Raczej w okolicach klatki piersiowej.

Arthur wyjmuje mi aparat z rąk i raz jeszcze przygląda się zdjęciom. W końcu oddaje mi urządzenie, kręcąc głową.

— Wydaje ci się. Niczego nie możesz stwierdzić z całą pewnością po tych zdjęciach. Może po prostu nie widać części krwi. Może tylko ci się wydawało, że celowali w głowę. To był stresujący moment i nie wszystko możesz dobrze pamiętać. Nie szukaj dziury w całym, Ever. Niby o czym to miałyby świadczyć?

Wzruszam ramionami, raz jeszcze spoglądając na zdjęcia. Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi, ale czuję, że coś jest nie tak. Mam to głębokie przekonanie, które każe mi się zastanawiać i wracać do tego tematu,

tak jak ciągle dotyka się językiem bolącego zęba. Wiem, że coś mi umyka. Nie mam jednak pojęcia co.

Wtem rozdzwania się moja komórka. Arthur chwyta mnie mocno za biodra, gdy wychylam się na jego kolanach, by podnieść ją ze stolika kawowego; na wyświetlaczu widzę numer Cole'a. Momentalnie zapominam o zdjęciach i koncentruję się na rozmowie.

— To ostatnia przysługa, którą ci wyświadczam, Ever — mówi mój były chłopak, kiedy odbieram.

Przewracam oczami. Mam wrażenie, że ktoś ostatnio już powiedział mi coś podobnego. To chyba też był jakiś policjant.

— Jasne — odpowiadam gładko. — I tak jestem ci bardzo wdzięczna. Dowiedziałeś się czegoś?

— Scott prawdopodobnie będzie dzisiaj widział się z tym gościem na kolacji — wyjaśnia Cole.

Parskam śmiechem.

— Na kolacji? A oni co, na randkę idą czy jak?

— Nie wiem, sama go zapytaj — wyzłoshiwia się. — Dwudziesta, Lakeside. I nie dzwoń do mnie więcej.

Rozłącza się po tych słowach, a ja patrzę na Arthura, który przygląda mi się z ciekawością. Uśmiecham się do niego psotnie i oświadczam:

— Wygląda na to, że dzisiaj wieczorem mamy randkę.

Lakeside to bardzo porządna knajpa w centrum Vegas, w której nawet Arthur Ashbourne z trudem znalazł wolny stolik na dzisiaj. Udało się jednak i dobrze, że mieliśmy parę godzin na przygotowania, bo moja jedyna sukienka — klubowa, niespecjalnie nadająca się na takie wyjście — straciła życie podczas wybuchu bomby, musiałam więc szybko udać się na zakupy.

Kiedy wkraczamy do środka, od razu czujnie rozglądam się dookoła. Zwracam też uwagę na dłoń Arthura, która dotyka moich pleców, jakby właśnie tam było jej miejsce. Jest spięty i w zasadzie mu się nie dziwię — wdrażamy właśnie w życie mój genialny plan wspólnego śledztwa, nawet swoich ludzi zostawił w osobnym samochodzie na parkingu. Na tę okazję sam przesiadł się za kółko.

Zarezerwowany przez nas stolik znajduje się na zadaszonym patio wychodzącym na sztuczne jezioro otoczone zielonym ogrodem — w każdym innym miejscu wydawałoby się odjechane, że coś takiego stworzono

w centrum miasta, ale w Vegas to jedna z bardziej normalnych miejscówek. Kiedy kierujemy się powoli ku naszemu miejscu, dostrzegam wśród klientów kilka znajomych twarzy i uśmiecham się nawet do siedzącego przy czterosobowym stoliku Rexa Russella. Arthur natychmiast przyciąga mnie bliżej do swojego boku i prowadzi do stojącego za jednym z filarów stolika.

— Poprosiłem o coś dyskretnego, tak na wszelki wypadek — wyjaśnia, pomagając mi zająć miejsce. — Skąd znasz Rexa Russella?

Wzruszam ramionami.

— To jeden z moich klientów.

Arthur siada naprzeciwko, nie spuszczając ze mnie uważnego spojrzenia.

— I nic was więcej nie łączy?

— Rex ma żonę, poza którą świata nie widzi. — Parskam śmiechem. — Właściwie to zarobiłam dzięki niemu całkiem niezłe pieniądze, tyle razy ją śledziłam. Powinam mu za to wysłać kartki świąteczne. Poza tym wolę facetów, którzy potrafią wypowiedzieć więcej niż jedno zdanie na raz.

Arthur uśmiecha się z zadowoleniem i opiera o tył krzesła. Wygląda na bardziej wyluzowanego niż jeszcze chwilę wcześniej.

— Widziałaś ich gdzieś?

Wzruszam ramionami i rozglądam się po sali. W końcu wyławiam spośród tłumu Zachary'ego Scotta. Siedzi przy stoliku niemal pod samym wejściem — to dosyć niefortunne, że ma do niego bliżej niż my. Jest sam, nos ma utkwiony w telefonie, na którym scrolluje coś zawzięcie.

— Nie wydaje ci się dziwne, że gość umawia się z nim akurat w knajpie? — pytam. — W dodatku w takiej? Byłoby prościej na pustym moście w stojących obok siebie samochodach albo coś.

— Chyba oglądasz za dużo filmów szpiegowskich — wyrokuje Arthur, również przypatrując się Scottowi.

Posyłam mu uśmiech.

— Muszę wiedzieć, jakie legendy krążą o moim zawodzie. Oglądam wszystkie filmy z detektywami w rolach głównych. Dobrze się na nich bawię.

— Zapewne tak jak lekarze na filmach o lekarzach. — Arthur mruga do mnie, po czym zaczyna przeglądać menu, jednym okiem ciągle zerkając na Scotta.

Jest już dziesięć po ósmej, a on nadal siedzi sam. I chyba zaczyna się denerwować, sądząc po minie i sposobie, w jaki rozgląda się dookoła. Kiedy przychodzi kelnerka, zamawiamy po kawie, bo nie mogę się skupić na wyborze jedzenia; mam zresztą przecucie, że długo tu nie zabawimy.

Drgam, czując nogę Arthura ocierającą się o moją. Spoglądam na niego, by stwierdzić, że patrzy na mnie beczelnie, z zadowoleniem, które sugeruje, że robi to celowo. Łydką pieści moją łydkę, aż dostaję ciarek.

— Skup się — syczę.

Uśmiecha się leniwie.

— Nie potrafię, kiedy tak wyglądasz.

W moim wyglądzie nie ma nic niezwykłego poza faktem, że odsłoniłam nogi. Mam na sobie prostą, krótką ciemnozieloną sukienkę bez rękawów, obcisłą u góry i rozszerzającą się na dole. Jedyna ekstrawagancja w niej to fakt, że jest wiązana na szyi, przez co mam odkrytą połowę pleców, a dekolt w kształcie litery V. Nie poświęciłam wyborowi garderoby zbyt wiele czasu ani uwagi.

— Następnym razem włożę worek po ziemniakach — obiecuję mu.
— Wtedy dopiero na wejściu wywołam sensację.

— Wywołujesz sensację niezależnie od tego, jak się ubierzesz.

Chociaż bardzo chcę pozostać poważna, nie wytrzymuję i po tych słowach też się uśmiecham. Jak mogłabym tego nie zrobić, gdy Arthur mówi mi takie rzeczy?

— Chyba tak ci się tylko wydaje — prychem. — W moim zawodzie muszę umieć wtopić się w tłum. Nie raz to robiłam i działało. Ludzie nie zwracają na mnie uwagi tak bardzo, jak sądzisz.

— Więc są głupi — wyrokuje natychmiast, na co przewracam oczami.
— Nie rób takiej miny. Przecież wiesz, że jesteś atrakcyjna.

— Wiem — przyznaję bez oporów. — Ale bez przesady. Żadna ze mnie *Miss Universe*.

W dodatku nie na tym opieram głównie swoją wartość. Mój wygląd czasami się przydaje, jak choćby wtedy, kiedy pierwszy raz dostałam się na zaplecze Camelotu. Na co dzień jednak korzystam głównie z innych cech i umiejętności.

Przesuwam nogą po łydce Arthura, chcąc też uczestniczyć w tej pieszczocie. Z każdą chwilą patrzy na mnie coraz bardziej roziskrzonym wzrokiem.

— Wiesz, co zamierzam zrobić, kiedy znajdziemy się wreszcie razem w sypialni? — pyta, ignorując moją ostatnią uwagę. Kręcę głową. — Zamierzam przywiązać cię do łóżka. Potem będę cię pieprzył tak długo, aż zaczniesz mnie błagać o orgazm. Wtedy możemy pogadać, czy nadawałabyś się na *Miss Universe*.

Wow. Rozchyłam usta i chwilowo zapominam, po co tu jesteśmy. Wzrok Arthura jest tak intensywny, że aż muszę odwrócić spojrzenie, żeby nie zaproponować czegoś głupiego, na przykład wspólnego wyjścia do toalety. *Jesteście tu, żeby znaleźć morderców jego żony, na litość boską!*, krzyczy jakiś głos w mojej głowie.

Chcę właśnie odpowiedzieć, gdy dostrzegam coś alarmującego. Marszczę brwi i wstaję powoli od stolika, obserwując scenę rozgrywającą się nieopodal. Zachary Scott nadal siedzi samotnie, natomiast tyłem do mnie stoi nad nim kelner w białym uniformie, który poza serwowanym Scottowi właśnie drinkiem podaje mu także niedużą białą karteczkę.

Wpatruję się w kelnera, gdy ten odwraca się nieco, i wtedy nie mam już wątpliwości. To nie jest jakiś tam kelner. To Darren Freemont — czy jakkolwiek nazywa się człowiek, który zlecił mi śledzenie Alice.

— To dlatego umówił się w Lakeside — mówię, oglądając się na Arthura. — Jest tu kelnerem albo go udaje. Chodźmy, bo nam ucieknie!

Arthur mamrocze pod nosem jakieś przekleństwo, rzuca na stolik kilka banknotów za naszą niewypitą kawę, po czym podąża za mną ku przejściu z patio na główną salę restauracji. Czuję, jak z każdym krokiem coraz mocniej zaczyna buzować we mnie adrenalina. To właśnie uwielbiam — pościg, śledztwo i zagadkę, zwłaszcza z towarzyszącym mi seksownym mężczyzną.

Chwilowo zapominam nawet o tym, co powiedział, zanim dostrzegłam Freemonta, ale nieważne.

Na razie mamy inne atrakcje na oku.

Rozdział 29

Darren Freemont nie wychodzi z restauracji, tylko znika na zapleczu dla personelu. Kieruję się w tamtą stronę, czując za sobą milczącą obecność Arthura, ale w ostatniej chwili zatrzymuje mnie jakiś kelner.

— Przejdźcie tylko dla personelu — mówi uprzejmie. — Szukają państwo toalety?

Arthur wysuwa się przede mnie i chwyta kelnera za koszulę na karku, po czym bez problemu przestawia go na bok. Chłopak uderza plecami w ścianę i przygląda się mojemu towarzyszeni z obawą. W zasadzie mu się nie dziwię. Też bałabym się Arthura, gdybym zobaczyła u niego taką surową minę, a nie znała go bliżej.

No dobrze, chyba bym się bała. Nie jest to całkowicie pewne, biorąc pod uwagę, że czasami totalnie ignoruję różne zagrożenia.

Arthur zostawia w końcu nieszczęsnego kelnera i sam otwiera mi drzwi na zaplecze. Dziękuję mu uśmiechem i wchodzę, a on rusza za mną, tak blisko, jak tylko może. Chociaż nic nie mówi, zdaję sobie sprawę z tego, że jest spięty i chce mnie chronić, jeśli zajdzie taka konieczność.

Nie wiem, czy wspominać mu, że w torebce przewieszzonej przez ramię mam ukryte pistolet i kastet. To raczej w niczym nie pomoże, a mogłoby tylko niepotrzebnie dodatkowo go zdenerwować.

Idziemy przed siebie długiim korytarzem wyłożonym kafelkami i docieramy do kuchni. W szerokim przejściu mijamy dwóch kelnerów z tacami, wyraźnie zdziwionych naszym widokiem, są chyba jednak zbyt zajęci pracą, by nas zatrzymać. Dopiero gdy wchodzimy do kuchni, ktoś reaguje na naszą obecność.

— Nie wolno wam tu przebywać. — Jeden z kucharzy podchodzi bliżej, celując w nas nożem, którym akurat coś kroił. — Kto was tu wpuścił? To pomieszczenia dla personelu...

Ignoruję jego słowa, wyciągam z torebki komórkę i pokazuję facetowi zdjęcie Freemonta i Zachary'ego Scotta. Wskazuję Darrena palcem.

— Znasz go?

Facet marszczy brwi.

— To chyba nowy kelner...

— Przechodził tędy? — Kiedy nie odpowiada, ze zniecierpliwieniem dodaję: — Jestem prywatnym detektywem. Pomóż mi, potrzebuję tylko tej jednej informacji i już nas nie ma.

— Był tu przed chwilą — przyznaje w końcu. — Chyba wyszedł...

— Jest tu jakieś tylne wyjście?

Pokazuje nam kierunek, idziemy więc w tamtą stronę. Ignoruję kolejne krzyki pracowników restauracji, wychodzę wraz z Arthurem do kolejnego korytarza i po chwili trafiamy na tylne drzwi.

Na zewnątrz jest już ciemno. Wyskakuję na boczną uliczkę. Wyjść można tylko w jedną stronę, ku Strip, ciągnę więc tam wyjątkowo milczącego i zgodnego Arthura. Oglądam się na niego, gdy słyszę jego głos. Uświadamiam sobie, że rozmawia przez telefon z ochroniarzem, każąc mu podstawić samochód pod główne wejście do restauracji.

Na Strip jest tłoczno, jak zwykle o tej porze, i przez chwilę wydaje mi się niemożliwe, żebyśmy byli w stanie dostrzec Freemonta. Staję na palcach i rozglądam się dookoła, aż wreszcie udaje mi się dostrzec mężczyznę, który z tyłu wygląda jak Darren. Nie zważając na Arthura, zaczynam przeciskać się we właściwym kierunku, starając się nie stracić tej osoby z oczu. Mężczyzna na moment mi znika z oczu, ale okazuje się, że skręcił na parking przy restauracji; pewnie znajduje się tam jego samochód.

— Chodź. — Arthur chwyta mnie za ramię i ciągnie w przeciwną stronę, ku ulicy. Próbuję się oswobodzić.

— Ale...

— Chcesz go ścigać na piechotę? — irytuje się. — Zaczekamy przy krawężniku.

Dopiero wtedy dostrzegam, że jeden z jego ludzi zaparkował znajomego maybacha praktycznie na chodniku, zupełnie nie zwracając uwagi na niezadowolenie przechodniów. Wsiada ze środka i rzuca Arthurowi kluczyki, które ten łapie bez trudu. Następnie Arthur otwiera mi przednie drzwi po stronie pasażera i spogląda na mnie znacząco.

— Może ja poprowadzę? — proponuję niewinnie.

Arthur przewraca oczami.

— Wsiadaj, zanim się rozmyślę i pojedę śledzić tego człowieka bez ciebie.

Nie próbuję więcej się stawiać, tylko posłusznie zajmuję fotel pasażera, a Arthur obchodzi samochód dookoła i wsiada za kółko. Niemal w tej samej chwili z parkingu pędem wyjeżdża czarny mercedes i włącza się do ruchu, nie zważając na to, czy nie zajeżdża komuś drogi, przez co zarabia kilka ostrzegawczych klaksonów. Przez sekundę miga mi w środku twarz Freemonta.

Arthur klnie i też zjeżdża na ulicę, starając się nadażyć za mercedesem. Nie jest to trudne, bo po Strip nie można pędzić jak wariat — Freemont wkrótce musi się zatrzymać w długiej kolejce do najbliższych świateł. Stajemy dwa samochody dalej, na sąsiednim pasie. Arthur spogląda na mnie z rozdrażnieniem.

— Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle się na to zgodziłem.

— Bo mnie uwielbiasz — odpowiadam beczelnie. — Niczego mi nie odmówisz.

— Żebyś się kiedyś nie zdziwiła — warczy.

— Przecież nie mogliśmy wziąć ze sobą twoich ludzi — protestuję.

— Co, mieliby jechać za nami kolejnym samochodem? Chciałbyś stworzyć konwój na ulicach Las Vegas?

Arthur kręci z niedowierzaniem głową, ruszając spod świateł. Oboje pilnujemy, żeby Darren Freemont nie zniknął nam z oczu.

— Przecież w ogóle nie o to chodzi, Ever — zaprzecza spokojnie.

— Cały czas daję ci się namawiać na jakieś głupie pomysły. Śledzenie faceta, który może być jakoś powiązany z morderstwem mojej żony, to tylko czubek góry lodowej.

— Myślałam, że kropla, która przelała czarę goryczy — mamroczę.

Arthur posyła mi spojrzenie znad kierownicy.

— Obawiam się, że w twoim przypadku tej czary nie da się przelać.

Uśmiecham się na te słowa, lecz Arthur pozostaje poważny, gdy spogląda znowu na drogę; wręcz mam wrażenie, że jest zafrasowany, tak ma zmarszczone czoło. Wydaje mi się, że nie podoba mu się perspektywa, że miałby mi pozwalać na wszystko.

Zastanawiam się również, czy on tak do końca przemyślał konsekwencje związku ze mną. Jestem jego słabością, odkryłam to już jakiś czas temu. Gdyby nie ja, pewnie rzeczywiście nie przyszedłoby mu do głowy osobiście ścigać jakiegoś faceta ulicami Vegas. Raczej nie wywoływałby

też strzelaniny na podmiejskim osiedlu. Nie ryzykowałby życia w wybuchach bomb w pokojach hotelowych.

Nie twierdzę, że beze mnie Arthur nie byłby narażony na niebezpieczeństwa, bo z pewnością tak właśnie jest — świadczy o tym choćby eksplozja w Camelocie, która nie miała ze mną nic wspólnego. Jednak gdyby nie ja, Arthur w wielu sytuacjach załatwiałby swoje sprawy przez ochroniarzy i pracowników. Boi się o mnie i chce się osobiście o mnie troszczyć, więc skoro ja się narażam, to on także musi.

Zaskakująco mocno nie podoba mi się ta myśl. Nie chcę, żeby przeze mnie coś mu się stało.

Wiem, że czasami zachowuję się, jakbym nie miała instynktu samozachowawczego. Wprowadzam w życie wymyślone na poczekaniu plany, nikogo o nich nie informując. Jestem w gorącej wodzie kąpana i rzadko kiedy zatrzymuję się, żeby przeanalizować sytuację. Arthur taki nie jest — a ja zmuszam go do takich właśnie zachowań. Na pewno nie czuje się z tym dobrze, ale raczej nie widzi innego wyjścia, jak tylko uczestniczyć w tych moich idiotycznych planach. Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Nie odpowiadam na jego uwagę, skupiając się na jadącym cały czas na północ samochodzie Freemonta. Arthur zjeżdża na lewy pas, żeby znaleźć się na tym samym co mercedes, i nie próbuje zmniejszać dystansu, co jest bardzo rozsądnym posunięciem. Nie chcemy przecież, żeby Freemont zorientował się, że jest śledzony.

— Jak myślisz, co przekazał Scottowi przy kolacji? — zastanawiam się w pewnej chwili.

Arthur wzrusza ramionami.

— Może jakieś wytyczne do prowadzenia śledztwa? Jeśli dobrze kombinujemy i rzeczywiście ten pies pracuje dla mordercy, to pewnie robi wszystko, żeby nie wykryto sprawców.

Jeśli Arthur ma na myśli sprzedajnego policjanta, to tym określeniem obraża całą psią rasę.

Opuszczamy centrum. Staje się to dla mnie jasne już po kilkunastu minutach, gdy przejeżdżamy Strip na północ, skręcając nieco po drodze na wschód. Las Vegas Boulevard ciągnie się między rzedniejącymi powoli budynkami aż do miejsca, gdzie za oknami samochodu rozciągają się tylko rozświetlone światłem księżyca jasne piaski pustyni; zaraz potem jednak wzdłuż drogi pojawiają się kolejne zabudowania.

Ruch się zmniejsza i nie ma już buforu między nami a mercedesem w postaci innych samochodów. Arthur stara się jednak zachowywać dystans, żeby Freemont w niczym się nie połapał. Kiedy w końcu mercedes skręca w jedną z bocznych ulic, powoli podążamy za nim, mając nadzieję, że pozostaniemy niezauważeni.

Freemont nie jedzie daleko: po obu stronach ulicy stoją okazałe domy, a on zatrzymuje się przy jednym z nich, położonym nieco głębiej na działce, ogrodzonym żywopłotem i dzięki temu nieco odosobnionym. Arthur przejeżdża obok i jedzie dalej ulicą, przez co na chwilę tracimy nasz obiekt z pola widzenia.

— Chcesz zaparkować trochę dalej? — pytam.

Arthur kręci głową.

— Nie, tylko przejadę kawałek, zawrócę i zatrzymam się gdzieś bliżej. Nie wiemy, co czeka nas w środku. Wolałbym mieć samochód pod ręką na wypadek, gdybyśmy potrzebowali szybko się stamtąd ulotnić.

Przytakuję, bo uważam, że ma rację. Czekam cierpliwie, aż Arthur znajdzie dogodne miejsce, by zawrócić, po czym staje naprzeciwko interesującego nas domu, pod sąsiednią posesją. Wyłącza silnik i spogląda na mnie.

— Co teraz?

Unoszę brwi.

— Mnie o to pytasz?

— To ty jesteś prywatnym detektywem — stwierdza. — Więc powiedz mi, co zazwyczaj robi się w takich sytuacjach.

Ten facet czasami jest kompletnie rozbijający. A najgorsze, że zachowuje się tak celowo. Mówi mi o tym jego złośliwy uśmiezek.

— No cóż, możemy tu posiedzieć i zaczekać, żeby zobaczyć, co się wydarzy — proponuję. — Dzięki temu zorientujemy się na przykład, kto mieszka w tym domu, do kogo przyjechał Freemont, a więc może także dla kogo pracuje. Siedzenie na czatach to częsta i bardzo monotonna praca detektywa.

— Albo? — Ciągnie mnie za język, kiedy zawieszam głos.

— Albo możemy sami rozejrzeć się po okolicy — dokańczam. — Wejść do środka i zorientować się w sytuacji.

— To niebezpieczne — przypomina mi.

Prycham z lekceważeniem.

— Ja jestem niebezpieczna. Przygotowałam się na tę okoliczność i wzięłam broń.

— Pomijając już fakt, że nie miałem pojęcia, że masz własną broń — komentuje Arthur dziwnie spokojnie — to zastanów się przez chwilę. Chcesz wtargnąć komuś na posesję i jeszcze grozić mu bronią? Ktokolwiek tam mieszka, będzie miał pełne prawo wystrzelać nas jak kaczki.

— Jak na gangstera myślisz zaskakująco praworzadnie. — Marszczę brwi. — Chyba mnie okłamujesz.

— Po prostu myślę rozsądnie. — Wyjmuje telefon. — Dlatego teraz też zrobię coś rozsądnego. Zadzwońię po moich ludzi i wejdziemy do środka z obstawą. Wszystkiego się dowiemy...

Otwieram drzwi i wyskakuję z samochodu.

— Jeśli chcesz, możesz czekać na swoich ludzi — rzucam, pochylając się, żeby zajrzeć do maybacha przez okno. — Ja zamierzam się tutaj rozejrzeć.

Trzaskam drzwiami i obchodzę samochód, nie zważając na krzyki Arthura, który każe mi się zatrzymać. Przerzucam sobie przez głowę ramiączko torebki, żeby nie wypadła podczas akcji, po czym przebiegam przez ulicę. Ledwie zdążam dotrzeć na drugą stronę, gdy Arthur chwytamnie za ramię i obraca do siebie, równocześnie kładąc mi dłoń na plecach i przyciągając mnie bliżej.

— Co ty wyprawiasz? — syczy, wyraźnie wyprowadzony z równowagi.

Szarpię się kontrolnie, ale oczywiście mnie nie puszcza. Ten facet ma uścisk jak ze stali.

— Już ci mówiłam. Idę się rozejrzeć. — Obdarzam go możliwie najbardziej niewinnym spojrzeniem. Arthur prychnie z irytacją.

— A ja ci mówiłem ci, że zaczekamy na moich ludzi.

— Ty zaczekasz na swoich ludzi — poprawiam go. — Ja nie będę ryzykować, że ktoś nam w tym czasie zwieje. Idę się rozejrzeć. Zostań tu i poczekaj na wsparcie.

— Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że się na to zgodzę.

On się jeszcze tego nie nauczył? Nie potrzebuję do niczego jego zgody.

— Poradzę sobie — zapewniam go protekcyjnie. — To tylko jeden facet.

— Nie masz pojęcia, kto jest w środku. Może cała jebana armia.

No dobrze, wiem, że ma rację. Co nie oznacza, że chcę to przyznać albo zmienić plany.

— Tylko zajrzę — obiecuję. — Nawet się nie obejrzysz, a będę z powrotem.

Kiedy próbuję się odsunąć, Arthur chwyta mnie mocno za nadgarstek.

— Idę z tobą.

— Co? — Marszczę czoło. — Nie, lepiej nie. Jestem drobna, prędzej umknę czyjemuś wzrokowi sama niż z tobą. Raczej rzucasz się w oczy.

— Albo bierzesz mnie ze sobą, albo czekasz ze mną na moich ludzi. Doceń, że daję ci wybór.

Waham się. Wolałabym wejść do domu sama, bo obawiam się, że Arthur na każdym kroku będzie próbował mnie stopować. Z drugiej strony nie potrzebuję awantury na środku ulicy, zwłaszcza pod domem obiektu, który śledzę. Za chwilę ktoś nas zauważy, mimo że zapadł już zmrok, i nici z naszej konspiracji. Stracimy element zaskoczenia.

— Dobra — decyduję w końcu niechętnie. — Chodź. Tylko bądź cicho i staraj się być... mniejszy.

— Czy ty poważnie właśnie mi rozkazujesz? — pyta uprzejmie, na co przewracam oczami i nie odpowiadam.

Może rozkazywanie komuś takiemu jak Arthur Ashbourne rzeczywiście nie jest najlepszym pomysłem, ale nic na to nie poradzę, to silniejsze ode mnie.

Posesja nie ma ogrodzenia — jest oddzielona od sąsiednich domów i od ulicy rzędem gęsto posadzonych cyprysów. Przedostają się przez nie na drugą stronę, by dostrzec stojący w głębi piętrowy dom i kilka palm na trawniku pomiędzy nim a nami. Zapadł już zmrok, a my mamy na sobie ciemne ubrania, ale i tak czuję się kiepsko ze świadomością, że łatwo będzie nas można dostrzec, gdy spróbujemy podejść bliżej domu.

— Czy teraz możemy już wracać? — pyta zirytowany Arthur, ja jednak pochylam się nieco i biegnę do najbliższej palmy.

Jej pień jest za cienki, żeby się za nim schować, ale przynajmniej częściowo mnie zasłania. Słyszę za sobą przekleństwo Arthura, a po chwili także jego kroki, co pozwala mi przypuszczać, że nie zdecydował się zostawić mnie samej.

To miłe z jego strony.

Mam ochotę zrzucić szpilki, bo bardzo mi przeszkadzają, obawiam się jednak, że mogę trafić na przeszkody, które trudniej będzie mi pokonać boso. Przemykam więc możliwie szybko do kolejnej palmy, a od niej pod ścianę domu. Opieram się o nią plecami i czekam, aż dołączy do mnie Arthur.

Jak na tak dużego mężczyznę porusza się zaskakująco zwinnie, co właściwie nie powinno mnie już dziwić — w końcu obserwuję go od jakiegoś czasu — a jednak nadal jestem pod wrażeniem, jak bardzo wtapia się w mrok. Kiedy w końcu staje obok, obrzuca mnie rozwścieczonym spojrzeniem.

— Pożałujesz tego, jak już wrócimy do domu — informuje mnie lekko tylko drżącym z gniewu głosem.

Dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa i sama nie wiem, czy bardziej się tego obawiam, czy nie mogę się doczekać.

— Mam nadzieję — odpowiadam, po czym nie czekając na ripostę, ruszam przed siebie.

Docieram do pierwszego okna; jest zamknięte na głucho, a w środku nie świeci się światło. Na wszelki wypadek pochylam się i idę dalej, tylko raz oglądając się na podążającego w moje ślady Arthura. Kto wie, może naprawdę nadszarpuję właśnie jego cierpliwość. Może się okazać, że ta czara jednak się w końcu przeleje.

Przy następnym oknie mamy więcej szczęścia. Jest otwarte, a w środku również nie świeci się światło, co pozwala sugerować, że wewnątrz jest puste. Odwracam się, by spojrzeć na Arthura.

— Zamierzasz tam wejść, prawda? — pyta z rezygnacją. Kiwam głową. — Odwróć się, podsadzę cię.

Dziwię się, że pomaga mi z własnej woli, ale dochodzę do wniosku, że trzeba to wykorzystać. Podciągam się na parapecie, po czym pozwalam mu chwycić mnie za tyłek — oczywiście — i wywindować wyżej, aż bez problemu mogę przełożyć nogi na drugą stronę, do środka. Łąduję miękko na podłodze, od razu kucając, na wypadek gdyby miał mnie dostrzec ktoś niepożądany.

Odsuwam się na bok i robię miejsce Arthurowi, który wchodzi do środka za mną. Potrzebuję chwili, żeby wzrok przyzwyczał mi się do ciemności, i wkrótce zaczynam rozpoznawać zarysy mebli. Znajdujemy się w czymś w rodzaju gabinetu, sądząc po biurku stojącym na środku pomieszczenia i regałach z książkami pod jedną ze ścian.

— Co teraz? — pyta Arthur przyciszonym głosem. Spoglądam w stronę drzwi. — Ktoś nas w końcu złapie.

— Na szczęście twoi ludzie już jadą z odsieczą — odpowiadam podobnym tonem, po czym podchodzę do drzwi i wyglądam na korytarz.

Wymuję również z torebki pistolet, ale broń okazuje się niepotrzebna, bo pomieszczenie jest puste. Zanim wyjdę z pokoju, Arthur przytrzymuje mnie za ramię.

— Pójdę pierwszy.

Potrząsam głową.

— Ja to wymyśliłam i ja biorę za to odpowiedzialność. Idę pierwsza.

— Jestem silniejszy i lepiej poradzę sobie z ewentualnym przeciwnikiem — odpowiada uparcie. — Idę pierwszy.

Chryste, jak z dzieckiem. Odsuwam się więc i z szyderczym uśmiechem wskazuję mu drzwi.

— W takim razie prowadź.

Arthur spogląda na mnie surowo i również wyciąga pistolet, po czym wychodzi na korytarz.

Mam wrażenie, że to nie skończy się dobrze.

Rozdział 30

Korytarz jest długi i pusty. Idziemy przed siebie w ciszy, nie słyszę żadnych odgłosów wydawanych przez ewentualnych lokatorów. W całym pomieszczeniu panuje półmrok tak samo jak w gabinecie, który zostawiliśmy za sobą, i zaczynam się zastanawiać, czy Darren Freemont rzeczywiście gdzieś tu jest. Może zauważył, że go śledzimy, i wymknął się z domu, zanim się zorientowaliśmy, zastawiając na nas pułapkę?

Odsuwam od siebie te myśli, gdy docieramy do kolejnych drzwi, prowadzących do salonu i jadalni. Wszędzie jest zbyt cicho i zaczynam się naprawdę niepokoić. Wiem, że coś jest nie w porządku.

W następnej chwili okazuje się, że mam rację.

Właściwie spodziewam się ataku, gdy wreszcie nadchodzi. Dwaj mężczyźni wybiegają z pomieszczenia za nami; początkowo widzę tylko poruszające się w ciemności cienie i nie reaguję wystarczająco szybko. Uchylam się w ostatnim momencie, gdy spada na mnie czyjaś pięść, nie udaje mi się jednak uniknąć uderzenia w żołądek, od którego zginam się wpół. Krzyczę ostrzegawczo, ale kiedy zerkam w stronę Arthura, stwierdzam, że jest już zajęty własną walką.

Nie wiem nawet, ilu ludzi na niego napadło; chwila nieuwagi wystarcza, by jeden z bandytów chwycił mnie wpół i uderzył o ścianę tak mocno, że powietrze uchodzi mi z płuc. Pistolet wypada mi z ręki; walę na oślep, gdzieś w twarz mężczyzny, próbując się uwolnić, a on odpowiada, chwytając mnie za głowę i uderzając nią w ścianę.

Ból na chwilę mnie oślepia i kiedy odzyskuję świadomość, siedzę na podłodze pod ścianą, a w głowie mi się kręci; cała pulsuje, jakby mózg chciał mi uciec z czaszki. Zalewa nas mocne światło, gdy ktoś włącza lampy w przedpokoju, po czym mocna ręka chwytając mnie za włosy, zmuszając do podniesienia się. Krzyczę i próbuję się oswobodzić, nie

kontaktuję jednak za bardzo; karuzela w głowie nie chce się zatrzymać i robi mi się niedobrze.

— Ej! — krzyczy ktoś tuż obok mojego ucha. — Poddaj się albo zrobimy twojej suczce dodatkową dziurkę!

Zamieram, czując na szyi lufę pistoletu.

Kurwa.

Arthur zatrzymuje się i patrzy w moją stronę; na moment nasze spojrzenia się spotykają i widzę, że jest przerażony. Ma dziki wzrok, gdy zaczyna się rozglądać dookoła, jakby oceniał sytuację. Wydaje z siebie jęk, kiedy trzymający mnie napastnik ciągnie mocniej za moje włosy, aż muszę odchylić głowę. Lufa pistoletu przesuwana się po mojej szyi, a męczyczna niemal obejmuje mnie ramieniem.

— No już, rzuć broń — mówi do wahającego się Arthura. — Chyba że chcesz zobaczyć, jak się krztusi własną krwią.

Serce wali mi jak szalone. Kilkukrotnie w moim życiu znajdowałam się w sytuacji, gdy ktoś celował do mnie z broni palnej, ale chyba nigdy wcześniej z takiej odległości. Nie mam zresztą głowy do zastanawiania się nad tym, bo facet trzyma mnie naprawdę mocno i w dodatku jego palec leży na spuście odbezpieczonego pistoletu.

Arthur podnosi ręce i ostrożnie odkłada broń, nie spuszczając ze mnie wzroku. Chcę coś powiedzieć, ale w następnej chwili drab za nim wali go mocno kolbą w potylicę, aż Ashbourne pada na podłogę.

A potem czuję kolejne uderzenie w głowę i też tracę przytomność.

Kiedy ponownie się budzę, głowa pęka mi z bólu, mam zeszywniały kark i jest mi niedobrze. A także niewygodnie.

Potrzebuję sekundy, by się zorientować, że siedzę na twardej podłodze, oparta o coś plecami, z rękami związanymi z tyłu. Nogi także mam unieruchomione. Szarpię się i jęczę, kiedy głowa odpowiada ostrym bólem.

— Masz jeszcze jakieś genialne pomysły? — Słyszę za sobą wściekły głos Arthura.

Zamieram, po czym ostrożnie spoglądam przez ramię. Siedzi na podłodze odwrócony do mnie plecami i to o niego się opieram. Chyba mamy związane razem ręce.

— Nic ci nie jest? — pytam odruchowo.

Arthur prycha.

— Poza tym, że kurewsko boli mnie głowa, to nic. Dlaczego właściwie cię posłuchałem, zamiast przerzucić cię przez ramię i wsadzić z powrotem do samochodu?

— Bo nie jesteś jaskiniowcem i wiesz, że przerzucanie mnie przez ramię może się kiedyś źle skończyć? — podsuwam z furią. — Trzeba było nie rzucać broni. Równie dobrze mogli mnie zabić i miałbyś święty spokój.

Czuje, jak Arthur szarpie się, ale nic to nie daje; w pokoju, w którym się znajdujemy — to jakaś sypialnia — świeci się wysoka lampa i w jej świetle widzę, że nogi mam związane srebrną taśmą, więc zapewne tak samo skrupowano nam ręce. Łatwo jej nie zerwiemy. Srebrna taśma jest równie wytrzymała co karaluchy.

— Co się z tobą dzieje?! — Sądząc po jego tonie, naprawdę wyprowadziłam go z równowagi. — Masz jakieś życzenie śmierci czy jak? Mówiłem, żebyśmy poczekali na moich ludzi!

— Dobra, miałeś rację — przyznaję z irytacją, czym na chwilę zamykam mu usta.

Wydaje mi się, że w nagle zapadłej w pokoju ciszy słyszę jakieś dźwięki dobiegające z zewnątrz, ale może mi się tylko wydaje. Dlaczego od razu nas nie zabili? Czy znowu chodzi im o zdjęcia?

Nic z tego nie rozumiem.

— Możesz powtórzyć? — pyta uprzejmie Arthur. — Dostałem dosyć mocno w głowę i chyba przez to się przesłyszałem.

— Nie sądzę, żeby przy uderzeniu w głowę uszkodzili ci słuch — protestuję z przekąsem. — Jest z nim wszystko w porządku. Powiedziałam, że miałeś rację.

— Że też nie mam komórki, żeby to nagrać i ustawić jako dzwonek, kiedy będziesz do mnie dzwonić.

Nie mogę się opanować: parskam śmiechem, który odbija się falą bólu w mojej głowie.

— Nie rozśmieszaj mnie.

— To wcale nie miało być śmieszne! Gdybyś przed tą całą akcją stwierdziła, że mogę mieć rację, nie znajdowalibyśmy się teraz w tej sytuacji.

— Mogłeś ze mną nie iść — pryham. — Wtedy znalazłabym się w tej sytuacji bez ciebie i przynajmniej nie musiałabym słuchać twojego zarządzenia.

— I myślisz, że dla mnie to byłoby lepsze wyjście?

Przewracam oczami, bo od tego przynajmniej nic mnie nie boli. Spoglądam po sobie: nigdzie nie widzę torebki, a więc przepadła nie tylko moja broń, ale też komórka i kastet. Co oczywiście i tak by mi się nie przydało, póki wciąż jesteśmy skrępowani.

— W lewej kieszeni spodni mam ukryty scyzoryk — mówi Arthur. — Zabrali mi marynarkę, w której noszę telefon, ale istnieje szansa, że nie przeszukali mnie zbyt dokładnie. Jesteś w stanie sięgnąć mi do kieszeni?

Przynajmniej on myśli perspektywicznie.

— To nie będzie proste, ale spróbuję — mamrocze. — Musisz mi pomóc. Jesteśmy związani ze sobą.

— Wiem o tym nie od dzisiaj — mruczy, a ja powstrzymuję uśmiech. To chyba nie jest odpowiednia sytuacja, żeby się uśmiechać, prawda?

Manewruję prawą ręką, usiłując dostać się do kieszeni jego spodni. To dość bolesne, a sądząc po syku Arthura, dla niego też nie jest to miłe. W końcu udaje mi się dosięgnąć brzegu kieszeni, przysuwam się jeszcze bliżej mężczyzny, żeby włożyć palce głębiej, a po chwili natrafiam na podłużny, niewielki, gładki przedmiot.

Przez kilka sekund dotykam go tylko opuszkami palców, w końcu Arthur podnosi nieco nogę, dzięki czemu scyzoryk przesuwam się bliżej brzegu kieszeni i mogę wreszcie go złapać.

Prawie wypuszczam go z dłoni, ale udaje mi się go utrzymać i po chwili ostrożnie otworzyć. Nic nie widzę, dlatego waham się, zanim zrobię pierwsze nacięcie.

— Mogę cię przez przypadek zranic — mówię.

Arthur wzdycha niecierpliwie.

— O ile nie odetniesz mi palca, przeżyję. Po prostu to zrób.

Poruszam przez chwilę ostrzem, próbując znaleźć najlepsze ułożenie, żeby rozciąć taśmę, i wtedy właśnie słyszę na korytarzu kroki, wyraźnie przybliżające się do pomieszczenia, w którym się znajdujemy. Zamieramy oboje na moment. W następnej chwili drzwi otwierają się, a w progu staje Darren Freemont.

Czy jak tam on się naprawdę nazywa.

— No witam — mówi, uśmiechając się drwiąco. — Nie mogliście się powstrzymać, co?

— To ona — odpowiada natychmiast Arthur, na co podnoszę oczy do nieba. Staram się, żeby od wejścia nie było widać scyzoryka w moich

rękach, i Arthur podobnie: przesuwa się nieco, siadając tak, żeby nieco zasłonić nasze ręce. — Ja wcale nie chciałem się tu włamywać.

— Teraz się zastanawiaj, czy to dlatego, że masz więcej oleju w głowie ode mnie, czy dlatego, że przywykłeś, że wszystko robią za ciebie twoi podwładni — prychem.

Darren Freemont posyła mi niezadowolone spojrzenie.

— Słuchajcie, pokłóćcie się później, jeśli będziecie mieć okazję. Chwilowo jesteście nam jeszcze potrzebni żywi.

— Chwilowo? — podchwytyję.

Freemont rozkłada ręce.

— Nie pytaj, to nie moja decyzja. Ja tu tylko wykonuję czarną robotę — odpowiada obronnie. — Myśleliście, że się nie zorientuję, że mnie śledzicie? Od razu zadzwoniłem do szefowej, która kazała was tu zwabić. Czy wy nigdy nie myślicie?

Jestem pewna, że gdyby Arthur mógł to zrobić, właśnie patrzyłby na mnie z politowaniem. No trudno. Wyraźnie mam problem z Darrenem Freemontem, skoro drugi raz w ciągu tej krótkiej znajomości dają mu się podpuścić.

— Ja...

— Tak, wiem — z irytacją wchodzi Arthurowi w słowo. — Ty byś tu nie wszedł, gdybym nie nalegała. Zrozumiałam za pierwszym razem. To ja z naszej dwójki nie myślę.

— Jesteście naprawdę uroczy — komentuje Freemont, przyglądając nam się dziwnie. — Dobra, słuchajcie. Szefowa już tu jest i zaraz przyjdzie, żeby z wami pogadać, zanim to wszystko się skończy. Uważa, że jest ci to winna. — Przy ostatnich słowach wskazuje głową Arthura.

Przypominam sobie, że przecież o tym mówił Cole — że przetrzymujący go ludzie kontaktowali się właśnie z kobietą, nie z mężczyzną. Potem odwracam się do Arthura na tyle, na ile mogę, i marszczę brwi.

— Winna? — powtarzam z oburzeniem. — Znasz ją? Wiesz, kto chce nas zabić?

— Na litość boską, gdybym wiedział, nie byłoby mnie tutaj — odpowiada Arthur z irytacją, po czym zwraca się do Freemonta: — Czy mógłbyś wyrażać się nieco jaśniej, człowieku?

— Ona za chwilę to zrobi. — Mężczyzna cofa się nieco, jakby nie chciał dłużej przebywać w naszej obecności. I nawet mnie to nie dziwi. — To nic osobistego, panno Chance — dodaje, patrząc na mnie. — Miałem

zatrudnić najlepszego detektywa w mieście, a słyszałem o pani dużo dobrego. Właściwie to panią podziwiam. Przykro mi, że tak się to skończyło. Nie miała pani ucierpieć.

— Ach tak? — dziwię się. — Może trzeba to było powiedzieć tym ludziom, którzy kilkakrotnie usiłowali mnie zabić?!

— Sytuacja była dynamiczna — odpowiada obcy kobiecy głos zza pleców mężczyzny.

Arthur zamiera nagle, a ja domyślam się, że od razu ją rozpoznał. Ponieważ na mnie ten głos nie robi wrażenia, zaczynam jeszcze mocniej pracować szczyrzykiem, żeby jak najszybciej nas uwolnić. Adrenalina przepływająca mi przez żyły sprawia, że chwilowo zapominam o bólu głowy.

Freemont odsuwa się, a zza niego wychodzi kobieta, robiąc dwa kroki w naszym kierunku. Uświadamiam sobie, że oto mam przed sobą osobę, która zabiła żonę Arthura i wynajęła mnie, żebym uwieczniła to w aparacie.

A potem...

Potem wreszcie spoglądam w jej twarz i uświadamiam sobie, że ja też ją znam. Blondynka po trzydziestce, wysoka, szczupła, ubrana w elegancką czarną sukienkę i szpilki. To niemożliwe.

— Alice?! — pyta z niedowierzaniem Arthur. — Jak... Przecież ty nie żyjesz... Oglądałem zdjęcia i Ever na własne oczy widziała...

— Och, oczywiście, że tak. — Kobieta wchodzi głębiej do pokoju, przyglądając nam się drwiąco. Kładzie pięści na biodrach i potrząsa głową. — Chciałbyś, żebym była martwa, co?

— Oszalałaś?! — Jego ostry ton sprawia, że przechodzą mnie ciarki. — Co to wszystko ma znaczyć? Szukałem twoich morderców, do kurwy nędzy! Wypuść nas w tej chwili!

Kobieta robi jeszcze jeden krok w naszą stronę i kuca. Nadal wpatruję się w nią bez słowa, nie wierząc w to, co widzę. Mam wrażenie, jakbym zobaczyła ducha. Żona Arthura żyje. A przecież widziałam, jak umiera! Widziałam, jak ją zabili!

Jak to w ogóle możliwe?!

— Przykro mi, ale nie mogę. — Alice robi smutną minę, w której szczerze absolutnie nie wierzę. — Przyznaję, że cała ta sprawa wymknęła się spod kontroli i muszę zakończyć ją inaczej, niż początkowo planowałam. Ale trudno, jestem elastyczna. Pewnie wiesz coś o tym — dodaje, mrugając do Arthura.

Gdybym mogła, pewnie w tej chwili walnęłabym oboje. A podobno nic między nimi nie było?!

— Alice, to nie są żarty — mówi surowo Arthur. — Wypuść nas w tej chwili. Nie wiem, w co grasz, ale...

— Musiałam zniknąć, Ash — przerywa mu. — Jestem winna Torresowi kupę pieniędzy. Myślisz, że jak załatwiają sprawy tacy jak on? Nie czułam się bezpieczna we własnym domu. Musiałam coś wymyślić.

— I postanowiłaś sfingować własną śmierć? — dodaje niedowierzająco Arthur.

Alice wzdycha.

— To miało być tylko tymczasowe — wyznaje. — Wiedziałam, że jeśli zginę, Torres zwróci się do ciebie. Miałam nadzieję, że załatwisz to z nim... a ja pojawię się ponownie za jakiś czas, bezpieczna, i powiem, że cudem ocalałam.

— A jak właściwie ocalałaś, co? — wtrącam pytanie. — Widziałam, jak zginęłaś.

— Nie. Widziałaś to, co chciałam, żebyś zobaczyła — odpowiada Alice, zwracając się ku mnie. — Miałas być świadkiem. Poprosiłam mojego człowieka o znalezienie najlepszego prywatnego detektywa, żeby wszyscy uwierzyli jego słowom. I udałoby się, gdyby nie ci partacze, których zatrudniłam. Strzelali ślepakami, mieli strzelać w pierś, bo tam ukryliśmy szaszetki ze sztuczną krwią. Tyle że...

— Tyle że strzelili twojemu kochankowi w głowę — wchodzę jej w słowo, przypominając sobie zdjęcia, na których coś mi nie grało. Teraz już wiedziałam, dlaczego wokół głowy nie było krwi; ta widoczna na zdjęciach musiała być sztuczna. Napastnicy się pomylili, a ja byłam tego jedynym świadkiem i wcześniej się nie zorientowałam.

Alice przytakuje z niezadowolaniem.

— Kurwa, jak można być tak głupim? Wiedziałam, że prędzej czy później to odkryjesz. Nie mogłam zostawić świadka przy życiu. Więc uznałam, że odzyskam zdjęcia i sama przekażę Arthurowi te, które nie sugerują żadnej fuszerki, a ciebie zlikwiduję. Niestety za szybko się z nim dogadałaś i to znowu stało się dla mnie problemem.

Próbuję sobie to wszystko ułożyć w głowie, ale to trudne. Żona Arthura sfingowała własną śmierć, żeby uciec przed długami u jakiegoś narkotykowego bossa. W dodatku wykorzystwała mnie jako świadka całego zajścia!

Powinam była się domyślić, przemyka mi przez głowę. Od dawna przecież podejrzewałam, że to wszystko nie było zbiegiem okoliczności. Nie znalazłam się przypadkiem na Glenview Drive i to nie był przypadek, że przez okna w sypialni kochanka Alice wszystko tak dobrze było widać. Ona od początku tego właśnie chciała.

Powstrzymuję syknięcie, gdy scyzoryk ociera się o moją skórę; robię ostatnie nacięcie i taśma puszcza, a my mamy wolne ręce. Żadne z nas jednak nie rusza się z miejsca: nadal mamy skrepowane nogi, a oni z pewnością dysponują bronią, którą mogliby natychmiast zakończyć nasze życia. Nie mam ochoty się o tym przekonywać.

— Przecież nie było ciał, na których można by przeprowadzić sekcję — protestuję, próbując zyskać na czasie, żeby zastanowić się, co robić dalej. — Skoro przeżyliście...

— Mam dobre układy z komendantem. — Alice uśmiecha się krzywo. — Jego siostrzeniec prawidłowo kieruje całą sprawą. Za odpowiednie pieniądze można kupić wszystko, nawet milczenie policji i raport z autopsji.

No tak, Zachary Scott rzeczywiście jest opłacany przez mordercę. Tylko że nie ma mordercy, jest raczej twórca jakiegoś idiotycznego przedstawienia, który kilkakrotnie usiłował pozbawić mnie życia.

— I co teraz? — pyta Arthur ze złością. — Zamierzasz się ujawnić? Powiedzieć prawdę? Bo chyba nie sądzisz, że będę milczał...

— Ależ oczywiście, że będziesz, mój drogi — odpowiada Alice słodko. — Kiedy policja znajdzie wasze ciała, dojdzie do wniosku, że zabiłeś pannę Chance, bo miała dowody na to, że stoisz za zamordowaniem mnie, ale ona przed śmiercią zdołała cię zranić. W odpowiedniej chwili się ujawnię, mówiąc, że ukrywałam się przed tobą, bo próbowałeś pozbawić mnie życia, a kiedy już jako twoja żona odziedziczę cały twój majątek, spłacę Torresa. To świetny plan, nie uważasz?

Nie wiem jak Arthur, ale ja wcale tak nie uważam.

— Więc dlaczego nas jeszcze nie zabiłaś? — pyta Arthur spokojnie. Alice wzrusza ramionami.

— Współpracowaliśmy tyle lat, Ash. Pomyślałam, że należy ci się chociaż wyjaśnienie, zanim cię zabiję. No i przyznaję, że cała sytuacja trochę spadła mi z nieba, więc dopiero zastanawiam się, jak najlepiej upozorować waszą śmierć, żeby wyszło prawdopodobnie. Jakies sugestie?

Kiedy oboje milczymy, Alice się śmieje i wstaje, po czym spogląda na nas z góry.

— No dobrze, dzieciaczki, to wy sobie tu jeszcze chwilę posiedźcie, a ja wszystko przygotuję razem z moimi ludźmi. Tym razem chcemy, by obyło się bez wpadek, prawda?

Wychodzi, a za nią Freemont, zostawiając nas samych. Nie mam pojęcia, co na to Arthur, ale ja jestem po prostu wściekła. Dałam się wystrychnąć na dudka i nie zorientowałam się, o co w tym wszystkim chodzi, zanim nie było za późno. To takie nie w moim stylu!

A Arthur nie pomaga mi w pogodzeniu się z tym, pytając z przekąsem:

— Rozwiązałaś tę jebaną zagadkę. Zadowolona?

Rozdział 31

Potrzebuję chwili, by krew napłynęła mi do zdrętwiałych ramion; dopiero potem zajmuję się taśmą pętającą nogi moje i Arthura. Kiedy kończę, siadam na nim okrakiem i chwytam go za głowę.

— Na pewno nic ci nie jest? — pytam. — Jesteś bardziej złośliwy niż zwykle. Może jednak sobie coś zrobisz.

Arthur chwytam mnie za kark, przyciąga do siebie i całuje mocno. Gdy splata mój język ze swoim, jęczę kompromitująco w jego usta.

— A teraz? — pyta, kiedy w końcu nieco się ode mnie odsuwa. — Teraz jestem taki jak zwykle?

— Zdecydowanie bardziej — przyznaję nieco zdyszana.

Chcę się odsunąć, ale mi na to nie pozwala. Wzmacnia uścisk na moim karku i spogląda na mnie badawczo.

— A tobie nic nie jest? — pyta następnie. — Krwawisz.

Palcem dotyka miejsca na mojej skroni; syczę, a on pokazuje mi zakrwawioną dłoń. Cholera. Nawet tego nie czuję.

A może to dlatego tak mnie boli głowa?

— Walnęli mną o ścianę. — Wzruszam ramionami. — To nic takiego.

— Tylko ty możesz powiedzieć, że to nic takiego. — Krzywi się, po czym rozluźnia uścisk, dzięki czemu mogę się wreszcie odsunąć. Z trudem dźwigam się na nogi i z wdzięcznością przyjmuję ramię Arthura, który pomaga mi prosto stać. — Wyrzę za okno, może tędy uciekniemy.

— Uciekniemy? — powtarzam z niedowierzaniem. — Arthur, musimy mieć dowód. Jeśli chcesz załatwić sprawę z tym... dostawcą twojej żony, to musisz mieć coś na poparcie swoich słów. Niech on wie, że ona żyje i że to do niej ma się zgłosić po odebranie długu.

Arthur przez chwilę przygląda mi się bez słowa, kręcąc głową.

— Nie jesteśmy na pozycji, by cokolwiek tutaj ugrać — protestuje w końcu. — Następnym razem po prostu nas zastrzelą, zamiast łapać,

nie rozumiesz? Nie wypuszczę cię na zewnątrz, nie mogąc zapewnić ci bezpieczeństwa. Uciekniemy i poczekamy na Deacona, powinien być tu niedługo z resztą moich ludzi. Dopiero wtedy to załatwimy.

Waham się, ale wiem, że on ma rację. Co innego odwaga, a co innego głupie pójście na rzeź. Niewiele możemy zdziałać, nie mając broni i nie wiedząc, przeciwko ilu ludziom stajemy. W korytarzu napadło nas przynajmniej czterech i żaden z nich nie był Freemontem, co oznacza, że razem z Alice jest ich tu przynajmniej sześcioro. Sześcioro uzbrojonych osób przeciwko naszej dwójce. Nie podobają mi się te wyliczenia.

Kiwam głową, a Arthur podchodzi do okna. Przyznaję mu rację już drugi raz w ciągu ostatniej godziny, powinien być z siebie dumny.

Za oknem jest kompletnie ciemno — chyba wychodzi na teren za domem. Arthur cofa się szybko i staje przy ścianie obok okna.

— Jeden człowiek patroluje teren — oznajmia. — Jeśli dobrze wycelujemy...

Milknie nagle, gdy otwierają się drzwi sypialni. Reaguję pierwsza: widząc wchodzącego do środka mężczyznę — jednego z tych, którzy obeszli nas wcześniej w korytarzu — rzucam się w tamtą stronę i całym ciałem uderzam w drzwi, przygniatając nimi faceta do framugi. Napiera ramieniem i odrzuca mnie do tyłu, ale na szczęście w tej samej chwili wymija mnie Arthur, który ma więcej siły.

Bez problemu uderza drzwiami w mężczyznę, aż ten wydaje z siebie cichy jęk, a kiedy osuwa się na podłogę, Arthur poprawia, celując prosto w głowę. Rozlega się nieprzyjemny trzask i mężczyzna zalewa się krwią, padając bez przytomności na panele. Ciekawe, czy Arthur tylko złamał mu nos, czy coś więcej.

Mój towarzysz bez najmniejszego wahania pochyla się i zabiera nieprzytomnemu facetowi pistolet i przyczepioną do paska komórkę. Pomagam mu wciągnąć mężczyznę do pokoju, po czym zamykamy drzwi, choć jeśli ktoś będzie przechodził korytarzem, po plamie krwi pewnie i tak dojdzie do wniosku, że coś jest nie w porządku.

Arthur wybiera z pamięci jakiś numer i przystawia komórkę do ucha.

— Tak, jesteśmy względnie bezpieczni — oznajmia, kiedy po drugiej stronie zgłasza się męski głos. To pewnie Pike. — Możecie wchodzić. Znajdujemy się w jakiejś sypialni na tyłach domu.

Rozłącza się, po czym spogląda na mnie.

— Deacon zaraz wedrze się do budynku z moimi ludźmi — oznajmia.
— Mam tylko kilka naboí, ale spróbuujemy bronić się tutaj, póki po nas nie przyjdą. Zabarykadujemy drzwi, zanim się zorientują, co się stało.

Kiwam głową i pomagam mu przesunąć pod drzwi sporych rozmiarów kanapę. Pod czaszką pulsuje mi tępy ból, gdy odpowiadam:

— Może nie będą chcieli się tu dostać. Może uciekną.

— Jesteśmy gwarancją wolności Alice — odpowiada Arthur. — Jak tylko się zorientują, że dom szturmują moi ludzie, spróbuują z nas zrobić żywe tarcze. Alice wie, że Deacon na pierwszym miejscu postawi zawsze moje bezpieczeństwo.

Ciekawe, czy też go nie lubiła, przemyka mi przez głowę, ale nie wypowiadam tego pytania na głos. Także dlatego, że w następnej chwili wokół nas rozpętuje się piekło.

To brzmi trochę jak wejście ekipy antyterrorystycznej. Słyszę krzyki i odgłosy uderzeń, gdy do środka wkraczą ludzie Arthura. Kulę się odruchowo, kiedy dobiegają nas strzały: najpierw pojedyncze, potem jedna seria za drugą. Ktoś — albo coś — wali w drzwi oddzielające nas od korytarza, na szczęście kanapa wytrzymuje.

— Rozwalcie je! — Słyszę znajomy już kobiecy głos, po czym kolejna seria rozbrzmiewa tuż obok nas zza drzwi.

Pociski przedostają się przez drewno i wybijają okno — dobrze, że stoimy przy ścianie po obu stronach sofy, a nie za nią, bo zapewne zrobiłyby z nas sito.

Kiedy strzały milkną na chwilę, oglądam się na drzwi, by stwierdzić, że znajdują się w nich sporych rozmiarów dziury. Dzięki nim ktoś z zewnątrz usiłuje je wyłamać, Arthur bez namysłu celuje więc w tamtą stronę i oddaje kilka strzałów ze zdobycznego pistoletu. Z korytarza dobiega czyjś krzyk i przez chwilę mamy spokój.

— Zaraz nas znajdą — przewiduje Arthur cicho, podchwytyjąc moje spojrzenie. Jest poważny i spięty, ale spokojny, dzięki czemu i ja trochę się uspokajam. Przeszają mi szczękać zęby, kiedy kiwam głową. — Wytrzymamy jeszcze chwilę. Obronię cię za wszelką cenę, gdyby zaszła taka konieczność.

Nic nie poradzę na to, że po tych słowach mam łzy w oczach. Nikt nigdy wcześniej nie powiedział mi czegoś podobnego.

Nie odpowiadam, bo mam zbyt ściśnięte gardło, a Arthur na to nie czeka. Odwraca się z powrotem do drzwi, a w tej samej chwili rozbrzmiewa

sygnał komórki, którą zabrał znokautowanemu przez nas napastnikowi. Odbiera, mruczając coś do słuchawki.

— Jasne — rzuca, po czym się rozłącza i spogląda na mnie. — Idą tu. Mamy nie strzelać, jak spróbują przedostać się przez drzwi, bo to będzie Deacon.

— To może właśnie powinniśmy strzelać? — proponuję niewinnie.

Arthur parska śmiechem, a ja postanawiam nie tłumaczyć mu, że mówiłam całkiem serio.

— Okaż trochę wdzięczności — prycha. — Deacon zaraz uratuje nam życie.

Łypię na niego spod oka.

— Chyba poczekam z tą wdzięcznością, aż faktycznie to zrobi.

Muszę czekać raptem jakieś dwie minuty. Zaraz potem na korytarzu znowu robi się głośno; nawet nie wiem, w której dokładnie chwili spod drzwi sypialni uciekli napastnicy z żoną Arthura na czele. Kiedy ktoś ponownie zaczyna majstrować przy drzwiach, rozlega się znajomy męski głos:

— Nie strzelajcie! To ja. Odsuńcie wszystko, czym zastawiliście drzwi.

To Pike. Przesuwamy z Arthurem kanapę, pozwalając mu dostać się do środka, i chwilę później naszym oczom ukazuje się czterech ludzi — Pike plus kilku ochroniarzy Arthura. Wszyscy są uzbrojeni.

— Uciekli — informuje Pike, obrzucając nas uważnym spojrzeniem. — Wolałem skupić się na was, zamiast ich ścigać. Wszystko w porządku?

— Tak. — Arthur chwyta mnie za ramię i wyprowadza z sypialni. Trochę ślaniam się na nogach, bo w głowie nadal mi się kręci, ale staram się jakoś sobie z tym poradzić.

— Jak to się stało, że skończyliście w tym miejscu? — Pike jest wyraźnie podejrzliwy.

Arthur przewraca oczami.

— Zgadnij — odpowiada i posyła mi znaczące spojrzenie.

Chyba jednak go walnę. Albo ich obu, biorąc pod uwagę, jak Pike po tych słowach parska śmiechem.

— No tak, mogłem się domyślić — prycha. — Zawsze powodujesz kłopoty, co, Nancy?

Z oburzeniem kręcę głową, pozwalając im się prowadzić korytarzem do głównego wyjścia z nieco zdemolowanego domu. Tu i ówdzie widzę

ślady po kulach, nigdzie jednak ani pół ciała poza tym, które zostawiliśmy w sypialni. Pewnie reszcie ludzi Alice udało się zbiec.

— Poważnie? — pytam z niedowierzaniem Arthura. — Przecież to twoja wina. To twoja jebana żona próbowała nas zabić!

Dopiero po tych słowach Pike poważnieje. Jest tak zdziwiony, że aż staje w pół kroku i posyła nam pełne konsternacji spojrzenie.

— Zaraz. Co takiego?!

— Wiedziałem, że ta suka nie mogła tak po prostu pójść do piachu — komentuje Pike, gdy jesteśmy już w bezpiecznym wnętrzu jednego z SUV-ów.

To przynajmniej częściowo odpowiada na pytanie, w jakich stosunkach pozostawał z żoną Arthura. Nie wiem, czy cieszyć się z faktu, że nie tylko ze mną ma taki problem, czy raczej czuć się zaniepokojoną.

Wyjeżdżamy spod domu Alice dwoma SUV-ami — w jednym z nich jest nasza trójka, czyli Arthur, Pike i ja, a w drugim reszta ochrony. Arthur siedzi ze mną na tylnym siedzeniu, trzymając mnie w mocnym uścisku, z którego nawet nie próbuję się wyrwać. Po pierwsze, mnie też jest lepiej, kiedy mam obok kogoś, kto trzyma mnie w pionie, gdy wiruje mi w głowie tak mocno, że mam ochotę wymiotować. Po drugie, wiem, że dla Arthura to coś w rodzaju odreagowania stresu. On naprawdę się o mnie bał i w ten sposób się upewnia, że jestem bezpieczna.

To zaskakujące, że on odczuwa takie rzeczy i że ja zdaję sobie z tego sprawę. Żadne z nas nie wydaje się typem skłonny do podobnych uczuć. A jednak to po prostu się dzieje i nic nie mogę na to poradzić.

Przymykam oczy i to wcale nie dlatego, że próbuję nie zwymiotować. Po prostu nie chcę, by Arthur zobaczył w moim spojrzeniu zbyt wiele. Obdarzanie innych uczuciami nigdy nie przychodziło mi łatwo — nawet do ojca zawsze pałałam głównie niechęcią — i przeraża mnie, że z Arthurem to się dzieje tak szybko. Sama przed sobą nie chcę sobie uświadamiać, co właściwie do niego czuję.

To za wcześnie. I zbyt nietypowo dla mnie.

— Szkoda, że nie wspomniałeś o swoich podejrzeniach wcześniej — odpowiada Arthur z przekąsem, po czym zwraca się do mnie. — Wszystko w porządku? Ever, spójrz na mnie.

Wcale nie mam na to ochoty, lecz jego głos jest na tyle zaniepokojony, że w końcu otwieram oczy i posłusznie na niego spoglądam.

— Wszystko okej — potwierdzam. — Tylko trochę kręci mi się w głowie.

— Jedziemy do szpitala — decyduje Arthur. — Tym razem to może być poważne wstrząśnienie mózgu. Wolałbym, żeby zostawili cię na obserwacji.

— Nie ma mowy — protestuję natychmiast. — Nic mi nie będzie, a nawet jeśli to lekki wstrząs, to zaraz mi przejdzie. Uderzyłam się w głowę i mnie boli, to chyba naturalne. Ciebie nie boli?

Arthur wzrusza ramionami.

— Rozmawiamy teraz o tobie. Szpital...

— A co z Alice? — przerywa nam z przedniego siedzenia Pike. — Tą suką trzeba się zająć, zanim zwieje z miasta.

— Widzę, że żywiesz wobec niej bardzo ciepłe uczucia — komentuję zgryźliwie.

Pike prycha.

— Zawsze wiedziałem, że w końcu wykręci jakiś numer — mamrocze. — Chociaż nawet ja nie spodziewałem się po niej czegoś takiego. To psychopatka. Wiele razy mówiłem Arthurowi, że ta laska ma nie po kolei w głowie.

— Zupełnie jak ja? — dodaję z przekąsem.

Łapię w tylnym lusterku poważne spojrzenie Pike'a.

— Nie, nie jak ty, Nancy — zaprzecza spokojnie. — Ty nie jesteś psychopatką. Jesteś bezmyślna, w gorącej wodzie kąpana i kiedyś się zabijesz, choć mam nadzieję, że nie pociągniesz wtedy za sobą Arthura. Ale nie jesteś psychopatką.

Mimowolnie rozchyłam usta ze zdziwienia. Wow, nie spodziewałam się takiej psychoanalizy!

— Jakie ty właściwie masz kwalifikacje do tej roboty, co? — odgryzam się. — Skoro skończyłaś studia z psychologii?

— Dobra, uspokójcie się oboje — przerywa nam z irytacją Arthur. — Najpierw szpital. O Alice pomyślę później.

— Nie — protestujemy z Pikiem wyjątkowo zgodnie. Spoglądamy po sobie ze zdumieniem, że oboje jesteśmy tego samego zdania.

Wzruszam ramionami. Nawet ślepiej kurze trafi się czasem ziarno.

— Przestań się stawiać — cedzi Arthur przez zęby.

Przewracam oczami.

— Nie potrzebuję szpitala, Arthur. A jeśli teraz się tym zajmujemy, zamiast ścigać twoją żonę, Alice naprawdę ucieknie z miasta.

— Nie mów tak o niej. — Wzdycha. — Przestała być moją żoną w momencie, gdy najpierw sfingowała własną śmierć, żeby uciec przed długami, a potem próbowała mnie zabić.

— Ależ ona jest twoją żoną — wypominam z satysfakcją. — I wiesz co? Nie powiem, żeby mi to pasowało. Nigdy wcześniej nie pieprzyłam się z żonatym facetem. Mam szacunek do instytucji małżeństwa i gdybym wiedziała...

— Poważnie? — przerywa mi z autentycznym zdumieniem Pike. W jego głosie nawet nie słyhać drwiny, co jeszcze bardziej mnie wkurza.

Próbuję wziąć się w garść. Mogę się wściekać, ile tylko chcę, że żona Arthura żyje i że oficjalnie on wciąż jest zajęty. Tak naprawdę jednak to nieistotne bzdury, którymi nie powinnam się teraz przejmować. Zwłaszcza że nie miał o tym pojęcia. Nic jednak nie poradzę na fakt, że i tak jestem wkurzona. Nigdy nie należałam do zazdrosnych typów, ale widocznie w przypadku Arthura wszystko jest inne. Nawet nie mam ochoty myśleć o nim i o Alice.

Ani o nim z żadną inną kobietą poza mną, prawdę mówiąc.

— Weźmy się może za to, co w tej chwili jest naprawdę istotne — proponuję, starając się brzmieć jak ktoś opanowany. — Trzeba ją dopaść, zanim opuści Vegas. A skoro już wie, że my wiemy, że ona żyje, to na pewno spróbuje to zrobić.

— Nie mamy jak jej namierzyć — odpowiada zafrasowany Pike.

Spoglądam na Arthura.

— A ty? Na pewno wiesz, gdzie ją znaleźć. Znacie się od lat. Jak myślisz, co mogła zrobić, skoro ziemia pali jej się pod stopami?

Arthur zastanawia się przez chwilę, by w końcu wyjąć komórkę i wybrać na niej jakiś numer. Gdy czeka na połączenie, zwraca się do Pike'a:

— Chyba wiem, co ona zamierza. Niech wam będzie, zajmijmy się tym. Jedź na południe, na McCarran. Mam plan.

Nie wątpiłam, że tak będzie.

Rozdział 32

Do portu lotniczego McCarran docieramy w jakieś pół godziny. O tak późnej porze nie ma tutaj korków ani nawet dużego ruchu, więc bez problemu przedostajemy się na teren lotniska.

— Jesteś pewien, że tu będzie? — pytam z powątpiewaniem.

Arthur zdecydowanie kiwa głową.

— Jej ojciec przyleciał do Vegas prywatnym samolotem, jak zwykle — odpowiada. — Jeśli Alice chce uciec, a z pewnością właśnie to planuje, skorzysta z jego pomocy. Pewnie polecą do Nowego Jorku.

— Myślisz, że Kelly o wszystkim wiedział? — wtrąca się Pike z przedniego siedzenia.

Spoglądam na Arthura, który zamyśla się na moment. Chyba chce odpowiedzieć na to pytanie jak najbardziej rzetelnie.

— Sądzę, że nie od początku — mówi w końcu. — Gdyby wiedział, pewnie nie spotkałby się ze mną w Camelocie. Wyglądał wtedy na naprawdę zmartwionego losem Alice. Nie, myślę, że raczej chciała to ukryć także przed nim. Dopiero teraz, gdy grunt pali jej się pod nogami, skorzysta z jego pomocy.

Kiwam tylko głową i nie kwestionuję jego słów, bo to on zna ich lepiej. Nie ma zresztą większego znaczenia, kiedy Kelly dowiedział się o wszystkim. Ważne, że według Arthura zrobi co w jego mocy, aby pomóc swojej jedynej córce.

Pike zatrzymuje się na moment, by porozmawiać z jednym z ochroniarzy; zaraz potem dostajemy się na drogę serwisową, zamkniętą dla zwykłych podróżnych korzystających z lotniska. Czuję się odrobinę niepewnie, gdy przejeżdżamy między dwoma hangarami na wprawdzie oświetlonej, ale i tak dosyć ciemnej płycie. Słyszę huk silników startującego w oddali boeinga i mimowolnie szukam wzrokiem jego świateł. Pierwszy raz znajduję się na lotnisku w takim miejscu.

— Wiesz, który to hangar? — pyta Pike.

— Poprowadzę cię — odpowiada Arthur, puszczając mnie na chwilę, by wychylić się między przednimi siedzeniami. — Spotkałem się tu kiedyś z Kellym. Dostaje zawsze to samo miejsce w tym samym hangarze.

To trochę oszałamiające widzieć od kuchni, jak radzą sobie z podobnymi problemami gangsterzy. Nie przeszliśmy żadnej kontroli, żadnej odprawy, równie dobrze teraz moglibyśmy wsiąść w prywatny samolot i odlecieć. Albo podłożyć bombę.

Nie odzywam się, ponieważ nie czuję się pewnie w tej sytuacji. Prawdopodobnie dlatego, że muszę powierzyć swoje bezpieczeństwo ludziom, którym nie ufam. I wcale nie mam teraz na myśli Arthura.

— Będzie tu? — pytam, starając się utrzymać spokojny ton głosu. Arthur kiwa głową, nawet na mnie nie spoglądając.

— Oczywiście. Jemu pierwszemu zależy, by się dowiedzieć, czy Alice rzeczywiście próbuje nas oszukać. To tamten budynek, zatrzymaj się!

Stajemy w pewnej odległości od właściwego hangaru, w cieniu ściany sąsiedniego. Przez chwilę milczymy, próbując dostrzec, co się dzieje w środku; przez uchylone drzwi widzę tylko zarys przodu niewielkiego samolotu. Wzdycham.

— Widzisz, dobrze by było, gdybym teraz miała przy sobie moją lornetkę albo chociaż aparat fotograficzny. Wtedy mogłabym wszystko zobaczyć.

— Gdybyś miała je ze sobą dzisiaj wieczorem, Alice i jej ludzie by ci je zabrali. — Arthur posyła mi drwiące spojrzenie. — Więc to ja miałem rację, prosząc cię, żebyś je zostawiła w domu.

Prycham z niedowierzaniem.

— Nie przypominam sobie, żebyś mnie o cokolwiek prosił.

Jego słowa to raczej rozkazy. Będziemy musieli nad tym popracować, gdy już wszystko się uspokoi.

Arthur otwiera drzwi samochodu i sprawdza pistolet, który podaje mu Pike.

— Zostań tutaj — poleca mi. — Zorientujemy się w sytuacji.

Chociaż wiem, że to irracjonalne, i tak oburzam się na te słowa.

— „Zostań tutaj”? — powtarzam z niedowierzaniem. — Czy ja jestem jednym z twoich dobermanów?

Nawet w półmroku widzę, jak Arthur przewraca z irytacją oczami.

— Dostałaś mocno w głowę i źle się czujesz. Czy mogłabyś, proszę, zaczekać na nas w samochodzie?

— Nie ma mowy. — Otwieram drzwi po mojej stronie i wyskakuję na zewnątrz. — Idę z wami. Mogę co najwyżej trzymać się z tyłu.

To naprawdę kiepski kompromis, ale lepszy taki niż żaden. Sądząc po pełnym złości spojrzeniu Arthura, które mi rzuca, gdy wysiada za mną, oboje jesteśmy z niego równie niezadowoleni.

— Deacon, daj jej jakąś broń — rozkazuje w końcu ku mojemu zadowoleniu. Kiedy Pike z niedowierzaniem kręci głową, dodaje, jakby czuł się w obowiązku to wytłumaczyć: — Wolę trzymać ją blisko i mieć pewność, że nie wymyśli czegoś głupiego.

Arthur ma o mnie naprawdę dobre zdanie.

Pike jest bardzo niezadowolony, kiedy podaje mi swój zapasowy pistolet. Uśmiecham się do niego uprzejmie.

— Co, boisz się, że przypadkiem postrzelę cię w tyłek?

— Nie byłoby w tym nic przypadkowego — mamrocze, po czym na wszelki wypadek się odsuwa.

Parskam śmiechem, zaraz jednak poważnieję, bo Arthur rzuca nam surowe spojrzenie. No dobrze. Mogę droczyć się z Pikiem później, jak już załatwimy sprawę z Alice.

Z drugiego samochodu wysiada reszta ludzi Arthura; mężczyzna cichym głosem wydaje im instrukcje, aby obeszli hangar dookoła i zaszli ludzi Alice od drugiej strony. Denerwuję się, bo wiem, że za chwilę zrobi się niebezpiecznie — znowu szczękają mi zęby, staram się jednak trzymać w ryzach i zignorować zawroty głowy. Jest mi trochę lepiej, niż gdy wychodziłam z domu Alice, co moim zdaniem stanowi dowód na to, że nie stało mi się nic poważnego i że to samo przejdzie.

— Nie czekamy? — pytam przyciszonym głosem, gdy Arthur pokazuje mi, żebym szła za nim. — Nie chciałeś przecież załatwić tego sam.

— I nadal nie chcę — mamrocze w odpowiedzi. — Upewnię się tylko, że Alice ze swoimi ludźmi zostaną na ziemi, dopóki nie przyjedzie komitet powitalny.

Słyszę w jego głosie zimny gniew i wiem, że gdyby nie udało się zrealizować tego planu, własnoręcznie zabiłby swoją żonę. Pewnie w ogóle nie powinno go tu być — tę sprawę powinni raczej załatwić jego ludzie, wynajęci cyngle czy ktoś inny, dzięki komu nie musiałby się sam narażać.

Wiem jednak, że dla Arthura ta sprawa jest bardzo osobista. Nie spocznie, póki nie zobaczy, jak się rozwinie ta sytuacja.

W ogóle mu się nie dziwię. I też chcę przy tym być. W końcu jego żona kilkukrotnie próbowała mnie zabić.

Przebiegamy przez płytę lotniska; Arthur i Pike cały czas trzymają się obok siebie tak, żeby zasłaniać mnie własnymi ciałami, a ja nie próbuję protestować, bo mam jeszcze odrobinę rozsądku. Dopadamy do jednej ze ścian hangaru, po czym stwierdzamy, że na czatach stoi tylko jeden mężczyzna, w pobliżu wejścia — przypuszczam, że łatwo będzie go zdjąć. Arthur przytrzymuje mnie, popychając z powrotem na ścianę, gdy chcę go wyminąć i pójść do przodu. Jego dotyk jest na tyle stanowczy, że nawet nie próbuję się wyswobodzić, bo obawiam się zbytniego zamieszania.

Co nie znaczy, że jego zachowanie mnie nie wkurza.

— Zostań — syczy, na co pryham.

— Nie mów do mnie jak do psa.

— To mnie nie prowokuj — warczy, przez co mam ochotę złamać mu nos. Więc to moja wina, że używa wobec mnie takiego tonu?! — Mówiłem ci, żebyś trzymała się z tyłu. Mamy wszystko pod kontrolą.

Widzę, jak z ciemności po drugiej stronie hangaru wyłaniają się dwie postacie i po chwili zachodzą człowieka Alice od tyłu, po czym go unieszkodliwiają. Któryś chyba przywalił mu w głowę, a inny podduślił, póki nie stracił przytomności, ale nie jestem pewna, bo nie widzę zbyt wyraźnie. Dostrzegam za to, jak ciągną go do tyłu, za załom hangaru — a wszystko to odbywa się prawie bezszelestnie.

Ludzie Arthura są naprawdę dobrzy.

Arthur daje znak Pike'owi i obaj ruszają w stronę wejścia do hangaru. Oczywiście idę za nimi, starając się stawiać kroki równie cicho i równie dobrze wtopić się w mrok. Mam na sobie ciemną sukienkę, więc to mi pomaga, za to zdecydowanie przeszkadzają blond włosy i szpilki.

Na szczęście poza pojedynczym wartownikiem w okolicy nie ma nikogo, kto mógłby nas obserwować. Alice chyba się nie spodziewała, że Arthur się domyśli, dokąd pojechała — błąd, zważywszy na to, jak długo byli małżeństwem, nawet jeśli wyłącznie na papierze, i jak wiele o sobie wiedzą. Wygląda jednak na to, że kobieta czuje się zupełnie bezkarnie.

Kilku ludzi Arthura dołącza do nas, równie bezszelestnie poruszając się za moimi plecami. Mam dziwne wrażenie, że bardziej chronią mnie niż Arthura i Pike'a, ale nie chcę przerywać milczenia, więc nic nie mówię. Jeśli

Arthur rzeczywiście coś takiego z nimi ustalił, to powinnam się cieszyć, prawda? On tylko się o mnie troszczy i nie chce mnie stracić.

Pike i Arthur wślizgują się do hangaru pierwsi, zaraz za nimi ja, a potem reszta jego ludzi. Właściwie spodziewam się tego, co potem następuje, ale i tak nie bardzo jestem na to przygotowana.

Kiedy wkraczamy do hangaru, rozlegają się pierwsze strzały. Pike zdejmuję dwóch ludzi Alice, zanim ci w ogóle pojmą, co się dzieje. Do kolejnego strzela Arthur, a gdy przez ułamek sekundy patrzę mu w twarz, nie dostrzegam na niej żadnych uczuć. To nawet odrobinę mnie przeraża, ale przecież zawsze wiedziałam, jaki on jest.

Ludzie Arthura zdążają oddać jeszcze kilka strzałów, a potem rozbiegamy się na boki i szukamy schronienia. Reszta ludzi Alice w końcu orientuje się, co zaszło, i rozpoczyna kontratak. W hangarze panuje półmrok, a najlepiej oświetlony jest stojący pośrodku niewielki samolot; poza nim dostrzegam jakieś pakunki, bagaże i drewniane skrzynki, za które natychmiast się chowam. Arthur kryje się tuż obok mnie, a Pike nieco dalej, za kolejną skrzynką; pozostali ludzie Arthura znajdują kryjówki po drugiej stronie hangaru. Przez chwilę odgłosy wystrzałów rezonują w powietrzu, aż nie mogę usłyszeć własnych myśli. Jakaś kula przelatuje mi nad głową, jednak nie przejmuję się tym specjalnie.

— Świetny plan — syczę do Arthura. — Najlepiej dajmy się powystrzelać jak kaczki!

— Skoro ci się nie podoba, trzeba było zostać w samochodzie — syczy przez zęby, po czym wychyla się, by oddać kolejne strzały.

Idę więc za jego przykładem i wreszcie próbuję się do czegoś przydać. Nie chcę być tylko obciążeniem, więc chociaż czuję się z tym nieco niewyraźnie, wyzieram za skrzynkę i namierzam kryjącego się za skrzydłem samolotu jednego z ludzi Alice. Strzelam dwukrotnie, zanim ponownie schowam się za zaimprovizowaną osłonę.

— Ash! — Słyszę nagle krzyk Alice gdzieś zza samolotu. — Nie chcę cię zabić! Po prostu pozwólcie nam wystartować!

Słyszę, jak ktoś strzela, zapewne celując w miejsce, z którego dobiega głos kobiety; huk rozlega się blisko, czyli to zapewne Pike. On chyba naprawdę nienawidzi tej suki jeszcze bardziej niż ja.

— Kurwa! — Dobiega nas w odpowiedzi wściekły głos Alice. — Dobra, sami tego chcieliście! Zabijcie ich wszystkich!

Wymieniamy z Arthurem spojrzenia; chociaż w moim wzroku pewnie można dostrzec niepewność, on jest spokojny i pewny siebie, jakby cały czas był przekonany, że wie, co robi. Mieliśmy tylko chwilę ich opóźnić, a nie własnymi siłami pokonać wszystkich...

Ogłuszający huk sprawia, że kulę się odruchowo, gdy ogromna, czarna, opancerzona ciężarówka rozwala wrota hangaru i na pełnym gazie wpada do środka. Na jej dach wyłazi właśnie facet z ogromną bronią maszynową, z której natychmiast zaczyna walić do samolotu i otaczających go ludzi.

Przez chwilę wpatruję się w to z niedowierzaniem; wiele już w życiu widziałam, ale czegoś takiego nigdy. Tymczasem kilku facetów z grupy Alice pada na ziemię, kilku innych ucieka na boki; obrywa również samolot, którego szyba w kokpicie rozbija się w drobny mak.

A potem wszystko cichnie równie nagle, jak się zaczęło. Mężczyzna kończy strzelać, nadal jednak nie opuszcza posterunku, czujnie rozglądając się dookoła, gotów w każdej chwili wznowić ostrzał. Z ciężarówki wysiada trzech ubranych w kombinezony moro mężczyzn w wysokich, podkutych butach; jeden z nich odzywa się po angielsku, aczkolwiek z wyraźnie wyczuwalnym hiszpańskim akcentem:

— Możecie teraz wyjść.

Arthur natychmiast się podnosi, po czym mnie również pomaga wstać; jego ludzie otaczają nas, jakby nadal chcieli nas chronić. Arthur obejmuje mnie ramieniem i prowadzi bliżej do ciężarówki, gdzie czeka mężczyzna koło czterdziestki, wysoki i żylasty, o oliwkowej skórze i czarnych, nieco za długich włosach.

— Mam nadzieję, że to nie jedynie twój sposób, żeby wywinąć się od płatności.

Arthur prycha.

— Jest schowana chyba gdzieś w samolocie — odpowiada, wskazując głową kierunek. Facet kiwa na swoich ludzi, a ci bardzo sprawnie zaczynają przeszukiwać hangar. Momentalnie wyciągają ludzi Alice, którzy do tej pory ukrywali się po kątach, po czym wkraczają na pokład samolotu.

— Cieszę się, że przyjechałeś.

— Nie na co dzień mogę odkryć, że mój dłużnik sfingował własną śmierć, żeby uciec od płacenia. — Mężczyzna śmieje się nieprzyjemnie. Potem jego spojrzenie kieruje się do mnie. — Masz już nową kandydatkę

na żonę? Jestem Miguel Torres, miło mi. — Błyska w moim kierunku uśmiechem i śnieżnobiałymi zębami.

— Everly Chance, jestem prywatnym detektywem — odpowiadam automatycznie.

Arthur pieszczotliwie przesuwając dłoń po moich plecach.

— Gdyby nie ona, nie odkryłbym prawdy.

Słyszę w jego głosie zadowolenie tak różne od tej wściekłości, którą okazywał, kiedy z mojej winy zostaliśmy schwytani przez ludzi Alice. Żeby się nie zdziwił, jak jeszcze mu to wypomnę po powrocie do jego domu.

— Gdybym wiedział, że w Vegas macie takich prywatnych detektywów, już dawno korzystałbym z ich usług. — Torres obrzuca mnie pełnym uznania spojrzeniem. Dopiero po chwili przypominam sobie, że nadal jestem ubrana w sukienkę i szpilki.

No dobrze, nie wyglądam w tej chwili jak jeden z najlepszych prywatnych detektywów w Vegas.

— Akurat ten należy tylko do mnie — ostrzega go Arthur, na co przewracam oczami.

Nie zamierzam się z nim teraz kłócić. Zwłaszcza że w następnej chwili ludzie Torresa wyprowadzają z samolotu wrzeszczącą i kopiącą ich Alice.

Kiedy jeszcze z samochodu Arthur zadzwonił do dostawcy swojej żony, miałam wątpliwości, czy to dobry pomysł. Najwyraźniej jednak obaj mężczyźni są w dobrych stosunkach, bo Torres od razu uwierzył w rewelację mojego towarzysza i obiecał przyjechać, by osobiście je sprawdzić. Arthur ostrzegł go też o sytuacji i o możliwej strzelaninie, stąd zapewne ten wjazd z bronią automatyczną na dachu.

Ciekawe, jak wpuścili tak wyposażony samochód na lotnisko.

Mężczyźni ciągną w naszą stronę Alice, która obrzuca nas nienawistnym spojrzeniem. Zaraz potem uderza w błagalny ton.

— Ash, proszę — mówi do Arthura. — Znamy się tyle lat. Prowadzimy razem interesy. Nie oddasz mu mnie, prawda? Przecież ten facet mnie zabije!

— To będziesz się mogła pochwalić, że zginęłaś dwa razy — odpowiada Arthur beznamiętnie.

Torres się śmieje i kręci głową.

— Daj spokój, Alice, po co byłaby mi twoja śmierć? — dziwi się. — W ten sposób nie odzyskam moich pieniędzy. Nie, załatwimy to inaczej.

Zabiorę cię teraz do mojego tymczasowego lokum w Vegas, gdzie przekażesz mi wszystkie udziały w swoich biznesach w mieście. To wystarczy, żeby pokryć długi.

Alice na chwilę przestaje się szarpać i błednie, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. Zaraz potem znowu przenosi wzrok na Arthura.

— Ash, nie rób tego. To oznacza, że będziesz współpracował z nim zamiast ze mną. Chyba tego nie chcesz?

Arthur udaje, że się zastanawia.

— Wiesz co? W tej chwili bardziej ufam Torresowi niż tobie — wyznaje w końcu. — On przynajmniej nie próbował zrzucić na mnie odpowiedzialności za własne błędy.

— Ale próbował cię zabić!

— Skończyłem tę rozmowę — ucina, po czym spogląda na Torresę. — Zabierz ją. Nie chcę jej nigdy więcej widzieć.

Ludzie Torresę odprowadzają krzyczącą ciągle Alice, a Arthur przygląda się temu niewzruszenie. Muszę przyznać, że wygląda to nieco przerażająco. Nie chciałabym, żeby kiedyś stał się tak obojętny w stosunku do mnie.

Nie jest mi jednak żal kobiety. Ta suka kilka razy próbowała pozbawić mnie życia, przez nią zginął Kevin, a wcześniej sama wplątała mnie w tę sprawę, sprawiając, że zostałam świadkiem sfigowanego morderstwa. Zasluguje na wszystko, co ją spotyka.

Mimo wszystko cieszę się, że to już za nami. Teraz czeka mnie tylko spokój i odpoczynek w dużym łóżku Arthura.

Jedna myśl ciągle nie daje mi spokoju, dlatego kiedy tylko Torres znika z powrotem w swojej ciężarówce, odwracam się do Arthura i pytam:

— Skoro Alice jednak żyje, to znaczy, że jak najszybciej się z nią rozwidzisz, prawda?

Rozdział 33

Spędzam w łóżku prawie całą kolejną dobę.

Nie mam tu na myśli dzikiego seksu z Arthurem. Mam na myśli dużo snu, odpoczynek i regenerację potrzebną mojej obolałej głowie i reszcie ciała, które ucierpiały wskutek starcia z ludźmi Alice. Robiłam tylko krótkie przerwy na łazienkę i coś do zjedzenia.

Kiedy następnego dnia budzę się rano, mam wrażenie, jakbym powstała z martwych albo przynajmniej ze śpiączki. Czuję się nieco lepiej, równocześnie jestem trochę dezorientowana i nie od razu rozpoznaję sypialnię Arthura. Dziwię się, że w ogóle mnie tu chciał, skoro spałam tyle czasu.

Niczym zombie wędruję pod prysznic i stoję pod letnią wodą dobry kwadrans, zanim nieco się rozbudzę. Spodziewam się, że Arthur jest w pracy, dlatego podskakuję z zaskoczenia, gdy otwierają się przeszkłone drzwi kabiny i zza zaporowanego szkła wyłania się jego twarz.

— Czy wstałaś już na dobre? — mruczy, spoglądając w dół mojego ciała.

Kiwam głową i uśmiecham się do niego zachęcająco.

— Chcesz sprawdzić?

— Najpierw powinnaś coś zjeść. — Odsuwa się, po czym chwyta ręcznik dla mnie. — Chodź, usmażę ci jajecznicę.

Unoszę brwi. Poważnie?

— Potrafisz usmażyć jajecznicę?

— A czemu miałbym nie potrafić? — dziwi się. — Nie jestem mistrzem kuchni, ale to dla ciebie przygotuję. Swoją drogą, robię zajebistą jajecznicę. Będziesz jęczeć z zadowolenia.

Parskam śmiechem, zmywam z siebie resztę mydła i przyjmuję od niego ręcznik.

— Wolałabym jęczeć z innego powodu — odpowiadam.

Arthur posyła mi karcące spojrzenie.

— Dopiero co wstałaś po tym, jak cię poturbowano. Daj sobie przynajmniej godzinę, zanim uznasz, że jesteś gotowa na seks.

Krzywię się.

— Skoro tak, to nie mam pojęcia, po co zaglądałeś pod prysznic.

— Bo nie mogłem się powstrzymać. Czekam w kuchni — odpowiada, po czym odwraca się i wychodzi z łazienki.

Wzdycham i ruszam w jego ślady; wycieram się, wkładam na gołe ciało szlafrok, który dostałam niedawno od Arthura, po czym boso i z wilgotnymi włosami idę do kuchni. Mężczyzna kręci się już przy płycie grzewczej i jest w trakcie przygotowywania dla nas śniadania.

— Pomóc ci z czymś? — Przeciagam się, podchodząc bliżej i stając obok.

Arthur spogląda na mnie i porzuca na chwilę gotowanie. Jest w jego spojrzeniu coś, co sprawia, że serce ściska mi się boleśnie. Przez kilka sekund wpatrujemy się w siebie bez słowa, ale panuje między nami jakieś napięcie, którego nie potrafię zignorować.

— Wiesz, że będziemy musieli o tym porozmawiać? — pyta w końcu.

Wzdycham i kiwam głową.

— Wiem. Ale najpierw zjedzmy, dobrze?

Razem robimy śniadanie: Arthur smaży jajecznicę, a ja przygotowuję tosty i wyciągam talerze. W końcu gdy siadamy do stołu, czuję, jak mój żołądek domaga się jedzenia. Jestem głodna jak wilk i mam ochotę natychmiast pochłonąć całą porcję.

Arthur nalewa mi soku i siada naprzeciwko przy niewielkim kuchennym stoliku. Jemy w milczeniu, ale on przez większość czasu nie spuszcza ze mnie wzroku. Chyba właśnie dlatego w pewnej chwili wyciągam nogę i przesuwam stopą po jego łydce.

Otwiera szerzej oczy, a jego spojrzenie ciemnieje, poza tym jednak nie daje po sobie poznać, że cokolwiek poczuł. Uśmiecham się lekko i przesuwam stopę wyżej, docierając do kolana Arthura i kładąc mu nogę na udzie.

Musiałby być sparaliżowany od pasa w dół, żeby tego nie poczuł.

— Skończyłaś jeść? — pyta złowieszczo spokojnym głosem.

Kiwam głową, odsuwając od siebie talerz. Wędruję stopą nieco dalej, aż przez materiał dresów dotykam penisa Arthura — czuję, że już twardnieje.

Wiem, że to nie rozwiązuje sytuacji i w żaden sposób mi nie pomoże. Musimy porozmawiać i ustalić, co będzie dalej — sprawa się rozwiązała, nie mam powodu dłużej siedzieć Arthurowi na karku i ukrywać

się przed światem. Nikt już nie próbuje mnie zabić. Nie powinnam jeszcze bardziej komplikować tej relacji, zwłaszcza że nie wiem, czy on będzie chciał ją ciągnąć. A jednak...

Jednak nie mogę się powstrzymać. W tym jestem dobra. W czynach, nie w rozmowach o uczuciach czy związkach.

Arthur zrywa się nagle od stołu i sięga po nasze talerze i szklanki; w dwie sekundy przestawia je na wyspę, po czym bierze mnie za rękę, zachęcając, żebym wstała. Robię to bez wahania, cały czas hipnotycznie w niego wpatrzona.

Czuję jego silne dłonie na biodrach, gdy podsuwa mnie nieco do góry, aż siadam na blacie stolika. On zaś bez namysłu sięga do paska mojego szlafroka, rozwiązuje go i rozchyla poły; jestem pod nim kompletnie naga. Stalowszcare oczy przyglądają mi się zachłannie.

Nigdy nie czułam się tak pożądana jak pod jego spojrzeniem. Nigdy nie czułam się tak dobrze jak wtedy, gdy do reszty ściąga ze mnie szlafrok, pochyla się i bierze do ust najpierw jeden, a potem mój drugi sutek.

Jęczę, wyprężam się w jego kierunku, wsuwam mu palce we włosy, przyciągając go bliżej, i niemal owijam się wokół niego, zaplatając mu nogi na biodrach. Arthur pieści moje piersi, a ja bez wahania wkładam dłoń w jego spodnie dresowe i chwytam mocno twardego już penisa.

Mam gdzieś, że znajdujemy się w ogólnodostępnym pomieszczeniu, do którego w każdej chwili ktoś może wejść. Mam gdzieś, że niczego sobie nie wyjaśniliśmy i że nie umyłam zębów po jedzeniu. Mam gdzieś wszystko poza bliskością Arthura, jego pocałunkami i dotykiem.

Ściągam z niego spodnie, a Arthur mi przy tym pomaga. Ledwie uwolni się z dresów, a już we mnie wchodzi, jakby nie mógł się doczekać, kiedy mnie wypełni. Przyciągam go bliżej, chcę go czuć mocniej, chcę, żeby wbił się we mnie głęboko i zostawił na mnie swój ślad. Już na zawsze.

Całuje mnie zachłannie, przesuwał dłoń na mój kark. Jego biodra pracują szybko, Arthur posuwa mnie mocno, a ja odpowiadam na każde pchnięcie, zaciskam się na jego penisie, jęczę mu w usta i błagam o więcej. Ciągle błagam o więcej.

— Jesteś moja, Ever — mamrocze Arthur prosto w moje usta. — Tylko moja.

— Och, tak — sapię, czując, jak zbliża się mój orgazm. — Tak, jeszcze, proszę, jestem tak blisko...

Krzyczę, kiedy wreszcie dochodzę; chwytam Arthura mocno za ramiona, wbijam w nie palce, a chwilę później czuję, że on też osiąga spełnienie. Odsuwam się o centymetr, by na niego spojrzeć, i spotykamy się wzrokiem. Arthur wygląda tak cholernie pociągająco, gdy porywa go orgazm, jest spięty, ma zaciśnięte szczęki; chwilę później rozluźnia się, a zmarszczka między jego brwiami znika.

— Uwielbiam cię — dyszy, ponownie się ku mnie pochylając. — Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Chcę, żebyś ze mną została.

Bierze moją twarz w dłonie i znowu mnie całuje, tym razem jednak powoli, bardziej leniwie, choć z żarem i namiętnością, które między nami nigdy nie znikają. Odpowiadam na ten pocałunek, obejmuję go i szarpnię za włosy, a on pozwala mi na to bez słowa sprzeciwu.

Czuję się zagubiona i nie wiem, co robić. Nie wiem, co powinnam odpowiedzieć na jego słowa, próbuję to więc odsunąć w czasie albo udać, że nie zwróciłam na nie uwagi.

Jakby to kiedykolwiek miało zadziałać.

Arthur odsuwa się w końcu; patrzy na mnie z satysfakcją, zanim pomoże mi z powrotem zawiązać szlafrok. Wygląda na bardzo z siebie zadowolonego. I dużo bardziej rozluźnionego niż przed śniadaniem.

— Powiedz coś — mówi szorstko.

Uśmiecham się zawadiacko.

— Muszę do łazienki.

— Zaczekaj — prosi, chwytając mnie za ramię, zanim zdążę zejść ze stolika. — Porozmawiajmy.

Przewracam oczami.

— Bardzo chętnie, ale wolałabym, żeby przy tej rozmowie sperma nie ciekła mi po nodze. Daj mi dwie minuty, doprowadzę się do porządku i ubiorę.

Arthur puszcza mnie, choć widzę, że robi to niechętnie. Zeskakuję ze stolika i uciekam, póki nie zmieni zdania. Nie chcę, żeby się domyślił, jak bardzo szaleje mi serce, i potrzebuję tych kilku minut, by względnie się uspokoić.

Nic nie poradzę, że na słowa Arthura włącza się u mnie instynkt uciekiniarki. Tej Ever, która nigdy się nie przywiązuje i tylko dobrze się bawi, nawet jeśli w tym celu przeprowadza się na kilka miesięcy na przedmieścia. Problem polega na tym, że od początku wiedziałam, że relacja

z Arthurem jest inna. Nie odejdę od niego tak łatwo jak od Cole'a i to nie dlatego, że Arthur mnie nie wypuści.

Takie właśnie jest moje życie. Mam kuzyna, z którym częściej gadam przez telefon, niż widuję go na żywo, i przyjaciółkę, która większość czasu spędza poza Vegas. Mam rodzinę, z którą nie utrzymuję kontaktu poza wujkiem gangsterem, z którym moja relacja nie należy do najnormalniejszych. I mam pracę — jedyną, dla której jestem w stanie tak wiele poświęcić. Cała reszta moich znajomości jest płytka, byle jaka, bo nie dbam odpowiednio ani o członków rodziny, ani o znajomych.

Nie wiem, dlaczego tak jest, i nie zamierzam szukać przyczyn w moim dzieciństwie czy w czymkolwiek innym. Nie chcę usprawiedliwień. Po prostu taka jestem i już. Nie mam pojęcia, czy potrafię sprostać wymaganiom Arthura i czy tego chcę.

Ale Arthur jest inny. Inny od wszystkich moich znajomych, przyjaciół, osób z rodziny czy byłych facetów. Z nim to może się udać.

Jeśli tylko odrobinę się postaram.

W łazience doprowadzam się do porządku, po czym wracam do sypialni, by znaleźć coś do ubrania. Wybieram pierwsze z brzegu dżinsy i podkoszulek, po czym związuję wilgotne wciąż włosy w luźny kok. Chcę już wracać do kuchni, gdy drzwi sypialni otwierają się i staje w nich Arthur.

Spogląda na mnie tak, jakby spodziewał się, że ucieknę albo spróbuję się ukrywać w jego sypialni. Myślę, że te wątpliwości nie są tak całkiem nieuzasadnione.

— Skończyłaś już? — pyta niecierpliwie, podchodząc bliżej; wkłada dłonie w kieszenie dresowych spodni i marszczy brwi. — Czy teraz możemy wreszcie pogadać?

Obronnie zaplatam ramiona na piersi.

— Ale o czym właściwie chcesz gadać? — odpowiadam. — Jak dla mnie wszystko jest jasne. Torres zajął się twoją żoną, więc mogę dać znać na mieście, że znowu jestem wolna i chętnie przyjmę kolejne zlecenia.

— Wcale nie musisz. — Arthur się krzywi.

— Muszę z czegoś żyć.

— A gdyby ci powiedział, że nie musiałabyś się martwić o pieniądze, byłabyś bardzo urażona? — Jego ton zdaje się sugerować, że mówi to od niechcenia, jednak zupełnie w to nie wierzę.

Posyłam mu pełne wściekłości spojrzenie.

— Bardzo — potwierdzam. — Nie potrzebuję faceta, żeby mnie utrzymywał, i lubię moją pracę. Nie zamierzam z niej zrezygnować i lepiej, żebyś nawet tego nie sugerował. Możesz na tym bardzo źle wyjść.

Arthur uśmiecha się i robi kolejny krok w moją stronę.

— Uwielbiam, jak mi grozisz — stwierdza ku mojemu zdziwieniu.
— Od razu mi wtedy staje.

Chryste, nie wierzę, że on w tej chwili może myśleć o seksie.

— Oczywiście, że ci staje, bo to właśnie nas łączy — pryham. — Seks.

— Dobrze wiesz, że to nie jest tylko seks.

Właściwie nie wiem, czy próbuję przekonać siebie, czy jego, ale zdaję sobie sprawę, że to on ma rację. W dodatku jest przy tym tak spokojny, jakby wcale się nie obawiał związku, jakby nie miał najmniejszych wątpliwości. Może w jego świecie tak to działa — gdy czegoś chce, po prostu po to sięga. Może tylko ja nie potrafię tego wszystkiego ze sobą pogodzić.

— Dobrze, powiedzmy, że to nie jest tylko seks — zgadzam się w końcu.
— To jednak dalej niczego nie zmienia.

— Po prostu ze mną zostań — prosi. — To takie proste. Całą resztę wypracujemy po drodze.

— Nie wierzę, że on naprawdę uważa, że tak po prostu można to „wypracować”.

— I jak zamierzasz to zrobić? — Rozkładałam bezradnie ręce. — Nie zrezygnuję z pracy, Arthur. A dla ciebie zawsze będę obciążeniem. Masz mnóstwo wrogów, którzy mogą chcieć zyskać nad tobą przewagę. Dzisiaj to była twoja żona, jutro może to być ktoś zupełnie inny. Nie będę dziewczyną siedzącą w piwnicy, żeby twoi wrogowie przypadkiem nie wykorzystali mnie przeciwko tobie. To się po prostu nie uda.

Na chwilę zapada między nami cisza. Sama nie wiem, jakiej reakcji oczekuję — chyba jednak bardziej boję się, że Arthur przyzna mi rację i pozwoli odejść. Pionowa zmarszczka na jego czole sugeruje jednak, że moje słowa bardzo mu się nie podobają.

Wiem, że jestem racjonalna, ale to i tak zaskakująco mocno boli. Cholera. Wpadłam jak śliwka w kompot.

— Załatwię to — obiecuje w końcu. — Załatwię to tak, żeby nikt nie ośmielił się nawet tknąć cię palcem. Możesz pójść ze mną na kompromis, Ever, wystarczy odrobina dobrej woli z twojej strony. Dalej będziesz pracować, ale zrobimy to tak, żebyś równocześnie była bezpieczna. Przecież wiesz, że można to pogodzić.

Arthur ma rację. Możemy to pogodzić albo przynajmniej możemy spróbować.

Tyle tylko, że czuję do niego coś, czego nie czułam do żadnego innego faceta, i to mnie przeraża. Łatwiej jest szukać dla siebie wymówek i twierdzić, że będzie lepiej, jeśli odejdę. Łatwiej jest nie angażować się za bardzo, nie wystawiać się na zranienie i obserwować swoje życie z bezpiecznego emocjonalnego dystansu.

Od kiedy jednak robię to, co jest „łatwe”?

— My tak naprawdę wcale się nie znamy — protestuję, ale nawet ja słyszę, że idzie mi to coraz słabiej. — Mam wrażenie, że w naszej relacji przeskoczyliśmy naraz jakieś sto etapów i teraz mamy braki na podstawowych poziomach. Nie wiem nawet nic o twojej rodzinie ani co lubisz robić w wolnym czasie...

— Więc będziemy mieć mnóstwo czasu, żeby się tego wszystkiego dowiedzieć. — Arthur robi ostatni krok w moim kierunku i zatrzymuje się tuż przede mną, więżąc mnie pomiędzy sobą a łóżkiem. Gdy odruchowo cofam się odrobinę, łydkami dotykam materaca. — Obiecuję, że jeśli coś ci się we mnie nie spodoba i jednak zdecydujesz się odejść, nie będę próbował cię zatrzymywać. Zrobisz, co zechcesz. Tylko najpierw daj nam szansę.

Buntowniczo unoszę podbródek.

— A co z twoją żoną?

— Z kim? — dziwi się tak autentycznie, że aż robi mi się przyjemnie na sercu. — A, chodzi ci o Alice. Nic, a co ma z nią być?

— Rozwiedziesz się?

— Niedawno wdrożyłem tę procedurę — odpowiada gładko. — Nie musisz się o to martwić, Ever. Już masz swoje miejsce w moim życiu, a zrobię go jeszcze więcej, jeśli mi pozwolisz. Sprawimy, że to zadziała, jestem tego pewien. Musimy tylko nieco więcej się... komunikować, zamiast się bić albo pieprzyć.

Mimo woli parskam śmiechem.

— Tak, sądzę, że to słuszny wniosek.

— To znaczy, że się zgadzasz? — Arthur uśmiecha się chytrze, sięgając po mnie. Wplata mi palce we włosy i ciągnie za nie lekko, aż unoszę ku niemu głowę. — Zostaniesz ze mną, Ever?

Waham się jeszcze chwilę, choć tak naprawdę od dawna znam odpowiedź. Wywalczę sobie tyle swobody, ile będę potrzebowała, ale

nie zamierzam rezygnować z Arthura Ashbourne'a. Zdaję sobie sprawę, że drugiego takiego faceta w moim życiu nie będzie. Potrafię jeszcze dostrzec coś wyjątkowego, gdy mam to w zasięgu wzroku.

Ponieważ jednak lubię się z nim drażnić, uśmiecham się lekko.

— Może chcesz mnie jeszcze trochę przekonywać?

Arthur z pomrukiem schyla się i całuje mnie mocno, zachłannie. Poddaję mu się i czuję się z tym zajebiście.

— W jaki sposób chciałybyś być przekonywana? — mamrocze mi po chwili w usta.

Udaję, że się zastanawiam.

— Zanim pojechalibyśmy na lotnisko, obiecałeś mnie związać — przypominam mu. — I ukarać. Może w końcu spełniłbyś te groźby, żebym nie pomyślała, że to tylko czcze pogroźki?

Sądząc po jego spojrzeniu, bardzo mu się podoba ta myśl. Chce mnie popchnąć na łóżko, ale się opieram.

— Ale zanim to zrobimy, mam jeszcze jeden pomysł — dodaję. — Możesz oddać mi kontrolę na jakieś dwie minuty, prawda?

Wyswobadzam się z jego uścisku i klękam przed nim; zapewne właśnie wtedy Arthur, wpatrując się we mnie jak urzeczony, dochodzi do wniosku, że owszem, może mi oddać kontrolę. Chwyta w dłoń moje włosy, a ja ściągam jego spodnie i zwilżam językiem wargi na widok już półtwardego penisa.

— Ach, i jeszcze jedno — dodaję lekko, patrząc na niego do góry.

— Hmm? — Arthur myślami jest już gdzieś daleko. Może to i dobrze.

Uśmiecham się radośnie i odpowiadam:

— Będę musiała zabrać w końcu moje rzeczy od Cole'a. Możesz jechać ze mną, jeśli chcesz.

Epilog

Dwa miesiące później

— Pamiętasz o naszej kolacji?

Kiedy dzwonię do Ever, od razu rozpoznaję, że to zły moment. Rozmawia ze mną tak, jakby była maksymalnie rozproszona. Wkurwia mnie to. Nie lubię, kiedy moja kobieta skupia się na czymkolwiek poza mną, choćby to była jej praca. Ostatnio przekonałem się, że można być kurewsko zazdrosnym nawet o to.

Ale jak mam się nie wkurwiać, gdy Ever spotyka się w niej z tyloma ludźmi i wszyscy zdają się ważniejsi ode mnie?

— Pamiętam — odpowiada z roztargnieniem. — Będę o dziewiątej.

— O ósmej — poprawiam ją. — Czy mogłabyś się skupić na jakiejś pięć sekund?

— Mogłabym, ale wtedy podejrzany mi ucieknie — odpowiada, co jeszcze bardziej mnie denerwuje. — Chyba nie chcesz, żeby twoja dziewczyna zyskała sobie w Vegas miano partacza?

Właściwie to nie miałbym nic przeciwko. Może wtedy wreszcie rzuciłaby tę głupią pracę, żebym mógł jak najczęściej mieć ją w domu. Najlepiej w moim łóżku.

W naszym łóżku.

— Chcę tylko, żeby moja dziewczyna przyszła na czas na kolację, którą dla niej zorganizowałem — odpowiadam z ledwie tłumioną irytacją.

— Myślisz, że jest w stanie tyle dla mnie zrobić?

Ever wzdycha tak, jakbym kazał jej przylecieć na tę kolację co najmniej na pieprzony Księżyc.

— Myślę, że jest — stwierdza w końcu. — Im szybciej przestaniesz jej zawracać głowę, tym szybciej będzie w stanie dotrzeć na kolację. Ale teraz naprawdę musi już... O kurwa.

Po tych słowach rozłącza się, a ja przez moment w zdumieniu wsłuchuję się w sygnał przerwane połączenia. No nie wierzę. Rozłączyła się. Wyrzuciła z siebie pieprzone przekleństwo i tak po prostu się rozłączyła.

Kiedy analizuję naszą sytuację, czasami naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego związałem się z kimś takim jak Everly Chance. Jestem facetem, który na co dzień wzbudza niepokój, a czasami nawet przerażenie. Który załatwia swoje interesy bez najmniejszych skrupułów. Który nigdy nie pozwala nikomu dwa razy popełnić błędu i który zawsze wszystko ma pod kontrolą.

Ever jednak od początku wymykała się wszystkim moim zasadom. Nigdy się mnie nie bała. Co więcej, nie obawiała się mi sprzeciwić i walczyć ze mną, choć wiedziała, że to może się dla niej źle skończyć. Buntowała się, uciekała, próbowała załatwiać sprawę po swojemu i stawiała warunki.

W zasadzie nadal to robi.

Chyba dlatego od początku tak bardzo mnie pociągała. Wszystko mnie w niej fascynowało. Sposób, w jaki poradziła sobie z moimi ludźmi, i to, jak zdobyła reputację w Vegas, jej upór, bezczelność i umiejętność radzenia sobie w każdej sytuacji. Nigdy wcześniej nie poznałem takiej kobiety i wiem, że Ever jest jedyna w swoim rodzaju. Właśnie dlatego zamierzam przywiązać ją do siebie już na zawsze i nigdy nie puścić.

Wciąż zostało kilka godzin do naszej planowanej kolacji, spędzam więc ten czas, załatwiając resztę swoich spraw. Wybieram się też na inspekcję do Camelotu — jest już odremontowany, ale zdecydowałem się opóźnić otwarcie o kilka dni, żebym mógł tego wieczoru wykorzystać ten lokal. Wprawdzie nie zamierzam zabierać Ever do środka, ale i tak wolę mieć tu dzisiaj spokój.

Deacon jedzie ze mną obejrzeć klub po ostatnich poprawkach. Natychmiast zauważa moje roztargnienie.

— Mam nadzieję, że myślisz właśnie o Torresie, a nie o Chance — mówi z niezadowoleniem.

Miałem rację, kiedy na początku naszej znajomości oświadczyłem Ever, że swoim wejściem na zaplecze Camelotu nie zyskała sobie sojusznika w postaci mojego szefa ochrony. Deacon bardzo mocno przeżył fakt, że znokautowała go wtedy kobieta — wiem, że uraziła głęboko jego męską dumę, chociaż nigdy mi się do tego nie przyznał. Przypuszczam, że to dlatego tak jej nie znosi.

— Jedno z drugim jest nierozzerwalnie związane — odpowiadam lekko, na co Deacon spogląda na mnie z niedowierzaniem.

— Nie. Nie mów, że...

— Poproszę ją dzisiaj. — Wzruszam ramionami, jakby to nie było nic wielkiego. Prawda jest jednak taka, że odrobinę denerwuję się nadchodzącą rozmową. W końcu z Ever nigdy nic nie wiadomo. — Zobaczę, co zdecyduje. Uszanuję jej decyzję.

— Padło ci na mózg — informuje ze złością mój przyjaciel. — Już dawno powinieneś wykopać ją ze swojego domu i z życia.

Krzywię się, spoglądając na niego twardo.

— Uważaj, bo zaraz mogę wykopać ciebie — warczę.

Deacon tylko przewraca oczami.

— Ciekawe, kiedy wreszcie przestaniesz mi grozić za każdym razem, gdy powiem o niej coś złego.

No cóż. Prawdopodobnie nigdy.

Ever przyjeżdża spóźniona nieco ponad kwadrans.

Mam ochotę złoić jej za to tylek, po namyśle uznaję jednak, że mogę to zrobić później, w nieco bardziej dyskretnym otoczeniu, gdzie będzie mnie mogła do woli o to błagać. Dach Camelotu nie należy chyba do najodpowiedniejszych na to miejsc — jesteśmy za bardzo na widoku.

Wieczór jest przyjemny — nie za gorący, ale ciepły i pogodny. Przeszedłem sam siebie, ustawiając na dachu Camelotu nie tylko stolik dla dwojga, który mają obsługiwać pracownicy z mojego klubu, ale także wygodną, szeroką, rattanową sofę i fotele ukryte za parawanami ze zwiewnego białego materiału. Tworzą coś w rodzaju osobnego pomieszczenia, w którym bez problemu będę mógł schować się z Ever, gdy tylko przyjdzie mi na to ochota.

A znając mnie, na pewno przyjdzie, i to prędzej niż później.

Przekonuję się o tym dobitnie, gdy tylko Deacon wprowadza ją na dach, po czym zostawia nas samych. Stoję akurat przy barierce, sącząc whiskey i niecierpliwie patrząc na zegarek, kiedy Ever pojawia się na górze. Gdy na nią spoglądam, od razu przechodzi mi cała irytacja na jej sposób rozmowy ze mną i na to spóźnienie.

Z pewnością nie była nawet w domu, żeby się odświeżyć — wnioskuję po nieładzie jej jasnych włosów i prawie całkowitym braku makijażu. Jedynym wyróżniającym się na pięknej twarzy Ever akcentem jest czerwona szminka, która skupia mój wzrok na jej ustach. Jakbym potrzebował jeszcze dodatkowej zachęty, by wyobrazić sobie te usta wokół mojego fiuta.

Poza tym Ever nie jest ubrana jak zazwyczaj do pracy — porzuciła gdzieś džinsy i podkoszulek, a wbiła się w cholerną czarną kieckę

z dekoltem, który sięga jej niemal do pępka. Z pewnością nie ma pod nią stanika, bo byłoby go widać.

Sukienka jest krótka, sięga jej ledwie do połowy uda, i bardzo prosta, zupełnie w stylu Ever. W jej stylu są też czarne trapery za kostkę, które ma na nogach. Za cholerę nie pasują do tej stylizacji, ale pewnie po prostu nie wzięła niczego na zmianę. Poza tym ona nie chodzi w szpilkach, jeśli nie musi.

Jest niewysoka, a według niewybrednych komentarzy Deacona także o zbyt chłopięcej sylwetce, by mogła się komukolwiek podobać. Obaj jednak doskonale wiemy, że to nieprawda. Ever wprawdzie nie ma bujnych bioder i ogromnych cycków, ale jej zielone oczy aż skrzą się humorem i inteligencją, jej uśmiech za każdym razem wydaje mi się zabójczy, a jej ruchy są tak nonszalancko uwodzicielskie, że nie mogę oderwać od niej wzroku. Everly Chance zna swoją wartość i to po niej widać. To niesamowita, przebojowa dziewczyna, za którą faceci oglądają się na ulicy.

I jest tylko moja.

— Gdyby nie fakt, że już trochę cię znam, uznałabym, że celowo wybrałaś taką romantyczną lokalizację. — Uśmiecha się krzywo.

Rzuca wysłużony plecak na krzesło przy stoliku, po czym podchodzi do mnie, zupełnie nie przejmując się brakiem odpowiedzi. Nie wiem, co jej powiedzieć. Prawda jest taka, że po prostu chciałem zabrać ją w ładne miejsce, w którym równocześnie byłibyśmy bezpieczni. Czasami sam siebie nie rozumiem, gdy chodzi o Everly.

Wspina się na palce i obejmuje mnie za szyję. Przeszywa mnie dreszcz, gdy czuję na skórze lekki dotyk jej drobnych palców. To zaskakujące, że ta dziewczyna wydaje mi się taka krucha, podczas gdy potrafi mi przyłożyć tak, że aż tracę dech, a nawet kogoś zastrzelić — oczywiście w samoobronie.

Po sprawie z Alice miała problemy z policją — w końcu zabiła jednego z wynajętych przez moją byłą ludzi we własnym biurze, a potem nie chciała się zgłosić na komendę. Z radością użyłem wszystkich moich kontaktów, żeby miała z tego powodu możliwie mało kłopotów. Na szczęście wszystko rozeszło się po kościach.

Zawsze będę jej bronił, choćby to miało mnie kosztować własne życie. I choćby miało chodzić o tak trywialne rzeczy jak wydostanie z policyjnego parkingu jej samochodu i zlecenie jego naprawy, żeby Ever nie musiała jeździć po mieście tym niebezpiecznym motocyklem pożyczonym od jakiegoś znajomego.

— Ta lokalizacja rzeczywiście jest romantyczna. Ale nie dlatego ją wybrałem.

— Przyznaj się: poprosiłeś kogoś z pracowników, żeby przygotował to miejsce.

Czasami mam wrażenie, że ona zna mnie lepiej niż ja sam.

— Oczywiście — śmieję się. — Ale polecenie wydałem im sam. To chyba się liczy?

Ever uśmiecha się słodko, w sposób, który wydaje się jakoś połączony z moim fiutem. Staje mi, kiedy tylko widzę tę jej minę.

— Jasne, że się liczy — chichocze, po czym mnie całuje.

Jak zawsze kiedy czuję jej wargi i język, kiedy zagłębiam się w jej ustach, mam ochotę porzucić wszystko to, co robimy, wszystko, co mam zaplanowane, i po prostu ją przelecieć. Szybko i mocno.

Muszę wziąć się w garść, bo mam zaplanowane naprawdę ważne rzeczy.

Obejmuję ją, jedną z dłoni kładę jej na tyłku i ściskam mocno. Ever jęczy mi w usta, ociera się o mnie, a moje postanowienie, żeby najpierw z nią porozmawiać, nieco słabnie. Sięgam palcami do jej dekoltu i śledzę go od góry do dołu, po czym wsuwam dłoń do środka i obejmuję jej pierś. Miałem rację: nie ma stanika, a jej sutek jest naprężony, błagający o uwagę, którą chętnie mu daję.

Na szczęście w następnej chwili zza pleców Ever dobiega chrząknięcie.

— Szeffie, możemy podawać?

Kurwa. Prawie zapomniałem, że celowo kazałem pracownikom podać jedzenie, gdy tylko Ever przyjdzie, żeby uniknąć takich sytuacji. Sam jestem sobie winien.

— Możecie — odpowiada za mnie Ever z rozbawieniem. Odsuwa się, zanim zdążę ją zatrzymać. — Jestem głodna jak wilk.

Nie spuszczam z niej wzroku, gdy siada przy stoliku i patrzy na mnie figlarnie, zachęcając, bym do niej dołączył. Jestem rozgrzany i muszę się opanować, żeby najpierw odbębnić tę kolację, zapytać Ever i uzyskać odpowiedź, która mnie usatysfakcjonuje, a dopiero potem przelecieć ją na rattanowej sofie za tymi białymi parawanami. To brzmi jak dobry plan. W końcu lubię się powstrzymywać.

Chociaż z Ever to naprawdę nie jest proste.

Dołączam do niej dopiero, gdy dostajemy nasze jedzenie, a jeden z moich pracowników nalewa nam wina. Chcę mieć pewność, że nikt nie będzie nam przeszkadzał.

— Jak ci minął dzień? — pytam gładko, siadając przy stoliku.

Ever odwraca ode mnie wzrok i wpatruje się w panoramę Vegas za mną. Nie należy do najlepszych — Camelot nie jest wystarczająco wysoki, by górować nad miastem, ale daje dobry widok na Strip i okoliczne, oświetlone kolorowo, kiczowate atrakcje. Ever chyba lubi tę okolicę, co sprawia, że i ja spoglądam na otoczenie nieco bardziej przychylnym okiem.

— Dobrze — odpowiada, nadal na mnie nie patrząc. — Obiekt prawie mi zwał, ale poradziłam sobie. Masz ładny widok, powinniśmy częściej tu przychodzić.

— Mam ładny widok i bez wchodzenia na dach Camelotu — odpowiadam.

Dopiero wtedy Ever kieruje na mnie wzrok, uśmiechając się lekko.

— No proszę. Jeszcze prawisz mi komplementy. Na pewno czegoś ode mnie chcesz.

Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że ona tak świetnie potrafi mnie rozgryźć.

— Nie dlatego cię komplementuję, ale rzeczywiście mogę czegoś od ciebie chcieć. Wystuchaj mnie jednak do końca, zanim podejmiesz decyzję.

Patrzy na mnie pytająco, a jej zielone oczy przyprowadzają mnie o ciarki. Muszę przyznać, że odrobinę się denerwuję. Nie wiem, co zrobić, jeśli się nie zgodzi. Mogę ją wtedy porwać i siłą zaciągnąć tam, gdzie chcę ją mieć, a to na pewno nie spodobałoby się Ever.

— Zamierzam wyjechać do Kolumbii — wyrzucam z siebie nareszcie. — I chciałbym, żebyś pojechała ze mną.

Ever marszczy brwi. Przez chwilę nie odpowiada, jakby się zastanawiała, ale kiedy w końcu zadaje pytanie, to nie takie, jakiego się spodziewam.

— Na stałe?

— Oszalałaś? — pryham. — Po co miałbym się przeprowadzać do Kolumbii? Nie wiem, może na parę tygodni. Zależy, kiedy mi się uda wszystko tam załatwić.

Ever z irytacją przewraca oczami.

— To po co mówisz, że zamierzasz wyjechać? Pojechać, polecieć — to brzmiałoby dużo lepiej — fuka.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

— Czy ty poważnie poprawiasz mnie w kwestii mojej stylistyki językowej?

— Po prostu chcę mieć jasność, czego ode mnie chcesz. — Wzrusza ramionami i upija łyk wina. — Po co zamierzasz tam lecieć?

Wahałem się, czy mówić jej prawdę, ale jeśli chcę, żeby Ever była moją partnerką, powinna wiedzieć o różnych rzeczach. Zresztą po pierwsze jestem przekonany, że nie byłbym w stanie niczego przed nią ukrywać, a po drugie mam przeczucie, że na miejscu jej pomoc może mi się przydać.

— Chodzi o Torresa — wyjaśniam. — Od pewnego czasu nie mam z nim kontaktu. Chcę polecieć do Kolumbii i osobiście go tam poszukać.

— To chyba nie należy do twoich obowiązków — dziwi się, i słusznie.

Kiwam głową.

— Tak, ale jeśli on się nie znajdzie, jego miejsce zajmie któryś z następców w hierarchii tamtejszej organizacji i najprawdopodobniej będzie to jego młodszy brat. Skurwysyn jakich mało. Nie mam najmniejszej ochoty z nim współpracować, a jestem pewien, że on zrobi wszystko, żeby Miguel się nie odnalazł. Jeśli chcę mieć święty spokój w Vegas, muszę podjąć pewne kroki.

— Nadal byłoby lepiej, gdybyś wysłał kogoś, zamiast lecieć samemu.

— Ale dla siebie mam idealną wymówkę — protestuję. — Chcę się spotkać z zastępcą Torresa i omówić kolejne wspólne kroki. To kontrolowana wizyta. A ty jesteś człowiekiem, który pomoże mi na miejscu.

— Nie mam tam żadnych znajomości — bąka Ever bez przekonania. — Nie będę tak efektywna jak w Vegas.

Myślę, że ona czasami mimo wszystko się nie docenia.

— Masz mnóstwo talentów, które mi się tam przydadzą. Damy sobie radę. Zresztą nie polecimy sami, będzie nam towarzyszyć kilku moich ludzi. Jestem pewien, że nic nam nie zgrozi.

Te ostatnie słowa wypowiadam mocno na wyrost, ale wiem, że zrobię wszystko, żeby Ever była bezpieczna. Najbezpieczniej byłoby pewnie zostawić ją w Vegas, ale z drugiej strony jestem też jebanym egoistą — myśl o rozłące z nią na kilka tygodni sprawia, że od razu szukam alternatywnych rozwiązań.

Zastanawia się przez chwilę, a w końcu kiwa głową. Muszę przyznać, że na ten widok czuję ogromną ulgę. Nie byłoby łatwo wsadzić ją siłą do samolotu i wywieźć do Ameryki Południowej wbrew jej woli.

Chociaż myśl o związanej Ever nadal bardzo mi się podoba.

— Dobra, polecę z tobą — mówi ku mojemu zadowoleniu. — Tylko musisz dać mi trochę czasu, żebym pozamykała tu wszystkie sprawy i ogarnęła swoich klientów.

Kiwam głową. Dam jej wszystko, o co tylko mnie poprosi.

— W takim razie wylatujemy w sobotę — decyduję. Ever przytakuje. — Świetnie. Przekażę Deaconowi, żeby wszystko przygotował.

Na te słowa rzednie jej mina.

— Pike leci z nami?

— Oczywiście, przecież jest moim szefem ochrony — potwierdzam, po czym patrzę na nią groźnie. — I oczekuję, że będziecie wobec siebie grzeczni i uprzejmi. Nie chcę żadnych awantur podczas tego wyjazdu.

Ever mamrocze pod nosem coś, co brzmi jak: „O ile tylko on będzie grzeczny i uprzejmy”, ale nie komentuję tego, bo nie lubię, kiedy oboje zachowują się jak dzieci w przedszkolu. Niestety prawda jest taka, że Deacon nigdy nie przepadał za moimi kobietami i w każdej upatrywał zagrożenia, a w przypadku Ever robi to podwójnie, bo doskonale wie, że jestem zaangażowany w ten związek jak w żaden inny. Prawdopodobnie wcześniej ode mnie wiedział, że ją kocham.

Tym bardziej wie, że musi się pogodzić z jej obecnością w moim życiu, i chciałbym, żeby Ever zrobiła to samo.

— Ach, i jeszcze jedno — dodaję od niechcenia, gdy Ever zaczyna się zastanawiać, co powinna zabrać ze sobą do Kolumbii. — Chcę, żebyś poleciała tam jako moja narzeczona.

Przesuwam w jej stronę czarne pudełko od jubilera z pierścionkiem w środku. Ever urywa w pół zdania i wpatruje się we mnie z niedowierzaniem, rozchylając usta. Chyba nigdy wcześniej nie udało mi się aż tak jej zaskoczyć, co sprawia, że patrzę na to z zadowoleniem. Lubię mieć przewagę nad Ever.

Widzę, że drżą jej dłonie, kiedy sięga po pudełko i je otwiera. Nie odrywam wzroku od jej twarzy. Wybrałem dla niej prosty pierścionek z czarnego złota z niewielkim czarnym diamentem, który moim zdaniem idealnie do niej pasuje.

— Ja... — zaczyna, po czym urywa.

Chyba sama nie wie, co powiedzieć. Nie mogę pozwolić, żeby zaczęła szukać jakichś wymówek.

— Przecież wiesz, że tego chcesz — wchodzę jej gładko w słowo. — Jesteśmy dla siebie stworzeni, Ever. Nie znajdę drugiej takiej kobiety jak ty i ty z pewnością nie znajdziesz drugiego takiego faceta jak ja. Wiem, że tak jest. Wiem, że mnie kochasz, chociaż nigdy tego nie powiedziałaś. Nie chcę słuchać wymówek. Po prostu zgódź się i go załóż.

Głową wskazuję na pierścionek, a Ever waha się jeszcze przez chwilę. W końcu jednak sięga do pudełka, a gdy uśmiecha się tak pięknie, jak tylko ona potrafi, coś we mnie triumfalnie wyje. Właśnie tego chciałem. Właśnie tego potrzebowałem!

— Tylko ty potrafisz zrobić wielką aferę z rozmowy o wyjeździe do Kolumbii, a potem mimochodem wspomnieć o zaręczynach — prycha i to już jest dużo bardziej w jej stylu. — Byłam rozczarowana, wiesz?

Uśmiecham się podstępnie.

— Ach tak?

— Myślałam, że jesteście tu, bo chcesz mi się oświadczyć! — Podnosi nieco głos i jest w tym swoim oburzeniu kurewsko urocza. — A ty zacząłeś głądzić o jebanym Torresie i Kolumbii!

— Czyżbyś nie była z tego powodu zadowolona?

Ever kopie mnie pod stołem.

— Palant! Oczywiście, że nie! — Właściwie na mnie krzyczy, ale to takie słodkie, że mogę tylko wpatrywać się w nią rozbawiony. — Gadałeś o tej kolacji od kilku dni, byłam pewna, że coś szykujesz! A ty potem pytasz, czy polecę z tobą do Kolumbii... No nie mogłam w to uwierzyć. — Chyba powinienem się martwić, że Ever jest aż tak dobrą aktorką. Nic po sobie nie pokazała! — Powinnam była się domyślić. Jesteś idiotą. I tak, kocham cię.

Bierze pierścionek i wsuwa sobie na palec, a ja czuję się w tej chwili tak, jakbym był królem całego jebanego świata. Nie tylko królem zgliszczy i popiołów, które zostawiam za sobą, jak niejednokrotnie słyszałem o sobie za plecami. Ever mnie kocha, Ever mnie chce, Ever zostanie ze mną na zawsze i właśnie włożyła pierścionek będący dowodem tej deklaracji — czego mogę chcieć więcej?

To moja narzeczona. Moja kobieta, którą będę chronił za wszelką cenę, a która i bez tego sama doskonale potrafi się obronić. Która będzie mi stawiać opór — o tym akurat jestem przekonany — i niejednokrotnie nie da się poskromić. Ale mimo to będę próbował i podejmę te próby z przyjemnością, bo ekscytująca jest nawet walka z nią. Każda sekunda spędzona z Ever jest ekscytująca.

Podnoszę się od stolika i wyciągam do niej rękę, a Ever chwyta ją bez chwili wahania. Nie patrzę nawet, czy skończyliśmy już jeść; mogę skupić się tylko na pierścionku, który wyczuwam na jej palcu, gdy zamykam swoją dłoń wokół jej. Ciągnę ją w kierunku parawanów, a Ever idzie za

mną z uśmiechem na twarzy, który każe mi sugerować, że doskonale wie, gdzie i po co się wybieramy.

W środku czuję się jak w zupełnie innym świecie. Spomiędzy zwiewnych parawanów nie widać reszty miasta, nie słychać też za dobrze hałasów dobiegających ze Strip — a nawet gdyby było je słychać, jesteśmy za bardzo zajęci sobą, by zwracać na to uwagę. Kieruję Ever do najbliższej sofy, zajmuję na niej miejsce i pozwalam mojej kobiecie usiąść na mnie okrakiem.

To znaczy mojej narzeczonej.

— To świetnie, bo ja też cię kocham — odpowiadam w końcu tuż przed tym, zanim ją pocałuję. — Mówiłem, że jesteśmy idealnie dobrani i że wszystko między nami się poukłada. Jak zawsze miałem rację.

Ever prycha, chyba nie zgadzając się z tym ostatnim zdaniem, ale nie pozwalam jej dojść do słowa. Łapię ją za kark, przyciągam do siebie i mocno, zachłannie całuję. Z westchnieniem rozchyła dla mnie usta; mogę wsunąć w nie język i penetrować gorące, wilgotne wnętrze, aż spotkam jej język. Ever wije się na mnie, ocierając się o moje krocze, na co mój penis odpowiada gwałtownym wzwodem.

Nie protestuję, gdy czuję jej zwinne dłonie na rozporku moich spodni. Chcę ją mieć teraz, jak najszybciej, jak najmocniej, jak najbardziej, żeby ostatecznie ją przekonać, że jest tylko moja, a ja jestem jej — i że tak już zostanie.

Sięgam pod jej sukienkę i właściwie zrywam z niej majtki — nie mam ochoty bawić się w delikatności. Wsuwam w nią palce — jest wilgotna, ciasna i całkowicie na mnie gotowa — a drugą dłonią wracam do dekoltu sukienki i jej piersi. Ever jęczy, gdy zaczynam ją pieścić.

— Och, tak — dyszy, poruszając biodrami. — Chcę zostać twoją żoną, Arthurze Ashbournie. Jak najszybciej.

Hmm, może udałoby się to załatwić jeszcze przed Kolumbią? Dobrze byłoby w sumie zabrać ją tam jako moją żonę zamiast narzeczoną...

Okej, tym pomartwię się później. Na razie muszę doprowadzić Ever do rozkoszy. Najlepiej kilkakrotnie.

Mamy na to całe życie, ale zamierzam zacząć już teraz.

KONIEC

Będzin, sierpień – wrzesień 2020

SIĘGNIJ TAKŻE
PO POZOSTAŁE POWIEŚCI
Z SERII
KRÓLOWIE VEGAS!



ODWIEDŹ NAS!

 facebook.com/editored

 instagram.com/editio.red/

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 